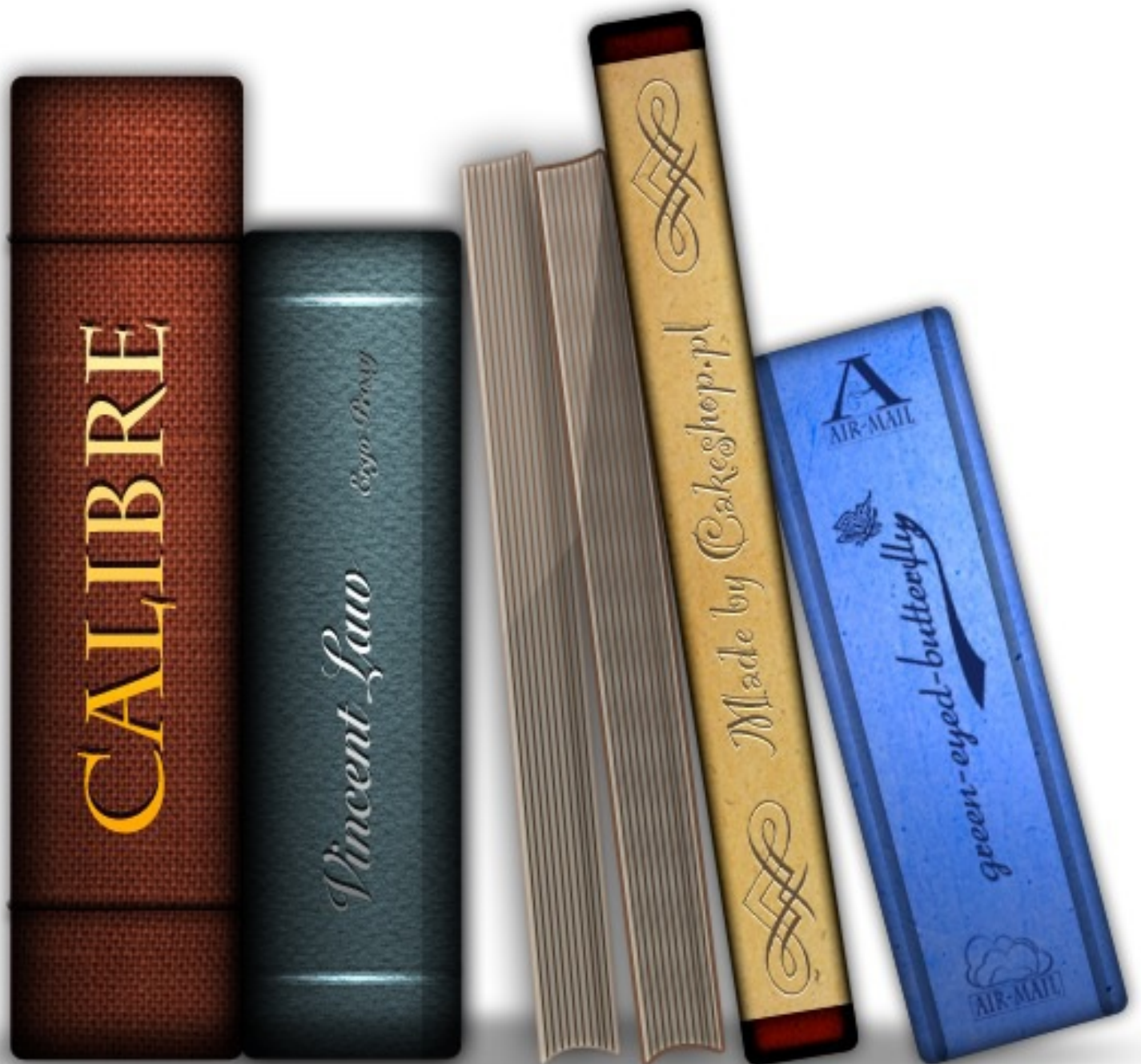


Imperium Orla

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton Susan Schwartz

Imperium Orla

Tytuł oryginalny EMPIRE OF THE EAGLE 1993

Amber 1994

Andre Norton: Wprowadzenie

Był żołnierzem nieledwie chłopskiego pochodzenia, lecz miał praktyczną wiedzę i iskry militarnego geniuszu. Dzięki tym cechom stworzył twardą podstawę najpierw Republiki Rzymskiej, a później Imperium. - Stworzył Legiony. Do czasów Mariusa wojownicy walczyli nieustępliwie i dobrze, ale idea armii opartej na pospolitym ruszeniu, zwolowanym w obliczu zagrożenia kraju, nie mogła być wystarczająca bronią dla wodza, przekonanego o swym boskim przeznaczeniu. I w ten oto sposób powstała koncepcja zawodowego żołnierza, którego prawdziwym domem była armia, a bogiem - Orzeł Legionu, na którego składał przysięgę. Mimo krwawej łazni, dokonanej na rozkaz Sullii, zazdrosnego o wpływy swego poprzednika, idea Legionów i idea Orla przetrwały i zostały zaakceptowane jako jedyny możliwy ożreż w wojnie, zarówno z barbarzyńcami, jak i z regularnymi wojskami tych, którzy osmielili się stawic opór ekspansji Rzymu.

Utrata Orla była hanbą tak wielką, że mogła ją zmyć tylko krew. Prawdopodobnie najsłynniejszą tego rodzaju klęską była masakra trzech legionów Augusta Cezara i stracenie ich Orłów wśród wzgórz Teutoburger Wald.

Rzymianami dowodził Quintilius Varus i to jego, podobno, błagał August:

-Varusie, Varusie, zwroc mi moje Legiony!

Wcześniej jednak został pobity prokonsul Krassus (członek pierwszego Triumwiratu). Zazdrosny o sławę Juliusza Cezara i żądny legendarnych skarbów Środkowego Wschodu, poprowadził swą armię ku krwawej klęsce pod Carrhae w 43 roku p.n.e.

Jak się okazuje, warto jest czytać komentarze, którymi opatrywane są zapomniane dziś opowiesci i legendy. Zbierając materiały do noweli Imperial Lady, musiałymy przeczytać historie Dynastii Han - rządzącej prawie 2000 lat temu. Tłumacząc te starożytne stronice, natknęlyśmy się na przypisy, które stworzyły ogromne możliwości dla naszej wyobraźni i fantazji.

Ze zwiezłej notatki dowiedzialymy się, że część Armii Hana, której potęga rozposcierala się wzdłuż Jedwabnego Szlaku i która podbijala kolejne terytoria, zapuscila się w głąb Środkowego Wschodu i była świadkiem klęski Legionów Rzymu.

Dowodca Armii Hana, będąc pod wrażeniem nieugiętej postawy Rzymian wobec nieszczęść i śmierci, zazał kohorty więźniów, by uczynic z nich osobliwy prezent dla swego cesarza.

Sucha notatka nie mówi nic więcej o dalszych losach Rzymian w krainach tak odległych, że wówczas niewyobrazalnych.

Co się z nimi stalo? Skoro historia nie odpowiada na to pytanie, możemy spróbować odgadnac. Garstka legionistów, szukających siły i oparcia w swym Orle - coż więc moglo wydarzyc się dalej?

Andre Norton

Susan Schwartz: Wprowadzenie

Dobrze pamiętam chwile, gdy po raz pierwszy uslyszalam o Rzymianach, którzy stali się archetypem bohaterów Imperium Orla. Było to w 1964 roku. Spędzalam moją przerwę na lunch czytając The Last Planet Andre Norton. Ci, którzy znają te książki, wiedzą, iż rozpoczyna ją opis Rzymian maszerujących na Wschod i tworzących gdzieś w odległej Azji swój ostatni, nie zauważony przez historie czworobok - znakomity wstep do opowiesci o upadającym Imperium.

Prolog powiesci zwrocil moja uwage na ojczyzne Mu, Atlantyde i Ujgurow - bylam zachwycona, gdy duzo pozniej odkrylam na mapie prawdziwa Ujgurska Republika Autonomiczna w zachodnich Chinach, na granicy z byłym Związkiem Radzieckim. W moich późniejszych książkach nie wracalam w tamte strony. Ale gdy zaproponowano mi temat kolejnej powiesci, bylam gotowa odwiedzic te zapomniane miejsca, zajac się zagadką Rzymian, maszerujących przez dorzecze Tarymu.

Jak się tam dostali? Mając zaledwie kilka zapisków z chinskiej historii o ludziach, którzy mogliby być Rzymianami, możemy tylko przypuszczac. Na jednym z takich domysłów - przekazie o klęsce Krassusa i jego Legionów pod Carrhae w 43 roku p.n.e. - zbudowalymy fabule tej książki. Jedno jest pewne - w pierwszym stuleciu przed naszą erą Rzym

dowiedział się o istnieniu szlaków handlowych, znanych obecnie jako Jedwabne Szlaki, a także o bogactwach, które transportowano tamtędy na zachód.

Szczególnie zainteresowany Jedwabnym Szlakiem był Krassus, niebywale bogaty człowiek, który rywalizował ze swym przyjacielem triumwirem Juliuszem Cezarem i szukał własnych zwycięstw, prowadząc jako prokonsul kampanie na Bliskim Wschodzie. Niestety, zderzony przez chciwość i ambicję, Krassus był kiepskim żołnierzem.

Zabrakło mu przenikliwości politycznej (czy też szczęścia) w doborze sojuszników. Zdradzili go zarówno Nabatejczycy, jak i król Armenii. W dodatku popełnił kilka strategicznych i taktycznych błędów, które przesadziły o klęskę jego wyprawy. Sprowokowany przez Nabatejczyków, dał się przekonać, by Legiony maszerowały w tempie konnicy. Czekal na słynną galijską jazdę swego syna Publiusza i wreszcie kazał walczyć legionistom w gorąco, słoneczny dzień (pod Carrhae, miastem garnizonowym niedaleko dzisiejszego Hramu), bez wody i odpoczynku. Co gorsza, zmierzył się z Surena, charyzmatycznym, potężnym i doświadczonym przywódcą partyjskiego klanu, zabitym później przez swego własnego króla z powodu, który przywiódł do zguby Cezara - zbyt dużych ambicji.

Zainteresowani tymi czasami i tą częścią świata wiedza, że Partowie byli świetnymi konnymi лучnikami. W obronie przed ich atakiem Rzymianie sformowali "testudo", czyli "żółwia" - ustawieni w szyku z tarczami nad głowami chronili się przed gradem strzały i czekali, aż Partom zabraknie amunicji. Jednakże nie uwzględnili w swej taktyce upału, głodu i pragnienia. Nie wzięli także pod uwagę załamania się Krassusa, gdy ten ujrzał zatkniętą na czubku lancy zwycięzcy odciętą głowę swego syna.

Klęska była druzgocąca: Rzym stracił nie tylko dziesiątki tysięcy żołnierzy, lecz także Orły Legionów, znak potęgi i honoru. Porzucając martwych i rannych, Krassus schronił się wraz z resztkami swoich wojsk w Carrhae i w końcu rozpoczął układy.

Co stało się z żołnierzami Krassusa i zdobytymi Orłami? Najprawdopodobniej skończyli w niewoli - Rzymianie jako niewolnicy, Orły jako trofea.

Oto historia, która od dawna intrygowala Andre Norton. Uczyniliśmy z niej punkt wyjścia naszej opowieści. A jeśli maszerując na wschód, wkroczyli prosto w mity? Azja - zwłaszcza Centralna - jest kopalnią legend. Wpadły nam do rąk dwa ich zbiory: historia o mitycznej krainie Mu, często łączona z Atlantyda i mitologia słoneczna, oraz starożytny hinduski epos Mahabharata, z jego bogami, półbogami i książętami, walczącymi wraz ze smiertelnikami w opisywanej przez autora bitwie. Zafascynowało mnie przedstawienie Petera Brooksa w Brooklyn Academy of Music inspirowane wątkami hinduskiego eposu i zaintrygowało spostrzeżenie, że opowieści o Krisznie i jego ludzkich sojusznikach, bohaterze Arjunie i jego braciach, ich żonie - Draupadi i toczonych przez nich wojnach są ciągle popularne i kochane, uczy się o nich dzieci, na ich kanwie osnute są nawet współczesne komiksy.

Oczywiście, ta kombinacja wątków przesuwająca zdecydowanie Imperium Orla z obszaru fikcji historycznej w kierunku fantasy takiej, jak zapiski słoniogłowego Ganesii z Mahabharaty.

Wyobraźcie go sobie, jak rozpoczyna swoją historię. Jest ciemno. Mężczyźni kula się na bagnach pokonani, zdradzeni, niepewni dowódców. Nadchodzą posłancy - przynoszą warunki kapitulacji. Rozpoczyna się podróż poprzez kultury i czas.

Rozdział pierwszy

Mury Carrhae pozwoliły pozostałym przy życiu legionistom Krassusa umknąć równie haniebnie, jak wcześniej przybyć do miasta: Carrhae zostało uwolnione od kolejnej władzy niezdolnej do rządzenia. Resztkom Legionów nie pozostało zbyt wiele dumy i bardzo mało siły. Miasto, czyste i obojętne, mogłoby być równie odległe jak sam Rzym. W tej chwili trybun Quintus rozpaczliwie pragnął ochrony, którą mogły dać te mury. Wszystkich bezpiecznie za nimi ukrytych wysyłał w głąb serca do Tartaru. Był zresztą całkowicie przekonany, że wcześniej czy później zawita tam osobiście. Daleko przed nim jego przelozeni i starsi gestykulowali, podczas gdy centurionowie ciosami palek ustawiali po raz ostatni wyczerpanych ludzi w szyk bojowy, by mogli podać za przewodnikiem w głąb mokradła.

-Myślisz, że możemy mu zaufać?

-A chcesz jeszcze błoto?

Ktoś wciągnął policzki, wydając odgłos ssania. Zdumiewające, nikt nie miał wystarczająco dużo siły i energii, by podjąć nawet tak kiepski żart.

-Uciszcie się! - Rufus, starszy centurion, poparł swój rozkaz uderzeniem pałki. Quintus mógł się spodziewać, że ten stary, twardy żołnierz przeżyje. To, że przeżył on sam, było dla niego więcej niż niespodzianka. Może stało się tak dlatego, że nie do końca tego pragnął...

Niedawno przekonali się, że nie mogą ufać swoim towarzyszom - Rzymianom, ani też części sojuszników. Jak wobec tego mogliby zaufać przewodnikowi, który drżał ze strachu, gdy czyjeś oczy lub ręka spoczęły na nim, by w chwili później rzucić pełne nienawiści spojrzenie. Jego doświadczenie dawało im niewielkie szanse, lecz mimo wszystko obiecywało lepszy - nawet jeśli mniej honorowy - los niż bełny i strzały, które miały powitać ich o świcie.

Partowie byli konnymi łucznikami, niechętnie walczącymi w nocy, bo wtedy ryzykowali śmierć swych cennych wierzchowców. Gdyby tak łaskawie odnosili się do ludzi, dwadzieścia tysięcy Rzymian byłoby wciąż wśród żywych. Poza tym, czemuż Surena i jego wojownicy mieliby w ogóle walczyć? Legiony Syrii były wykrwawione. Rzymska kawaleria odparta, a z wojsk posiłkowych tylko część przeżyła lub była na tyle lojalna, by wraz z legionistami podążyć na mokrą dółkę.

Teraz księciu Surenie - władcy jednego z najpotężniejszych partyjskich klanów - nie pozostało nic innego, jak tylko poczekać, aż fałszywi przewodnicy i prawdziwe bagna zapewnią mu ostateczne zwycięstwo.

Ktoś zakrztusił się niedaleko Quintusa. W jego własnym przelocie wzbierał kwaśny posmak, wywołany okropnym bagiennym fetorem, prawie tak plugawym jak kłatwy miotane przez Rufusa. Rufus nie przestawał przeklinać, odkąd nadeszły rozkazy odwrotu. Najpierw wyrwali się z pola bitwy, padając od strzał jeźdźców - łuczników. By ich klęskę uczynić całkowitą i haniebna, zmuszono ich do porzucenia rannych. W końcu - pod osłoną nocy - wymknęli się z Carrhae, niczym mężczyźni wychodzący ukradkiem z lupanaru. Pobici, zniszczeni i martwi, gdy tylko dopadnie ich jedyny, prawdopodobny los.

Krew dudniła w skroniach Quintusa niby bojowe bełny wroga i mosiężne dzwonki dzwierzące ogłuszająco, gdy paradował przed nimi Surena lub gdy obnoszono odrabianą głowę syna prokonsula, zatkniętą na czubku lancy. Widok ten zamienił arogancję rzymskiego wodza w rozpacz i strach, pozbawiając Legiony choćby takiego dowództwa, jakie mogli zapewnić im Krassus i odbierając wolę zwycięstwa. Teraz to tępe miarowe pulsowanie w głowie młodego trybuna i hausty rzeskiego powietrza, które wciąż w swe obolałe płuca, w jakiś sposób pomagały mu iść, działając podobnie jak bełny na galerze, odmierzające rytm pracy galerników. Udało im się nie biec. To wszystko na co było ich stać - niedobitki siedmiu Legionów Krassusa.

-Na ziemi! - ktoś szepnął.

Quintus przypadł do ziemi - czy też błota - tuż obok kaluży tak zmetniałej, że nie odbijały się w niej ani gwiazdy, ani księżyc. "Bogowie odwrócili od nas swe twarze" pomyślał. Lecz czegoż więcej mogli oczekiwać po porażce takiej jak ta?

Pamięć z wolna zaczęła powracać. Byli przekleci już wtedy, gdy wyruszyli z Rzymu. Czy trybun Aetius nie potępił ostro i otwarcie Krassusa i jego armii twierdząc, iż Partia jest neutralnym królestwem i nie wolno jej atakować? Każdy inny potraktowałby to jako omen i przemyślał dwa, trzy razy swoje dalsze kroki. Mówili, że Krassus opowiadał w towarzystwie o czynach Aleksandra, co dało asumpt plotkom, iż zazdrości Cezarowi, swemu przyjacielowi i rywalowi. Potrzebował triumfu, którego świadkiem byłby cały Rzym, dlatego też zignorował słowa Aetiusa. Jak Grecy określali działanie wbrew woli bogów? Quintus poszukiwał w pamięci odpowiedniego słowa. Wszystko było jakby zamglone...

"Hubris." Coż, gdyby dano mu wolny wybór, wolałby raczej zostać rolnikiem niż uczonym. A już na pewno nie żołnierzem. Prości ludzie też mają swoje określenie na taką arogancję: "nefas" - niewysłowione zło.

Tutaj wszystko prócz niego samego było "nefas".

Jego towarzysze zapadali się po kolana i po pas w cuchnącej wodzie, gubiąc swoje pakunki. Rzymianie trzymali się razem, podobnie jak ich sojusznicy, rozdzielając się według narodowości. W nocy trudno będzie odróżnić sojuszników od wrogów - podczas marszu ich szeregi nadmiernie się rozciągnęły. Część sprzymierzonych złamała przysięgę. Mimo to lepiej nie zabijać tych, którzy pozostali wierni.

Przy każdym oddechu bolały go zębra. Podczas bitwy strzała przeleciała mu koło głowy. Niewiarygodnie szczęśliwym trafem udało mu się odchylić tak, że śmiertelny cios zeslizzał się po zbroi. "Trafił mnie" - pomyślał. Przez chwilę stał zdezorientowany, niczym gladiator, czekający na ostatni cios. Spróbował odgonić wspomnienia. "Magna Mater - nie miałem zbyt wiele z życia!"

Bez domu. Bez synów. Bez ziemi.

Czas zwolnił, a on znowu powrócił do obrazów bitwy. Zgiął się w pole, zamroczony, zastanawiając się, czy strzała przebiła płuco i jak dużo czasu zajmie mu utopienie się we własnej krwi.

Quintus roztarł sobie bok, pół leżąc, pół siedząc przy metnej kaluży. Rana od strzały nie podkopała jego zdrowia, lecz wciąż krzywił się z bólu przeszywającego go przy każdym poruszeniu. Tamten cios uderzył ponad miejscem, w którym przechowywał małą, brązową figurkę, jego szczęśliwy talizman. Znalazł ją jako chłopiec na rodzinnej farmie, odebranej

pozniej jego rodzicom.

-Nie pijcie tego, głupcy! To paskudztwo! - rozległ się krzyk centuriona, poparty uderzeniem palki w plecy jakiegoś nierozsądnego żołnierza. - Nie masz wody? Hej, ty tam! Podziel się z Tytusem. I poruszajcie się ostrożnie. Tutaj lepiej nie skakać.

Nikt nie miał takiego posłuchu jak Rufus. Mimo to podniósł się szmer, a nawet jęk protestu.

-Nie wolno pić stojącej wody. Popatrzcie na te szumowiny. Powachajcie je. C h c e c i e dostać biegunki lub takiej gorączki, że brzeg Tybru latem będzie wydawał wam się ogrodem? Czyż jesteście aż tak głupi, by myśleć, że pozwoli nam nieść chorych?

"Oto - pomyślał Quintus - co najbardziej zraniło starego wiarusa." Na polu bitwy Rzym zostawił swoich rannych. Ludzie, których centurion znalazł, którym rozkazywał, których karał i nagradzał, jakby byli jego synami - zostali porzuceni, by podcięto im gardła (czy też zabito w jakiś inny, bardziej barbarzyński sposób), a ich krzyki zagłuszył warkot partyjskich bebnów.

Primus Pilus bezwiednie zdjął hełm i otarł swe siwe włosy. Nie był już Rufusem: ruda czupryna, która przyniosła mu imię, zniknęła dawno temu. Zestarzał się w Legionach. Tylko wiara, że jest potrzebny żołnierzom, powstrzymywała go przed wtargnięciem do namiotu Krassusa i skorzystania z jedynej przywileju jaki mu pozostał - zadania sobie śmierci. Jego ludzie. Jedyńi synowie, jakich kiedykolwiek miał. Patrzył, jak umierają w imię czyjejs dumy i perfidii, jak padają od partyjskich strzał, a teraz widział ich śmierć posród błot pod Carrhae i nie mógł wzniesć miecza, by ich pomścić, jak nakazywał honor Rzymianina.

Quintus przyglądał mu się otepiały, czerpiąc siłę ze spokoju i opanowania centuriona. Serce starego wojaka było twardsze od samych Legionów. Będzie żył tak długo, jak długo będzie komus potrzebny. Nawet jeśli łatwiej byłoby umrzeć.

-Dobrze, że ci się udało. - Rufus zatrzymał się obok

Quintusa. Widzieli się po ucieczce do Carrhae, lecz nie rozmawiali ze sobą. - Widziałem, jak chybiłeś włócznią...

"Jaka włócznia?"

-...wtedy trafiła cię ta strzała. Kiedy cudem przed nią umknąłeś, zastanawiałem się, czy jednak nie straciłem czasu, który ci poświęciłem.

Quintus wzruszył ramionami. Zebra przeszył płomien, za chwilę ból ustąpił.

-Jestem gotowy do wymarszu, gdy tylko nadejdą rozkazy - próbował dopasować się do rzeczowego tonu Rufusa.

Wyczerpanie skłaniało ludzi do posłuszeństwa. Rufus chodził między leżącymi, rozkazując i nadzorując podział resztek żywności i wody pitnej. Quintus wstał i podążył za nim na osłep. Wydawało mu się, że słyszy głos swego dziadka: "Przypatrz się dobrze, chłopcze. To jeden z prawdziwych żołnierzy".

Za mokradłami czeka śmierć - Partowie i strzały. Bagno rozbrzmiewało kakofonia dźwięków. Najbardziej drażniące było brzęczenie owadów, rojących się pod ubraniem i zbroją. Wszędzie unosił się odor butwiejących roślin, smród przerażonych ludzi i krwi rannych, tych którzy zdolali jeszcze uciec... uciec nie jak... Rzymianie, którymi byli. Nikt nie popełnił samobójstwa, by zmasakrować hanbę, co uczyniono by niechybnie w starych opowieściach. Zresztą, żaden z obecnych dowódców nie zrozumiałby tego gestu, ani też na taki gest nie zasługiwał.

Ciemność nocy przyniosła nagiej, spalonej ziemi i brazowej wodzie ulgę. Mimo to ból głowy Quintusa wzmożył się - pod powiekami wirowały mu białe i czerwone platy. Nawet noszenie hełmu było teraz małym zwycięstwem. Inni dawno już odrzucili swoje, traktując je jako zbędne obciążenie podczas panicznej ucieczki. Wstyd - tego uczucia prokonsul Krassus nikomu nie oszczędził.

-Równie dobrze możesz odpocząć, młodzieńcze... chciałem powiedzieć: panie - odezwał się Rufus. W jego głosie brzmiały rozpacz i zmęczenie.

Quintus posłusznie osunął się na ziemię, zakrywając dłońmi piekące oczy.

Po chwili jednak zawstydzil się. Nawet najmłodszy trybun, zawdzięczający swój miecz uporowi i szczęśliwemu przypadkowi, powinien dawać ludziom lepszy przykład. Niedaleko kłęczal jeden z chorążych. Wbił grubszy koniec drzewca Orla w błoto. Ptak z brązu, wysoko nad ich głowami, wyglądał na równie przygnębionego, jak mężczyzna, który go dzierzył. On jeden ocalał. Nie tak, jak inne. Orły Legionów Rzymu wpadły w ręce wroga. To było gorsze nawet od porzucenia

rannych. Orły, w co wierzyła większość z tych, którzy za nimi maszerowali, były duchem Legionów tak, jak "genius loci" był duchem miejsca.

Quintus wzdrygnął się, jakby dotarł do niego znajomy zapach lub głos. Lepiej nie myśleć o tej części przeszłości, chyba że chce się upodobnić do Azjatów opanowanych religijną ekstazą. Trudno uwierzyć, lecz pod wpływem swych religii byli w stanie okaleczyć siebie lub innych. Przeszedł go dreszcz; miał nadzieję, że to gorączka, a nie początek szalenstwa. Był Rzymianinem. Proroctwa i głosy duchów są dobre dla plebsu.

Przynajmniej ucichły bebnym, te przeklęte, dudniące bebnym zwycięskich Fartów Sureny. Quintus nie był żołnierzem, niczym nie przypominał centuriona Rufusa - wychowanego przez Legiony i przywiązanego do nich - ale te kilka lat, podczas których sprawował godność trybuna, sporo go nauczyło. Bebnym były złym znakiem: wszystkie znaki wrożyły zło, odkąd Markus Licinius Krassus poprowadził swoje siedem Legionów, wojska sprzymierzone i - niech ja bogowie przeklną - zadufana w sobie konnica na wschód od Eufratu.

"Czekajcie na kawalerię" - powiedział prokonsul Krassus. Tysiące dumnych jeźdźców z Galii, prowadzonych przez jego syna. "Czekajcie na nich." A potem dotrzymujcie im kroku, jeśli nie rozbola was płuca, nie udusi wzbity kurz, a część starszych żołnierzy nie zacznie utykać. No cóż, ci wszyscy jeźdźcy zostali wyróżnieni, a Publius Krassus wraz z nimi; reszta w panice uciekła.

Bogowie, po prostu chciał położyć się i umrzeć w zbroi, która zaczęła z wolna pokrywać się rdzą. Podczas tych bezwietrznych dni, przed swoją ostateczną zdradą, ten arabski pies Ariamnes szydził z rzymskiego kroku. Sam był konno, a wraz z nim sześć tysięcy jego wojowników, sojuszników Rzymian. Łasił się, niczym najędźniejszy klient, do ludzi, których potem zdradził. Bogowie! Quintus unosił głowę, próbując zobaczyć niebo. Szkoda, że nie był nad Tybrem, na ziemi nie należacej już do niego.

Zdążyli ochłonąć z pierwszej paniki. Rozpoznał to po afektowanym głosie tego pyszaka - Luciliusa.

-Sprawil to widok głowy jego syna, nabitej na włócznię. Prokonsul spojrzal na nia i krzyknal jak rodzaca kobieta - opowiadal Lucilius. - Rozplakal sie. Grozil, ze rzuci sie na miecz, choc reka mu drzala, niczym po trzydniowym pijanstwie. Nie wiem, w jaki sposob moglby utrzymac miecz wystarczajaco dlugo, by sie na niego nadziac.

Młody arystokrata gościł w namiocie Krassusa - Quintus nie został tam zaproszony - tej nocy, kiedy konsul musiał podjąć wreszcie jakąś decyzję - choćby o porzuceniu rannych i odwróceniu do Carrhae. Quintus powinien był się spodziewać, że Lucilius dołączy do innych patrycjuszów, tych którzy arbitralnie zdecydowali, czyje życie ma być oszczędzone, a czyje - poświęcone.

Teraz śmiał się swobodnie, zupełnie jakby wymieniał się plotkami w domowej łazni.

Drugi trybun Legionów nie kochał zbyt mocno Krassusa. Gospodarstwo będące od pokoleń własnością rodziny Quintusa konsul cisnął swemu klientowi niemal tak obojętnie, jak młody trybun mógłby rzucić monetę zebrakowi. Ponadto fakt, iż generał i prokonsul Rzymu zostawił swoich ludzi na polu bitwy, był aż nadto kompromitujący. Dobrze, że dziadek tego nie dożył. Starszerek umarł dwukrotnie: raz - gdy stracił gospodarstwo i po raz drugi, dwa lata temu, gdy powaliła go zraniona duma. To przyprawiloby go o trzecia śmierć.

Oczy Luciliusa błysnęły teraz zapalem gracją, namietnością, która zmusiła go do opuszczenia Syrii o jeden krok przed wierzycielami z których żył, odkąd wkroczył w wiek meski. Ucieczka z Carrhae była również rodzajem gry i jeden Lucilius żywił pewność, że może wygrać nawet teraz. Czemu nie? Czyż szczęście nie dopisywało mu do tej pory?

-Ktoz wiec teraz dowodzi?

-Kassius.

Prokonsul Krassus wyglądał na dowódcę zdolnego podtrzymać bojowego ducha swych ludzi. Teraz jego miejsce zajął oficer sztabowy. Quintus nigdy nie ufal szczeremu, mało mownemu, starszemu trybunowi, lecz w tej chwili podałoby za nim taką samą wiarę, jak jego dziadek poszedł za Mariusem - prosto ku unicestwieniu. Kassius był politykiem. Znany z przebiegłości, zrecznie omijał zasadzki rzymskich intryg i Quintus liczył na to, że poradzi sobie także i tutaj. Jeden z przyjaciół Luciliusa, ulizany i schludny nawet po klesce i godzinach spędzonych na mokradłach, wyszczerzył się w uśmiechu.

-"Pro di" - dodał Lucilius - prawie warto było przegrać bitwę, by ujrzeć hanbę tego starego skapca.

Mimo panujących ciemności, Quintus zauważył legionistów, odpędzających magicznymi znakami złe siły. Ich oczy były szeroko otwarte, jak oczy zamkniętych w stajni koni, które nagle wyczuły pożar. Nawet Rzymianie musieli liczyć się z

możliwością porażki, ale dowiedzieć się, że ich wódz stchorzył...

-Trzymaj swój gładki język za zębami - syknął Quintus. Lucilius miał moźnych przyjaciół, którzy mogliby zedrzc broje z jego grzbietu i zniweczyć wszelkie nadzieje na odzyskanie rodzinnej ziemi - o ile Partowie nie przeszyją ich wcześniej po trzykroć przekletemi strzałami.

-A oto i nasz "senex". Wszyscy będziemy kiedyś starzy i siwi - kpil młody arystokrata. - Jeśli tylko tak długo pozujemy.

Centurion odwrócił głowę i przeszył go spojrzeniem. Głos Luciliusa nagle przycichł. Zasmiał się jakos goraczkowo, nienaturalnie. Większość żołnierzy nie piła nic przez cały dzień. Quintus wiedział, że mimo klątw Rufusa, niektórzy ukradkiem chleptali gesta bagienną wodę. Zanim nastanie świt, na mokradłach pojawi się gorączka.

Za nim część młodszych trybunów grała w kosci. Nawet w Legionach Fortuna może się do kogoś usmiechnąć lub odwrócić, zależnie od celności rzutu. To była jedna z przyczyn kłopotów Luciliusa. Quintus nigdy nie miał pieniędzy, by grać. Pomyślał, że hazard po przegranej bitwie jest czymś niezręcznym. Gdyby jakiś sztabowiec Krassusa natknął się na nich, gracze szybko by tego pozalowali.

Lecz patrycjusze bez wątpienia byli jak zwykle uprzywilejowani. To właśnie Kassius i jego żołnierze najczęściej przebywali z prokonsulem, ciesząc się wszelkim komfortem, na jaki było jeszcze stac szcztatki rzymskiej armii. Rufus grzmiał, próbując rozlokować ludzi tak, aby jak najwygodniej mogli doczekać switu, kiedy beda musieli wyrwać się z tych bagien lub umrzeć. Quintus przyłapał się na powtarzaniu jego rozkazów; zauważył ze zdumieniem, że rozumie komendy centuriona, choć wciąż trwał jakby we śnie, pogrążony w zalewających go wspomnieniach.

-Dlaczego po nas nie przyjdą? - szepnął w ciemnościach młody legionista, po czym umilkł, usłyszawszy czyjs zduszony śmiech.

-Dlaczego mieliby to zrobić? Wszak uwieźli nas tutaj, czyż nie? Mogą po prostu czekać, wylapując nas pojedynczo, dopóki ich to nie znudzi i nie zachce im się polowania. Tak czy inaczej, poczekają do switu. Albo przyniosą warunki kapitulacji. Ale nie liczyłbym na to, synu. Chociaż, z drugiej strony, może potrzebują nowych niewolników...

Wśród straży podniósł się szmer. Rufus zwrócił ku nim wzrok i mężczyźni umilkli. Quintus również słyszał te głosy, milknące w obecności starego, doświadczonego weterana. Ledwie godziny temu słyszał ich, stojących w czworoboku, pod palącym, bezlitosnym niebem. Niektórzy mdleli z gorąca, braku jedzenia, wody i odpoczynku. Tego ostatniego było zbyt mało, by utrzymać słynny marszowy krok Legionów, zwłaszcza że Krassus, sprowokowany przez zdrajców, zarządził marsz w tempie kawalerii. Słyszał ich pełne nadziei szepty, gdy rozglądając się wokół, wciąż nie widzieli opancerzonych Partów.

Wówczas Surena dał znak. Na jego komendę bebnny i dzwonki z mosiadzu zagrzmiały, jak pole bitwy długie i szerokie. Księż Partów był wysoki i przystojny. Quintus musiał to przyznać. Miał wielkie oczy, pomalowane dla ochrony przed słońcem, które tutaj jasniało wręcz oslepiająco, nawet w maju.

Promienie słońca odbijały się od błyszczącej broni groźnych jeźdźców Sureny i migotały na cienkich, lśniących sztandarach, trzepoczących niby języki ognia. Helmy i napiersniki chwytaly refleksy światła, rzucając przez broje konnych łuczniczków. Większość wojowników była Partami. Swoim wyglądem nie przypominali jednak księcia. Byli niżsi, żółtoskorzy i krzywonodzy. Ich oczy zakrywały skosne fałdy skóry, usmiechali się do Rzymian niczym zarłok, napawający się widokiem biesiadnego stołu.

-Saraceni - usłyszal Quintus. Wyrabiali stal, której jakość doceniali nawet Rzymianie. A chorągwie?

-Ciekawe, ile ten materiał kosztowałby w Rzymie? - westchnął jakiś głupiec, mówiący z patrycjuszowskim akcentem.

-Wiecej, niż chciałbys zapłacić... panie - odrzekł chrapliwie centurion, nim zgłęb bebnów i dzwonek zagłuszył jego słowa.

Ku ich wiecznej chwale, żaden z legionistów nie zalał się. Stali twardo w czworoboku: każdy bok tworzyło dwanaście kohort, z Krassusem, jego ukochana kawaleria i ładunkami w środku. Quintus rzucił okiem na prokonsula. Pocił się - jak wszyscy wokół - a białka jego oczu były przekrwione. Zauważył, że Kassius machnął ręką w geście oburzenia.

-Nie wygląda to zbyt dobrze - mruknął stojący obok Quintusa mężczyzna - pewnie powiedział mu, że trzeba rozdzielić konnice. Powinnismy rozwinąć szyk, zamiast tak stac stłoczeni.

Trudno powiedzieć, kiedy rozpoczęła się bitwa. Początek był obiecujący. Ciężkozbrojni wojownicy Sureny ruszyli do przodu, lecz zostali powstrzymani przez Rzymian. Śmiertelny deszcz strzał padał na rzymskie "testudo", nie powodując

zadnych strat: schowani, niczym zółw w skorupie, czekali aż łucznicy opróżnią swe kołczany.

Gdy ulewa strzał przerzedziła się, Rzymianie zaczęli wiwatować. Rufus, przeklinając, wykrzykiwał rozkazy do "bucinatores", by zatrabili sygnał, lecz tych najszybciej dosięgnął ponowny atak - łucznicy mierzyli prosto w łśniący metal ich rogów. Kiedy padli, Rufus krzyknął, próbując przeformować szyk, kląć i błagać żołnierzy, by walczyli i umierali jak przystało Rzymianom. W końcu, bełny zagłuszyły jego głos i nadzieję. Łzy przemieszały się z potem na jego twarzy.

Po odwróceniu Rzymian bełny odezwały się ponownie, gdy Partowie, w akcie nienawistnego miłosierdzia, dobili rannych, pozostawionych na rozkaz Krassusa. Quintus zastanawiał się, czy kiedykolwiek zapomni ich krzyki i błagania o pomoc.

Próbował sobie przypomnieć, ile czasu minęło, odkąd mógł pozwolić sobie na ściągnięcie helmu, zanurzenie twarzy w płynącej wodzie i napięcie się do woli. Nie pamiętał. W manierce miał odrobinkę cennej wody, zaprawionej octową miksturą. Spragniony, ciągle spragniony, odkąd zostawili za sobą Eufrat i zapuscili się na pustynię tak inną niż jego rodzinna ziemia nad Tybrem. Jeden czy dwóch ludzi uciekło we wspomnienia i przewróciło się, niby we śnie. Rufus zabił żołnierza, który odmówił dalszego marszu i, skuliwszy się niczym noworodek, zaczął kwilić gardłowo.

-To lepsze niż zostawienie go tutaj, panie - mruknął, a potem splunął, przeklinając pustynię, która wdarła mu się do gardła.

Wspomnienia płynęły leniwie jak woda na mokradłach. Na pustyni Quintus marzył o wilgoci. Teraz miał jej aż nadto. Pot spływał pod brudną tunikę. Jeśli noc będzie zimna, może dostać gorączki i byłaby to prawdopodobnie najlepsza śmierć, jakiej mogłby oczekiwać. Może wreszcie odpocznie...

Podoficerowie mieli nadzieję, że rozbija oboz nad małym strumieniem Ballisur, lecz nawet tej łaski im odmówiono, dzięki synowi Krassusa, Publiusowi, i jego galijskim jeźdźcom. Popędzani tempem kawalerii; bez wody i jedzenia - oni: muly Rzymu, legionisci. Darem Marsa było, że nie padło ich więcej, by już nigdy się nie podnieść.

Choć może ten dar boga ucielesniony został w Rufusie, którego przekleństwa, plugawe i przerazające, wypowiedane spokojnym, opanowanym głosem płynęły ponad nimi, niczym bagienna woda wokół murów miasta, przynaglając do marszu. Drewniany miecz starego żołnierza, z którego lubił żartować w rzadkich przyływach dobrego nastroju, wskazywał kierunek - naprzód. Udawali, że wierzą w ocalenie, choć bardziej prawdopodobne było objęcie komendy nad "castra" przez dobrą Pierwszą Włocznie niż nagrodzenie gladiatora wolnością. O nich również lepiej nie myśleć. Niewolnictwo może być najlepszych losem, jaki ich spotka.

Quintus zamknął oczy. Życie gladiatora pod rządami Krassusa nie było miłosierdziem. Mimo swego młodego wieku, wciąż pamiętał, jak prokonsul brutalnie stłumił rewoltę Spartakusa. Wzdłuż dróg ciągnęły się krzyże, a powietrze pachniało śmiercią. Krassus, otoczony niepokonaną armią, mógł być bezlitosny. Jednakże Spartakus... gladiator, okrzyknięty renegatem, był postrachem Quintusowego dzieciństwa; tak jak teraz Surena, który będzie nawiedzał go do końca życia...

"Lecz nic - pomyślał - nic nie mogło być gorsze od tego, co przydarzyło się mojej rodzinie: ojciec zabity, a oni wyrzuceni z gospodarstwa, które było ich własnością, odkąd wygnano Tarkwiniuszów. I tylko ja - jedyny wnuk, który pozostał przy życiu, by odzyskać utracone mienie.

-Co to?

Zerwał się z miejsca. Pytania o rozkazy. Plany. Z własnej inicjatywy zarządził, aby ci, którzy mieli nadmiar żywności, podzielili się z tymi, którzy nie mieli jej wcale. Rufus przechwycił jego spojrzenie i pokiwał głową z aprobatą - wcale wsparcie od kogos, od kogo nigdy by się tego nie spodziewał.

Uklony, pozdrowienia i oczekiwanie na sprytnego patrona rodziny - to też pamiętał. Prezenty, oznaczające tygodniowe skąpe wyżywienie. Afronty, upomnienia, które omal nie zrujnowały jego nadziei na miejsce w Legionach. Jupiter Optimus Maximus wie, że nie chciał podać się za Orlem. Był rolnikiem, nie wojownikiem. Ale wydarto mu gospodarstwo i musiał zapracować, by je odzyskać.

Gdyby zamknął oczy i mógł nie słyszeć modlitw i przekleństw centuriona, odgłosy mokradel uczyniłyby go prawie szczęśliwym. Pamiętał słońce nad Tybrem i jego promienie, przeswiecające przez liście poskrecanych drzew oliwnych. Pamiętał kształt każdej grudy ziemi na drodze do jego ulubionego miejsca nad rzeką - polany wśród drzew. Ułożyłby się tam do snu lub obserwował błękitną mgiełkę, wypełniającą dolinę wraz z przemijającym popołudniem.

Pomruk głosów unosił się nad błotami wokół przeklętych murów Carrhae. W tych szeptach pobrzmiwała zdrada. Gdyby nie było miasta tak blisko, być może Krassus nabrałby odwagi, by pozwolić im umrzeć jak przystało Rzymianom. Mając otwartą drogę ucieczki, stary złodziej wybrał spryt, nie honor.

-Kupuje Legiony jak podczaszych - mruknął Rufus, zbyt wściekły, by być ostrożnym - i rozlewa je niczym ocet przed

tym... tym... Persem o niewiesticich oczach.

Pers, Part - dla Rufusa niewielka różnica. Surena czernił sobie powieki proszkiem dla ochrony przed blaskiem. Kto wie, gdyby mogli, ilu z nich zrobiłoby teraz to samo. Może mogliby użyć błota. Było go wokół wystarczająco dużo.

-Doprasza się śmierci takim gadaniem - szepnął Lucilius do jednego ze swych przyjaciół.

-Mała strata. Ale cicho! Obudzisz nasz Gliniany Garnek.

Quintus wiedział, że patrycjusz mówi o nim. Ale potrafił zachować spokój. Nie zrazaj do siebie nikogo, zwłaszcza patrycjusza, nawet takiego jak ten tutaj. To nie byłoby bezpieczne.

Dotyk czyjejs reki na ramieniu przywrócił go do rzeczywistości. Bol zeber ponad zranionym miejscem dodatkowo wzmożył jego czujność.

Centurion, mimo że co najmniej trzydziści lat dłużej niż Quintus dźwigał ciężar trudów rzymskiego legionisty, usłyszał podejrzany szelest. Quintus skinął głową na znak, że on również to usłyszał, zadowolony, że nie poderwał się ani nie krzyknął. "Dokonasz tego" - mówiły oczy Rufusa, przymrużone nawet teraz w ciemnościach. I była to wystarczająca nagroda.

Chwile później obydwoje dzwignęli się na kolana, chwytając za bronie. Straże wracały z obnażonymi mieczami. Bez rozkazu, za to... eskortując Fartow. Sądząc po krokach, wrogowie nie czuli się więźniami.

Quintus osunął się w wilgoc i błoto. Pomimo chłodu, który przenikał jego kości, zrobiło mu się nagle gorąco ze wstydu, że Partowie patrzą na Rzymian pokonanych, ale wciąż żywych.

Szli niczym księżęta. Lub oprawcy. Ich stroje lśniły ciemnym polyskiem zbutwiałego drewna. Jeden z nich obrócił się, by ogarnąć spojrzeniem całe mokrądlą.

Wcześniej Quintus widział go siedzącego na koniu, z długim, podobnym do języka ognia, sztandarem powiewającym nad głową i słonecznymi refleksami na luskach zbroi i konskiej uprzęży. Wtedy także spoglądał na swych wrogów, którzy upadli i przegrali.

Surena przybył raz jeszcze, aby popatrzeć na zwyciężonych.

Jedyne, czego brakowało, to dźwięków bebnów i dzwonków.

Zaden miecz nie opuścił pochwy. To mogła być dyscyplina. Bardziej jednak prawdopodobne, że skutek wyczerpania. Oczywiście, nazywano to "listem żelaznym".

Zaden Rzymianin nie był bezpieczny. Nie zwiększyło się prawdopodobieństwo przedłużenia czyjegokolwiek życia.

Rozdział drugi

Partowie przemaszewali obok Quintusa i jego ludzi niemal paradnym krokiem, podążając ku czołu kolumny, gdzie sztab Krassusa bez wątpliwości próbował ocalić choć pozory dostojności. Szelesty i niewyraźne głosy powiedziały Quintusowi, że oficerowie przekazywali dowództwo centurionom i gromadzili się wokół wodza, by służyć mu radą i pomocą. Quintus nie miał powodów, by przypuszczać, że on, wyrzutek, będzie lepiej widziany u boku prokonsula w godzinie klęski niż w czasach sukcesów. A ludzie...

Nawet sprzymierzeńcy przybliżyli się, szukając ochrony oficera Rzymu. Jakkolwiek by ona była. Persowie - to ich teraz łączyło. Jeźdźcy zostali zmuszeni do marszu, niczym muły Rzymu. Być może knuli zdradzie, lecz jak dotąd okazywali lojalność.

"Zapomnij o tym, że przewyższasz rangę centuriona" wbijano Quintusowi do głowy podczas szkolenia. - "Kiedy nie wiesz, co zrobić, zapomnij o swej paradnej zbroi i spytaj go, co powinienś uczynić."

Duma i honor umarły pod strzałami Sureny, ale nie dotyczyło to tamtych wskazówek. Odnalazł Rufusa i przykucnął koło niego. - Zaprosili Surene do środka - mruknął. Centurion wzruszył ramionami, po czym skierował kciuki ku ziemi.

- "Morituri te salutamus" - odrzekł i splunął. - Nie wygląda mi na to, że dostanę ten drewniany miecz, moje dwadzieścia akrow i muła. Cholera, muły łatwiej byłoby wyszkolić niż niektórych z tych chłopców.

-Ty także myślisz, że to kapitulacja - Quintus nawet nie zadal sobie trudu, by zabrzmiało to jak pytanie.

-Myśle, że naszego przewodnika kupiono taniej niż tyburtyńska dziwka - mruknął centurion. - Myśle też, że będziemy świadkami ubijania interesu.

-Uważasz, że zaoferują warunki? - spytał cicho Quintus. Rufus krótko skinął głową.

-Jeśli nie chcą widzieć nas martwych. Ale gdyby tak było, już dawno gryzlibyśmy ziemię. Prawdopodobnie pojdziemy pod niewolnicze jarzmo - splunął. - To lepsze od śmierci - dla nas wszystkich.

Z części obozu zajmowanej przez prokonsula rozległy się gniewne głosy. Krassus wzywał do siebie swych oficerów. Zgodnie z oczekiwaniami Quintusa, pominięto go. Już wyobrażał sobie Luciliusa, który mówi to, co zwykł był mawiać w takich razach: "Nie znaleźliśmy cie", tak jakby pozostanie z wojskiem było jakas ujmą na honorze, wykluczająca go z wewnętrznego kregu wtajemniczonych.

-Jak myślisz, co się dzieje?

Centurion skrzywił się.

-Widziałeś. Partowie zaoferowali warunki. Teraz dojdzie do całonocnych, wzniosłych rozmów o honorze. W końcu, Krassus wyrazi zgodę. Taka ma metodę.

Nie powiedział: prokonsul. Nie wymienił żadnego z długiej listy tytułów, którymi centurion powinien określać swojego przełożonego. Quintus spojrzał ostro.

-Wybacz, panie. Dziwne to słowa, jak na kogoś takiego jak ja. Lecz oni byłiby pierwsi, żeby ci to powiedzieć, panie. Nie mam honoru, jak...

Gwałtownie wskazał brodą w kierunku, z którego dochodziły odgłosy sporu.

-Chcesz usłyszeć o moim honorze, panie? Jest nim wszystko, co cie otacza. Ci ludzie - śpiący, rozmawiający lub... - Hej, ty tam! Ostrzegalem cie, żebyś nie pił. Dopóki patrz na mnie i są posłuszni - mam swój honor. Kiedy odejda, będę mógł pomyśleć o śmierci. Ale dopiero wtedy. A tymczasem - zaczekajmy.

Usiadł z ciężkim westchnieniem.

"Nigdy już nie zobaczysz swojego kraju. Przynajmniej nikt nie pozostanie po tobie samotny."

Skronie Quintusa pulsowały nowym cierpieniem. Zbyt dużo szeptów tej nocy. Zbyt dużo odgłosów bagien. Woda, zarosła i drzewa szemrały nad brzegiem Tybru, ale inaczej. Były również inne głosy, te, które mówiły do niego: "Odprez się", "Zyj".

Okrywała go jeszcze dziecięca "bulla", kiedy znalazł małą, brązową statuetkę, która mogła być nowa w dniach, gdy Tarkwiniusze rządili Lacjum. Nawet teraz miał ją ze sobą - figurkę o wygładzonej czasem twarzy pod spiczastą czapką, z krótkimi ramionami dzierżącymi pochodnię; jej stopy poruszały się w pełnym powagi nieskonczonym tańcu. Ciągłe pamiętał dotyk rozgrzanego metalu, kiedy wygrzebywał ją z ziemi i czyścił. W chwili później omal jej nie upuścił. Jakis sławiący jego imię głos sprawił, że zerwał się na równe nogi. Jednakże, gdy zaczął gorączkowo nasłuchiwać, usłyszał tylko szelest poszycia; słońce błyszczało na falującej wodzie.

Nie uciekł... nie całkiem. Wyrosła przed nim twarz dziadka: naznaczona determinacją, silna, pewna swych racji. Krzywo patrzyłby na chłopca, który nie panuje nad własnymi lekami. Zatrzymał więc statuetkę. I zmusił się, by powrócić w to miejsce następnego dnia, nie chciał uciekać przed czymś, co mogło być jedynie jego fantazją. Dziwne, lecz to wspomnienie podtrzymywało go na duchu podczas tych długich godzin w kurczącym się czworoboku, gdy Partowie atakowali, a ich sztandary zamieniały światło słońca w ogień.

Pamiętał swój strach i swoje nad nim zwycięstwo. Spośród sitowia i drzew przemówił do niego głos. To był "genius loci", duch miejsca, opiekun jego i ziemi, taki jak "lares" i "penates", którym dziadek i ojciec składali obfite dary. Głos był głęboki, senny, przypominający brzęczenie pszczoł nad ułem w upalny, letni dzień: mieszanina miodu, sily i odrobiny leku. To był głos kobiety - nie matki, siostry czy piastunki; głos, którego Quintus nigdy wcześniej nie słyszał, a który sprawiał, że pragnął być wyższy, silniejszy i mądrzejszy.

Oczywiście, trochę obawiał się tych niejasnych, magicznych przeczuć. Był Rzymianinem, który niezbyt ufal bogom. Ale nie bał się tego głosu - on był częścią jego duszy. Dziwna myśl - gdyby spytano go o to przedtem, zanim go usłyszał, przysięgłby na wszystkich twarogłowych rzymskich bogach, że nie dba o takie rzeczy.

Dzien po dniu, niczym kosztowny, grecki nauczyciel, ktorego rodzina nigdy by nie zaaprobowała, nawet gdyby bylo ich na to stac, "genius loci" uczyl go o krajach, o mezczyznach i kobietach - tych zywych i tych umarłych, przelewajacych dla niego krew i kochajacych go. Pewnego dnia wyciagnal swoj własny sztylet i zacial sie w palec, pozwalajac, by rowniez jego krew wsiakła w te glebe.

I wtedy ujrzal postac, odbijajaca sie w wodzie - ciemnowłosa, o ciemnomiodowej skorze, migoczaca na skraju pola widzenia tak, iz nie byl pewny, co tak naprawde zobaczył. Uniosl sie na fali miłości i zrozumienia. Przypominalo to sny, ktore zaczely go nawiedzac, gdy zblizil sie do wieku mlodzienczego. Niewazne: ziemia byla jego, a on ziemi; niezaleznie od tego, czy ja jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Teraz wygladalo na to, ze nie. Trudno. Nawet jesli pozostawi swoje kosci w Syrii, jakas jego czastka bedzie zyła wiecznie w trawach pod Rzymem.

-Bedzie z niego gospodarz - powiedzial z aprobata dziadek, podczas kolacji rownie skromnej, co posilki ich dzierzawcow. Groch. Troche salaty. Ser. Bardzo malo miesa. Ojciec wygladal na zadowolonego. Matka, jak przystalo na dobra zone, siedziala przegladajac welne.

Quintus wsunal reke pod tunike, by dotknac brazowej statuetki. Mial wrazenie, jakby rozgrzala sie od pochwały. Pomyslal wowczas, ze jego zycie własnie sie rozpoczyna. Tego wieczoru po raz pierwszy uslyszal imie: "Sulla". W nadchodzacych dniach mial slyszec je tak czesto, ze znienawidzil jego brzmienie. Zazwyczaj towarzyszylo mu imie: "Marius", wymawiane przez ojca z czcicia, prawie rowna tej z jaka zwracal sie do dziadka.

W dniach, ktore nadeszly, "bulla" Quintusa spoczela na domowym oltarzu. Mial pietnascie lat i "toga virilis" stala sie jego odzieniem. Razem z dziadkiem obserwowal wymarsz ojca. Starzec stal z godnoscia jastrzebia, lecz wygladal rownie staro, jak grobowce przy Via Appia, ktore mijali po drodze do Miasta Siedmiu Wzgorz. Nawet brazowa figuryнка, zastygła w swym starozytnym tancu, nie byla bardziej wyblakła. Dopiero szesc miesiecy pozniej przekonal sie, o ile jeszcze starzej moze wygladac jego dziadek. Zgrzebna tunika czlowieka, ktory zapukal do ich drzwi, okrywala cialo pokryte bliznami po nie leczonych ranach. "Nie byl to ktos, kogo chcialby goscic czlowiek honoru" - pomyslal Quintus, poki nie zobaczył starannosci, z ktora nieznanomy przekraczal prog uwazajac, zeby sie nie potknac i nie przyniesc nieszczęścia odwiedzanemu domowi.

Jednakze nawet gdyby to uczynil, nie sprowadzilby do ich domu wiekszej tragedii. Przybyl z wieścia o smierci ojca Quintusa.

-Czy to byla dobra smierc? - spytal dziadek.

Gosc przytaknal.

-Nadal wiec mam syna - rzekl starzec.

Quintus zacisnal dlon na figurce. Ta zatrzymala sie w tancu, a jedna z pochodni z brazu oparzyła go w reke, jakby naprawde plonela. Matka, uslyszawszy wiadomosc, tak mocno scisnela wrzeciono, ze krew kapnela na welne. Otworzyla usta do krzyku, lecz wzniesiona reka starca nakazala milczenie.

-Pozostaw zawodzenie wynajetych placzkom - nakazal. Byl "pater familias". Sluchano go.

Nikt nigdy nie powrocil na farme nad Tybrem. Nikt nigdy nie powroci spod Carrhae. Jego ojciec spoczywal bogowie tylko wiedza gdzie, zamiast lezec w przydrozonym grobie z wyrzezbionym rzymskim Orlem. Mowiono, ze zginął w powstaniu i byloby lepiej skrociec ceremonie pogrzebowe, a nawet zupełnie z nich zrezygnowac. Dziadek stal przy grobowcu w swej todze, ciemnej na znak zaloby, z odkryta twarza, choc mial jak kazdy na pogrzebie jedyne go syna prawo do jej osloniecia. Quintus, z koniecznosci, rowniez tak postapil. Walczyl z rozpacza, starajac sie przekonac sam siebie, ze te zmagania znacza dla niego tyle samo, co wojny pomiedzy Mariusem a Sulla, ktore ukradly mu ojca, a ojczyznie - pokoj.

"Jak dwa psy - myslal - jak kundle, walczace na ulicy o skradziony udziec tak dlugo, az zaleja sie krew, a mieso sie zepsuje."

Kiedy tylko mogl, uciekal nad rzeke. Glos, ktoremu nauczyl sie ufac, nuceniem lagodzil poniesiona przez niego strate, dodawal otuchy, gdy wracal do zimnego ogniska domowego i matki, ktorej zycie rozgorzalo goraczkowym plomieniem, niczym pochodnia tancerza, wcisnieta wkrotce w piach.

Nawet dziadek pomagal w opiece nad nia. Mimo to umarla, a ciemna, zalobna toga ciazyła Quintusowi, jakby byla utkana w olowiu, a nie z welny matki. Nawet golebie nad Tybrem oplakiwaly ja swym gruchaniem.

-Była dobra, zapobiegliwa kobieta - powiedział dziadek. - Wciąż mam syna, mojego syna. - I ziemię - dodał.

Matka Quintusa służyła mu dobrze i kochała jego syna, lecz starzec jej nie oplakiwał. Jedyną słabością, jaką okazał, było pochowanie Decii, która tak mocno była przywiązana do swojego meza, że nie mogła bez niego żyć, między drzewkami oliwnymi na ich farmie, zamiast w rodzinnym grobowcu. "Może słyszy gołębicę i głosy" - pomyślał Quintus. Przynajmniej z tego mógł czerpać jakąś pociechę.

Dzień później nadeszły rozkazy: zostali wyrzuceni z gospodarstwa.

-Chodź ze mną - Quintus błagał cię mającący w wodzie.

-Nie mogę.

-Odzyskam te ziemie - poprzysiągł.

-Cokolwiek się zdarzy, zobaczysz mnie znowu.

Sprzedali klejnoty matki, które powinny zostać własnością przyszłej żony Quintusa. Wynajeli mieszkanie w jednej z "insulae" w samym Miście. Dziadek postanowił przedstawić ich sprawę w Senacie i prosić o wstawiennictwo najpotężniejszych patrycjuszów.

Rola klienta dla kogoś takiego jak on - to jakby prosić urwisko o rozsypanie się, albo kazać staremu orłowi zgiąć kark. Quintus wiedział, że wedrowki między "insula" a domem ich patrona skróciły dziadkowi życie w tym samym stopniu, co gorączka. "Trudniej było być pochlebca - pomyślał Quintus - niż przegrać pod Carrhae."

Z każdym ukłonem, z każdą oddaloną petycją nabierał doświadczenia. Ich rodzina nie potrafiła toczyć takiej walki. Nigdy więcej nie zobaczą gospodarstwa.

Miał wrażenie, że starzec również zdaje sobie z tego sprawę.

Mimo to, nigdy nie wypowiedział tej myśli na głos.

W końcu śmierć zabrała dziadka. Zdażył jeszcze pomyśleć o przyszłości wnuka - pomógł mu uzyskać stanowisko trybuna w służbie Krassusa. Może bardziej giętki grzbiet Quintusa pozwoli osiągnąć to, czego on nie zdołał - powrót do łask i do ich starego domu. Jeśli nie, była to honorowa służba lub równie honorowa śmierć.

Rozbrzmiały okrzyki, przetaczając się echem po mokradłach, niczym dramatyczny monolog greckiego aktora. Głosy podszyte gniewem, zniekształcone paniką.

Quintus błyskawicznie obrzucił wzrokiem swój niedźny oddział. Żołnierze siedzieli z głowami wcisniętymi między kolana. Mimo ciemności widział szkliste, nieobecne spojrzenia ludzi bliskich zamienienia się w dzieci uciekające przed groźnym i nieznanym światem.

Rufus napotkał jego wzrok i wzruszył ramionami. Jego ręka opadła na miecz. Gdyby żołnierze nie mogli, bądź nie chcieli wyruszyć, jak zawsze dosięgnie ich jego ostrze.

Quintus nie mógłby na to pozwolić. Poza tym mógł coś zrobić - zebrać informacje i wykorzystać je tak, by choć trochę przedłużyć życie swoim ludziom.

Oderwał się od centuriona i powłokł naprzód, przy każdym kroku wyciągając z błota ciężkie buty, ocierające mu obolałe stopy. Rozwazał myśl pozbycia się ich, lecz porzucił ją po chwili.

Uczestnicy tej narady zapewne przywitają go tak samo nieprzychylnie, jak zazwyczaj. Lucilius uniesie lekceważąco brwi. Ktoś inny pociągnie nosem, jakby wyczuwając gnój, wnoszony na salę posiedzeń Senatu. Krassus wykrzywi twarz w niechętnym grymasie.

Zdumiewające, jak bliskość śmierci pomniejsza znaczenie takich gestów.

Nie wytyczono "Via Principalis", nie rozbito też porządnego obozowiska. Quintus zastanawiał się, czy Krassus widział kiedykolwiek potrzebę takich działań, nawet wtedy, gdy był zwycięzca. Ktoś podjął bez przekonania próbę ustawienia namiotu prokonsula. Wykrzywiony opierał się teraz o jakiś krzak i na wpol zatopione drzewo, zdając się chybotać przy każdym głośniejszym okrzyku zasiadających w środku dowódców. Nawet Orzeł, pozostawiony na straży, wydawał się zwieszac skrzydła ze wstydu.

Jedno przekonywano Quintusa, by zbliżyć się do prokonsula, otoczonego przez patrycjuszy, których spojrzenia przypominały mu czasy, gdy płaszczył się jako klient na Palatynie. Uważał mianowicie, że cała ta nikczemność i hanba była w takim samym stopniu "Rzymem" czy "prokonsulem", jak bezimienny grubas, tarzający się w upojeniu w alei miasta, był Pontifexem Maximusem.

Wszyscy przecież kiedyś umrą. Byłby zgubiony, gdyby teraz dostrzegł obludę arystokracji, w tej ostatniej godzinie śmierci. Prostując ramiona, jak przystało trybunowi, odgarnął pole żalostnego namiotu, wyprzedził się w salucie...

...I zajrzał wprost w czeluści Hadesu.

Na polu bitwy pod Carrhae wydawało mu się, że jest świadkiem "nefas" - niewysłowionego, niezrozumiałego zła: ucieczka Rzymian była wręcz bezbożna. "Nefas" nie oznaczało po prostu masakry - tak można było określić wcześniejszą kampanię Krassusa przeciwko Spartakusowi i oczekiwać boskiej kary.

Ale ta... ta zdrada!

Surena stał spokojnie, podczas gdy jeden z jego ludzi - choć Quintus gotów był założyć się o ziemię, której już nie miał, że książę sam mógłby to powiedzieć doskonałą łaciną - kończył tłumaczyć słowa swego władcy:

-...I oferuję wam rozejm i przyjazn w imieniu Orodesa, Wielkiego Króla...

Ze strony zgromadzonych oficerów rozległy się uragilne okrzyki, zagłuszające kolejne partyjskie tytuły.

-...w zamian za złożenie broni.

Krassus zerwał się na równe nogi. Miał sześćdziesiąt lat i wszystko, co najlepsze: jedzenie, wino, ochronę. Czemuz więc nie miałby się prezentować jak dobrze zakonserwowana, stara mumia? Teraz smutek i - Quintus musiał to przyznać - strach sprawiły, że wyglądał starzej o całe lata od dziadka Quintusa, gdy ten leżał na łożu śmierci. Pochodnia przygasła, po czym rozbłysła, odsłaniając każdy szczegół twarzy prokonsula. Czerwone niczym płomień lucywa oblicze wykrzywił grymas wściekłości. Na skroniach dowodcy, pod przeredzonymi, zmierzwiwionymi włosami, widac było pulsujące żyły.

"Gdyby teraz umarł, moglibyśmy uciec i ocaleć" - pomyślał Quintus, lecz po chwili zganiał się za te myśli.

Światło pochodni uwydatniło ostre rysy twarzy Luciliusa, wpatzonego w swego wodza; wysoki Part obserwował go również - mógłby tak patrzeć na starego psa, brudzącego podłogę. Poskromić go czy zaczekać? Pytanie to zdawało się igrac w pełnych pogardy oczach Sureny.

-Poddac się? - zapytał Krassus.

-Powiedzmy raczej, że wrócicie do siebie, złożąwszy najpierw odpowiednią przysięgę mojemu królowi. - Słowa Sureny były gładkie jak jego sztandary i równie zabożne. Przesliznął się spojrzeniem po Vargontiusie i znieruchomiał: milczące wyrażenie szacunku dla dwudziestu Rzymian dowodzonych przez niego - pozostałość czterech kohort - którzy próbowali przebić się przez szeregi Partów do swych towarzyszy. Surena rozkazał nawet rozstąpić się swoim żołnierzom - gdy ta dwudziestka dowiekła się do Carrhae.

-Przedziej zobaczę was w Hadesie! - krzyknął Krassus - i sam się tam udam.

-To daloby się zrobić - zauważył Kassius, nie podnosząc głosu. Tam, na zewnątrz wskazał gestem - ludzie są rozszarpani. Chyba nie spodobało im się porzucenie rannych na pastwę naszych "przyjaciół".

Zbuntowany Legion - "nefas", tego Quintus nie mógł sobie wyobrazić. Choć przecież wiedział, jakie są nastroje żołnierzy, jak bardzo są bliscy, by zwrócić się przeciwko dowodcom. "Dezercja jest lepsza od buntu" - pomyślał i odwrócił się, by odejść do swoich towarzyszy. Może udaloby się im umknąć z bagien - ale po co? By uciec na pustynie? Nawet dla odpowiednio wyekwipowanego Legionu byłaby to ciężka próba. A mówią, że śmierć z pragnienia to bardzo meczący sposób pozegnania się z życiem.

Równie bolesna jak krzyż?

Mógł nie mieć wyboru.

Pochodnia znowu zatrzeszczała, rzucając światło na twarz Luciliusa, która wyglądała teraz jak plaskorzeźba. Ten wyciągnął głowę do przodu z przejęciem kundla, obserwującego dwa większe psy walczące o przywództwo w stadzie. Gdy tylko zobaczy, na czyją stronę przechyliła się szala zwycięstwa, skoczy i rozerwie sięgną przegrywającego. Wzrok

Luciliusa przeniosł się z Krassusa na oficera, potem na Surene, i znowu na Rzymian. Skinal na człowieka, pochylonego nad jego ramieniem, kompana w grze w kosci, i mężczyzna podniósł się. Quintus cofnął się do wejścia namiotu, lecz tamten przeczołgał się pod zabrudzonym materiałem.

Czyżby zamierzał powiedzieć o tym innym? Rufus obliczył, że przeżyło około dziesięciu tysięcy Rzymian. Część mogła umrzeć od ran lub gorączki. Nawet gdyby tak się stało, to powinno ich zostać wystarczająco dużo, by stoczyć ostatnią, krwawą walkę. Taka bitwa rozniosłaby pilnujących ich Partów. Quintus pomyślał, że mogłoby umrzeć szczęśliwy, gdyby tylko mógł zmyć krew z twarzy, czając się w oczach Sureny.

Wokół namiotu zaczął narastać gwar. Surena nieznacznie unosił długą brew.

Kassius pochylał się do przodu, opierając pięści na stole. Stół zachwiał się i gęste, nie rozcieńczone wino rozlało się na udeptane błoto. Tak zabarwione, wyglądało jak ziemia wokół Carrhae, gdzie poległo dwadzieścia tysięcy Rzymian.

-Powiedziałem, że przyjmujemy warunki. Senat jest daleko stąd. Cezar także. Nie mamy wyboru.

-A ja mówię, że prędzej zobaczę was w Hadesie! - ryknął Krassus. - Zdrajca! Syn zdrajcy i ładaczniczy!

-Na wszystkich bogów, nie zdzierze takich słów z ust tchorza! - odrzyknął oficer. - Ty i twój syn zgubiliście nas wszystkich!

Krassus ze zdumiewającą siłą odepchnął młodszego mężczyznę i wybiegł z namiotu. Jego sztab podążył za nim, by rozbiec się w kilku kierunkach. Quintus domyślał się, że część z nich zniknie, by już nie powrócić.

Inni otoczyli prokonsula, krzycząc i wymachując pięściami. Jeden czy dwóch uczyniło ruch, jakby wyciągali miecze i ruszali na Partów, ale Surena potrząsnął głową, więc cofnęli się szybko.

Daleko z przodu prokonsul ustąpił wreszcie przed gniewem swoich ludzi.

-Musimy mieć jakąś szansę! - jęczał jeden z sojuszników. Ktoś walnął go pięścią i rozgorzała bójka. Ucieczka połowy walczących zakończyła starcie.

-Bogowie sprawcie, by potoneli - mruknął Rufus. Wymówki i przekleństwa. Quintus cofnął się, gdy centurion, zawsze spokojny i opanowany, po prostu rozchylił tunikę, pokazując swojemu dowódcy stare, zabliznione rany. Nie błagał: chciał uwierzyć w szansę przeżycia reszty swego żywota.

Oczy Krassusa spoczęły na Vargontiusie, tak cenionym przez Surene, prosząc o jakiś cud. Weteran w milczeniu pokazał mu plecy.

Quintus usłyszał odgłosy bijatyki, szczek dobieganego oreza i krzyk Rufusa, wybijający się ponad tumult:

-Wypruje flaki każdemu, kto choć kiwnie palcem! Stac! Bodajbyscie pognili, nie pozwólcie Orłowi upaść w błoto.

Takie rozluźnienie dyscypliny nie zdarzało się często. Dzięki Luciliusowi i jego przyjaciółom informacje o warunkach Partów rozprzestrzeniły się wśród legionistów jak płonąca nafta. Jeśli Krassus ich nie przyjmie, będzie trupem.

A jeśli je przyjmie?

Quintus wiedział, co powiedziałby jego dziadek: "Powinien był rzucić się na swój miecz, zanim jego oczy ujrzały taki dzień".

Prokonsul rozejrzył się wokół w poszukiwaniu czegoś, co odwróciłoby od niego uwagę.

-Ty - warknął na przewodnika, który wyprowadził ich nocą z Carrhae i powiodł na bagna. - To ty sprowadziłeś nas na manowce. Zapłacisz mi za to!

Quintus nigdy nie wpadłby na głupszy pomysł. Podstęp, zwykły chwyt: przewodnik nie bardziej był na usługach Partów, niż zoltoskorzy barbarzyńcy ostrzeliwujący Rzymian, gdy ci stali w słońcu, bez odpoczynku, bez wody, czekający już tylko na śmierć. Jak ktokolwiek mógł choć przez chwilę myśleć inaczej! Który z Azjatów pomógłby Rzymianom? Rzymianie byli po to, żeby ich najpierw podejść, a potem zdradzić. Wiedział o tym doskonale. Mogł ich ostrzec, lecz kto wysłuchałby zwykłego ekwity, kiedy patrycjusz, poczawszy od niezwykłego już syna Krassusa, a skończywszy na pospolitych oportunistach, nachylał się nad ramieniem prokonsula, gotówi powiedzieć mu wszystko, co pragnął usłyszeć?

Przewodnik skulił się, po czym zatoczył od ciosu upierscienionej reki. Krew trysnęła mu z ust i nosa. Po chwili wyprostował się i splunął.

Nagle, pomiędzy przewodnikiem a tłuszczą, tworzącą kiedyś najdumniejsze Legiony Rzymu, pojawił się Rufus. Za nim stał chorazy, unosząc w górę Orła, Isniacego dumnym blaskiem. Na oczach Quintusa ów blask jaśniał coraz żywiej i po chwili, gdy mężczyzna z okrzykiem wściekłości wyciągnął sztylet, by zatopić go w ciele zdradzieckiego przewodnika, nastąpił wybuch.

Kiedy czerwone smugi i czarne plamy zniknęły, Quintus zobaczył leżące na ziemi człowieka, sciskającego poparzoną rękę. Przewodnik padł twarzą w wodę, wokół unosił się zapach spalonego mięsa, zmieszany ze swadem osmalonych, mokrych roślin.

Dziwne. Mogło się wydawać, że jego ciało powinno upaść z większym pluskiem. Unosił się z twarzą w wodzie. Quintus wyobrażał sobie wytrzeszczone oczy i krew, sącząca się ze zdradzieckich ust. Wszyscy ludzie Wschodu byli podstępni.

-Zadna strata - ktoś wymamrotał. - Harpie wyplują jego wątrobę.

Quintus ruszył do przodu, mgliscie zdając sobie sprawę z tego, że trup powinien zostać przysypany ziemią, a usta przykryte monetą.

-Niech zgnije - dobiegły go mściwe szepty.

To było bezbożne. Zapłaca za to.

Krassus wskazał gestem dłoni: "Na zewnątrz. Tedy". Surena i jego ludzie wyszli z namiotu i stanęli na czele obszarpanej i przygnębionej kolumny, opuszczającej mokradła z jeszcze mocniej nadszarpniętym honorem niż wtedy, gdy na nie wkraczali.

A za Fartami zamykającymi pochod podążał zmatowiały Orzeł Legionu Quintusa.

Rozdział trzeci

Słońce stało wysoko na niebie Azji, kiedy resztki wspaniałej armii Krassusa dotarły w końcu do obozowiska Sureny. Mała grupa Fartów pojechała przodem, "żeby przygotować powitanie".-"Morituri te..." My, którzy idziemy na śmierć...

-Cicho tam! - krzyknął centurion, zanim któryś z Fartów zdążył wymusić ciszę siłą. Strażników było niewielu. Możliwe, że Rzymianie mogliby uciec. Ale Parto wie mieli luki, a woła walki została zabita już dawno. Surena obiecał rozejm.

Quintus zmusił się, by na plac przed namiotem księcia nie wkroczyć chwiejąc się na nogach. Katem oka ujrzał chorazego, dumnie wznoszącego Orła, jak gdyby sama obecność symbolu Legionów mogła zamienić ten oboz w zdobyczą Rzymian. "Pamiętaj: jesteś Rzymianinem" powtarzał sobie, stawiając krok po kroku. Jego rynsztunek ciążył mu, jakby dźwigał na plecach cały Rzym. Krassusowi i części starszych oficerów podarowano wierzchowce; dosiadali ich nieporadnie - zmęczeni i nieprzyzwyczajeni do ogierów z Partii i Persji, wywołując wokół ironiczne uśmiešky. Quintus zauważył, że również Lucilius zdobył jakos konia i jechał teraz na nim z gracją i elegancją. Ich świat się kończył, a on wyglądał, jakby był na konnej przejażdżce.

"Pamiętaj, jesteś Rzymianinem."

Partowie wciąż ich obserwowali... Na ich ocienionych hełmami twarzach można było zobaczyć chytre uśmiechy i długie, rzucane z ukosa spojrzenia.

"Pamiętaj, jesteś śmiertelny."

Pamięć o tym była teraz stałym towarzyszem, nawet jeśli Krassus wciąż marzył o triumfalnym powrocie do Rzymu, obaleniu Cezara (który przynigdy nie dopuściłby do takiej klęski) i mianowaniu się Sulla, nigdy nie rezygnującym z władzy. Z potężnej armii, która wyruszyła z Armenii - dwudziestu osmiu tysięcy legionistów, trzech tysięcy jeźdźców z azjatyckich oddziałów posiłkowych i stu galijskich konnych przeżyło niespełna dziesięć tysięcy Rzymian.

Jako jency.

Przed wejściem do obozu, strażnicy zaszadali, by oddali bron. Było ich więcej niż Rzymian.

-Gdzie jarzmo? - mruknął Rufus, maszerujący ze swoimi ludźmi. Quintus gotów był postawić całą swoją pensję, której i

tak już nigdy nie zobaczy, że większość żołnierzy poukrywała jakieś sztylety, a nawet "gladi". Wcześniej zezwolił na opuszczenie szeregu krępkim mężczyznom, taszczącym rannych, czy wyczerpanych długotrwałym wysiłkiem lub gorączką towarzyszy.

To był rzymski zwyczaj, by prowadzić jenców zakutych w jarzmo, z karkami zgietymi na znak poddaństwa.

- "Vae victis" - zamruczał Quintus. Biada pokonanym. Zdarzało się to już Rzymianom wcześniej, lecz wciąż było hanbą.

Pierwsze promienie słońca padły na bezkresną równinę, zamieniając jej żółtawy kolor na czerwień, jakby promienie były strzałami, godzącymi w ziemię. Zbroje i bron jasniały coraz bardziej, w miarę jak światło potęgowało się w oczekiwaniu switu. Roziskrzyły się okucia bebnów i mosiężne dzwonki, które dzwieczyły, gdy Rzymianie maszerowali ku niewolniczej hanbie. Tylko Orzeł Legionu nie błyszczał.

Przed olbrzymim namiotem księcia żołnierze wyprostowali się - dumni Partowie, ich perscy sojusznicy (wśród nich również i ci, którzy wcześniej jedli rzymski chleb), wysocy Saka - mistrzowie koni i - najdziwniejsi z nich wszystkich - Yueh-chih: żółtoskorzy, skosnoocy i krzywonodzy. Mieli dziwne metody walki, ale uwagę Quintusa, gdy patrzył na nich na polu bitwy, przyciągnęło zupełnie coś innego.

Byli tam nawet przedstawiciele miasta Carrhae oraz kilku zamożnych kupców, z brzuchami opiętymi długimi, kosztownymi szatami, co w porównaniu z tymi, którzy zniszczyli największą armię Rzymu, nadawało im wygląd sflaczalych i słabych. W ich oczach malowała się zachłanność: przebiegłe, starożytne oczy Lewantu, żadne zysku i pełne nadziei, że klęska Rzymu oznacza koniec rzymskich podatków.

Wszyscy obserwowali żalosne resztki tego, co kiedyś stanowiło najpotężniejszą armię. "Rzymianie pobici, a to znaczy, że są tacy jak inni. Czy sprawdza się jako niewolnicy?"

Książęta mają armie; kupcy - inna siła. Quintus miał wrażenie, że patrząc na pokonanych Rzymian, oceniają ich talenty i umiejętności. Rozważają, jak można wykorzystać silnych i posłusznych, a jak pozbyć się niepewnych, niepotrzebnych, czy po prostu niebezpiecznych.

Quintus spostrzegł, że wraz z chorazym on i jego żołnierze są delikatnie przesuwani w kierunku czoła kolumny, z dala od pozostałej części kohorty, utrzymywanej w całości przez

Rufusa. Ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że z zadowoleniem przyjąłby rozkaz: "na kolana!" - teraz oznaczałby odpoczynek, nie poniżenie. Pomyslał, że nawet Rufus byłby wdzięczny za taką komendę, gdyby tylko pozwoliła odetchnąć jego synom-legionistom. Czekal tam, rozbrojony, drżący lekko na porannym wietrze. Szkarłatne, jedwabne sztandary fartów łopotwały, a wschodzące słońce złociło szarawą równinę.

Choć ten krajobraz nie przypominał doliny błękitnej rzeki jego ojczyzny, był jednak piękny. Czy wybrałby te krainy na miejsce śmierci? Zdał sobie sprawę, że wolałby czworobok jego żołnierzy. Jeszcze lepsza byłaby farma, ze swoją rzeką i żalobnym głosem ducha, przemawiającego do jego serca i umysłu. A najlepiej byłoby żyć dalej, w zdrowiu i honorze. Ponieważ nie wydawało się to możliwe, Quintus próbował sobie wmówić, że niczego nie żałuje. Pomyslał, że mógłby uwierzyć, iż roztanczone stopy jego amuletu będą tancerzyc jeszcze długo po tym, jak on wyda ostatnie tchnienie. Był przecież nieśmiertelny, rzucił wyzwanie samemu czasowi.

Krassus siedział na koniu przed swoją armią, ludząc się, że wciąż jest generałem dowódcą, a nie suplikantem, przyjmującym każde warunki, które Surena uzna za właściwe. Wówczas z książęcego namiotu wyrzucił oficer i skinał dłoń. Krassus chwiejąc się próbował zsiść z konia. Jego twarz wykrzywił grymas.

Kassius błyskawicznie zszedł z siodła i znalazł u boku prokonsula, pomagając mu i wspierając pomocnym ramieniem, gdy znikali w środku namiotu. Słońce uderzyło w płachtę, zasłaniającą wejście. Inni oficerowie podążyli za nimi. Lucilius zamykał pochód. Jego oczy błyszczały, jakby wstał właśnie od stołu po całodziennej grze w kosci.

Może tak było. Wszyscy grali. Różnica polegała na tym, że Lucilius nie miał wątpliwości, iż wstanie od gry z pełnymi garściami monet.

Przejeżdżający obok ciężkozbrojny tracił Quintusa w ramie. Nie oburzył się; wiedział przecież, jak szybko Partowie potrafią nalożyć strzały na cieciwę i wypuścić ją, gdy tylko tego chcą. Nosił oficerskie insygnia - musiał wejść do namiotu.

Spojrzał Rufusowi w oczy. Te zweziły się i stary wojak zacisnął usta, życząc mu bezgłośnie powodzenia.

Potem wkroczył w ciemną otchlan namiotu Sureny.

Powietrze było gęste od zapachów ludzi: potu, skóry, zbroi i perfum, używanych przez mieszkańców Wschodu nawet przed bitwą. Zbyt dużo osób tłoczyło się w olbrzymim namiocie. Jako jeden z ostatnich i najmniej ważnych, Quintus znalazł się przy samej ścianie, nie pilnowany przez nikogo. Jedno ciecie noza i przynajmniej kilku Rzymian miałyby szansę na odzyskanie wolności.

Pomimo blasku świtu pochodnie wciąż płonęły, zmuszając go do mruczenia oczu. Musiało minąć trochę czasu, by mógł przyzwycząć się do gry światła i cienia w namiocie księcia. Płomień pochodni tańczył, tworząc migotliwą, zwodniczą mozaikę, w której cząsteczki w mgnieniu oka zmieniały się i zdradzały nawzajem. Surena i jego ludzie. Przedstawiciele sześciu innych wielkich rodzin partyjskich; prawdopodobnie nawet jakiś szpieg Pacorusa, przekleśniętego syna króla. Arabowie z Edessy, bez wątpliwości słudzy Ariamnesa i Alchaudoniusa - wodzów, którzy wycofali swoje sześć tysięcy jeźdźców.

Armenci wodzowie zasiadali jako świadkowie, mimo iż Orodes z Partii poprowadził połowę armii do Armenii, aby ukarać Artavasdosa za przysłanie wojowników Krassusowi.

Ich król z całą pewnością przygotował się również, by zmienić sojuszników. W centrum grupy wrogów Rzymu stały puste ozdobne krzesła. Nie pojawili się jeszcze ci, którzy na nich zasiadali.

Krassus stał przed ludźmi, którzy doprowadzili do jego upadku. Chociaż wciąż nosił wyblakłą zbroję i miecz, wyglądał teraz jak stary, schorowany człowiek, który stracił syna. Stał, niczym Priam w namiocie Achillesa, odarty ze swej dumy. Kassius trzymał się z dala od niego i Krassus unosił brode. Ten gest wymagał wysiłku i Quintus to docenił.

Achilles podniósł Priama, poczęstował go jedzeniem i winem - honorowo i miłosiernie. Tutejsi książęta zwlekali nawet z zaproponowaniem prokonsulowi krzesła. To, które mu w końcu przyniesli, było tak niskie, że musiał podnosić wzrok, by spojrzeć w oczy Zwycięzców. Kassius stał sztywno za jego plecami.

Quintus zastanawiał się, czy Lucilius wciąż jeszcze stawiał na Krassusa.

Surena wybrał te właśnie chwile, by zająć swoje miejsce. Jakby dla podkreślenia pogardy dla przeciwników, znalazł czas na kąpiel i przebranie się w świeże szaty. Jasniał teraz oslepiającym blaskiem mieniących się tkanin, przywiezionych z tutaj z Krainy Złota - część nieprzebranego bogactwa, które Krassus miał nadzieję zdobyć, ruszając na podbój tych ziem.

Prokonsul, gdy tylko usiadł, już musiał wstać, by uczynić gest holdu. Przeszył wzrokiem strażników, które syknęły na niego, ale się podporządkował. Wraz z partyjskim generałem przybyli oficerowie - ludzie z Saka i Yueh-chih.

Ten poranek był kolejną hanbą Rzymian. Quintus wysłuchiwał warunków "rozejmu" i "przyjazni", obiecanych im poprzedniej nocy na bagnach. Mogł się nawet cieszyć. Dla niego i jego rodziny przyszła sprawiedliwość. To była zemsta za śmierć tych, których smród rozkładających się ciał zanieczyścił szerokie drogi pod Rzymem.

To była hanba, nie rozejm.

-Równie dobrze moglibyście zdziesiątkować tych, którzy jeszcze pozostali - rzucił któryś z oficerów. Kassius syknął na niego, a wyraz jego twarzy sugerował, że uderzyłby go, gdyby był bliżej.

-To też jest możliwe - mruknął Surena. - Decyzja należy do was.

Prokonsul zeszywniał. Przez chwilę wyglądało, że zerwie się z krzesła, ale ręce oficera sztabowego opadły na jego ramiona. Wybor był jasny - kapitulacja lub śmierć.

Krassus zdjął hełm. Pot przykleił mu przeredzone włosy do czaszki. Potrząsnął głową.

-Decyzja została podjęta. Chcemy pokoju.

-Tak to określasz? Gdy twoi ludzie, twój syn, leżą martwi? Pokojem? Nazwalibyśmy to inaczej...

Quintus wzdrygnął się. Całym sobą wyczuwał płomienną nienawiść przebywających w namiocie Rzymian. Partowie mogli przekazywać treść tej rozmowy pozostałym na zewnątrz legionistom: Azjaci uwielbiali puszczać się i przechwalać. Napiał mięśnie, czekając na pierwszego, który ruszy do przodu. Drobną statuetką na jego piersi rozgrzała się, jakby nagle zapłonęły przechowywane przez stulecia pochodnie w jej dłoniach.

Dobiegł ich nagle hałas, który postawił na nogi wszystkich Rzymian. Partowie, Saka i Persowie, bardziej opanowani, nie ruszyli się zza stołu. Yueh-chih sięgnęli po bron, lecz uspokoili się pod spojrzeniem dowódcy.

Wojownicy, których Quintus nigdy przedtem nie widział, wkroczyli do namiotu księcia, prowadzeni przez mezczyzne zbyt młodego, by mógł być generałem, lecz zachowującego dumna postawę, dająca do zrozumienia, że ma prawo zająć miejsce co najmniej równe tym, którzy z taką pewnością i swobodą osadzają teraz Rzymian. Nosił luskową zbroję (podobnie jak jego wojownicy), pikowany strój i wysokie buty, przystosowane do jazdy wierzchem. Był zwalisty, wręcz kwadratowy i choć miał skosne oczy, jak Yueh-chih, jego nogi nie były krzywe. Mimo pory roku, miał narzucone na zbroję futro lamparta, jakby upał nic dla niego nie znaczył. Najdziwniejszą zaś była jego skóra - w kolorze złota.

Siadając z dala od Yueh-chih, który pomrukując ustąpił mu miejsca, znalazł się w pobliżu Sureny, zachowując wciąż wyniosłe i dumne spojrzenie kogoś, kto z mocy prawa zasiada na tronie.

Quintus uswiadomił sobie, że przybysz wygląda naprawdę jak wojownik z Krainy Złota. Szczególnie zadni bogactw powiadali, że kraina ta jest tak szczodra, iż złoty pył wrosł w skórę jej mieszkańców. Tej legendzie uwierzyło wystarczająco wielu, by mogła przywiesić ich tutaj - na śmierć. Słyszał plotki, że Partia płaciła temu krajowi trybut w zamian za handel. Kiedyś trudno mu było w to uwierzyć. Teraz, widząc cesarską postawę tego mezczyzny, zbyt młodego, by mógł cieszyć się rangą równą Surenie, Quintus zaczął się zastanawiać. Wspaniałe byłoby kontrolować dostęp do takiej krainy - była to wystarczająco silna pokusa, by uczynić upadek Rzymu nawet bardziej pożądanym, niż mogłaby to sprawić tylko nienawiść.

Quintus patrzył teraz na przyczynę rozbicia rzymskiej armii. Przez chwilę ich oczy się spotkały.

Pojawił się ktoś jeszcze, człowiek o żywej, nerwowej mimice Sogdianina, ubrany - co dziwne - tak jak tajemniczy przybysz w luskowy strój i pikowaną tkaninę. Przemówił:

-Mój pan powiada, że twoi ludzie walczyli dobrze. Lecz przegrali. A twój syn poległ. Teraz mój pan cie pyta - wycelował broda w Krassusa - dlaczego jeszcze żyjesz?

-Wciąż mam armię pod opieką. Oni wszyscy są moimi synami - odparł prokonsul. Wyprostował się dumnie.

Gdyby wszyscy przeżyli ten dzień, Lucilius mógłby naigrawać się ze słów Krassusa. Lecz Quintus po raz pierwszy dostrzegł w nim wodza, kogoś za kim mógłby podać, gdyby Fortuna wcześniej nie zawazyła na szali.

Quintus poczuł jak pieką go oczy. I coś jeszcze. Bardzo powoli, pamiętając o czujnym strażniku Saka, stojącym tuż za jego plecami, sięgnął ręką pod zbroję. Ciepło, przenikliwe choć nie nieprzyjemne, przynosiło obietnicę pomocy. Czuli się nie tyle wypoczęty, co gotowy do walki lub marszu. Czy też, co było bardziej prawdopodobne, do przeżycia tego, co za chwilę będzie musiało się stać.

Sogdianin spoglądał na Krassusa sceptycznie. Zerknął na Surenę, jakby szukając przyzwolenia na uśmiech. Lecz twarz partyjskiego władcy była równie pozbawiona wyrazu, jak twarz przybysza z Krainy Złota.

Dygnitarz ze Wschodu przytaknął poważnie, przyjmując te słowa, jakby pochodziły z ust zwycięzcy i generała, a nie pokonanego.

-Powiedziałeś, księżu An'Hsi, że to był księżu Ta'Tsien... władca tej krainy na zachodzie... ten, który zamieniłby swój kraj na złoto i potem je przeliczył? Ten, który odważyłby się handlować z nami, z Han? Czy on jest szlachetnie urodzony, czy jest kupcem?

Sogdianin znowu przemówił. Czy "auxilia", które Quintus widział na bagnach, przetrwały? Byłby bardzo zadowolony z własnego tłumacza. Część książąt zaczęła niecierpliwie wiercić się na swoich miejscach. Kiedy barbarzyńcy robili się niespokojni, zawsze groziło to jakimś niebezpieczeństwem. Mezczyzna z Krainy Złota - z krainy Han, jak ją nazywał - prawdopodobnie pomyślał o tym również.

Surena rozesmiał się. Zawtorowali mu perscy szlachcice, którzy byli dumni z tego, że nigdy nie splamili rąk handlem. "Ach ci patrycjusze, ci patrycjusze" - pomyślał Quintus. Unicestwiali życie, unicestwiali nadzieję... Statuetka, spoczywająca nad sercem, uklula go ostrzegawczo. "Uważaj, głupcze." Prawie usłyszał napominający go głos dziadka.

-Jak to możliwe?

Jeden z okrutnych stepowych jeźdźców odezwał się nieoczekiwanie potokiem słów, brzmiących podobnie do przemowy mieszkańca Han. Młody, władczy oficer wysłuchał go i przemówił.

-Ich bogowie, powiadasz? - powtórzył tłumacz. - Ich bogowie podróżują z armiami? Widac o nich nie dbali, skoro przegrali. Mój przewspaniały Lordzie Sureno, ten oto nic nie znaczący - tu wskazał na swego pana - chciałby zobaczyć owych bogów Zachodu.

Surena klasnal w dlonie.

Taszczac je byle jak, niczym ciala wywlekane przez niewolnikow z ciemnicy, Partowie wniesli do namiotu Orly Legionow. Cisneli je na stol.

Brzek metalu poderwal wszystkich. Yueh-chih zaszemrali, jakby oczekujac, ze Orly nagle ozyja i zaatakują dziobami i szponami. Czesć obecnych - i to wcale nie najniższych ranga - zaczęła coś mamrotac, gestykulowac i wyciagac własne amulety.

Zdobyczne Orly Legionow lezaly na stole - w przechylajacym sie namiocie: nie bogowie, lecz zmatowialy metal, pokryty ciosami mieczy, poplamiony krwia rzymskich chorazych.

Jeden ze znakow blyszczal swieza posoka.

-Znalezlismy go na zewnatrz. Ten ktory go nosil... walczył z nami.

Krassus podniosl sie do polowy z krzesla, po czym osunal sie na nie pod spojrzeniem swego oficera sztabowego.

Quintus zacisnal powieki. Ten chorazy byl dzielnym czlowiekiem. Po chwili zmusil sie, by otworzyc oczy i patrzec na hanbe swojej ojczyzny.

-Wyglada na to - rzekl mezczyzna z Han - ze nawet niektorzy bogowie moga zostac pokonani. Co zrobicie z tymi?

-Przeniesiemy je do naszych swiatyn, zwlaszcza tej w Merv - odpowiedzial Surena - by byly symbolem mojego zwyciestwa.

Z tylu, za jego plecami, kilku wojownikow z poselstwa od krola Orodessa wymienilo spojrzenia. Surena byl potezny; czy stal sie na tyle mocny, by krol musial zaryzykowac usuniecie go albo utrate korony? Quintus wiedzial, ze nigdy sie o tym nie przekona.

Oficer z Han podzwignal sie.

-Bogowie ze stali, dla ktorych umieraja ludzie - zamyslil sie, wyciagajac wypielegnowana dlon, by dotknac najblizszego znaku. - Moj "tu hu" musi to zobaczyc. Decyzje pozostawie mojemu dowodcy. Ale on, niemadry, mysli, ze Syn Niebios w Ch'ang-an powinien ujrzec Orly, i ze czcigodni medrcy winni rozwiklac tajemnice mocy, ktora sklania ludzi do oddawania za nia zycia.

Podniosl Orla, plonacego w blasku ognia. Krassus rzucil mu rozpaczliwe spojrzenie.

-Wezme tego - obwiescil oficer z Han - jako czesc trybutu An'Hsi dla Syna Niebios.

Sklonil sie uprzejmie, jakby przyjmowal puchar wina z rak swoich braci, po czym dzierzac Orla opuscil namiot.

Dwoch ludzi ruszylo, zeby zebrac pozostale swiete znaki.

-Nie... - szepnal Krassus, wypowiadajac pragnienia Quintusa - Na wszystkich bogow piekla, n i e!

Wciaz w nich zyl zabity syn Krassusa, martwi przyjaciele Quintusa, krew z ran Rufusa. Czy powinny wiec zostac triumfalnie wniesione do barbarzynskiej swiatyni, swiadczac o klesce i hanbie Rzymu, ktory nie zdolal ich ochronic? One przeciez byly Rzymem. Wielki Romulus z pewnoscia odwrocilby sie od armii, ktora pozwolilaby, by poszly w niewole.

Rece Vargontiusa i Kassiusa spoczywaly na ramionach prokonsula, lecz ten strzasnal je sila rozpaczy.

-Oddajcie mi moje Orly!!! - zawyl i rzucil sie do przodu.

Zderzyl sie z wojownikiem i stołem, jedna reka zgarniajac bezcenne "signum", druga zas wyszarpujac zza pasa Parta sztylet. Mogl wykorzystac te chwile, gdy wszyscy stali zszokowani w bezruchu i blyskawicznie zatopic ostrze gleboko w gardle Sureny, mszczac tym ciosem syna, armie i Orly.

Nie zrobil tego. Obrocil sie, wysuwajac sztylet, jakby broniac znakow, ktore trzymal przed soba niczym tarcze i symbol. Swiatlo pochodni odbijalo sie od nich, pokrywajac sciany namiotu lasem cieni debow, sosen i znakow Rzymu.

Oczy starego prokonsula blyszczaly, ale nie bylo w nich szalenstwa walki.

-Rzymianie! - zakrzyknął. - "Comites", do mnie! Zakonczmy, co skonczyc powinniśmy! "Roma!

Oficer sztabowy skoczył w jego kierunku, rozważając gorączkowo - pomoc prokonsulowi czy wykorzystac szanse ucieczki?

-Na zewnątrz! - zawołał Vargontius - Niech ktos da im znac!

Błyskawicznie wypchnął Kassiusa z namiotu. Wokół wybuchnęły wrzaski, gdy kupcy w poplochu uciekali od zamieszania, a Rzymianie i Partowie skoczyli sobie do gardeł.

Ból rzucił Quintusa do przodu; jego ręka sięgnęła po brzoń stojącego najbliżej strażnika. Jak wolno poruszał się ten człowiek! Zawładnięcie jego mieczem było równie łatwe, jak odebranie sosnowej gałeczki małej dziewczynce.

-"Roma"! - wrzeszczał Krassus tak, jakby przez całe życie nie próbował rozmieniac Rzymu na pieniądze i zaszczyty, które potem skrzętnie gromadził. Quintus przedzierał się przez tłum, by stanac u jego boku. Krassus zabrał mu ziemie, ale teraz wzywał go imieniem Rzymu. Może to oznacza lepszą śmierć niż ta, na którą czekał? Honorowa. Spojrzec dumnie w oczy dziadkowi po drugiej stronie Styksu...

-Niech ktos zabierze pochodnie!

Cieżkie uchwytły runęły i płomienie liźnęły krew i kurz, zanim zgasły, jak tyłu innych w tym namiocie.

Krassus nie był szalony, gdy pragnął śmierci, lecz teraz Pan zaczął swoją piosenkę, szerząc obłęd. Quintus ciałem zdobytym mieczem. Jak we śnie ujrzał przed sobą człowieka, rzygającego krwią i padającego na towarzysza. Wokół rozlegały się krzyki i wrzaski walczących i umierających, ale dudnienie w skroniach, głośniejsze od bebnów Partów, skutecznie je zagłuszało. Rzymianie, Yueh-chih i Partowie walczyli w świetle, przesaczającym się przez ścianki namiotu. To był obłędny taniec; krew płonęła w zylach. Mogłoby być teraz kobieta, która niesie stożkowatą zakonczoną rozdzkę i wyspiewuje peany na cześć Bachusa i Bromiusa.

Pochwycił spojrzenie Luciliusa. Jego jasne włosy były umazane krwią, a oczy świeciły, jakby sama Fortuna przepiła do niego i koci. Pogardzał nim, ale obaj byli Rzymianami.

-Krassusie! - krzyknął Quintus, próbując przebić się do starca. Osłabiony wiekiem i porażką, nie będzie mógł długo bronić siebie i Orłów. Jeszcze jeden - trybun użył znakomitej stali partyjskiego miecza jak rzymskiego "gladius" i przebił gardło barbarzyńcy. Potem zatoczył się w pobliżu prokonsula, rozpaczliwie chwytając powietrze. Poczul wszechogarniającą go radość, gdy ujrzał, jak oczy Krassusa rozjasniają się na jego widok.

-Za toba! Schył się! - zawołał starzec w tej samej chwili, w której na piersi Quintusa zapłonął ogień - czyżby znowu figurka z brązu? Zgiął się w pole, a następnie błyskawicznie obrócił. Poderwał ostrze i zatoczył nim krag, przeszywając żołnierza, który zachodził go od tyłu.

Quintus odwrócił się i słowa podziękowania zamarzyły mu na ustach. Rzucił się naprzód, lecz mimo jego dobrze wymierzonego ciosu, ostrze Parta zdążyło opasc na sciskającą Orły rękę Krassusa, rozrabując ją w nadgarstku. Quintusowi przypominało to makabryczną parodię błogosławieństwa, udzielonego mu kiedyś przez dziadka.

Okrzyk przerażenia trybuna i wrzask Krassusa złyły się w jedno. Skoczył, by chronić człowieka, który - wbrew wszelkiemu rozsądkowi - został jego prokonsulem i generałem. Starzec zachwiał się, a Orły wysunęły się z jego rąk z głośnym loskotem. Padł zbyt wolno. Ostrze Parta ciałem jego kark i głowa odpadła od ciała.

-Nie! - krzyknął Quintus. Walczył, jak sam nie przypuszczał, że potrafi, dopóki nie oczyścił przestrzeni między sobą, swoją śmiercią i Partami. Lapiąc oddech, zatrzymał się i unosił miecz w pogotowiu. Partowie zacisnęli wokół niego krag. Zabicie go było kwestią czasu. Tylko kwestią czasu.

Sprzedając jednak swoje życie bardzo drogo. Ilu zabierze ze sobą? I od kogo powinien zacząć? Z namysłem przyglądał się wojownikom czując, iż wie, o czym teraz myśli. Uderzył, ale ostrze miecza odbiło się od krawędzi stołu. Przyjął postawę do ataku i uderzył ponownie...

Ku swemu przerażeniu odkrył, że przeciwnik próbuje oddać cios nie mieczem, ale wzniesionym Orłem.

Choćby miał umrzeć, Quintus wiedział, że nie dotknie znaku: to tak, jakby uderzył dziadka lub sam Rzym. Wykonał finte i ciałem podstępnie. Part odskoczył i rozesmiał się. Spróbował ponownie, potem jeszcze raz.

Śmiali się z niego, drażniąc go jak drażni się atakującego psa uwiązane go za lancy. Runął na nich z bojowym

okrzykiem, pragnac zabrac ze soba do grobu jak najwiecej wrogow...

...i poczul, ze rozgrzany do czerwoności, metalowy pret smaga go po karku. Zgiełk bitewny scichł do szemrania rzeki w mglisty dzień, a potem rozplynął się w ciszy.

Rozdział czwarty

Quintus oslepl. Byłby przerażony, gdyby nie to, że jego strach zagłuszały bebny i dzwonki zwycięzców. Zdawali się nadchodzić, coraz bliżej i bliżej. Jeszcze kilka kroków i zdepta go. A wtedy dołączy do swych martwych towarzyszy. Spuścił głowę, jak zwierze przed ofiarnym ołtarzem. Tak było przeznaczone: niech się wiec spełni.

Śmierć byłaby całkiem przyjemna, gdyby nie ta suchość w gardle. Pod murami Carrhae walczyli godzinami w upalnym słońcu, wśród oparów krwi i śmierci, a muchy brzęczały głośniejsze niż bebny i dzwonki.

-Przekleci, jeśli go zostawimy. Nie stracę jeszcze jednego - usłyszał czyjs szorstki, chrapliwy głos.

-Co gorszego mogą mi zrobić? Zabić? Rzuciłbym się na mój własny miecz, gdybym mógł go dosięgnąć.

-Przemysł to, centurionie! Będziesz musiał wyznaczyć ludzi, którzy będą go niesli. Spowolni nasz marsz. A jeśli przeżyje, będzie miał nie więcej rozumu niż dziecko.

Głos był gładki i sugestywny. Quintus już wiedział, że go nie lubi. Jeszcze jedno słowo i uciszy go, jeżeli tylko uda mu się podnieść, gdyż nawet wysiłek włożony w uniesienie głowy...

-Musisz krzyknąć, panie? On może słyszeć każde wasze słowo?

Głosy scichły do pomruku. Rozległy się kroki, które na szczęście oddalały się.

-Nie bój się, przeżyje. To rolnik. Ma głowę równie twardą jak skała, na której łamie się socha.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której bebny i dzwonki łomotały w głowie Quintusa. Teraz przyłączyły się inne głosy - zbyt liczne, by mógł rozpoznać słowa. Był zmęczony. Odplynął w nicosc.

Upał i pragnienie. Mogą powalić równie skutecznie, jak strzały czy miecz Sureny. Był martwy, a tamci nie pozwalali mu spoczywać w spokoju. Myślał, że śmierć oznacza odpoczynek, ukojenie - widział dziadka i matkę, zanim zakryły ich caluny. Podczas ciężkiej próby, jaka była dla nich ostatnie dni, twarze mieli napięte i wykrzywione cierpieniem, lecz śmierć tchnęła w nie spokój, wygładziła zmarszczki zgrzyoty i udreki.

-Dobrze wiec, przyprowadz tu swojego cesarskiego jak go tam zwa i sam mu to powiem. Nie zostawie tego człowieka, żeby tu umarł. Jeśli ci się to nie podoba, wiesz, co możesz zrobić. Umrzec szybko, umrzec powoli - żadna różnica. Oni nie dają ludziom, których wysyłają do Merv, honorowej emerytury, ziemi ani mulari. Czy też...

Głos zakipiał gniewem, zanosząc się kaszlem.

Przeklęty piach! Oni ich sprzedają. Sprzedają wolno urodzonych Rzymian, legionistów, jako niewolników. Czy sądzisz, że oni, ci perscy kupcy, pamiętaj o tym - będą tracić czas na kogoś, kogo szybko nie sprzedadzą?

Wiecej szeptów. Dźwięki. Kroki. Brzęk podkówek. Reka na jego czole.

-Odpoczywaj spokojnie, chłopcze... to jest: panie. Myślę, że Fortuna pozwoli mi dopiąć swego...

-Być może znalazłem konia... - jakiś nowy głos, z perskim akcentem.

Quintus zeszytniał.

-Ile?... Zreszta, nieważne... Jeśli uważasz, że to brzmi dobrze...

Pogardliwe parsknięcie, chichot wpolurwany...

-Weź moją sakiewkę... Chłopcze, ludzie cię potrzebują. Wróć do nas.

Tak łatwo odpłynąć. Po prostu odejść.

Kroki - chrzęst nabijanych kolcami butów na żwirze i piasku i szybsze, lżejsze stąpnięcia jeźdźcy. Usłyszał nawet trzask

zginanych starych kolan, kiedy ktos przysiadl ciezko obok niego.

-Trybunie, w imie wszystkich bogow, nie zostawiaj mnie samego, bym nimi dowodzil...

To wezwanie nie bylo honorowe - przywrocilo go swiatu. Jeknal.

Porzucili rannych i martwych pod Carrhae, nie pogrzebanych, bez pomocy. Nie zgadzal sie wtedy z ta decyzja, ale nie mial przeciez nic do powiedzenia. To bylo "nefas" i on rowniez musi za to cierpiec.

Za to, a takze ze nie ma monety dla Charona i wciaz tula sie po tej stronie Styksu. Jego dziadek i matka straca go na zawsze, chyba ze jakas pobożna dusza rzuci na niego garśc ziemi i odprawi pozegnalny rytual.

Jego ojciec, nigdy nie pochowany, prawdopodobnie rowniez wedruje. Byc moze spotkaja sie. Ale czy beda mogli objac sie tam, nad brzegiem Styksu, czerpiac pocieche ze swojej obecności? Czy tez swiadomosc, ze drugi takze cierpi, zwiekszy tylko ich bol? Mozliwe, ze sie w ogole nie rozpoznaja. To bylaby samotna nieskonczonosc, bez nikogo, bez wytchnienia.

Zaprotestowal gwałtownie, gdy poczul czyjs dotyk.

-Cicho, panie! Czyz okazalem sie klamca mowiac, ze uderzono cie w glowe? Cale szczescie, ze zalozyles helm. Do niczego juz sie nie przyda. Dzielnie walczyles nad ciałem tego biednego, starego lotra. To smieszne nazywac go biednym, ale co mu przyslo z bogactwa? Skonczył jak lichy rekrut. Choc walczył jak Rzymianin.

To, co poczul, okazalo sie ramionami, obejmujacymi go niezgrabnie.

-Dlaczego do niego mowie? Byc moze nigdy mnie nie uslyszy i... Dis, bylby z niego dobry zolnierz.

Quintus otworzył oczy, pochwycil blask slonca, ktore zdawalo sie unosc nad jego glowa; zakrztusil sie. Natychmiast szorstkie rece ujely jego glowe.

-Ostrożnie! Niesiecie czlowieka, a nie wor zarcia. Tak, ty takze, panie. Spokojnie tam.

Dzwigajacy go zatrzymali sie. Poczul, ze jest przywiazany do czegos miekkiego. Moze teraz glosy zostawia go w spokoju i bedzie mogl powrocic w kojaca czern, ktora wciaz go przyzywala.

Czul sie, jakby lezal juz w lodzi Charona. Olbrzymie muchy bzyczaly, dudnily bebny i dzwonki. Palilo go pragnienie, jak po napiciu sie nafty. Bronil sie, by nie jeknac.

Wstydzil sie okazac jak bardzo cierpi. Lecz gardlo mu plonelo. Nagle szarpniecie wydarlo z jego piersi krzyk. Zapomnial o wstydzie, zapomnial o wszystkim procz bolu. Wydawalo mi sie, ze krzyczy, by zostawiono go w spokoju, by zdjeto go z krzyza, by go pogrzebano... Krzyczal, dopoki mogl. Krew z popekanych warg nie przynosila ulgi.

Gorycz dotknela jego ust. Rzucil sie na te wilgoc, lecz natychmiast ja wyplul.

-Nie pije - znowu ten kulturalny, nienawistny mu glos.

-Po ciosie w glowe czasami nie moga. Po prostu zwracaja plyn. Marnuja go.

Po dlugiej pauzie:

-Rozmyslamem. Potrzebujemy wszystkich Rzymian. Teraz... - nowy ton wkradl sie w glos patrycjusza, ton jakby zaklopotanej chytrosći. - Slyszałem, ze ci ludzie maja dobrych lekarzy...

-I wezwiemy ich, a oni znowu uderza trybuna w glowe, zeby dostal ataku albo nas jeszcze bardziej spowalnial. Tym razem na pewno go zabija. Wydobedzie sie z mroku o wlasnych silach, lub wcale.

Potem cos blogoslawienie chlodnego, niczym swiezo obrocona skiba ziemi, spoczelo na jego oczach i pulsujacym czole.

Westchnal bezwstydnie i poczul czyjas dlon na swoim ramieniu; ten dotyk zabral ze soba w dajaca wytchnienie ciemnosc.

Chybotanie z boku na bok, tak przedtem meczace, teraz kolysalo go do snu. Bogowie... woda, szemrzaca wsrod cieni, przynoszaca ukojenie.

Zwierzeta ryczaly i walczyly ze soba, podczas gdy glosy ludzi wzbieraly prosba i rozkazem. Quintus cofnal sie, uciekajac

w czern, poki wybuch czerwonych swiateł nie przestrzegł go, by szedł ostrożniej. Zerwał się gorący wiatr. Znow cisza. Pewnie ktoś rzucił ciastko Gerberowi. Przynajmniej taka miał nadzieję. Doszedł dalej, niż kiedykolwiek marzył - w pobliżu Rzeki. Wkrótce będzie spacerował między asfodelami...

...lecz tam czekał sąd. Przerazające imiona, dzweczne jak szpilki: Minos, Radamantys i ktoś jeszcze. Kto? Musi znać trzeciego sędziego, inaczej jego dusza znajdzie się w kuźni Tartaru. Szybko wyrwał się z czerni i poczuł, że jest skrepowany.

Już skazany? Zmusił się do myślenia. Imię trzeciego sędziego! Na pewno je znał!

"Ajakos" - pojawiło się w jego umyśle - "Nie skrzywdzi cie." Głos był delikatny, jak delikatna była dłoń na jego czole.

Jęknął i, ku swej uldze, zemdlał.

Ocknął się w ciemnościach. Wciąż leżał na tym skalnym, ciepłym podłożu. Wciąż był związany. Ale czuł się teraz silniejszy. Ostrożnie zgwał jedno ramię, potem drugie. Całkiem niezłe. Wyszwił się z więzów, po czym ostrożnie wstał. Coraz lepiej. Coś wilgotnego zesliznęło się z jego czoła. Chwycił to, zanim pomyślał, żeby odskoczyć.

To był kawałek mokrego materiału. Nawet w przyćmionym świetle zachował połysk wschodniej tkaniny.

A więc nie był ślepy? Dzięki niech będą wszystkim bogom!

Rozejrzył się zachłannie wokół, jak spragniony, który zanurza głowę w sadzawce czystej wody. Czego oczekiwał? Oczywiście: - asfodeli z opowieści dzieciństwa... rozległych, zielonych łąk, po których przechadzają się bohaterowie, albo może brzegu, poprzerastanego korzeniami drzew, wznoszącego się nad leniwymi falami Tybru, niedaleko jego domu.

Spodobałoby mu się to. Okazało się jednak, że jest gdzieś indziej, że stoi w olbrzymiej jak amfiteatr jaskini, z której wyjścia prowadzi w pięciu kierunkach. Poczuł wodę. Tak, to prawda - przekroczył Styks. Ogarnął szybko czujnym spojrzeniem żołnierza wyrobionego w skale przejścia.

Osmielił się dotknąć głowy. Nie miał helmu. To by się zgadzało. Głos - Rufusa chyba? - we śnie, na jawie? powiedział mu, że ten hełm nikomu już się nie przyda. Ocalił mu życie.

Włosy miał zlepione czymś, co musiało być krwią. Wciąż były wilgotne, choć chłodne. Poruszając się powoli, niczym starzec, skierował się ku jednemu z przejść. Jego ostrożność nie była bezpodstawną: mógł być "żywy" tu, w tym przedśmionku do wieczności, lecz brakowało mu siły, do której przywykł. Dokuczalo mu kilka ran i zwichnięcie nic, w porównaniu ze straszliwą agonią po tamtym ciosie w głowę. Ruszył w głąb przejścia.

Cofnął się, gdy dobiegło go z czeluski przeraźliwe wycie. Nie tędy droga. Szybciej niżby przypuszczał znalazł się z powrotem w głównej jaskini. Czerwone światło pelgało po skalnym sklepieniu, rozszczepiając się w ogromnych klejnotach, tkwiących w żywej skale.

Jasność przeswiecała z kolejnego przejścia. Poszedł za nią. Pozadliwie gorąco smagnęło go ogniem. Na ścianach zatoczyły cienie, pochłonięte po chwili przez blask, gdy biały rdzeń żaru przyćmił otaczające go czerwienie i żółcie. Spojrzył pod nogi: zobaczył zwir. Rozrzucił go kopniakiem i okazało się, że to spalone szczątki z ludzkich kości. Kiedy po raz pierwszy udał się na Wschód, cierpiał podczas pobytu na pustyni. Cierpiał pod Carrhae, stojąc w pełnej zbroi w czworoboku, na który sywał się z białego od upału nieba grad strzał. Jednak w porównaniu z tym zarem, swiszczącym w przejściu niczym miech kowalski, tamto było niczym. Ani człowiek, ani cień nie mógłby przejść dużo dalej tym korytarzem, nie mógłby przekroczyć Rzeki Ognia i zachować rozpoznawalnej formy. To nie byłoby zapomnienie, lecz unicestwienie.

Ogniste cienie - czerwien na złocie i bieli - zamigotały w gorze niby śmiercionośne sztandary Sureny. Uformowały się w postaci, tańcząca dla Quintusa z płonącymi pochodniami w dłoniach. Jego ręka powędrowała ku piersi i wyciągnęła brązowy talizman. Ten pochwycił światło i zalsnął, jakby dopiero co został wykuty. Ogniki wytrysnęły z jego rąk, wzniesionych w figurze odwiecznego, pogrzebowego płaszu. Płomien musnął dłoń Quintusa, a ten cofnął się. Powторne ostrzeżenie? Uważnie wytarł buty o skalę, by najmniejszy ślad spopielenych kości nie przetrwał na ich kolcach. Zmarłych lepiej pozostawić samym sobie. Zakreciło mu się w głowie, gdy zrozumiał jak blisko jego myśli musnęły niewyobrazalne. Wroczył do przedśmionka.

Był Rzymianinem. Wspaniałe ceremonie i imiona bogów były dla kapłanów i senatorów, nie dla takich jak on. Przybył tu, by umrzeć i zostać osadzonym. Niech tak będzie. Oczekiwanie było wystarczającą karą.

Powietrze i ciemność musnęły mu twarz, niczym chłodne dłonie. Quintus westchnął. Zanim zwykły rozsadek powiedział mu, że nie ma żadnych dloni, że nie ma w tym miejscu nawet dotyku, wyciągnął ręce, by pochwycić to coś, co ukoilo jego

spieczone czolo i policzki malenka iskierka doznania. Fala dzwieku wyszyla jego porazke, popychajac go ku kolejnemu przejsci.

-Powinienem zaczekac tu, dopoki... cokolwiek... nie przyjdzie, by mnie wezwac - mruknal.

Ale powietrze zadrgalo ponownie dzwiekiem tak slodkim, ze podazyl za nim. Zadnego zwiru ze starozytnych kosci pod stopami. Skala stawala sie jakby znajoma. Lubil te sciezke. Dlaczego? Dlaczego poczul, ze zna ja od tak dawna? Nie roznila sie niczym od reszty podloza w jaskini. Zamknal oczy. Teraz wiedzial: to byla sciezka, ktora w dzieciinstwie chodzil do swej ulubionej kryjowki nad rzeka. Poruszajac sie szybko, jak zwiadowca powracajacy po licznych niebezpieczenstwach do domu, zaglabial sie w korytarz i wspomnienia. Owial go leniwy podmuch, ktory usypial go na brzegu Tybru. Powietrze drgalo brzczeniem pszczol i spiewem ptakow. Sklepienie z lisci zamykalo sie nad jego glowa.

Swiatlo falowalo na scianach i suficie skalnego przejscia, odbijajac sie od rzeki, rozciagajacej sie na koncu drogi. Z pewnoscia nigdy zadna plynaca woda nie pachniala tak slodko, a letnie slonce nie swiecilo tak przyjemnie. W jaki sposob swiatlo sloneczne zdolalo przebic skorupe ziemsa i swiecic nad rzeka w Podziemnym Swiecie? Zastanawial sie nad tym przez chwile, ale wkrótce dal sobie spokoj.

Byl rolnikiem i zolnierzem, a nie jednym z legionowych inzynierow. Nie do niego nalezala odpowiedz. Jaskinia rozszerzala sie. Mial wrazenie ogromnej przestrzeni, przez ktora rzeka toczyła swe nurty. Wszystko tu bylo znajome - rzeka, skaly i ziemia pod stopami. Wiedzial, w którym miejscu trzeba postawic noge, by ominac kamien; poznawal rozwidlenie miedzy zwieszajacymi sie zaroslami... Byl w domu.

To nie mogl byc Podziemny Swiat. Wygladal tak niewinnie, tak sielankowo.

Stanal na brzegu rzeki, z ktorego jako chlopiec tak czesto lowil ryby, i spojrzal w dol na letnia mgielke. Usiadl i oparl sie o swoje ulubione drzewo. Jego rece dotknel czegos gladkiego, unosl to do twarzy. Spoczywal na liliach, na najprawdziwszych asfodelach, po ktorych kroczył Achilles. Przez chwile mial ochote zasmiac sie jak dziecko, gdy wyobrazil sobie siebie lezacego wsrod kwiatow. Kichnal, podrazniony pylkami. Pachnialo bardziej slodko niz koniczyny i fiołki, z ktorych wysysal syrop w gorace popoludnia.

Delikatne rozbawienie zagoscilo w jego myslach. Oczy zaszly mu łzami. Byl w domu. Nawet "genius loci" przybyl, by go powitac.

-Myslalem, ze stracilem cie na zawsze - powiedzial. Wydalo mu sie, ze slyszy szemrzacy smiech, ale to mogla byc ryba, rzucajaca sie w oslepiajaco jasnym kregu na srodku rzeki.

-Doprawdy? Taki zagubiony, taki zmeczony - i najukochanszy - uslyszal.

Jak dziecko, chwytajace wszystko do sprobowania, unosl palce do warg.

-Musisz byc glodny i spragniony. Oto jedzenie. Oto woda. Nie opuszczaj mnie nigdy wiecej.

Kiedy po raz ostatni uslyszal ten glos, byl zmartwionym chlopcem, probujacym zachowywac sie jak mezczyzna skazany na wygnanie. Teraz, wbrew wszelkim nadziejom, powrocil. Moze po smierci, ale znow byl w domu. Tutaj byl jego "genius loci". On sie nim zaopiekuje. Chlodne dlonie dotknel jego skroni, usmierzajac bol, nie opuszczajacy go, od chwili, gdy Legiony Krassusa ruszily w kawaleryjskim tempie, a on uswiadomil sobie, ze jest nie tylko szalony, ale rowniez przeklety.

"Genius loci" wydal pozbawiony slow odglos bolu, kiedy chlodne dlonie zetknel sie z twarza i wlosami trybuna. To bylo cierpienie z jego powodu i z powodu tego, czego on doswiadczył. Duch miejsca odczul nawet rane od ostatniego ciosu "signum", ktory poslal Quintusa do Podziemnego Swiata. Tak, uderzenie jednym z Orlow, ktorych probowal broniec, bylo po prostu zniewaga. Lecz bylo to tak dawno, a on znajdowal sie teraz tutaj i tamto nie powinno juz nic dla niego znaczc.

Dobrze byloby znowu byc mlodym. Dobrze byloby zapomniec o wszystkim, co sie wydarzylo od chwili, gdy czlowiek o surowej twarzy przybyl do dziadka z wieścia o smierci ojca. A gdyby nie mogl zapomniec... no coz, byl mezczyzna, a nie chlopcem. Zreszta glos "genius loci" przypominal mu to rowniez. Oczy zaszly mu łzami i zaplakal, po raz pierwszy, odkad wraz z dziadkiem zostal wypedzony z domu. Plakal nie wstydzac sie tego, plakal ze szczescia, bo byl znowu w domu, znowu kochany i bezpieczny.

Po chwili Quintus uspokoil sie, radujac sie spokojem, ktorego tak rzadko zaznawal. Otarl oczy, wdychajac wszechobecny zapach asfodeli. Potem sie rozesmial. Po raz pierwszy, odkad Legiony Krassusa wkroczyly na pustynie, mogl naprawde odpoczac.

Niebo zdawalo sie byc bardzo daleko. Tutaj bylo swiatlo slonca, rosliny i swieza woda. Mial swoja ziemie. Czegoz wiecej

mogłby potrzebować? To było wszystko, czego dziadek nauczył go pragnąć.

-Odpocznij ze mną. Zostan ze mną - kusil duch. Jakże słodki był ten głos. To nie był głos matki, siostry czy przyjaciółki, lecz żony, której nigdy nie mógłby mieć, bo był ubogi. "Zona" byłaby kobieta z rodziny równej jego własnej, wymarzona strażniczka domowego ogniska. Ten głos obiecywał mu nie tylko chleb, ale również spełnienie pragnień.

Chciało mu się pic.

-Oto woda, oto żywność. To wszystko może być twoje. A później...

-Czemu nie mogę cię zobaczyć? Dlaczego nie możemy wziąć się za ręce? - zapytał.

Nagle splonął pragnieniem czegoś więcej niż tylko wody. Szybko sięgnął za siebie, by pochwycić szczupłe nadgarstki czegoś, co przypominało teraz bardziej kobietę niż ducha.

Wymknęła się ze śmiechem, owiewając go pachnącym powiewem. Świat znikł. Nazwy... Syria... Armenia... Krassus... zacieraly się w jego pamięci. Kolejne imię... Rufus? Pomyślał, że powinien je zapamiętać. Głos, chrapliwy od wdychanego kurzu i zbyt długiego marszu, rozległ się w jego głowie i umilkł. Nie, nie ma sensu pamiętać Rufusa, który wkrótce znajdzie własne ukojenie.

-Najpierw się odśwież. Proszę cię o taką drobnostkę... Dla Quintusa nie było to drobnostką. Jak dawno po raz ostatni udało mu się zaspokoić pragnienie! Nachylił się nad wodą, zaczerpnął, unosił do warg...

...i kichnął od połączonego zapachu pyłku niesmiertelnych asfodeli i wody. "Genius loci" zaśmiał się, ubawiony.

Trybun obmył dłonie i wytarł je w tunikę. Potem ponownie zanurzył je w rzecze i wyciągnął ociekającą wodą, pachnącą bardziej upojnie od nie rozcienczonego Falerno. Wznosił toast za kobietę, której nie mógł zobaczyć.

-Nie! Nie pij!

Woda wyciekła ze złączonych dłoni, tworząc teczę nad asfodelami. Ich zapach stał się bardziej intensywny, a Quintus poczuł burczenie w brzuchu z głodu.

-To jest prawdziwe. To jest żywe - rzekł inny głos. Również należał do kobiety, lecz był głębszy i wyraźniejszy niż tamten, który - jak sadził Quintus - należał do "genius loci".

-Możesz doznać zaspokojenia tylko w promieniach słońca. Reszta jest iluzja.

Usłyszał krzyk nad głową i unosił ją, by zobaczyć błysk brązowych skrzydeł. Skrzydła orla. Olbrzymi ptak rozpostarł je i wykrzyczał wezwanie. Skąły odpowiedziały echem. Niczym rogi, nawołujące do bitwy lub przebudzenia. Rzeka. Imiona i żywe twarze, oszpecone bliznami i mokre od potu. Martwe, wykrzywione, zakrwawione.

Kształtna dłoń podniosła wodę do jego ust. Mogł ją teraz zobaczyć, sięgnąć po nią i pochwycić.

-Głupcze - odezwał się drugi głos - skoro pamiętasz imiona, to jaka jest nazwa tej rzeki?

-No, jak to... Leta, oczywiście - mruknął. Woda rozlała się. Pamięć wróciła.

Leta - Rzeka Zapomnienia.

-Nie, musisz mi zaufać! Zostan ze mną, kochaj mnie, zapomnij o wszystkim.

-Zostaw go!

Pachnące powietrze zafalowało wokół, jakby stojąca nad nim kobieta została brutalnie odepchnięta. Nawet jej dłoń - jedyne, co Quintusowi udało się dojrzec - zniknęła.

Przed trybunem zmaterializowała się zawałowana postać. Podobnie jak poprzednia zjawą, roztaczała wokół siebie zapach, lecz raczej drzewa sandalowego, cynamonu i kardamonu, niż kwiatów, które pamiętał z dzieciństwa. Zapach jej perfum był dziwny, trochę drażniący, ale jednocześnie tajemniczo odświeżający. Twarz miała ukryta za szafranowym welonem rzymskiej narzeczonej, lecz materiał był tak cienki, tak delikatny, że mógł wyraźnie zobaczyć jej oczy. Były podługne i ciemne, w kształcie migdałów, podkreślone antymonowym proszkiem. Na twarzy Sureny wyglądało to przerażająco. U niej - intrygowało. Szkarłatny klejnot błyszczał na jej czole, a długie, złote kolczyki kolysały się kuszaco.

Spojrzał na nią. Powoli odsłoniła twarz. Włosy spływały do ramion tak proste, jak żołnierz w szyku, gotowy do walki. Quintus uswiadomił sobie, że ona także walczy - o niego - z istotą, która miała przywrócić mu jego chłopięce marzenia.

-Dlaczego kazałaś jej odejść? - zapytał. - Mojej wieloletniej przyjaciółce, towarzysze... "I komus więcej, gdyby Fortuna pobłogosławiła." - Ona była towarzyszka twojego dzieciństwa? Ona, która oszukałaby cię, podając napój zapomnienia i trzymała w niewoli, mimo iż nie nadszedł jeszcze twój czas i nie skończyłeś przeznaczonego ci dzieła? O n a - twoim przyjacielem? Równie dobrze można by pojsć do wezowych magów... - kobieta rozejrzała się, jakby nawet tutaj obawiała się niebezpieczeństwa - ...i poprosić ich o łaskę.

Quintus wstał. Był znacznie wyższy od kobiety, na którą patrzył. Wyższy i tak bardzo inny: mocna budowa ciała wobec jej wdzięku; jego uparte usta przeciwko jej - och, na Wenus...! Początkowo myślał, że pochodzi z Ch'in, jak oficer, który tak arogancko zazał Orla, mokrego wciąż od krwi chorazego. Teraz zmienił zdanie. Podejrzewał, że jest kobieta z Hind, dalekiej krainy rozciągającej się na południowy wschód od rejonów znanych rzymskim Legionom.

-Kim jesteś? - spytał. Był pewien, że popadł w obłęd. Tutaj, w Erebusie, musi stanąć przed sędziami: Minosem, Ajakosem i Radamantysem, a nie przed kobietą o bursztynowej skórze i postaci bogini.

Może już wypił wodę zapomnienia? Może uda mu się znaleźć ukojenie z tą właśnie kobietą? Zrobił krok naprzód, a ona uniosła dłoń.

Otoczyły ją płomienie, które wytrysnęły spod asfodeli. Płonąc wydzielaly sandalowy zapach. Pod welonem miała bursztynowoszkarlatną siateczkę. Klejnoty lśniły na jej szyi, palcach, nadgarstkach, nawet na bosych stopach.

-Czy dostałaś od niej jakiś prezent? Czy to ona powiodła cię do figurki, która uratowała ci życie, gdy tak wielu zginęło?

Rece Quintusa wydobyły spod ubrania małego tancerza z brazu. Rozesmiała się zachwycona; ognie zniknęły.

-To ty ofiarowałaś mi ten szczęśliwy talizman? - zapytał.

Wyciągnęła smukłe palce o purpurowych paznokciach, by dotknąć figurki. Ognie wystrzeliły z wiecznej pochodni tancerza.

-To nie ja wzywam szczęścia Kriszny - szepnęła - lecz przeznaczenie. Kriszna - zamysliła się. - Jeszcze raz powrócisz, by poprowadzić nas tak, jak prowadziłeś jego.

Oddała mu tancerza. Ku jego zdumieniu, ogniki nie zgasły natychmiast. Usłyszał dźwięk fletu, zmieszany z delikatnym bebnieniem. Ta muzyka przyciągała go równie mocno, jak bebnie i dzwonki Partów budziły w nim lek i odrazę. Wydobywała go z pułapki Lety i asfodeli, tak bardzo przypominających utracony dom, przywracała mu świadomość. Pojawiły się nowe głosy, nowe dźwięki - szelest piasku, odległe grzechotanie i tupot spętanych zwierząt. Nie widział już tak wyraźnie, obrazy zamazywały się i oddalały.

-Czy jesteś nim - duchem, którego kiedyś znałem? - zapytał.

-Wszyscy jesteśmy odbiciami - szepnęła. - Niektórzy z nas są prawdziwi, inni to iluzja.

Lzy - wstydlive lzy niegodne Rzymianina - przerazały.

-Powiedziała, że wróci po mnie. Wróci, by zabrać mnie do domu.

Potrząsnęła głową. Ciemne włosy opadły gładko na jej bursztynowe ramiona.

-Nie ma dla ciebie powrotu. Kriszna powiedział ci to na polu bitwy, pamiętasz? Opowiedział mi o tym: walczyłeś z synami człowieka, który stał za tobą i zatrzymał cię, niezdolny do ataku. Wówczas Kriszna przemówił do ciebie tak wyraźnie jak mówi tylko do tych, których najmocniej kocha: "Jest tylko bitwa, tylko jedna droga: naprzód".

-Powiedział mi? Kim jesteś?

Podługne oczy kobiety zaszły łzami, a jej ozdobione biżuterią ręce opadły.

-Nie pamiętasz Draupadi? Ty - Quintus? Jesteś pięcioma w jednym i tych pięciu jest kims, dla kogo włożyłam te ślubne suknie. Przepowiedziano, że Draupadi będzie miała pięciu mężów. Każdy z nich będzie księciem albo królem. Dawno temu, daleko stąd, była nagrodą Arjuna. Twój brat-król utracił mnie; twój brat-bohater ochronił moje dobre imię. Wedrowaliśmy, walczyliśmy używając zakazanych broni. Zwyciężyliśmy, lecz zginęliśmy. Teraz odrodziliśmy się. I raz

Jeszcze musimy się odnaleźć.

Doleciał ich krzyk orla. Leta i ziemia zafalowały, były przecież oszustwem. Ale Draupadi zadrzała również. Orzeł odleciał z pożegnalnym skwarem, wznosząc się swobodnie coraz wyżej nieba, do wolności. Quintus unosił głowę, by śledzić go wzrokiem. Światło słoneczne przebiło się przez blask opromieniający Lete, odsłaniając iluzoryczność podziemnej krainy. Znowu poczuł pragnienie.

-Co muszę zrobić? - zapytał Quintus.

-To, co nieswiadomie zrobiłeś już kiedyś. Musisz pójść za Orłem tam, gdzie woda płynie wśród piasków pustyni, gdzie otwierają się skalne szczeliny, a weze wyrastają z kamienia. Musisz odszukać mnie i mojego mentora. Będiesz kłaniał się bogom, którzy nie są twoimi bogami i posługiwał się orezem niepodobnym do niczego, co znalazłeś dotąd. Uważasz, że cierpiąłeś? Podczas naszej ostatniej bitwy dowodziliśmy armiami. Teraz będziemy mieli tylko to, co udało się nam zdobyć. Najdroższy, potrzebujemy cie, lecz nie będę błagać. Kiedyś poprosiłam, żeby nie obnazano mnie na oczach dworu. Nie wysłuchano moich prośb i od tej pory nigdy o nic nie proszę. Jedyne co mogę ci dać to ból i cierpienie, jakich nigdy dotąd nie doświadczyłeś. Wybierz rozsądnie. Jeśli wytrwasz tam, poza kregami świata, może zwyciężymy.

Stała, wyzywając go, niczym sama Roma Dea.

-Możesz tutaj zostać, a ona będzie tobą władcą. Będziesz myślał, że masz swoje gospodarstwo i że jesteś szczęśliwy. Może nawet będziesz mógł cieszyć się tym tak długo, jak długo przetrwa świat. Co wcale nie musi oznaczać - zbyt długo.

U jej stóp rozbłysły ognie. Z wolna spowijał ją dym. Wiedział, że gdy zakryje ją cała - wtedy odejdzie. Słodkie dźwięki fletów i bebenków zabrzmiały przenikliwie i jeszcze bardziej niecaco. Draupadi opuściła welon na głowę i twarz.

-Musisz stawiać czoło próbie i sadowi zarazem. - Podaj za mną i za Orłem, albo zostaniesz tutaj tak długo, jak długo owo "tutaj" będzie istnieć.

Postąpiła naprzód i przywarła wargami do jego ust. Nawet przez szafranowy welon wyczuł ciepło i słodycz.

Dym spowijał ją i przesłonił.

-Pani! Draupadi, nie odchodź! - krzyknął, wyciągając ręce. Gdy je cofnął, pachniały drzewem sandalowym, lecz były puste. Wydawało mu się, że przez całe życie wyciągał ręce do czegoś, czego nigdy nie mógł dostać. Pograżyło go to w nieznośnym smutku. - Wroc - wyszeptał. Głos mu się załamał i lzy skropiły asfodele. Wilgoć parowała spod jego stóp. Był oslepiony, czuł, że ognie, które zabrały mu Draupadi, teraz otoczyły jego.

Szept powrócił, zniekształcony iluzją. Raz jeszcze, z wysokości dobiegł go krzyk orla.

"Powrócić?" - to nie mogło być wyjściem dla Rzymianina. - Pójde za tobą - szepnął zarywaczliwie, z większym zapalem niż wówczas, kiedy przysięgał na znak Legionu.

-Dobrze osadzone! - rozległy się trzy głosy tak harmonijnie, jakby pochodziły z jednego gardła. - Wydałeś na siebie wyrok. Opuść Erebos i wróć do Górnego Świata. Niech tak się stanie.

Orzeł zakrzyknął. Quintus upadł na twarz, by nie ujrzeć przed śmiercią swych sędziów. Muzyka fletów i bebenów rozbrzmiewała ponownie, a on leżał w ciemności. Ziemia zatrzęsała się pod nim. Próbował uchwycić się skały, korzenia, cokolwiek, lecz wszystko było złudzeniem.

Krzyknął dziko, gdy ziemia rozstała się, a metal zapłonął w przepaści wśród skał, na których spoczywała pustynia. Potem spadał, spadał pomiędzy nimi... Olsnął go cudowny widok czystej wody, tryskającej ze skały na kobiety o kruczoczarnych włosach. Obserwowały ją świecące w ciemności obce oczy. Obserwowały także jego. Gdy je mijał, zauważył, że i one były obserwowane przez kolejne oczy - zimne i wrogie. Sam dotyk tego wzroku wywoływał nieznośny ból. Krzyknął, a wtedy szybkość upadku wydarła mu oddech i przytomność.

Rozdział piąty

Helm spadł mu na oczy. Nic nie widział, leżał. Czuł krepujące go wiezy. Lepiej umrzeć, niż być więźniem Partów! Walczył szalenczo, choć w milczeniu. Nie był godnym przeciwnikiem dla człowieka, z którym walczył. -Dis by cie wziął, człowieku, jak myślisz: co robisz? - rozległ się szorstki głos. - Pomóżcie mi go przytrzymać. Nie chce go znowu stracić. Może się już więcej nie przebudzi. Panie, panie, przestań! Jesteś wśród przyjaciół.

Wielkie łapska zacisnęły się na jego ramionach, potraszając nim tak silnie, że przeszła mu wszelka ochota do walki.

Osunał się, sapiąc, na zrolowane płaszcze. Reka, która odjął od czoła, była mokra; szmata zsunęła się z twarzy.

Zolnierze, otaczający go kregiem, wyglądali bardziej na rzeźmieszków niż legionistów. Rufus, starszy centurion, był tym, który go obezwładnił. Wokół jego ust widniał ciemny siniak.

Quintus unosił dłoń, jakby dostał dobrze wymierzony cios na treningu.

-A!... Teraz lepiej.

Rozbłysły uśmiechy. To go zaskoczyło. Wiele razy słyszał opinie o niektórych młodych oficerach - na przykład o Luciliusie - że są aroganckimi ignorantami, nie do zniesienia dla uczciwych żołnierzy. Słyszał o sobie, że ma tyle życia, co posmiertna maska i nie zna się na żartach.

Mimo to, gdy się ocknął, zobaczył ulgę na twarzach swoich żołnierzy. Próbował ukryć wzruszenie.

Z tyłu za nim przykucnął Arsaces - Pers. Jego zęby i oczy połyskiwały w blasku niewielkiego ogniska. Quintus rozejrzył się wokół ukradkiem, wciągnął powietrze, przypominając sobie drzewo sandalowe i kadzidła Draupadi.

Ale poczuł typowe zapachy obozu wojowników Wschodu: gnoju, dymu, potu i zwierząt. Ogień raził go w oczy. Patrząc dalej Quintus ujrzał obok namiotów i posłan stado wielbłądów. Czyżby karawana?

Gdzie byli? Czuł się dziwnie, leżąc przy ognisku jak chłopiec, obozujący wśród wzgórz, nie jak wojownik we właściwie chronionym "castra".

Wszystko się zmieniło. Spojrzył w niebo, jakby szukając czegoś pewnego i trwałego. Tutaj, w głębi pustyni, niebo też wyglądało inaczej. Orion wciąż mógł gdzieś polować na Niedzwiedzice, lecz gwiazdy nie były tu przyjaznymi, mrugającymi plomkami znad doliny Tybru, przeglądającymi się w wodzie wśród mgieł, ani nawet ostrymi świetlikami nieba nad suchymi krainami Syrii. Tutaj ogromne ognie plonęły wśród czystej czerni. Jego spojrzenie zesliznęło się na grzbiet wzgórza. Dmuchał nocny wiatr i blade kleby unosiły się ze szczytu, spływając z grani niczym pył ze zwojów olbrzymiego weza. Czy to było serce pustyni? Myślał, że Syria jest jałowa, ale takiego pustkowia jak to nie wyobrażał sobie nigdy przedtem. A obawiał się, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Lecz były inne pytania, które musiał zadać najpierw.

-Ludzie? - wyszeptał. - Nasz Orzeł?

Rufus powoli opuścił piasek na bandażu, które spowijały jego tors.

-Widzieliście prokonsula - starszy centurion nie zadał pytania, tylko stwierdził fakt.

Wszyscy skinęli głowami. Nie było więc sensu pytać o Orły i zmuszać Rufusa do wydobywania z ciszy zapomnienia wspomnienia hanby.

-W końcu zginał jak Rzymianin. Odzyskał swój honor, broniąc Orłów. To było, kiedy padł, starając się go ochronić. Niedużo nas pozostało. Zaczynamy - w ilu? Około dwudziestu osmiu tysięcy pieszych i czterech tysięcy kawalerii. Przetrawo może dziesięć tysięcy. Większość z nich odesłano do Merv razem z Orłami.

Tak. Quintus pamiętał. Orły zmatowieją na ołtarzach bogów, czczonych przez Partów.

Uczynił jakiś bezładny gest. Nie widział dziesięciu tysięcy pojmanych Rzymian, nie słyszał ich, nie czuł ich ran i chorób, nieuniknionych w przypadku tak wielkiej liczby więźniów. Myślał, że pamięta... Opuścił dłoń na biodro. Nie ma pasa. Palce szukały po omacku broni, którą nauczono go trzymać zawsze w pogotowiu. Nie znalazł niczego.

Powinien był się tego spodziewać.

Widząc go, szukającego miecza, Rufus nie okazał żadnych emocji. To było gorsze od gniewu.

-Oczywiście, rozbroili nas. Nie, żeby się nas obawiali. Wystarczy po prostu zostawić buntowników, a pustynia zaoszczędzi nawet kłopotów z pogrzebem.

-Jak długo byłem nieprzytomny? - wyszeptał Quintus, bojąc się odezwąć głośno. Unosił dłoń i zdumiał się na widok jej drżenia, i tego, że wciąż jest młoda.

-Wystarczająco długo.

To nie była odpowiedź.

-Czemu oni nie...?

Rufus spojrzal srogo.

-Straciliśmy aż nadto Rzymian. Przekonałem tych...

Quintus patrzył na centuriona, dopóki ten nie spuścił oczu.

-Niesiliśmy cie sami. Sami o ciebie dbaliśmy.

-I oni wam pozwolili?

-Wypij to... nie, powoli, jeśli chcesz to zatrzymać. Nie rozlej.

Rozcieńczony ocet zapiekł w gardle, wywołując łzy w zagnionych od pustynnego upалу oczach. Mimo to, smakowało lepiej niż tańta woda z Lety, której nie przyjął od podstępnej istoty, udającej jego "genius loci".

Poczuł się wystarczająco silny, by pytać dalej.

-Pozwolili wam? - powtórzył. - Zadam odpowiedzi, centurionie.

-Wyświadczono nam tę wielką łaskę - rzekł Rufus. - Ja... przekonałem ich.

Mocarna reka Rufusa zacisnęła się na manierce, po czym rozluźniła.

Quintus rozejrzał się po kregu Rzymian. Wzrok wbili w ziemię. "Musiał błagać." Kiepska podzięką byłoby dalsze drażnienie sprawy. Patrzył w niebo na wielkie gwiazdy, szukając innych pytań.

-Czy to jest głęboka pustynia? - musiał to wiedzieć.

-Ta odrobina piachu i skal? Nie bardzo. Ch'in powiedzieli mi, że będziemy wspinać się na góry, przy których Alpy są pagórkami - kulturalny głos Luciliusa przeszył go nagle, niczym palce chirurga, przeszukujące rane. - Tam pustynia staje się naprawdę niebezpieczna. Jak w opowieściach o Trachonitis. Nie słyszałeś o tym nigdy od swoich nauczycieli?

Quintus prawie widział brwi młodego patrycjusza, tworzące pogardliwy łuk. Przemierzali teraz ramie w ramie krainę, gdzie różnice między patrycjuszem, ekwitem czy plebejuszem, lub nawet między oficerem i żołnierzem były znacznie mniejsze niż różnica między Rzymianinem i cudzoziemcem - albo między żywym i martwym. Tak więc, Lucilius mógłby pohamować swoje wrodzone poczucie wyższości.

"Może to wszystko, co mu jeszcze zostało?" - ten głos w uszach Quintusa. Czy była to kobieta, o której snił, czy też może zmadrał po tej koszmarnej wizji Hadesu? Nie? Gdzieś ty dorastał... No coż - Trachonitis to kraina węży i bazyliżek. Mówią, że jest tak jadowita, że gdy padnie na nią cien ptaka - spadnie martwy. Tobie to zawdzięczamy, Quintusie. Gdybyśmy cie porzucili, zostalibyśmy w Merv. Na zawsze.

-Razem z... innymi? - Był zadowolony, że ciemności skrywają jego rumieniec, tak ciężko było o to zapytać. - Co stało się z...

Rufus zwiesił głowę.

-Niewolnicy. Wspomóżcie ich bogowie. Przynajmniej mają różne cenne umiejętności, może się wykupią...

-O ile ci barbarzyńcy przestrzegają przyzwoitych praw - przerwał Lucilius.

-Mają również Orły. Z wyjątkiem tego, który omal nie znalazł się w twoim mózgu. Ten jest osobistą własnością Ssu-ma Chao, który chce zabrać go do Ch'in dla swego cesarza. A nas razem z nim. Zdecydował, że jesteśmy dla niego pomyslną wroźbą, czy coś w tym rodzaju. Dziwni ludzie z tych złotych barbarzyńców, skoro uważają pokonanie Rzymian za dobry omen. Ale to jest nasza szansa na uniknięcie jarzma.

-Ukończymy zatem peregrynację Aleksandra. Z Nisibis obok Merv, dalej do Marakandy i między wzgórz. Potem w głąb prawdziwej pustyni, która usmazylaby każdego Macedonczyka. Dis niech mnie porwie, jak oni wymawiają tę nazwę?

-"Takła Makan Shamo" - odezwał się Arsaces. W jego głosie zabrakło szyderstwa, tego niechcianego bliźniaka

Luciliusowej pogardy. To przeraziło Quintusa bardziej niż ostrzeżenia. - Oznaczało: "Jeśli tu wejdiesz, nie wyjdiesz". Kiedy byłem młody, przeciałem sam jej kraniec, jako ochrona karawany. Jest straszliwa, pełna wyblakłych kości ludzi, zwierząt. I ruin miast. Nazywają ją Królestwem Ognia, lecz nie jest to ogień ofiarny. Nie mogłbym przysiąc, ani nie wypilibym za to haomy, ale - rozejrział się, jakby wypatrując podsłuchujących - są tacy, którzy twierdzą, że ta pustynia jest pełna demonów.

Czy szpicle, za którymi rozglądał się Arsaces, są istotami cielesnymi? Pers wykonał gest odpędzania sił nieczystych, który Quintusowi zdarzało się już widywać, lecz nigdy u sceptycznych jeźdźców perskich.

-Pustynia jest wystarczająco groźna bez ciebie i twoich demonów - warknął Rufus. Jego dłoń powędrowała do szyi, na której nie miał jednak amuletu.

Lekceważąc opowieści Arsacesa o upiorach i wyblakłych kościach, Quintus przypatrywał się pustyni. Sądząc po ilości wierzchowców, karawana, z którą jechali, była mała i szybka. Podróżując szybciej od niedobitków Legionów Krassusa, pokonywała o wiele dłuższą trasę.

Nigdy już nie ujrzy swojego gospodarstwa.

Nie oczekiwał tego. Z drugiej strony, nie wierzył, że przeżyje. Quintus sięgnął wzrokiem poza obozowe ogniska i stado kłęczących wielbłądów. Chłodny nocny wiatr wzbijał z wydm tumany piachu. W świetle ognia piasek miał kolor szafranu - barwa welonu kobiety lub ducha.

Wysoko nad głową rozbłysła gwiazda, spadająca w poprzek nieboskłonu ku wschodniemu horyzontowi. Quintus mógłby znowu być chłopcem, wędrującym wśród wzgórz z ojcem lub dziadkiem. Uśmiechnął się mimo woli. Zaboląły go szczęki, nieprzyzwyczajone do takiego wysiłku. Spadła na prawo: sprzyjający omen, bogom niech beda dzięki.

Spojrzał przez ogień na ludzi, którzy wciąż trwali u jego boku. Rufus, Arsaces, nawet Lucilius, a za nimi reszta pozostałych przy życiu legionistów. Wielu owinęło sobie głowy zawojami - sztuczka zapożyczona od Azjatów. Ich oczy i zęby - prawie wszystko, co mógł dojrzec pomiędzy zwojami grubej tkaniny - błyszczwały czerwono w świetle ogniska. Teraz zrozumiał: jeżeli chcieli przetrwać, musieli przyjąć pustynne obyczaje, aż wreszcie przestaną wyglądać jak Rzymianie. Stopniowo przestaną być Rzymianami. Kim więc wtedy będą?

Poddanymi? Ludźmi bez miasta i imienia. Nie można pozbawić Rzymian imion: można ich tylko zabić. Jego ojciec poległ za tę prawdę.

Lepiej o tym nie rozmyślać. Był żywy. To byli jego ludzie. Potrzebowali się nawzajem.

Wiatr zawirował, zsuwając się z wydm, które wziął za wzgórza. Tak więc, nigdy już nie zobaczy swego gospodarstwa, nigdy go nie wykupi, nigdy nie oczyści jego ołtarzy. Lecz co zobaczy? Nagła ekscytacja przeniknęła jego świadomość niczym spadająca kilka chwil temu gwiazda. Wyglądała jak orzeł, powracający w chwale do swego podniebnego gniazda.

"Tylko sobie wyobraź: ujrzysz Marakandę - pomyślał. - Kto by przypuszczał, że twoje ścieżki skrzyżują się ze szlakami Aleksandra?" Na chwilę ogarnęła go radość. Stłumił ją. Nie warto poddawać się nastrojowi niecierpliwego wyczekiwania w obliczu hanby i klęski.

-Bez wątplenia - powiedział Lucilius - my także jesteśmy niewolnikami. Nie takimi, których pokazuje się na ucztach. Przedziej gladiatorami - dokończył, jakby nienawidził Quintusa za ten przelotny uśmiech, a pozostałych za to, że jeszcze żyją.

Wstał i odszedł od ogniska.

Gladiatorzy. Krassus, który tak krwawo stłumił rewoltę gladiatorów, przegrał niesławnie z barbarzyńcami; Lucilius nigdy o tym nie zapomni. Nic dziwnego, że nie wyglądał na równie przybitego utratą broni, jak pozostali.

-Na coż mu "gladius", skoro ma taki ostry język? - spytał Rufus. Wyglądało, jakby zamierzał splunąć, lecz się powstrzymał.

Wśród mroku zamajaczył ciemniejszy kształt. Ujrzeni, jak jasniejsze światło ogniska, od którego oderwał się ten człowiek. Wygląd helmu, pikowana zbroja i włócznia były obce dla ich oczu. Quintus wywnioskował z tego, że jest to jeden z wojowników Ch'in, pilnujący pojmanych Rzymian. Lucilius wskazał na ledwie tłący się ogień, a potem na duże ognisko w centrum obozu. Tamten skinal głową.

-Bez wątplenia już się dogadał z Ch'in - mruknął Quintus do centuriona. Rufus przytaknął nie zwracając sobie głowy

udawanym zdumieniem, co uczyniłby, gdyby wciąż byli armia, gdzie różnica między oficerem-patrycjuszem a pozostałymi dyktuje zakres władzy.

-Przynajmniej zapewnił nam częściową wolność obozowania, panie. Ch'in zakładają, że jeśli pilnują wody, pustynia upilnuje nas.

Quintus zaśmiał się cicho.

-Nie będę się z nimi o to spierał. Oni znają te okolice.

-A ja myślę, że są ciekawi, co zrobimy. Trybun mówi, że mają o nas najprzeróżniejsze wyobrażenia. Kupcy? - wzruszył ramionami. - Niektórzy z nich to kobiety.

Quintus szedł.

-Więc o to chodziło Luciliusowi. Nie udało mu się, ale należało się tego po nim spodziewać.

Ich oczy spotkały się. Każdy Legion ma kogoś takiego. Człowieka, będącego skończonym pieczeniarem. Albo takiego, który potrafi wyłgąć się z każdej kary. Lub pomóc kolegom obejść centuriona, czy trybuna. Może to było przyczyną jego próby zbliżenia się do kobietkupców. Dziwny pomysł. Raczej było mało prawdopodobne, że okazał się bardziej wielkoduszny od mężczyzn.

Zazwyczaj legionowy spryciarz nie był trybunem. Wyludzał przeważnie drewno, skórzane rzemienie, wino lub jedzenie. W odrozdzeniu od klienta nie szukał jednak politycznych przysług.

Wszyscy Rzymianie, którzy przeżyli, wychowali się w cieniu terroru Mariusa i Sulli. Lucilius wdychał politykę razem z mgłami Tybru. Jeśli Fortuna pozwoli, będzie bronił ich interesów tak jak własnych. Jeśli nie... Quintusa przeszedł dreszcz. Zastąpił mięśnie zaprotektowały. Jeśli nie, to co jeszcze gorszego może się im przydarzyć?

Poderwał ich hałas. Rozdzwieczały się dzwonki zbliżającej się karawany. Wielbłądy zaryczały, gdy rozładowane na noc przypomniały sobie własną niedolę. Rozległy się głosy, krzyczące w co najmniej trzech językach.

-Nadjeżdżają z Nisibis - rzekł Arsaces. - Najlepiej podróżuje się z przyjaciółmi.

Uniosł głowę.

-Ostro popędzają swoje zwierzęta. Zbyt ostro. Niemądrze...

-Z przyjaciółmi? - Rufus odwrócił się w jego stronę.

-W porównaniu z pustynią wszyscy uczciwi ludzie urwali z celową ironią - są przyjaciółmi. Oczywiście, zdarzają się również bandyci. Dlatego też uczciwie... karawany łączą się, podróżując na wschód.

Quintus doskonale to rozumiał. Ch'in, ze swoimi dobrze uzbrojonymi żołnierzami, stanowili dużą szansę przetrwania wszystkiego - prócz ataku, a żadna duża armia nie przejdzie tu bezpiecznie.

-Kto przybywa? - zapytał.

-Chyba jakiś kupcy - mruknął Rufus. - Uzbrojeni. Widziałem wlocznie, strażę.

-Nisibis jest jednym z węzłowych punktów drogi na wschód - głos Arsacesa przybrał śpiewny ton. - Z Nisibis do Buchary, z Buchary do Marakandy, do Fergany pełnokrwistych rumaków... między wzgórzami i w dół, ku Kaszgarowi, zanim ruszymy w poprzek Kowadła Ognia... Gdyby to była kupiecka karawana, poczekalibyśmy... ach, długo, długo, szlachetni panowie, dopóki nie przyłączyliby się wszyscy, którzy chcą przebyć pustynię. Dopiero wtedy moglibyśmy wyruszyć. Długo trzeba by czekać na następną karawanę... zwłaszcza w środku lata.

Od głównego ogniska dobiegły ich odgłosy śmiechu i wrzawy. Krzyki przypominały Quintusowi walkę w namiocie Sureny. Ponownie sięgnął po miecz, którego przecież nie miał. Żadnej broni, z wyjątkiem obiecanego przez Draupadi cudownego oreza, który być może kiedyś znajdzie na pustyni.

Do licha! Czy była tylko gorączkowym majakiem?

Chrzest zwirowi, który zastąpił piasek w tej zapomnianej przez bogów dzicy, poderwał go na równe nogi.

-Stac!... W porzadku, to tylko trybun.

Lucilius wkroczył w krąg światła. W migoczącym blasku ognia jego twarz była czerwona, a oddech przyspieszony.

Wszyscy Rzymianie, spoczywający wokół ogniska, zerwali się z miejsc. Arsaces spojrzal na zwierzęta i strażę, po czym zamienił się w słuch.

-Widzieliście karawane - powiedział Lucilius. - Zauważyliście zapewne jak szybko nadjechała. No coż, wiem dlaczego.

Quintus zauważył już dawno temu, że gdy patrycjusz coś "wie", zachowuje tę wiedzę dla siebie, chyba że podzielenie się informacją da mu większą korzyść.

"Czego chce tym razem?"

-Przybyła prosto z Artaxaty - kontynuował trybun - z dworu Artavasdosa w Armenii.

Arsaces gwizdnał.

-Ile zwierząt zabili po drodze? Jakie wieści z wesela?

Rzymianie spojrzeli zdziwieni na drobnego, ciemnoskórego sojusznika - ten zaśmiał się cicho:

-O tak, na pewno było wesele. Gdy tylko Artavasdos i... największy z prokonsulów rozstali się, my, którzy się tu urodziliśmy, wiedzieliśmy, iż powstanie nowy sojusz.

-Dopóki Rzym był silny, Artavasdos...

Quintus unosił dłoń, przerywając Luciliusowi, w którego głosie pobrzmiwała już ślepa wściekłość. "Gravitas" było jedną z cnot, o których Lucilius zapominał zbyt często. Jeśli teraz przestanie nad sobą panować, to jak można oczekiwać, że ludzie, którymi on - lub ktoś inny - musi dowodzić, będą posłuszni? Rzymscy weterani zamieniają się w hałastre niewolników i zginają wśród piasków pustyni, a ich imiona, dusze i ciała roztopia się na zawsze w niebycie.

-Słyszales trybuna - warknął Rufus.

Quintus zerknął na Luciliusa. Napięty niby cieciora luku, która za chwilę pęknie, nie był on zdolny, by podjąć teraz swoją rolę dowódcy. "Bardzo dobrze - pomyślał Quintus - ludzie będą potrzebowali czasu, by zacząć myśleć o mnie jako o swoim wodzu."

Pomysł był arogancki, nierealny, może nawet rewolucyjny, lecz kto mógł to teraz stwierdzić? Krassus, przybijający zdrajców do krzyży, był martwy, a Quintus omal nie poległ w jego obronie. Nie chciał dowodzić, tak jak nie chciał zaciągnąć się do Legionów czy opuścić gospodarstwo lub stracić ojca. Każda decyzja, którą podejmował, miała na celu przetrwanie. Bardzo proste: przedkładał swoje sady nad sady Luciliusa, a opiniom Rufusa wierzył bardziej niż własnym. Skoro Rufus zdecydował się pojsć za nim - ten wyjątkowy przypadek, gdy silny służy słabemu - musi założyć, że przebiegły starzec pomoże mu doprowadzić sprawę do pomyślnego końca.

-Armenia może wybierać sobie sojuszników. Król Królów - gdyż takie tytuły noszą armenjscy władcy - wybrał Rzym. W głosie Arsacesa, przytłumionym teraz przez zawoj, brzmiała cała pogarda Persów dla króla-samozwanca. - Gdy tylko najjasniejszy prokonsul postanowił podróżować bezpośrednio przez Syrię, miast bezpieczniejszą trasę, Artavasdos zdał sobie sprawę ze złego wyboru.

Quintus przypomniał sobie, że Lucilius przyczynił się do podjęcia tej decyzji. Gdy on sam wyraził wątpliwości, zakrzyczano go. Przypomniał tamto zdarzenie i został nagrodzony pomrukiem aprobaty ze strony zgromadzonych wokół ognia Rzymian.

-Pozwolicie mi mówić? - spytał Arsaces. - Król Królów, Artavasdos, ma siostrę. A król Partów, Orodes - syna Pacorusa. Książę Pacorus nie jest zbyt wiarygodnym człowiekiem, lecz przysiągłbym na światło, że Orodes wolalby właśnie jego na swego dziedzica niż na przykład Surene. Zgodzicie się z tym?

-Powinnismy wiedzieć, że razem z następcą tronu wywołają jakiś skandal - powiedział Rufus. Wstał, wyciągając rękę do Quintusa.

Ten spojrzal na Arsacesa, potem na Luciliusa. - Czy to wszystko? - zapytał.

Ku jego zaskoczeniu, Lucilius zwiesił głowę. Wstyd jemu? - Dalej - rzekł. - Niech usłysza. Sam bym powiedział, ale język przysycha mi do podniebienia.

Quintus napiał mięśnie i chwycił reke centuriona. Stanawszy na nogi stwierdził, że może chodzić, choć bardzo wolno.

-Piękna jest Artaxata, ze swymi walami obronnymi gorującymi nad Araxes, płynąca chyżo nawet latem. A Artavasdos jest człowiekiem pewnej kultury, choć nie jest Persem - ciągnął Arsaces.

Rufus parsknął.

-Oszczędź nam swych gornolotnych zachwytności, jeźdźcze. Jesteś prostym żołnierzem, jak inni...

-Artavasdos zna grekę - odezwał się Lucilius. - Wystarczająco dobrze, by napisać ode. Śpiewano ją na weselu.

-Jeśli chcesz, możesz ją dla nas przetłumaczyć - rzekł Quintus. Wyrafinowany chwyt - zamienić patrycjusza i oficera w zwykłego tłumacza. Nie jest źle z jego głową, nawet po tym ciosie Orlem... (Lepiej o tym nie myśleć. Lepiej nie myśleć o Orłach - zdobytych i odesłanych, być może razem z bronią, której ich pozbawiono.) Ukoił jednak zranioną dumę Luciliusa:

-Twoja greka zawsze była lepsza od mojej.

Prawie nie znał tego języka, lecz nie pragnął tego ujawnić.

Szli w stronę centrum obozu. Oczy Quintusa stały się bardziej wrażliwe; okazało się, że całkiem źle widzi w ciemnościach. Ktoś zaszurał nogami.

-Obawiacie się węży i dlatego chodzą tak niezgrabnie? Wy - którzy jesteście dumni z tego, iż zawsze jesteście w marszu? - zganił ich Arsaces. - Gdybyście włożyli właściwe...

Syknienie uciszyło go, choć wydal je człowiek, a nie wąż.

W miarę rozjasniania się ognia krzyki stawały się coraz głośniejsze. Quintus stapał ostrożnie. Opowieści Luciliusa o Trachonitis przypomniły mu, że zablądził w rejony odległe i obce, ziemie, które widzieli tylko Ksenofont czy Aleksander. Możesz tu umrzeć, a ostatnia rzecz, jaką zobaczysz, będzie stworzona prosto z legendy, wynurzająca się z piasku lub pikująca z nieba, by cię zabić.

To, co pojawiło się, blokując im drogę, nie było jednak pustynnym potworem, lecz długimi, śmiercionośnymi włóczniami w rekach dwóch bardzo zdeterminowanych wojowników Ch'in.

Jeden z nich krzyknął. Chwila, jaka zabrało im zrozumienie mocno okaleczonego partyjskiego,omalże nie stała się ich chwila ostatnia.

Włócznia strażnika Ch'in dotknęła gardła Quintusa.

Rozdział szesty

Lucillus przeszedł tedy prawie bez kontroli - przemknęło Quintusowi przez głowę. Czyżby zdrada? Opanował go strach.

Czyżby znowu zdrada?

Za sobą słyszał skrzypienie butów Rzymian i ich przyspieszone oddechy. Ostrożnie otworzył usta. Ostrze włóczni naciskało mocniej. Pomimo chłodu pustynnego wiatru, ciepły strumyczek spływał mu po szyi.

Stojący obok niego Arsaces zaczął protestować i koniec włóczni ugodził go z nienacką. Upadł i leżał skulony, wykazując większą ostrożność, niż Quintus by od niego oczekiwał.

Zgiełk obozu pozostał gdzieś daleko. Nawet wieści Luciliusa straciły teraz na znaczeniu, w porównaniu z najdrobniejszym odgłosem, który strażnik Ch'in mógłby wydać, zmieniając pozycję, lekkim drgnieniem mięśni czy spojrzeniem, zwiastującym śmierć. Wiatr poderwał gruboziarnisty piach i cisnął go z sykiem serpentyna o ziemię. Quintus wzdrygnął się. Wystarczyłby jeden wąż, pelzający, przeslizgujący się wokół ich stop - nie miał złudzeń, że udaloby mu się pozostać w bezruchu, nie oczekiwał też tego od innych.

Syczenie narastało. Zamknął oczy. Pomyslał, że węże są równie często święte, co przeklinane. Wąż poświęcony był świątyni w Delfach. Rolnicy potrzebowali ich, by ziemia dobrze rodziła. Węże zabijały szczury. Mimo wszystko, zimny pot spływał mu po plecach. Jeśli to są węże, za chwilę wszyscy będą martwi. Słyszał jak oddechy jego ludzi stają się coraz

szybsze, coraz bardziej chrapliwe.

Moze wlasnie w tej chwili pelzna pod ich stopami. Spojrzal straznikowi Ch'in w oczy. On tez czul strach, lecz rece na wloczni ani drgnely. Byl zbyt niebezpieczny, by sie bac.

Quintus probowal opanowac oddech, mimo ze lek przed gadami omal go nie zadlawil. Ktos musi ich przepuscic. Powinien sprobowac.

Nastepny podmuch. Piasek szelescil i syczal wokol nich, unoszac sie wraz z wiatrem, ktory przybieral na sile. Dotarl do kolan, unoszac sie coraz wyzej... Oddychanie stawalo sie coraz trudniejsze. Chmura zakryla ksiezyc, jak plaszcz zakrywa twarz.

Glosny krzyk zmusil straznika Ch'in do podniesienia glowy. Na kolejny okrzyk opuscil wlocznie. Zblizal sie jakis ciezkozbrojny z wlasna straza. Ze wscieklym zniecierpliwieniem odtracil drzewce. Wiatr ucichl. Ksiezyc wynurzył sie zza chmur, przybierając czerwony kolor.

Arsaces osunal sie na kolana i zacyzal bic poklony, jakby oficer Ch'in byl samym Krolem Krolow.

Quintus przyjrzel mu sie: widzial go po prawicy Sureny. Wrog. Zdobywca. Czlowiek, ktory zabral im bron i Orla. Który wpedzil ich w straszna pulapke - Azje - z ktorej nigdy sie nie wydostana.

-Mowi, ze ten... zolw... popelnil blad - przetlumaczyl Arsaces. Jego glos nabral znow cynicznego tonu. Oficer Fartow byl lepszy od zoldaka.

-Podziekuj mu za wyprowadzenie go z bledu, dobrze? - powiedzial Quintus.

-Daje za to glowe - odparl Pers i przemowil szybko.

Oficer wybuchnal smiechem.

Zolnierz padl na kolana i zacyzal czolgac sie w kurzu. Podniosl glowe i spojrzal w gore. Quintus zauwazyl przerazenie w jego oczach.

-Mowi, ze naprawde nie wie, co sie stalo; ze po prostu zobaczyl wrogow.

Oficer kopnal go i zaklal.

-Rozkazy mowia, ze wiezniowie z Ta'Chin nie moga zostac skrzywdzeni. Przypomina temu tu... Pyta jeszcze, dlaczego sie nie klaniasz.

Rufus prychnal:

-Jak ten plaszczacy sie glupiec?

-Powiedz mu, ze jestesmy Rzymianami - rozkazal Quintus. - Nie lezy to w naszym zwyczaju.

Przypomniat sobie, jak koniecznosc klaniania sie patronowi omal nie zabila jego dziadka. Mogl tylko przypuszczac, co staruszek pomyslalby o prostackich Azjatach. Quintus przysiagl sobie nigdy sie nie ukorzyc, chocby mialo go to kosztowac zycie.

Czym bylo zycie w porownaniu z honorem? Od czasu Carrhae bylo jak pozyczone pieniadze - nie wiedzial, kiedy ktos zazada zwrotu i na jaki procent.

Moze Lucilius chcialby zyc w ten sposob (tak wlasnie dotad postepowal, i dlatego jest tutaj, na pustyni). Quintus mial nadzieje, ze wykaze sie wieksza odwaga. Wiatr zasyczal drwiaco.

-Mowi, ze nazywa sie Ssu-ma Chao - przetlumaczyl Arsaces. I dorzucil:

-To szlachetne imie.

-Tak, jak Lucilius - powiedzial drwiaco Quintus.

-Przekaz mu, ze nie jest w naszej naturze upokarzac sie przed zwyklym czlowiekiem.

Oficer rozesmiał się i przemówił gwałtownie:

-Macie sztywne karki wy, Rzymianie, tak długo, jak długo spoczywają na nich wasze głowy. Nie widzieliśmy wcześniej takiej odwagi. Inna, lecz nie taka. Dlatego też zmierzacie razem ze mną na Wschód. Wy - i Orzel.

Bardzo łatwo byłoby rzucić się teraz na niego i umrzeć. Zbyt łatwo. Gdzieś w tym obozie były ukryte rzymska broń i rzymski znak. Muszą spróbować je odnaleźć; wtedy pokażą tym ludziom, jak twardzi są Rzymianie.

Gniew i zamiary Quintusa musiały odbić się na jego twarzy, gdyż Ssu-ma Chao spojrzal mu w oczy. Potem przyglądał się po kolei każdemu Rzymianinowi, zatrzymując wzrok przy Luciliusie. "Czy Lucilius zdążył już zdradzić?" - zastanawiał się. Bez wątpienia, okaże się to w najgorszym momencie.

Ssu-ma Chao, ciągle rozesmiany, pozwolił im przejść i oddalić się ku płonącym pochodniom.

Oglądanie się za siebie było poniżej godności Quintusa - jako oficera i Rzymianina. Mogł jednak nasłuchiwać i nie omieszkał tego robić. Ciężkie, podkute buty szlachcica Ch'in skrzypiały za jego plecami. Wiał wiatr. Quintus wsłuchał się, ale nie wychwycił syczenia i szelestów, które dobiegały go wcześniej. To go jednak nie uspokoiło. Podejrzewał, że do końca swych dni będzie wyczekiwał odgłosów bebnów i mosiężnych dzwonek - dźwięków, oznaczających śmierć. Od chwili, gdy jeźdźcy Sureny przelamali czworobok Rzymian pod Carrhae.

Obecność centuriona tuż u jego boku dodawała Quintusowi pewności siebie. Teraz nawet Lucilius okazał się pożyteczny. Znal każdego człowieka w karawanie i potrafił ich odróżnić od nowo przybyłych. Prowadził ich więc niedostrzegalnie w stronę ludzi, którzy przybyli nocą z dworu królewskiego w Armenii.

Po nadejściu karawany doszło do przemieszania wojsk. Nawet Quintus mógł teraz odróżnić ciemne brwi i dumnie zagięte nosy Armenczyków od gładkości Persów czy żywości Hellenów. Innych nie potrafił zidentyfikować - nie pochodzili z Ch'in, nie byli Saka ani nawet Hsiung-nu - przeklinani daleko na wschodzie lupieżcy. W dodatku wyglądali znajomo... Dlaczego?

-Możemy stąd odejść - mruknął Lucilius. - Wypytywanie ich o cokolwiek jest jak wyjmowanie niejadalnych ostryg z muszli.

Czy byli więc kupcami, przyjmującymi kobiety do swego grona? Ich wyrafinowany wygląd mógł być dla patrycjusza bardzo pociągający: zmuszał do myślenia o... no cóż, o patronach dziadka.

Czego mógłby chcieć od kobiety? Zanim przepadły jego rodzinne grunty, marzył o wiejskiej dziewczynie, o dziewczynie, której grube warkocze skrywałyby szafranowy welon. Szafran... pamiętał go ze swych snów.

Ciemne włosy, spływające jak jedwab na szczuple ramiona, głęboko osadzone kocie oczy, obserwujące go bacznie. "Draupadi."

"Omen kobieta? Taki znak powinien być dla kobiety" - nieledwie słyszał słowa dziadka. Prawdopodobnie dodałby jeszcze, że dla kobiety nie związanej z ich rodziną.

Musi być inna przyczyna, racjonalne wyjaśnienie, dlaczego ci handlarze wydają się skądś znajomi. Gdzieś już musiał widzieć twarzę podobną do twarzy kobiety, o której snił... "Niemożliwe. Kto by pozwolił takiej piękności podróżować tymi drogami?" - Może w karawanach, w których podróżowali mieszkańcy Hind?

Draupadi... pamiętał ją, tak jak pamiętał "genius loci" swojego gospodarstwa. Giętkość członków, powłoczyste spojrzenie, gładkość włosów i ciemna skóra przywoływały jej obraz. Lecz oczy Draupadi - przynajmniej we śnie emanowały ciepłem. Przybysze mieli naciągnięte kaptury na głowy, a wyraz ich ciemnych oczu sugerował, że nie obawiają się otaczających ich ludzi. Usta Draupadi były wydatne, ich zacisnięte, nie zdradzające niczego prócz woli chwytania i trzymania. Podobieństwo było okrutnym szachrajstwem, porównywalnym z migotliwą fatamorgana.

Jeden z ciemnoskórych kupców, jakby czytał myśli Quintusa, odwrócił się trochę w jego stronę. Spod przyciemnionych proszkiem powiek błysnęło spojrzenie niczym iskra, buchająca z płonącego drzewa. Obawa? Czy może oceniali wartość zdobyczy?

Quintus wytrzymał ten wzrok, choć palce powędrowały ku rekojści miecza, którego jeniec nie miał prawa nosić. Widział łagodniejsze spojrzenia rzucone przez zmiję.

Nozdrza mu zadrzały. Poczł nad sercem znajome ukłucie. Mogłby założyć się o całe złoto, którego nie miał, że gdyby wydobył ukrytą, roztanczoną figurkę, jej pochodnie rozblęsnęły ostrzeżeniem.

Znowu dmuchnął wiatr i jedyne co czuł, to zapach ognisk i zwierzecego lajnia.

...tak duzo za rzymska dume? Sa lepsze rzeczy do swietowania, niz wziecie narzeczonej do wspolnego loza!

Quintus nie doslyszal, kto to powiedzial. Podejrzewal, ze byl to jeden z mezczyzn o nieznanej narodowosci.

Ryk smiechu szybko ucichl, kiedy zauwazono Rzymian.

-Niedobrze - mruknal Rufus. - Spojrzcie, jak wykradaja sie ci Grecy.

To nie byli Grecy. Obcy cofneli sie, pozostawiajac miejsce Armenczykom.

-Co te slowa mialy znaczyć? - Quintus zapytal polglosem Luciliusa.

-Niech oni ci powiedza - zakpil patrycjusz, jakby nienawidzac wszystkich - zarowno Rzymian, jak i pozostalych.

-Zapytaj ich - Quintus wypchnal naprzod Arsacesa. - Powiedz: "Mowiliscie cos o Rzymie. Powtorzcie to w mojej obecności".

-Czy to cios w glowe, czy tez pustynne slonce dotknelo cie szalenstwem? - spytal Lucillus.

-Chciales, zebysmy dowiedzieli sie wszystkiego, co mozna. Czemu wiec uskarzasz sie na rezultaty? - warknal Quintus.

Wystapil naprzod.

-Mow - rozkazal Armenczykowi, przyblizajac sie do niego.

-Wybaczcie, wielcy panowie! - kupiec zgial sie w uklonie, jakby Quintus byl samym prokonsulem, stojacym w pelnym uzbrojeniu na czele Legionow.

Gdzies z dala, z obozu wsrod jalowych ziem, dobiegl ich krzyk.

-Wybaczcie co?

Pozostali Rzymianie zblizyli sie do Quintusa.

-Odbyl sie slub, panowie. Ucztowano i spiewano. Deklamowano poematy napisane przez naszego Wielkiego Krola. On jest bardzo uczony. Pozniej usunieto stoly, a Jason spiewal... Czy znacie "Bachantki" Eurypidesa?

Quintus zmarszczyl brwi. To o krolu Teb, ktory sprzeciwil sie kultowi Dionizosa, oszalal i blakal sie po wzgorzach, gdzie zostal rozszarpany przez krewne.

-Krwawe piesni jak na uroczystosc zaslubin - powiedzial.

Armenski kupiec potrzasnal glowa. Teraz, kiedy pojal, ze Rzymianie nie maja zamiaru go pobic, wyraznie zhardzial, zwyczajem kupcow, gdy juz nie licza na transakcje.

-Jest znakomitym, wielce cenionym spiewakiem. Wystepowal przed Krolem Krolow i otrzymal szczodre wynagrodzenie. Nastepnie wszedl Sillaces i padl na twarz. Gdy pozwolono mu wstac, cisnal zebrany jakis zawiniety ksztalt - kupiec zamilkl, nasladujac umiejetnosc wychwalanego artysty. - To byla glowa waszego wodza, wielmozni panowie.

-Bogowie. Bogowie - wymamrotal stojacy za Quintusem Rzymianin.

-Spokojnie, czlowieku - mruknal Rufus.

"Krassus byl na wpol szalony, ale wykrzyczal wyzwanie, gdy Surena zagarnal Orly. A Quintus runal do boju, by go ocalic; poczul surowa dlon prokonsula na swojej glowie na chwile przed ciosem, ktory omal nie rozlupal mu czaszki."

Skoro mogli znosic tamto wspomnienie, rownie dobrze zniesie i te opowiesc. Jest przeciez Rzymianinem i synem swego ojca.

-Krol Krolow nazwal Sillacesa swoim mlodszy bratem i ofiarowal mu pocalunek braterstwa. A ludzie wiwatowali, tanczyli i pili wino. Kiedy zas ucichli, wystapil Jason. Znalazl rozdzke i kolysal nia, niczym oszalala bachantka "thyrsusem".

Prawda jest, ze Wschod wykarmil poteznych wrogow, ktorzy nigdy nie zapominaja i nie wybacza. Kupiec pochylil sie do przodu i dokonczyl opowiesc:

-Podniosl glowe i zaspiewal strofy Agara: "Zakonczyliśmy dzis wspaniale polowanie i przyniesliśmy z gor szlachetna zdobycz". Glowe waszego wladcy.

Ktos stojacy za nim odchrzaknal. Quintusa zapiekly oczy. Chcial krzyknac pelnym glosem, przysiac na wszystkich bogow, ze zbuduje kolumny z odrabanych glow, siegajaca nieba. Nie, by oplakiwac Krassusa, lecz aby biadac nad hanba RZYMU.

Czul rosnace wzburzenie Rufusa, gotowego rzucic sie do walki.

Stara, nudna Liwia miala racje. "Vae victis." Biada pokonanym.

-Ostatnia, najlepsza rola starego skapca - rozlegl sie szept.

Quintus nie mial watpliwosci czyje to slowa. Rufus nie moglby sobie tego odmowic.

Podtrzymywalo go teraz tylko wspomnienie dziadka, stojacego przed poslancem, ktory przyniosl mu wiesci o smierci syna. Gdy bronil sie wyciagnietymi rekami przed rozpacza, jego palce natrafily na sakiewke. Jakims cudem uchwaly sie w niej drobne.

-Za twoje wiesci - powiedzial, ciskajac kupcowi monety, niczym rynkowemu gawedziarzowi. A jego glos zabrzmial, jak wtedy glos dziadka, zdumiewajaco spokojnie.

Stojacy za Quintusem legionisci odprezyli sie i wyczul, jak bardzo potrzebne im bylo jego z trudem osiagniete opanowanie.

-Dajesz lepsze przedstawienie niz twoj wladca! - zawolal stojacy w polcieniu czlowiek w czapce nasunietej gleboko na glowe. "Jeden z Persow" - pomyslal Quintus, ale nie - on tylko nosil perska szate, lecz byl jednym z tych nieznanym, tajemniczym przybyszow.

-Opowiedz wszystko! Powiedz, jak Orodes obiecal Sillacesowi duzo zlota, i jak potem zaplacic mu, lejac roztopiony kruszec w usta tej glowy, gdyz byl to jedyny sposob, by nasycic apetyt Krassusa. Szkoda, ze nie widziales tych plomieni, Rzymianinie! Szkoda, ze nie czules, jak sie smazy!

Quintus zagrodl reka droge legioniscie, ktory rzucil sie naprzod. Zaczac walke? Mogliby, oczywiscie. A Ssu-ma Chao, rownie oczywiscie, skazalby ich na smierc. Straciliby szanse na odzyskanie broni, Orla i honoru.

-Glupcze, on chce, zebysmy walczyli. Naprzod wiec. Jesli nie zabija cie Ch'in, to na bogow, j a sam to uczynie! - ryknal. - Stac spokojnie. Na wszystkich bogow, pokazemy im Rzymian.

Gdyby czworobok pod Carrhae stal rownie nieporuszenie, nie byloby ich teraz tutaj, twarza w twarz z szydzacym tlumem kupcow, poganiaczy wielbladow i jezdcow. Nie musieliby manifestowac sily swego charakteru przed tym kpiacym z nich szlachcicem z Ch'in. Quintus odetchnal z ulga, jego ludzie stali dumnie, spogladajac z gory na zgromadzony motloch. Ich spokoj stopniowo uciszal ujadajacych wokol barbarzyncow.

Na dlugi moment zapadla cisza; krwawo zabarwiony ksiezyc wspinal sie po niebosklonie. Pomimo szelestu i zawodzenia piasku i wiatru, pustynia byla nieruchoma, jakby zamarla w oczekiwaniu, nasluchujac. Zamilkly nawet dzwonki uprzezy wielbladow.

-Jestescie tutaj - zwrocil sie Quintus do Armenczykow - i my tu jestesmy. Jesli ktokolwiek ma przezyc, musimy przebyc te pustynie razem. Widzicie nas rozbrojonych, na uwiezi. Lecz pamietajcie: pies nadal moze ugryzc. Pojmujecie?

Kupiec skinal glowa i odsunal sie od ogniska, chowajac rzymskie monety w sekretnych faldach szaty.

-Dobrze rozegrane! - dobiegl ich glos Ssu-ma Chao.

Dosc juz smiechu! Quintus stanal przed oficerem Ch'in. Ale to nie on sie smial. Jego twarz trudno bylo dostrzec w ciemnosci, rozswietlanej tylko pelgajacymi plomieniami pochodni; jeszcze trudniej bylo wyczytac cos z waskich, skosnych oczu. Siegajac po miecz - j a jestem bezbronny, pozalowal po raz kolejny Quintus - Ssu-ma Chao podniosl glowe, patrzac zlowrogo.

Ponownie rozlegl sie chrapliwy smiech. Tym razem i Ch'in spojrzeli po sobie, zmieszani i gniewni, lecz jeszcze nie gotowi do ataku.

-Trzymajcie rece tak, by mogli je widziec - Quintus uslyszal Rufusa, wydajacego komende legionistom - lecz badzcie gotowi pochwycic kazda bron, jaka zdolacie.

Glosniejszy smiech, tym razem z innego kierunku. Silniejszy wiatr. Podmuch zgasil polowe pochodni. Pozostale zamigotaly, gdy ludzie pospieszyli, by je oslonic.

Ssu-ma Chao wyciagnal rece. To byl gest wojownika, skierowany do innego wojownika. Ten sluga nieznanego krola mogli ich rozbroic, lecz czul do Rzymian wystarczajacy respekt, by ich nie atakowac.

Nie trzeba bylo byc filozofem, zeby wiedziec, iz cudzoziemiec byl rownie zmieszany, co Quintus - i rownie zaniepokojony. Dla zolnierza nieoczekiwane jest takim samym wrogiem, jak ludzie, z ktorymi trzeba sie potykac.

Przywolujac gestem Arsacesa, Quintus ruszyl naprzod. Nadszedl juz czas na rozmowe z dowodca karawany.

Ostry piasek zaklul go w policzki, niczym pogardliwy klaps.

Wiatr wzmogl sie do szyderczego wycia. Quintus uslyszal natretny halas dzwonek, bebnow i gongow, zagluszany przez uragliwy smiech.

Rozdzial siodmy

Bez miecza! Bez tarczy! Mogli ich zwiazac i zostawic, by umarli na pustyni. Quintus poswiecil temu gorzka mysl, po czym obrocil sie do swych ludzi.-Formuj sie! - przekrzyczal halas. Rozbrzmialy inne rozkazy: oficera Ch'in i twarda jak wozgorza Rzymu, wycwiczona komenda Rufusa.

Utworzyli maly, pozbawiony broni czworobok. Nie okazywali strachu i serce Quintusa wypelnila duma.

Nagle zatrzasl sie grunt. Quintus runal na kolana. Zawirowalo mu w glowie. Wokol rzaly konie, a wielblady, wyrwane z ciezkiego snu, wyrkiwaly doznana obraze i niepokoj. Niedaleko dwa namioty zakolysaly sie i przewrocily, a pochodnia, zatknietą przed nimi, upadla na zmiety material ich scian i buchnela plomieniem.

-Rzymianie! - krzyczal Rufus. - Formowac sie!

Czesc jego ludzi na pewno wytrwala, walczac ze strachem przed tajemniczym wrogiem, uderzajacym z pustyni. Quintus podzwignal sie na nogi. Musi dostac sie do swoich. Musi sprobowac, chocby ziemia miala sie pod nim rozstapic i polknac go zywcem - inaczej, na coz by sie zdaly jego wszystkie rozwazania o honorze?

Wzdłuż i wszerz pustyni, odbijajac sie echem wsrod bezmiaru piasku i nieba, rozlegal sie dziki, zawodzacy smiech. Piach wirowal na grzbietach wydm, syczac niczym plaga wezy.

Plonacy patyk przytoczyl sie od strony namiotow. Quintus podniosl go. Ogien byl dobra bronia w walce z ciemnoscia. Byleby jego zolnierze mieli ognisty orez, a niedlugo zwycieza wrogow. Chyba ze przyjdzie im zmierzyc sie z lucznikami, choc Quintus nie przypuszczal by przy takim wietrzysku mozna bylo dobrze wycelowac.

Od gongow, bebnow i dzwonek rozbolala go glowa. Powietrze wirowalo wokol niego, a ziemia kolysala sie pod stopami. Uderzenia mieczy o tarcze i krzyki umierajacych zabrzmialy znowu: atakowano Ch'in.

Jego ludzie nie mogli nic zrobic bez broni, i to wlasnie on musial zapewnic im orez. Uwaznie stawiajac stopy na zdradliwym podlozu, Quintus nie byl w stanie uniesc plonacych pochodni, a gdyby upadl, sam zamienilby sie w ognisko.

-Pochodnie! Lapcie pochodnie! - krzyknal.

Syk stawal sie coraz wyrazniejszy.

-Weze! Dis wez je, weze! - krzyczal ktos w panice, po czym umilk. Quintus mial nadzieje, ze zolnierz nie umarl od ukaszenia, wywolujac jeszcze wieksze przerazenie. Przez chwile pozazdroscil perskim jezdcom ich butow. Pozniej znalazl sie w zalosnie malym, rzymskim czworoboku i wcisnal luczywa w rece zolnierzy z pierwszego szeregu.

Trudno bylo walczyć bez Orłow błyszczących nad głowa - symbolu honoru Legionu. Lecz Rufus stal u jego boku, nieco dalej Lucilius.

-Wyrwijmy sie stad! - Quintus uslyszal czyjs ponaglajacy glos. Byli wiezniami. Byli Rzymianami. Byli wojownikami. Jak trudno byloby w bitewnym zamieszaniu zdobyc kupiecka karawane, zmuszajac wozy i zwierzeta, by zabraly ich tam, dokad

zechca wyruszyć?

To znaczy dokąd? Bez przewodnika - do strasznej śmierci z pragnienia wśród pustkowi. A bez Orla, bez odzyskanego honoru - nie muszą żyć dłużej. Zakładając, że przetrwają trzęsienie ziemi, atak weży i jakichś barbarzyńców, walczących z Ssu-ma Chao i jego ludźmi.

-Nie bądź osłem! - Na wszystkich bogów, Lucilius mowiacy odwrotnie... - Ci przekleci kupcy mają strażników.

Quintus także o tym nie zapominał. Ciekawość Ssu-ma Chao uratowała im życie... tak honorowo, jak było to tutaj możliwe. Dał znak Rufusowi, by rozkazał ruszyć żołnierzom naprzód.

Gdy usłyszał rozkaz do formowania "testudo", musiał zdusić śmiech, który mogłoby pozbawić go odwagi. Jak ludzie pozbawieni tarcz mogli utworzyć "żółwia"?

-Użyjcie pochodni! Jeden broni, jeden podbija miecze lub tarcze, jeden uderza!

To dawało jakąś niewielką nadzieję. Gdyby żołnierze użyli lucywy w taki sposób, w jaki używali rzymskich mieczy, miałby pewną szansę na zdobycie broni na wrogu.

Rufus musiał również liczyć na to, że silny wiatr zniechęci łuczników. Wzrok Quintusa nie mógł przedrzeć się przez wzbijany pył. Śmiech wciąż go przesładował. Czy, gdy się przejasni, znowu ujrzy widok, który pozbawił go nadziei pod Carrhae? Tysiące jeźdźców i samego Surene, o twarzy przypominającej maskę Plutona, z tymi ogromnymi, ciemnymi oczyma? Przy każdym syku wiatru, każdym uderzeniu w beben czy dzwonki myślał o śmierci Legionów i walczył z rozpaczą.

Przed nimi uniosły się tarcze. Legionisci wystąpili przed Quintusa, chronić go. Idąc przekraczali poskrecane ciała.

Krew, sącząca się z ran martwych wojowników, powinna zamienić piasek w śliskie blocko. Lecz krwi nie było. Po początkowym okresie paniki żaden Rzymianin nie krzyczał już z przerażenia, choć syki i ogromne, wijące się kształty przecinały piach, czyniąc każdą rozsądną myśl zwycięstwem nad obledem.

Spowały ich dźwięki i kurzawa. To było jak walka we mgle - w zdradzieckich oparach na mokradłach, gdzie ukryli się po porażce. Quintus krzykiem dawał znak swoim ludziom, że wciąż żyje.

Znowu zatrzęsła się ziemia. Huk i coś w rodzaju odgłosu napelniania przypominały mu opowieści o gorach za Galia Transalpina, gdzie śnieg zeszliżywał się lawinami ze zboczy, mszcząc i grzebiąc ludzi i całe miasteczka. To byłaby szybka śmierć - pogrzebanie przez piasek.

Przed nimi rozwarła się szczelina w ziemi, szarpnięciem uchronił jednego ze swych ludzi przed upadkiem. Jak tak dalej pójdzie, pochłonie ich sama ziemia. Maszerowali dalej, z karnością wyrobiona przez długotrwałą dyscyplinę, gotowi walczyć bronią, jaka udało im się zebrać na poboju. Trupy wyglądały jakos nienaturalnie. Przecież człowiek może umrzeć ze strachu - pomyślał.

Jego dziad wykpiłby to. Lecz staruszek szydziłby także ze snów Quintusa. I oczywiście każałby mu wyrzucić malutkiego, etruskiego tancerza, który tylekroć uratował mu życie.

Zagryzł usta, by nie krzyknąć. Figurka rozgrzała się po raz kolejny.

Znowu zadrzała ziemia. Tym razem wielu upadło, wykrzykując swój strach i gniew.

Mgielka piasku i potu, w której się poruszali, gestniała i ciemniała. Okrzyki Ch'in, walczących gdzieś tam w przodzie, brzmiały narastająca rozpacz.

Zawsze jest taka chwila, gdy oczekujesz wytchnienia lub przynajmniej wierzysz, że nie wydarzy się już nic gorszego. I wtedy pojawiają się tysiące Fartów, przegrupowują się, atakują, a ty pojmujesz, że wszystko stracone. Tak musi się czuć teraz dowódca Ch'in. Coż mu przyszło z jego wysokiego urodzenia, skoro nigdy nie powróci do domu, do rodziny, sług i kłaniających się klientów?

Quintus mogłoby pozwolić im zginąć. Lecz wówczas nieznanemu wrogowi zwróciłby się przeciwko Rzymianom. Byliby wtedy zgubieni... oni i Orzeł. Quintus nie mógł na to pozwolić. Potrzebował Ssu-ma Chao, by odnaleźć Orla. Wyprostował się i potraszał pochodnią. Ponad nimi, jakby w odpowiedzi, zabłysło światło, szybujące na wschód. Wyglądało jak orzeł. Ta myśl podniosła go na duchu.

"Widzisz nas? Czy postępujemy dobrze? My, którzy zapewne wkrótce zginiemy..."

-Przygotować się! Zacieśnić czworobok! - krzyknął, posłuszny ostrzeżeniu talizmanu.

W jego pochodnie uderzyło zniechęcające ostrze. Cios był niezreczny; sparował go, jakby był zadany raczej palką, a nie mieczem. Następnie uderzył płomieniem, prosto w twarz wroga. Ten upadł, krzycząc poparzonymi ustami. Quintus chwycił jego bron. Wszyscy wokół niego czynili podobnie. Nawet Lucilius walczył z uporczywą zjadłością, zjednując sobie niechętnie uznanie Quintusa.

Nareszcie mieli żywych przeciwników, z mieczami i tarczami, o twarzach wykrzywianych grymasem śmierci. Rzymianie walczyli twardo, jakby chcieli odkupić upokorzenie spod Carrhae. Ci, którzy padali, umierali z krzykiem protestu. Wiatr i piasek spowijał ich, walczących w ponurym milczeniu, nie przerywanym nawet przez śmiertelny okrzyk.

Zawieja powoli uspokajała się. Niebo nieoczekiwanie oczyszczało się, obramowując lśniące lustro księżyca. Teraz Quintus mógł zobaczyć, gdzie są ludzie Ssu-ma Chao. Ich przeciwnicy ubrani byli na czarno; tylko dłonie i twarze jaśniały w ciemnościach - oraz bron w miejscach, których nie zdążyła jeszcze pokryć krew.

"Bandyty mogą mieć strzały" - pomyślał Quintus. Kiedy uciągnie wiatr, te strzały zaswiszczą.

-"Testudo" - zarządził. Tarcze powędrowały nad głowy.

-Naprzód!

Ich szeregi mogły być przerzedzone, lecz precyzja pozostała. Szły w stronę walczących Ch'in, by chwycić wroga w potrzask pomiędzy dwie uzbrojone, zdeterminowane siły.

Rzymianie rozluźnili swój bojowy szyk, umożliwiając wojownikom Ch'in wycofanie się poza nich i przegrupowanie.

"Czemu na to pozwoliłem?" - zastanowił się Quintus. Odpowiedź nadeszła równie szybko jak cios (kolejny człowiek zwał się na spragnionym piasku): to, z czym walczyli, nie miało skrupułów, by wykorzystać ich przerazenie - a ludzie muszą się jednoczyć w obliczu tajemnych, mrocznych sił. Rozsadek, być może. Dobrze więc, upewnij się Quintusie, mój chłopcze. Ch'in mają twój Orla, a ty nie możesz bez niego wrócić do domu. Zakładając, że w ogóle powrócisz.

Krzyknął. Nie z powodu rany, która zabarwiła mu ramię na czerwono, lecz z powodu, bijącego od brązowego talizmanu. Natychmiast obrócił się i ujrzał dowódcę Ch'in, uwięzionego w pierscieniu wroga.

"Jestem rolnikiem, a nie wojownikiem - pomyślał Quintus - lecz Fortuna udowadnia, że się mylę." Jego stopy ledwo dotykały gruntu, gdy rzucił się do boju. Wymachiwał mieczem i pochodnią, chrapliwie wykrzykując wyzwanie. W tej szalonej chwili rola obrońcy wydawała mu się dziwnie znajoma i słuszna.

Trybun uderzył i odskoczył. To przypominało bardziej sen niż walkę. Cztery kobiety wychynęły z pamięci i kroczyły u jego boku: król, bliźnięta - święte i ciche oraz olbrzymi, wyprostowany człowiek, zwany z powodu swej nadludzkiej siły Tytanem.

Jego bracia.

"Ale ja nie mam braci!" - pomyślał Quintus. Potrząsnął głową, wymierzając podstępny cios jednemu z pustynnych cieni, próbującemu wbicić miecz w plecy żołnierza, który wysforował się przed szereg.

Małutki talizman rozpalil się ponownie. Draupadi nazywała tancerza Kriszna: jego odwiecznym sojusznikiem, cudownym dziwakiem, tancerzem wśród lamentów.

Quintus zakrecił pochodnią, by podsycać jej płomień. To powinna być ta silniejsza, potężniejsza bron. "Taka bron istnieje" - przemknęło mu przez głowę. Czasami tacy jak on znajdują ją; już raz mu się to udało.

"To nie są moje myśli!" Pustynna noc była chłodna, a jego ogarnął przejmujący ziać. Potrzebował broni, on i jego...

Nie! Cokolwiek próbowało do niego przemówić, było równie obce, jak ludzie bezgłośnie umierający pod jego ostrzem. Krotki miecz był bronią Rzymu. "Wystarczy lub umrę tutaj" - przysięgł.

-Panie... Panie! Stój! - Quintus usłyszał krzyk Rufusa, chwytającego go w objęcia. Postąpił kolejny krok naprzód i upadłby, gdyby nie pomoc centuriona. Spojrzył pod nogi. Deptał po ciałach trzech ludzi ubranych w czern. Niedaleko, Ssu-ma Chao podnosił się z kłeczek na niepewne nogi, z trwogą obserwując Rzymianina.

Nagle Quintus osunął się, jakby prowadząca go siła opuściła jego ciało. Oparł się na tarczę, ciężko łapiąc powietrze; serce go bolało, jakby rozrywane na dwie części. Ssu-ma Chao łapczywie chwycił powietrze. Po chwili wstał.

Wszyscy byli tu weteranami. Po Carrhae nawet Lucilius przestał być "niedzielny" żołnierzem.

Dowódca Ch'in unosił ręce i przemówił. Quintus pokręcił głową, nie mogąc zrozumieć jego kaleczącego partyjskiego.

-Pyta cie, panie, czy wiesz, jakiego sposobu walki używałeś?

Arsaces nieoczekiwanie wcisnął się pomiędzy trybuna a dowódcę Ch'in. Dobrze było ujrzeć małego Persa żywego.

Quintus zerknął na ziemię. Wokół nich leżały bezwładne ciała. Część to wojownicy Ch'in; niewielu - choć i tak za dużo - Rzymian. Było też kilka trupów kupców, którzy wykresali wystarczająco dużo odwagi, by przyłączyć się do tych, których handlem jest walka. Następnie popatrzył na wrogów. Byli ubrani w czern, nie byli więc Fartami. Ani bandytami czy jakimś niezdyscyplinowanym motłochem, umiერającym licho i głośno.

Mimo ran, oznaczających śmierć po długiej agonii, ich twarze były nieprzeniknione. Nie przypominali tych tajemniczych przybyszów, których rysy i cera stanowiły krzywe odbicie Draupadi. W świetle ogromnego księżyca byli jasniejsi i bladej. Błdzi i niewiarygodnie starzy.

Kiedy na nich patrzył, ich ciała zaczęły nabierać popielatej barwy i przysychać do kości, błyskawicznie zamieniając się w groteskowe kościotrupy, obciążone płacami skóry.

Talizman Quintusa ochłodził. Fala spokoju i pewności ogarnęła jego ciało.

Odwrocił się od tych żywych po śmierci przeciwników. Ssu-ma Chao stał obserwując go. Pochwyciwszy wzrok Quintusa, uklonił się głęboko, jak komus o równej randze i pozycji.

-Pyta także, kim jesteś, panie, skoro możesz bez leku zmierzyć się z magia - przetłumaczył Pers.

"Zmęczonym" - pomyślał Quintus; ale ta odpowiedź nie zadowoliliby Ch'in.

-Odpowiedz mu: "Rzymianinem".

-Mówi - kontynuował Arsaces - że ten nieważny nikt z radością wynagrodziłby cie, panie, za pomoc.

"Niech zwroci Orła i pozwoli powrócić do Rzymu."

-Dodaje jednakże, iż bardzo żałuje, ale nie może ofiarować ci tego, czego byś zapewne najbardziej pragnął. Musi przywieźć nas do Ch'in, odpowiada za to głowa.

"A o Orle nie może być w żadnym razie mowy."

Dowódca Ch'in wykonał rozkazujący gest i trzech ludzi odbiegło, nie bacząc na krwawiące rany.

-Sugeruje, że być może to wyrazi jego wdzięczność, mimo iż żyje, by słuchać Syna Niebios i mu służyć.

Zolnierze powrocili dzwigajac ciezkie brzemie. Sapiac zrzucili je u stop Ssu-ma Chao.

"Scuta" i "gladi"; helmy, krotkie miecze, sztylety i tarcze. Bron Rzymian, przekazana Ch'in przez Fartow, a teraz zwrcona Rzymowi - dlaczego?

Jako lapowka, nagroda? Za dobre sprawowanie?

-Nadzieja Jego Nieistotnosci jest - ciagnal Arsaces - ze twoi ludzie z Ta'Chin beda go wspierac podczas podrozy w glab pustyni. I ze bedziesz blagal duchy, ktore - panie, wydaje mi sie, ze okresla nas mianem barbarzyncow, nie zdajac sobie sprawy z obrazliwosci tego epitetu - czcisz, aby chronily nas nie tylko przed bandytami, lecz rowniez przed demonami, nawiedzajacymi Takla Makan.

Wodz Ch'in zblizil sie do Quintusa. Lucilius, drugi ocalaly trybun - pochodzacy ze szlachetnej rodziny - stal obok. Lecz to wlasnie Quintusowi uklonil sie Ssu-ma Chao.

-Trybunie! - rozlegl sie gluchy glos Rufusa. Nie przestraszyla go ani pekajaca ziemia, ani syk gigantycznych wezy. Quintus i Ssu-ma Chao obrocili sie, by spojrzec w kierunku, ktory wskazal centurion.

Zdazyli zobaczyc jak zoltobiale kosci, w ktore zamienily sie ciala, rozpadaja sie w proch i mieszaja ze zwirem.

Nawet Quintus przylapal sie na odganianiu zlych sil gestem wiesniakow znad Tybru.

Zlowieszczy smiech zamarl w oddali wraz z dudnieniem dzwonek, gongow i bebnow. Zadne weze nie wily sie juz w ich umyslach. Powiewal leciutki wietrzyk, rozgarniajacy pyl, bedacy wczesniej ich tajemniczym wrogiem.

Reka Quintusa opadla na ramie Rufusa. Ten wzdrygnal sie, po czym znieruchomial, odzyskujac spokoj.

-Zaoszczedzono nam klopotu pochowania ich. Albo spalenia - odwrocil sie, dajac do zrozumienia, ze cala ta sprawa niezbyt go interesuje.

Quintus, idac za Ssu-ma Chao i centurionem, obejrzal sie. Ksztalty wrogow odcisnely sie w piasku. Po chwili podmuch wiatru starl rowniez i ten slad.

Rozdzial osmy

-Widzisz cos nowego? - zawolal Lucilius do Quintusa. Ten potrzasnal glowa, po czym zorientowal sie, ze patrycjusz nie moze przeciez zobaczyc tego gestu.

Pustynia. Ciagle pustynia. Pomyslec, ze Syria wydawala sie mu sucha. Nigdy nie przypuszczal, jak wiele odcieni szarosci i zolci moze kryc w sobie pustynia. Takla Makan

była tak jałowa, że nie mógł nawet ocenić prawdziwości opowieści Luciliusa o Trachonitis, gdzie ptaki spadają martwe, gdy ich cien przetnie waz: tu nie było ptaków. Tutaj nawet padlinozercy nie zdołaliby wyrwać lupu pustynnemu słońcu i piaskom.

Ze swojego miejsca w rydwanie Ssu-ma Chao, o wysokich kolach, zabudowanym nadwoziu i bocianim gnieździe na szczycie wieżyczki, umożliwiającym obserwowanie i dowodzenie bitwa bez względu na wzniesiona kurzawe, widział tylko pustkowia. Wydmy otaczały ich niby szkielety wozów morskich, zastygłych tuż przed zanurzeniem się pod odległą czaszą nieba. Każdego dnia widzisz wciąż inne, wijące się na horyzoncie. Wydaje ci się, że wystarczy godzina, dzień marszu, żeby je minąć. Trzy dni później wielbłądy, wozy, konie i wyczerpani ludzie ciągle się z nimi mżola, podobni mrowkom wobec ich ogromu.

Na wszystkich bogów, nawet najmetniejsza kaluza wody z Tybru smakowałaby jak wino. A najgorętsze pragnienie jeźdźców nigdy nie miało się ziszczyć: że gdzieś tam, w samym sercu pustyni - Takla Makan - leży oaza, w której tryska strumień kryształowo czystej wody. Oczywiście, wizje i przeczucia nie są dla Rzymian, ale Quintus nie musiał być wroźbitą, by widzieć ludzi, umierających wśród piasków, wlokących się naprzód w nadziei dotarcia do takiego miejsca lub wzywających go swoim ostatnim tchnieniem.

W tym monotonnym krajobrazie zbyt łatwo było oddalić się od karawany, od szlaku, wypalonego we wspomnieniach najstarszych jeźdźców. Zbyt łatwo było pomylić to, co dalekie od tego, co bliskie, nie dostrzec bandytów, atakujących zza jakiejś wydmy. Zbyt łatwo było pozostać tu i spocząć obok wyłobionych w piasku szkieletów nieostrożnych ludzi i ich zwierząt. Mnóstwo takich już minęło.

Rydwan wódza Ch'in wydawał się staroswiecki i nieporęczny, lecz jego wieżyczka była świetnym punktem obserwacyjnym, z którego sprytny dowódca może wysledzić jeźdźców i uratować życie swym ludziom... aż do następnego zagrożenia.

Dzisiaj bandyci nie pojawili się. Quintus zastanawiał się, czy kiedyś będzie życzył sobie ich nadejścia, po prostu by przerwać nudę. Zdawali się być oddaleni od całego świata. Była tylko pustynia. Na północy widniał blekitny cien, Arsaces przysięgał, że to góry. Ssu-ma Chao pozwolił sobie o nich opowiedzieć - nazywał je "niebianskimi". Z tęsknotą w głosie mówił o topniejących śniegach i okragłych jeziorach, skrytych w cichych dolinkach, niczym klejnoty. Po tygodniach spędzonych na pustyni Quintus już w to nie wierzył. Było tylko pustkowia: tam, gdzie kończył się piasek, zaczynał się chaos - czy też może rzeki Piekiła, które pamiętał ze swojego snu.

Nie snił już więcej o Tybrze. To nie była przecież okolica, w której mógłby marzyć o domu lub o tamtej kobiecie. Budził się czasem ciężko oddychając, pamiętając prawie cienie, które wzywały go do walki z czarnymi istotami, bo przecież nie ludźmi. Może demonami? Nie osmielił się tego powiedzieć, a kupcy, patrzący znacząco, gdy ich mijal, nie zrobili tego również.

Jednakowoz, nawet jesli tamta bitwa nie przywrocila Rzymianom Orla, to zdobyła im wdziecznosc Ssu-ma Chao i sprawila, ze odzyskali bron. Ciekawe, ze choc nawet Ch'in docenili pochodnie jako narzedzie walki, Quintus nie chcialby wiecej prowadzic natarcia, majac tylko taka bron.

Tamtej nocy przeistoczyli sie z wiezniow i niewolnikow w honorowych zakladnikow, prawie gosci i sojusznikow. Znalazly sie tez wielblady i wozy do transportu kazdego ladunku, wskazanego przez Rufusa: "rzymski chod, rzymski lud" - nie znaczylo to teraz zbyt wiele.

Quintus dziekowal bogom za te ustepstwa. I tak wystarczajaco trudno bylo podrozowac przez te pustkowia - a ich marsz jako niewolnikow - zwiazanych i pilnowanych, krztuszacych sie pustynnym pylem, bylby nie do zniesienia.

-Moze bys tak zstapil z Olimpu, co? - dobiegl go glos Luciliusa. Laska Ssu-ma Chao dotyczyla wszystkich Rzymian. Lecz Quintus traktowany byl jak dowodca, i ekwita wiedzial, ze przepelnia to serce mlodego arystokraty gorycza.

-Natychmiast!

Nie chcial zejsc. W jakis sposob pasowal do tego rydwanu. Nie byl przeznaczony do walki, ale do dowodzenia. Od bojowego rydwanu wymaga sie raczej, by byl nizszy, a woznica znajdowal sie blizej, aby zapewnic ochrone lucznikowi. Byl kiedyś woznica i byl wojownikiem, wozonym przez... Reka Quintusa bezwiednie wydobyla brazowy talizman.

Ale coz to za fantazje? To nie sa jego wspomnienia. Pustynia wyzwala tylko szalenstwo. Poganiacze przysiegali, ze jesli ktos stanie w poludnie z odkryta glowa - umrze. Wiecezosc legionistow niosla helmy w reku, oslanjajac glowy sukiennymi czapkami (Rufus polamal palke na plecach glupca, ktory chcial sobie ulzyc, wyrzucajac helm). Aleksander na pustkowiach Gedrozji oslanial sie przed palacym sloncem w podobny sposob. Nie pocieszyla go ta mysl. Aleksander prawie umarl na pustyni, choc - inaczej niz Quintus - urodzil sie pod szczesliwa gwiazda.

Nie sluchal tez melodyjnych opowiesci przy ognisku snutyh przez poganiaczy wielbladow: o gwałtownych burzach, oddzielajacych cialo od kosci i wysysajacych wode z czlowieka, az zostaje jedynie lupina, podobna do dzieł egipskich balsamiarzy; o demonach, szepczacyh w poludnie, kiedy ludzie sa zbyt znuzeni, by ich nie sluchac; o zdradliwych piaskach, pochlaniajacyh cale miasta i wypluwajacyh je tak, jak Maelstrom jednym, pogardliwym zawirowaniem wyrzuca na brzeg strzaskane resztki statku.

Lepiej wrocic na ziemie, zanim rozpoczna sie szepty o konszachtach z Ch'in.

"Strzez sie."

Subtelny glos dotkнал jego umyslu gladko i delikatnie, niczym oliwa wyprawionej skory. Rzucil ostatnie spojrzenie.

Cos dziwnego pojawilo sie na horyzoncie. Z pewnoscia nie chmura, gdyz do tego potrzebna jest wilgoc, ktorej - bogowie swiadkiem - nie mozna tu znalezc.

Skronie zaczely mu pulsowac, jakby nagle wzroslo cisnienie. Pamietal, ze nie kazda chmura przynosi deszcz.

Umiejetnie balansujac zsunal sie z wiezyczki i pochylił ku Ssu-ma Chao, jadacemu w poblizu. Jego wspomnienia (fantazje?) na cos sie teraz przydaly: przewyzzszal pozostalych Rzymian umiejetnoscia prowadzenia rydwanu Ch'in. Latwo to pojac pamietajac, ze powozil chlopska fura, o i l e jego rodzinie zostaly jeszcze jakies woly, nie skonfiskowane za dlugi..." - uslyszal zlosliwy komentarz Luciliusa.

Quintus wytrzasnal ziarenka zwiru z ubrania i zbroi. Byly rownie uciazliwe, co bagienne pluskwy. Jesli nie uwazales, piasek wywoływal krwawiace, nie gojace sie otarcia i rany.

-Zauwazyles cos? - Lucilius natychmiast podkreslil swoje prawo do zazadania informacji.

-Chmura na wschodzie - odrzekl Quintus. - Nie podoba mi sie jej ksztalt.

Zuzyl troche bezcennej energii, by zrownac sie z Ssu-ma chao. Pomruk za jego plecami przybral na sile. Na Jupitera Optimusa Maximusa! Wiedzial, ze jego wiadomosci o pustyni mozna by wygrawerowac na glowicy miecza i pozostaloby jeszcze sporo miejsca na wypisanie tego wszystkiego, o czym nie mial pojecia. Ale byl tu juz zbyt dlugo, by nie odroznic zmiany pogody i slyszal zbyt wiele przerazajacych historii, by nie darzyc pustynnych burz najwyzszym respektem.

Tak jak zeglarz czy rolnik zrozumial ostrzezenie. Ciekawe... blask bijacy od piachu wydawal sie mniej razacy, jakby swiatlo sloneczne stracilo na intensywnosci. Skinal dowodcy Ch'in i wysforowal sie naprzod. Spocil sie, lecz pot natychmiast wyparowal, pozostawiajac na skorze bialy, slony nalot.

Hmmm... intrygujace. Piasek... Pod bezkresnym, zoltoszarym zwiem i kamykami ujrzal biale smugi. Pochylil sie szybko. Zaczepnal szczypte tajemniczej bieli i podniosl ja do nosa i ust. Slone. Rozejrzal sie. Teraz, kiedy tak patrzyl, widzial pustynie jako plaszczyzne poznaczona olbrzymimi wydmami, niczym wielkimi falami.

Slyszal, ze w Judei jest morze tak zasolone, iz czlowiek moze polozyc sie w nim i nie utonac. Latwo uwierzyc, ze podobne morze znajdowalo sie tez tutaj, zanim calkowicie wyschlo. Latwo? Tu nic nie bylo latwe.

Mozna sobie wyobrazic - woda, splywajaca z gor niczym powodz, zeslana niegdys przez Jupitera, wypelniajaca pustynie jak miske i zatapiajaca wszystko, pozwalajaca ziemi macic sie, dopoki jej nie pochlonie. Jak starozytna Atlantyda. Gdyby o tym opowiedzial - brwi Luciliusa unioslyby sie w szyderczym usmiechu. Prostak czytywal Platona.

Okrzyki przerwały jego rozważania.

- "Buran!" "Kuraburan!"

"Buran" - jak wiedział - oznaczało burzę. A "kuraburan"? Czarna burza? Burza demonów?

Wielblady zawodziły jekliwie, pochylając głowy i klekając niezgrabnie. Jeźdźcy galopowali wokół karawany. Wozy zaryły się w piach. Z toreb i jaskrawych sakwojazy (teraz mocno przybrudzonych pyłem) ludzie wydobywali wstęgi grubej żółtej flaneli.

Arsaces cisnął Quintusowi zwoj wojsłoku.

- Nadciąga burza. Wielblady zawsze to wiedzą. Owin się! Ten piasek mógłby pozbawić ciała twoje kości.

Nadjechał Ssu-ma Chao. Zdążył już omotać się grubym materiałem tak, że widac było tylko oczy. Lśniły czujnie, jakby wypatrując niebezpieczeństwa.

- Pod osłoną takich burz często uderzają rabusie - oznajmił.

- Czy twoi żołnierze będą walczyć razem z moimi?

Quintus prawie nie potrzebował tłumaczenia Arsacesa. Przez tygodnie marszu od Merv karawana stworzyła swoje własne narzecze - trochę partyjskiego, trochę perskiego i nawet, co było nieuniknione, trochę łaciny i Ch'in. Wszyscy rozumieli więc słowa: "bandyci" i "burza".

- Nie zawieziemy pokładanej w nas wiary - zapewnił dowódca.

- Rufus!

Centurion przybył natychmiast, nakazując manipułom formować szyk.

- Nasi oficerowie wskażą wam pozycje.

Część z nich miała już bron w pogotowiu - wielkie, nieporęczne miecze i kasliwe, długie włócznie żołnierzy Ch'in. Czy będą nadawały się do obrony przed najeźdźcami - Saka, Yueh-chih lub Fartami - których pustynia może rzucić przeciwko nim?

Wielblad ryknął, konie zarżały, a żołnierz zawył zaskoczony, gdy grudki piasku chlastały jego ciało.

- Głowy trzymać nisko. Widzieliście już burzę piaskową! - wołał Rufus, po czym urwał, zanosząc się kaszlem.

Niebo zmieniło kolor na żółtoszary. Powietrze wokół zdawało się krzepnąć i wirować, po

chwili burza uderzyła z całą furia.

Quintus opuścił głowę na piers. Musiał patrzeć - musiał, mimo że rozpedzone ziarenka piasku mogły pozbawić go oka. Czuł się jakby zagubiony we mgle, lecz ta mgła kasłała przenikliwie, wciskając się w każdą fałdę wojłoku, duszącego i chroniącego. Kropla potu spłynęła mu po czole, cudownie chłodna zanim wyparowała, pozostawiając szczypiący, słony ślad. Bardzo chciało mu się pic.

Dis, miej litość, jeśli zwrócisz się do buklaków, wszyscy będą zgubieni! Ktoś musi sprawdzić...

Czyjaś dłoń przycisnęła go do ziemi.

-W takiej burzy wystarczy odejść dziesięć kroków od obozu i nie odnaleźć go już nigdy!

Jego towarzysz, nie - jego wybawca wymawiał słowa układając wyraźnie wargi, by mógł z nich czytać, gdyby ryk burzy zagłuszył brzmienie głosu.

Powinien ją przeczekać. Powinien przeczekiwać wszystkie burze.

Uszy przyzwyczajały się stopniowo do nawałnicy - wycia każdego nowego podmuchu, zgrzytu szczególnie porywistych powiewów, trzasków łamanych sprzętów, zawrota piasku i zwrótu, rozpedzonych niczym strzala. Nigdy nie był tak spragniony, nawet w czworoboku pod Carrhae.

Nagle zamrwił. Przez wściekłość burzy zaczęły przebijać nowe dźwięki: chichoty, szepty i grozby. "Wyjdź, wyjdź zanim pogrzebie cię zwróć. Chodź, tu jest słodka woda, winogrona, odpoczynek. Połóż się i odpocznij." Zaryzykował podniesienie wzroku i ujrzał jednego czy dwóch swoich ludzi, jak potrząsają głowami, po czym z powrotem opuszczają je na piersi. Twardogłowe muły Rzymu: jeśli nie widzą czegoś przed sobą - nie zajmują się tym. Tak przynajmniej postąpiłby jego dziadek.

"Wiesz, że popadniecie tu w obłęd. Słońce upiecze wasze mózgi. Nigdy tak naprawdę nie uważałeś się za wytrzymałego, prawda? Skrywałeś to głęboko przed sobą przez te wszystkie lata... jesteś słaby i poprowadzisz tych ludzi na śmierć w tym dzikim kraju..."

"Cisza!" - zarządził, próbując opanować swe myśli głośnym rozkazem, jak Rufus, strofujący niedbalych rekrutów.

Cienie, ciemniejsze od tumanów piachu, plasały wokół obozu. Grzmot nad głową i błyskawice nie przypominały niczego z tych utraconych, wilgotnych, letnich wieczorów - burza bez deszczu?

"Nie zobaczysz ich nigdy więcej."

"Wiem" - wyszeptal i natychmiast tego pozalował. Rozmowa z czymkolwiek, co dosiadało tych wiatrow, była równie bezcelowa jak kłotnia z ulicznym zebrakiem. Zaden zebrak nie probował go jednak zwabic w paszcze pustynnej smierci.

Pochylił głowę i wsunął lodowate palce pod ubranie, by dotknąć brązowej statuetki. Jej niezmienna trwałość pocieszyła go.

"Ach, myśli, że jest taki sprytny..." - śmiech zastąpił szepty, coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy, aż wreszcie rozmyślił się w wyciu diabelskiej nawałnicy.

Kurzawa przesłoniła niebo: zadnego zachodu słońca, zadnego wschodu księżyca, zadnych gwiazd, świecących nad głową. Ile czasu minęło? Godziny? Dni? - pomyślał, że byłby bardziej głodny, gdyby trwało to tak długo.

Zawodzenie wiatru stopniowo cichło, przechodząc w łkanie dziecka, zmęczonego rozpaczliwym płaczem. Od czasu do czasu mógł nawet dojrzec coś bardziej odległego niż na dwa kroki. Szepty i chichoty zamarły w oddali. Później, po czasie, którego nie był w stanie zmierzyć, przyszła chwila błogosławionej ciszy. Ludzie zaczęli podnosić się i otrząsać z piasku, który pozamieniał ich w pagórki.

-Stac!

Okrzyk Ssu-ma Chao i ukłucie Quintusowego talizmanu nadeszły jednocześnie.

Chwile później usłyszał loskot bebnów i dzweczenie dzwonek i gongów.

-Yueh-chih! - rozległ się krzyk.

Tego właśnie obawiano się najbardziej. Yueh-chih byli ludźmi pustyni. Nie mieli stałych wiosek, mieszkali w namiotach i jeździli po całej okolicy. Oswojeni z pustynnymi burzami, atakowali, gdy karawana - nawet tak dobrze uzbrojona - zaczynała wygrzebywać się z konającej nawałnicy. Nienawidzili Ch'in i scierali się z nimi jak pustynia długa i szeroka, prowadząc wojnę podjazdową przez więcej lat niż ktokolwiek (oprócz historyka Ch'in) mógłby zliczyć.

Yueh-chih ruszyli z przeraźliwym wrzaskiem, jakby "buran" rozszalał się na nowo. Ktoś krzyknął nie opodal i skonał, przebity długą lancą. Dwoch Rzymian poderwało się z piasku, siekąc barbarzyńce mieczami. Chrapliwe głosy krzyczały w języku Ch'in... Wszędzie wokół żołnierze chwytali za włócznie, które mogły zapewnić im jakąś obronę przed konnymi napastnikami. Yueh-chih liczyli na szybkość i zamieszanie, uderzając w chwili, gdy karawana wydobywała się spod zwalów piachu, a jej eskorta, wyczerpana "buranem", nie odzyskiwała jeszcze siły. W jakiś sposób była to dobra taktyka, bez wątpliwości znakomicie wycwiczona.

Quintus był teraz w jednym szeregu z legionistami; na jego mieczu zaschła krew

wojownikow Yueh-chih. Szereg nie cofal sie. Poczul dume, ktora zniknela, gdy przypomnial sobie, ze Yueh-chih, jak wszyscy nomadowie, sa mistrzami luku. Niech tylko wiatr ucichnie, a jego ludzie, ktorzych oszczedzily strzaly Partow, padna z reki nowego wroga.

Yueh-chih bylo zbyt wielu. Na miejsce jednego zabitego, czy dwoch straconych z koni, pojawiali sie kolejni, wynurzajac sie spomiedzy tumanow piasku i kurzu. Ich wrzaski wciaz sie wzmagaly, dzikie z nienawisci. Musieli wiedziec, ze ta karawana podaza do samego serca Ch'in i jest chroniona przez zolnierzy Cesarza.

Kosci Rzymian, rownie dobrze jak kosci Ch'in, moga zaslac slone pustkowia Takla Makan. Bebny, gongi, wiatr i krzyki byly niby ciosy w glowe. Quintus slonial sie...

Krzyk, wysoko ponad nimi, przebil mgle. Przez jedna cenna chwile wojownicze podmuchy wiatru pozwolily ujrzec skrawek czystego nieba. Bylo koloru intensywnego blekitu zlamanego smuga zlota, szybujaca na wschod. Zatrzymala sie dokladnie nad ich glowami i ponownie wydalala ten przenikliwy krzyk - wezwanie orla.

Po chwili szalejace podmuchy wiatru zakryly znowu niebo kurzawa. Lecz w glowie Quintusa panowala jasnosc, taka jakiej nie zaznal od miesiacy.

"Czy mi uwierzysz?"

"Mow" - spokojnie przywital ten znajomy glos. Slyszal go tak czesto. Tak czesto uwazal sie za szalenca, poddajacego sie iluzji. Byl teraz na skraju smierci. Nie bylo sensu walczyć z tym dluzej. Zalowal tylko, ze nie zobaczyl ducha - swojego pierwszego "genius loci", ani tej wymarzonej kobiety, Draupadi.

"Sa zbyt liczni."

Wybuchnalby smiechem, gdyby nie spieczone gardlo.

"Musisz uciekac."

Kolejny powod do smiechu.

"Dokad mozemy pojsc?"

"Za mna."

Rownie dobrze moglby rzucic sie teraz na swoj miecz, oszczedzajac Yueh-chih lub wlasnym ludziom klopotow z zabiciem go, gdyby posluchal demona i zlamal szyk.

"Nie jestem demonem."

Nie jest demonem? Kiedy szalal "kuraburan", slyszal glosy demonow: chichoczace i grozace. Ten duch byl inny. Brazowa figurka rowniez sie nie rozgrzala. Powinna przeciez

ostrzec go przed podszeptami złego ducha.

"Pokaż mi, jak?"

"Oto droga. Za mną! Poprowadź cie."

-Nie możemy tu zostać! - krzyknął.

Rufus nie mógł ukryć zdumienia.

-Chcesz, żeby cię stratali? Burza nie będzie trwać wiecznie, a gdy ucichnie...

Ssu-ma Chao spojrział na niego badawczo. Gdy Quintus uratował mu życie, myślał, że powodował nim obłęd. Teraz był zadowolony. Uwierzył, że Rzymianinem kieruje jakies tajemne natchnienie.

-Czy to kolejna twoja przepowiednia?

Błogosławcie go, bogowie, nawet jeśli był ich pogromcą!

-Tak! Chodźcie za mną!

-Bierzcie wozy! - krzyczał Lucilius.

Na wszystkich bogów, ile zapłacili mu kupcy, że tak troszczy się teraz o ich dobytek?

-Może ochronia nas przed strzałami - Rufus polegał na swoim wieloletnim doświadczeniu starszego centuriona Legionu.

-Idźcie za trybunem...

Jeden z żołnierzy zaklął okropnie.

-Maszerujemy w to?

-Wolisz, żeby z twojej czaszki ktoś pił wino?

Wozy skrzypiały, zwierzęta ryczały i rżały w protest i ze strachu. Ktoś wrzasnął wściekle, gdy ugryzł go wielbłąd. Ktoś inny zaśmiał się niestosownie. A Yueh-chih nadciągali.

-Czekaj na następny powiew! - krzyknął Quintus, zanim zdał sobie sprawę, że słowa wyprzedziły jego myśl.

Nie znalazł się na tutejszej pogodzie, lecz sporo wiedział o burzach. Najgorsze wiatry i deszcze, które pamiętał, ustawały nagle, wywabiając ludzi i zwierzęta z ich schronień. Krotka, spokojna, słoneczna przerwa, i atakowały znowu z większą jeszcze furia. Jak się

spodziewal, nawalnica powrocila.

Choc tym razem mogla okazac sie ich przyjacielem.

"Teraz."

Podmuch, na ktory liczył, uderzył z cala sila.

-Naprzod! - zawyl dziko niczym sam Yueh-chih.

Zwierzeta i wozy runely pedem. Mial wrazenie, ze posuwaja sie korytarzem, uformowanym z wirujacego piasku. Cienie i zawrozenie - jakby rzeka lamentu, ktora slyszal kiedys w swoim snie, toczyła swe wody poza "scianami".

Nie czul piachu na twarzy. Uniosl dlon. Nie cial jej zaden latajacy zwir. Piasek tworzył sciany przejscia, ktorym uciekali. Na zewnatrz ucichly triumfalne okrzyki Yueh-chih. Jak dlugo moglo trwac, zanim zorientowali sie, ze zdobycz zdolala umknac?

"Idzcie, dopoki mozecie."

Skinal reka i krzyknal, a jego rozkaz przekazywano dalej, wsrod nieladu wozow i ocalalych zwierzat.

Pojazdy skrzypialy. Zwierzeta ryczaly ze strachu, zmuszane do posuwania sie w sam srodek czegos, co bylo tylko przerazajacym wiatrem i bolem. Trzaskaly baty; dzwieczaly dzwonki przy uprezach koni i wielbladow; karawana brnela naprzod.

Przeklenstwa Luciliusa dobiegaly jakby z gory. Na wszystkich bogow, ten przebiegly patrycjusz dostal sie na rydwan Ssu-ma Chao, wdrapal na wiezyczke i bezpiecznie jechal na czele karawany.

"Jesli zaczniesz sie teraz smiac, nie bedziesz mogl przestac. Rufus ogluszy cie i zaladuje na woz. Co wtedy zrobisz?"

Wyrwal mu sie trudny do opanowania chichot, ale zdolal stlumic kolejne wybuchy smiechu, ktore moglyby go oslabic.

Przebijali sie przez piach. Maszerowali godzinami. Nigdy nie robili nic innego. Ich sluzba w Legionach przed wyprawa do Syrii, smierc towarzyszy i prokonsula pod Carrhae, zdrada, uwiezienie - wszystko to bylo teraz takie odlegle. Swiat zawezil sie do korytarza nieruchomego powietrza w samym srodku straszliwej nawalnicy.

Czyzby snil? We snie nie dokucza pragnienie ani glod - tego byl pewien.

Maszerowal miarowym krokiem legionisty.

Po dłuższej chwili Rufus zaintonował pierwsze słowa marszowej piosenki. Jego zachrypnięty głos zniekształcał i kaleczył melodie, lecz dopiewał piosenkę do końca, a część żołnierzy podchwyciła ją. Do licha, czyżby gwoździł podszewki i wrzynał się Quintusowi w stopę? Na to wyglądało!

Równie okropnie brzmiały mamrotane hymny i szalone modlitwy do co najmniej trzech barbarzyńskich panteonów. Na sygnał Ssu-ma Chao wojownicy Ch'in cofnęli się, by kupcy nie wpadli w panikę i nie przebili ścian, zdradzając w ten sposób ich pozycję zgrajom Yueh-chih.

Wódz postąpił roztropnie, lecz Quintus pomyślał, że to spóźnione środki ostrożności. Maszerowali już wiele godzin i dotarli - jak daleko? Wyobraził sobie, że dalej, niż myśleli. Był wyczerpany jak po całonocnym marszu utrzymanym w tempie kawalerii.

Olbrzymi rydwan Ssu-ma Chao klekotał i skrzypiał tuż obok niego. Starszy oficer opuścił go już dawno, przyłączając się do swoich ludzi. Lucilius jednak pozostał na wieżyczce. Quintus nie protestował. Potrzebny był ktoś na stanowisku obserwacyjnym.

-Widzisz coś? - wołał od czasu do czasu do Luciliusa. Odpowiedzi były ponure i niejasne. Potem patrycjusz zamilkł zupełnie.

Arsaces zrownał się krokiem z Quintusem. Prowadził konie - on, który nigdy nie poszedłby pieszo, gdyby mógł jechać. Zatrzymał się; Quintus stanął więc także.

-Konie są wyczerpane. Jeśli nie damy im odpocząć - padną.

-Kiedy będziesz wiedział, gdzie jesteśmy - odpoczniemy - wysapał Quintus. Żałował, że się zatrzymali. Krótka przerwa wyrwała jego ciało z miłosiernego zobojetnienia, podczas którego ołowiane ramiona i nogi pracowały mechanicznie. Teraz grzbiet płonął mu od ciężaru zbroi, a kończyny szczypały, jakby wrzucono go do mrowiska.

Oczy Arsacesa nabiegły krwią.

-Deva ma nas w garści - mruknął.

Wlekli się dalej. Nikt nie zwracał sobie głowy pytaniem o cokolwiek czy mówieniem. Wszyscy byli zbyt znudzeni. "Bona dea" - Quintus tęsknił za słońcem, wodą, nawet za tym, by położyć się na piasku i zapasnąć w sen.

"Chodź. Tedy."

Krzyknął bez słów. Wzdłuż linii marszu ludzie krzyczeli zmuszając wielbłądy i konie do nowego wysiłku. Do ich ostatniego wysiłku - tego Quintus był pewien.

-Lepiej, żeby to było szybko - powiedział.

"Jak myśle, do kogo ja przemawiam? Wszyscy snimy i wkrótce będziemy martwi, blakając się po pustyni, po burzy i bitwie."

-Ha! - głos Luciliusa wznosił się i zalamal.

-Co... widzisz? - odchrząknął Rufus nie czekając, aż trybun zada pytanie.

-Wysoko w gorze - odkrzyknął patrycjusz - chmury rozstępują się! - Jego głos zalamal się ponownie, tym razem nie z pragnienia. - Na piersi Wenus! Widzę słońce!

Rozdział dziewiąty

Szybciej - mruknął Ssu-ma Chao. Jego rydwan zaturkotał, a wieżyczka na szczycie skrzypiała, gdy koła podskakiwały na skalistym piasku. - Słońce... Żołnierze Ch'in popędzali ludzi i zwierzęta. Kon juczny spróbował podrzucić głową i zarzec wyzwanie, niczym bojowy rumak, lecz serce mu pekiło, kolana ugięły się i padł martwy. Kupcy, zbyt zdesperowani, by zabrać juki, zepchnęli ciało zwierzęcia na bok. Po chwili zakrył je żółty piasek.

A oficer Ch'in wciąż zmuszał ich do zwiększania tempa.

Quintus spojrzal zaszawionymi oczami wzdłuż linii legionistów. Czy wytrzymają całodzienny marsz - cokolwiek nazwałbyś dniem w tym nie-miejsku zacinającego piasku - nie mówiąc już o przyspieszeniu kroku? Ich twarze były szare ze zmęczenia i pyłu, ale ich oczy błyszczały.

-Tempo kawalerii - rozkazał. Pamiętał, jak maszerowali godzinami w gorącym, syryjskim słońcu, wyszydzani przez nabatejskich i armenskich zdrajców, dowodzonych przez prokonsula, myślącego tylko o swoim synu i jego konnych. Wszyscy skończą jak tamten kon - pomyślał, może z wyjątkiem Luciliusa. Chciał, żeby patrycjusz zszedł na dół i maszerował, jak przystało Rzymianinowi, ale...

-Słońce! I niebo! Jest błękitne. Na wszystkich bogów, jaki piękny dzień! - krzyczał Lucilius.

Wśród legionistów rozległy się słabe wiwaty.

-Podwoić tempo! - rozkazał Rufus.

Nagle promienie słońca przedarły się przez nieprzejryste ściany piasku, które tak długo były ich jedynym schronieniem. Jeden, potem drugi, potem siódmy; muskały ich czoła na podobieństwo matki, gładzącej rozgorączkowane czoło dziecka.

Ssu-ma Chao potknął się i upadł. Przytknął czoło do piasku, jakby składał hołd swojemu Cesarzowi. To, co spłynęło po twarzy pobliskiego żołnierza, złoć czystą smugę w pokrywającej ją masce kurzu, nie było potem, także i to, co stoczyło się po policzku Quintusa...

Razem ze słońcem nadeszły orzeźwiający podmuchy wiatru. Ten wiatr był inny - przypominał zielone wzgórza i ukryte dolinki, błękitne mgły i cienie utraconego domu. Ukoili jego spieczona skóra, jakby zanurzył głowę w gorskim strumyku. Łagodny podmuch rozwiewał ściany tunelu - ich ochrony i pułapki. Pod piasku i żwiru mial, a delikatne zawrozenie wiatru wznosiło się ponad najwyższe dźwięki fletu. Światło słońca przesacało się przez ściany, barwiąc ochry i szarości bogatym szafranem i złotem. A daleko przed sobą mogli ujrzeć jasnijacy błękit spokojnego nieboskłonu.

Placzące modlitwy dziękczynne i zawrozenia wznosiły się ku niebu. Quintus mógł sobie wyobrazić pogrozonych w modlach barbarzyńców - kłęczących i bijących czołami w skałę. Żaden Rzymianin nie złamał szyku: stali, oczekując rozkazów. Lucilius zeskoczył z wieżyczki rydwanu, by dołączyć do towarzyszy.

-Dodajesz nam ducha podczas tego ostatniego biegu - powiedział Quintus.

Tym razem we wzroku patrycjusza nie czaiła się kpina.

-Ostatniego biegu, dokąd? - zapytał.

Być może miał już prawo do takiej ironii.

Piasek opadł z ostatnim westchnieniem. Zagubiona karawana stała pewnie na skałę. Przed nimi rozciągał się wąski szlak, wiodący w dół, między wysokimi topolami i błyszczącymi rododendronami, do doliny otoczonej przez dwie skalne stromizny, sterczące niczym kolumny ustawione tu u zarania świata. Ścieżka - wystarczająco szeroka, by mogła umożliwić sześciu ludziom marsz ramie w ramie lub ostrożne przeprowadzenie wozu - prowadziła obok skalnej iglicy. Wycieczka w skałę chwytająca światło słoneczne, zbiegające się tam i tworzące świetlna kule, rozsiewająca wokół promienie.

Poza iglicą, jak tylko sięgnąć wzrokiem, rozciągało się pole zieleni, urozmaicone złotymi i czerwonymi kwiatami. Wierzbki zwieszały galezie nad ciemnobłękitnym, gorskim jeziorem. Dalej wznosiły się skaliste urwiska, osłaniające dolinę.

Cisza prawie śpiewała im w uszach. Dzięki bogom, żadnym krzyków, tetentu, bebnów ani świstu strzał Yueh-chih. Rzymianie i żołnierze Ch'in, nie potrzebując żadnych rozkazów, rozstawili się, by osłaniać resztki karawany, skrecającej ku wejściu do doliny. Jeden po drugim zdejmowali ciężkie zwoje zbędnej już materii.

Czy byli martwi? Quintus nie zauważył asfodeli. Żaden martwy nie mógłby być tak spragniony i wyczerpany...

-Jesteśmy daleko od rejonów, które znam - mruknął Ssu-ma Chao. - Nigdy nie slyszalem o tym miejscu i nie wiem, by ktokolwiek je ujrzal. Nie widze gor, choc przysiaglbym, ze przebylismy pustynie i jesteismy w Niebianskich Gorach Polnocy.

Klasnal w dlonie. Kupcy, jezdzy i poganiacze sluchali go, wstrzymujac spragnione zwierzeta, lecz ich oczy napawaly sie uczta zieleni i blekitu, rozciagajaca sie ponizej.

-Krysztalowa fontanna w samym srodku pustyni - wyszeptal Arsaces. - Powinienem byl wypic haome, choc legenda mowila o ogniu na pustkowiu. Rufus odchrzaknal i poszukal miejsca, by splunac.

-To mi wyglada na prawdziwa wode - powiedzial. - Bedziemy tak stac i podziwiac?

Konie wrywaly sie do przodu. Nawet wielblady, porykujac, przyspieszyly kroku. Siodla i pakunki wisialy nisko na grzbietach zwierzat: garby, w ktorych przechowywaly wode, czyniace z nich wytrwalych pustynnych podroznikow, byly teraz prawie plaskie. Jeden z wozow przewrocil sie, gdy zwierzeta przechylily go zbyt gwaltownie, by dotrzec jak najszybciej do wody.

-Poczekajcie na swoja kolej!

Zerwal sie wiatr, przynoszac kuszacy zapach wody i roslin. W oczach Rzymian zaswiecila ta sama tesknota, ktora kierowala zwierzetami. Quintus niczego nie pragna) tak mocno, jak wyciagnac sie przy tym blekitnym jezioru i ugasic pragnienie. Razem ze swymi ludzmi przylaczył sie do innych, by okielznac zwierzeta. Po przezyciu pustynnej nawalnicy i ataku Yueh-chih, nie powinni pasc teraz ofiara wlasnej zachlannosci.

Zwierzeta rzaly i ryczaly, gdy rozjuczone prowadzono je ku jezioru do upragnionego wodopoju. Drazniacy pustynny kurz zniknal. Quintus przeliczył żołnierzy, kupcow, zwierzeta i wozy.

Widzial upadek tamtego konia podczas ich ostatniego zrywu. Co jeszcze stracili? Rannych przytroczono do wozow, przerzucono twarza w dol w poprzek wielbladow i jucznych koni badz przywiazano do wierzchowcow.

-Ten nie przetrzyma nocy - Arsaces wskazal kupca, kurczowo trzymajacego sie jednego z ladunkow. - Przynajmniej bedzie sie mogl napic w chwili smierci.

"Nikt nie umrze."

-Panie, nic wam nie jest? Tak dziwnie wygladacie...

-Wszystko w porzadku - Quintus machnieciami reki odprawil pytajacego z troska mezczyzne. Rzymianie zawdzieczali swoja kaleka wolnosc wierze Ssu-ma Chao, ze przyniosa mu szczescie: nie wolno wiec nikogo straszyc. "Ani - pomyslal z chlopska przebiegloscia - pozwolic im wiedziec."

"Jestes madry, mimo zes wojownik, a nie kaplan. Zawsze tak sadzilam."

Karawana chwiejnie mijala go w swojej drodze do bezpiecznego schronienia. Pytal, czy kogos stracili, lecz jego slowa tonely w halasie kol. Ludzie z Hind, Persowie. Nawet wozy grubasa, tak przestraszonego pod Merv, i on sam, juz nie taki tlusty i dzieki temu zwinniejszy.

Nastepnie, prowadzac konie, ze spuszczoneymi glowami i zaslonietymi twarzami, przeszli kupcy. Ci, ktorzy Quintus widzial w nocy, kiedy wydobyl sie z otchlani dlugiego, dlugiego snu. Widzial ich i nie ufal im - pociagle twarze, uciekajace spojrzenia i zacisniete usta. Bylo ich - ilu?

Na pewno wiecej niz tych, ktorzy przechodzili teraz pod jego spojrzeniem. I wtedy byly wsrod nich kobiety... Czyzby czesc ich wyprawy zginela od mieczy Yueh-chih? Czy tez zdecydowali sie uciekac na wlasna reke?

Jako ostatni nadeszli zolnierze. Swiatlo slonca rozblysko nad ich glowami, skrywajac je na chwile. Gdy szlak zakrecil wokol iglicy z ciemnej skaly, zaslaniajacej widok na jezioro ponizej, zatrzymali sie. Konie i wielblady znarowily sie i trzask batow oraz klatwy w jezyku, ktorego Quintus nigdy nie slyszal, zmusily zwierzeta do cofniecia sie w gore zbocza.

-Nasze zwierzeta... nie moga tedy zejsc - rzekl jeden z kupcow z zaslonieta szczelnie twarza. - Rozbijemy oboz tu... na zewnatrz.

Uniosl dlon, przerywajac instynktowne protesty zolnierzy. - Mamy zapasy.

Quintus nie widzial jeszcze grupy tak oszczednie gospodarujacej swoimi zasobami. Niech pozostana spragnieni. Niech ich zwierzeta jedza stara pasze, gdy swieza, zielona trawa czeka na zebranie.

-Zaplacimy wam - zlotem - za przyniesienie wody.

-Nie wiedziales o tym? - syknal Lucilius. - Rownie dobrze moglbys im pozwolic odejsc ich wlasna droga. Zrobia to i tak.

-Kupcy! - tym razem Rufus naprawde splunal, obserwujac obcych, rozkladajacych oboz na obrzezu doliny.

Oczy trybuna, centuriona i oficera Ch'in spotkaly sie w doskonalm porozumieniu: tej nocy i kazdej nastepnej trzeba ich bedzie dobrze pilnowac.

Mogli nareszcie ruszyc ku wodzie i dac odpoczac spragnionym cialom. "Najpierw woda" - pomyslal Quintus. Potem moze trafi sie jakas ryba czy nawet ptactwo wodne, zerujace w poblizu jeziora. W tej chwili moglby prehandlowac cale swoje gospodarstwo za odpoczynek - dla niego i reszty Rzymian.

Cienie w dolinie zaczely sie wydłużac. Niebo nabralo koloru indygo, a promien slonca padl

ukosnie na sciezke, wskazujac kierunek.

Skinal Rufusowi, ktory podniosl poobijana palke.

-Pokazemy im, jak to robia Rzymianie - wychrypial.

Ustawili sie w szyku i zaczeli marsz - "rzymski chod, rzymski lud" - w dol szlaku, do ocalenia i bezpieczenstwa. Nawet jesli kamienne plyty pod stopami nie byly tak dobre jak drogi Republiki, to przynajmniej nie ruszaly sie pod nogami.

Gdy przechodzili, kolejny promyk - zmierzajacy, jak oni sami, na zasluzony odpoczynek - uderzyl w skalna iglice. Moze to byla tylko iluzja, lecz Quintusowi wydalo sie, ze zobaczyl wyrzezbionego w skale siedmioglowego weza.

Czekal, az glos, prowadzacy go ku bezpieczenstwu lub obledowi, da jakies wyjasnienie. Nie doczekal sie. Lecz wydawalo mu sie, ze brazowy talizman emanuje otucha.

-Wiem - powiedzial mu - dalej naprzod.

Przeszli pod oslona skalistej iglicy i wkroczyli do okraglej doliny tak czystej, ze przyprawiala o bol serca.

Ogien trzeszczal, rzucajac dlugie cienie na brudne namioty, ktore Rufus kazal rozbic nawet tutaj. Quintus zadygotal. Cieplo, delikatny wietrzyk, gotowana strawa, swieze ubranie, zimna woda wysychajaca na wlosach, a nawet dobrze znajome obozowe odglosy - naprawianie ekwipunku czy stukot kosci - byly luksusami, o ktorych dawno juz zapomnial.

Ostatni promyk slonca blysnal na horyzoncie, niczym oko zasypiajacej chimery, ponaglajac doline do udania sie na spoczynek. Nie wszyscy jednak mogli, czy chcieli to zrobic. Jedni stali na warcie, inni siedzieli do pozna, czuwajac przy rannych i umierajacych ludziach i zwierzetach. Kiedy Quintus upewnil sie, ze ostatni palik zostal wbity, bandaz owinal ostatnia rane i wszyscy spoczeli na swoich miejscach, poczul, ze tez moze odpoczac. Drugi trybun udal sie juz na spoczynek i nawet Rufus ziewal okrutnie.

Ale nie mogl usnac. "Sprawy zaszly zbyt daleko" - powiedzial sobie. Wyczerpanie, otepiajace jego umysl i cialo - gdzies zniknelo. Chetnie porozmawialby z Arsacesem - zalozylby sie teraz o zold, ktorego juz nigdy nie otrzyma, ze perski sojusznik wie cos wiecej o tym miejscu. Jezdziec jednak zniknal, okreslajac wczesniej doline slowem: "pardesh" - "ogrod". Quintusowi bardziej stosowne wydawalo sie okreslenie raj Zlotego Wieku.

Przekrecal sie z boku na bok, protestujac przeciwko przymusowi pozostawania w namiocie w tak piekna noc. Jako chlopiec uwielbial wymykac sie noca z domu i wedrowac po okolicy. Czasami zasypial nad rzeka. Wstal i otulil sie plaszczem. Gdy tylko wyszedl z namiotu, cofnal sie po miecz.

Jego buty zachrzescily na zdeptanej, dlugiej trawie i skalkach obozowiska, wywolujac anonimowy sprzeciw wobec glupoty kogos, kto jeszcze jest na nogach... Skargi przeszly w prychniecie, po czym umilkly.

Skinawszy zewnetrznym strazom, wymknal sie z obozu w mrok. Woda przyciagala go jak zawsze. Szybko odnalazl szlak, wiodacy wokol jeziora. Uslyszal plusk, ktory zdradzil mu, ze zbliza sie do jakiegos potoku lub wodospadu. Zatrzymal sie przy glazie, wygladajacym jakby jakas gigantyczna reka rozlupala go na dwie polowy. Nie znal tej okolicy. Madrzej byloby zaczekac, az oczy przyzwyczajaja sie do swiatla gwiazd i ksiezycy.

Wartki pod wody huczal coraz glosniej. Nie byl to wiec strumien, lecz jeden lub kilka malych wodospadow. Pomyslal, ze powinien wrocic do obozu po pochodnie. Skaly mogly byc niebezpieczne. W Azji, jak wiedzial, zyja smiertelnie jadowite weze. Mimo to podazal naprzod, stapajac ostroznie. Blogoslawienstwo mgly dotknelo jego twarzy i powiek.

Ksiezyc dawal dostatecznie duzo swiatla, by mogl dojrzec cel - szerokie plyty i skalne cokoly, nad ktorymi zwieszal sie olbrzymi, plaski kamien; woda splywala z niego kaskadami w prawo i w lewo. W ten sposob uformowalo sie naturalne pomieszczenie. Stal teraz przed jego "wejsciem". Zajrzal do srodka.

Wewnatrz ogrodzenia i nawet w stojacej wodzie na samym brzegu sadzawki odbijalo sie swiatlo, jakby zamkniete w szkle i zabezpieczone przed rozproszeniem. Poczul zapach cynamonu i pachnacych olejkow.

-Dalej, podrozniku - dobiegl go ironiczny glos. Dotknel figurki tancerza. Swiatlo zalsnilo na jej wzniesionych ramionach, jakby istota znana jako Kriszna raz jeszcze zaczela swoj taniec, taniec zaloby i radosci. Nad glowa rozlegly sie dzwieki fletu i rogu, ktorych Quintus nigdy przedtem nie slyszal.

Ostroznosc nakazywala, by wrocil natychmiast do obozu. Doskonale wiedzial, co powie na to Rufus - a jesli chodzi o dziadka, byl pewien, ze staruszek kazdy nastepny krok okreslilby zdrada Rzymu, a takze "lares" i "penates" ich starego, umeczonego rodu.

"Nie przezylbym tak dlugo, gdybym byl ostroznym" odcial sie Quintus w myslach. Poza tym, byc moze, oszalal po tamtych ciosie w glowe i wszystko wokol jest tylko fantazja oblakanego.

Jesli tak, to jest to najprzyjemniejszy sen jaki snil dotad. Wszedl po mokrej skale w glab skalnego pokoju. Byl wiekszy niz przypuszczal, przechodzil w rodzaj tunelu, prowadzacego od wodospadu do naturalnej przegrody. Topole kolysaly sie obok wysokich klifow, otaczajac okragla sadzawke, bedaca nieomalze miniatura jeziora. Posrodku, wystajac ze skalnego korytarza, bylo cos, co przypominalo scene.

W jej rogach migotaly pochodnie, a male swiatelka unosily sie w metalowych czarkach na wodzie, tanczac na falach. Skala pokryta byla dywanami, bogactwo pokrywajacych je

wzorow i faktury moglo stac sie obiektem pozadania kazdego perskiego ksiecia lub maga. Slodki dym unosil sie z kadzielnic, rzezbionych w zawile wzory: Quintus czul cynamon i bogatsze zapachy mirry i drzewa sandalowego. Na dywanach ulozono olbrzymie bursztynowe, rdzawe i ciemnoczerwone poduchy. Oparta o sterte najbogatszych poduszek, spoczywala postac o twarzy oslonietej szafranem...

-Stoj!

Ktos krzyknal po lacinie. Quintus zatrzymal sie gwaltownie. Jego reka blyskawicznie opadla na rekojesc miecza. Gdyby oparl sie plecami o skale, wrogowie nie zaszliby go od tyłu.

-Kim jestes, ze osmielasz sie mnie powstrzymac? - zapytal, stanawszy bezpiecznie tyłem do kamienia. - I skad znasz moj jezyk?

Swiatlo skoncentrowalo sie wokol niego i ujrzal starca o spalonej sloncem skorze, siwych, przeredzonych wlosach i czerwonym znamieniu, blyszczacych niczym ciemny klejnot na jego czole. U stop starca lezaly: wielka muszla, lotos, dysk, topor i rozwiniety zwoj - brakowalo tylko miecza. "Arogancki, stary glupiec" - pomyslal Quintus. Ale nawet starzy glupcy mogli byc aroganccy, gdy mieli za soba wojownikow.

-Znam wszystkie jezyki. I zawsze rozpoznam zebraka. Nie potrzebujemy tu zadnych zebrakow. Wynos sie!

Nawet w najgorszych dniach wyczekiwania w przedpokoju moznych patronow, Quintus nie doznal takiej obrazy. Swiatlo uchwycilo profil starego czlowieka, rzucajac zniekształcony cien na skalna sciane. Przez chwile Quintusowi wydalo sie, ze widzi wizerunek zwierzecia, podobnego potworom, ktore Hannibal przeprowadzil przez gory i pragnal skierowac na Rzym. W rozkazie staruszka brzmialo aroganckie trabienie slonia.

-Nie jestem zebrakiem, lecz Rzymianinem.

Pragnal, by spowita w szafran osoba obrocila glowe, by na niego spojrzala. Chcial sie przekonac, czy jego sen stal sie rzeczywistoscia... czy tez wszystko wciaz jest iluzja. "Rzymianin, tak, ktory zawdziecza zycie obcym i wciaz jest od nich zalezny."

-Zebrak i ostrze do wynajecia - szydzil starzec. - Byc moze zlodziej. Moglem urodzic sie dzisiaj, ale rozpoznam rabusia, gdy go zobacze.

-Rzymianin - powtorzyl cicho Quintus. - Czy pozwolisz mi przejsc?

Zbyt bylo upokarzajace to wyzywanie i wykpiwanie w obecności otulonej w jedwabie kobiety. Moglby byc jej sluga, niech wiec placi mu za uprzejmosc.

-Idz swoja droga, kimkolwiek lub czymkolwiek jestes. Nie ulegne twoim blaganiom.

-Wiec ich nie uslyszysz - warknal Quintus.

Jego miecz rozblysnal w jednej chwili. "Co ja robie?" spytal sam siebie, probujac powstrzymac cios. Uderzenie chybito i bron zadzwieczala o skale. Z kamienia posypaly sie skry. Ku jego upokorzeniu glownia miecza roztrzaskala sie.

Gorszy jednak nad to, co sie stalo, byl widok buchajacej krwia szyi starca i jego glowy o rozwianych, rzadkich wlosach i szeroko otwartych, blyszczacych oczach, toczacej sie po skale, by z pluskiem wpasc do wody. Swiatlo przygaslo na chwile i Quintus wyobrazil sobie leb slonia spoczywajacy na pulchnych, zaokraglonych ramionach staruszka.

"Jupiterze Optimusie Maximusie" - pomyslal - co ja zrobilem?" Swiatla tanczyly na wodzie, niczym pochodnie w dloniach plasajacej figurki z brazu.

Rozdzial dziesiaty

Uslyszal smiech podobny do melodii slodkich dzwoneczkow. To smiala sie kobieta, spoczywajaca na poduszkach i kilimach. Starzec przylaczył sie do jej rozbawienia. -Kolejna pomyłka?! - zawolala.

Quintus pomyslal, ze do konca zycia nie dowie sie, czy przemowila po lacinie, czy nie; jej glos byl jak jej skora - ciemnomiodowy. Niewazne bylo znaczenie jej slow, liczyl sie tylko to, ze przemowila.

-Ach nie, Draupadi! - odkrzyknal staruszek. - Jesli chodzi o niego, nie moglbym sie pomylic. Nie, skoro nie pomylicem sie wczesniej - pierwszego dnia mojego zycia.

Obrocil sie do Quintusa, ktory podniosl strzaskane ostrze zastanawiajac sie skad teraz wezmie nowy miecz. Bedzie musial pojsc do Ssu-ma Chao i poprosic go o bron. Starzec byl wiec jasnowidzem, nazywajac go zebrakiem. Ze smutkiem schowal metalowe szczatki do pochwy.

-Postepujesz madrzej niz bog, paniczu. Po prawdzie, przewyzszasz mego ojca, Sziwe, ktory zabil mnie w dniu mojego urodzenia. Narodzilem sie w pelni dojrzaly i moja matka, Parvati, kazala mi pilnowac drzwi, by nikt nie przeszkadzal jej w kapieli. Pojawil sie moj ojciec i chcial wejsc, lecz ja, w swym niedoswiadczeniu, odprawilem go. Rozgniewany ucial mi glowe i wyrzucil ja daleko poza Dach Swiata.

Quintus potrzasnal wlasna glowa, jakby sprawdzajac, czy wciaz tkwi bezpiecznie na ramionach.

-Moja matka wpadla w rozpacz. Aby usmierzyc jej smutek, Pan Wszystkich Swiatow wzial pierwsza glowe jaka mial pod reka - a tak sie zlozylo, ze byla to glowa slonia. Kladac mi ja na ramionach, przywrocil mnie do zycia. Odtad szukam wylaczenie zrozumienia.

Podniosl zwoj.

-Witaj w swojej czesci tej historii, mlody wladco.

Kobieta, siedzaca naprzeciwko niego, ponownie wybuchnela smiechem. Delikatne bransolety z muszelek zadzwieczaly na jej nadgarstkach.

-Twe wyjasnienia nie wystarcza, Ganesio. Czy wlasnie takim ma byc nasz oredownik - zmieszany i watpiacy? Nie tak wygladal Arjuna w dniu, gdy mnie wygral i zabral do swego domu.

-Pozwol, ze wyjasnie ci te historie - powiedzialo stworzenie - czlowiek, bog, jedni bogowie wiedza, co - noszace imie Ganesia. - Ktokolwiek ja slyszy i pojmuje chociaz w drobnej czesci, wymyka sie lancuchom, wykutym przez uczynki - dobre i zle. Osiaga zwyciestwo, bo taka jest jej moc. Czlowiek, ktory opowiadaja zaintrygowanym sluchaczom, daje im w prezencie Ziemie i jej morza. Zostan ze mna i powiedz mi...

Przerwal i pokrecil glowa.

-Tak jest niedobrze. Teraz moja kolej, by opowiadac, a nie zapisywac, czyz nie?

Quintus zamrugal oczami, nie spodziejajac sie, ze te slowa sa skierowane do niego. Jeszcze chwila i albo wybuchnie smiechem, albo ucieknie.

Ganesia klasnal w dlonie.

-Dobrze wiec, pojdz za mna.

Poprowadzil go ku wymoszczonemu poduszkami podwyzszeniu, unoszacemu sie na jasniecej sadzawce i wskazal stos poduch, ktory niewiele ustepowal wielkoscia temu, o ktory opierala sie Draupadi.

Ta pochytila sie i napelnila mu pucharek pachnacym napojem ze zlotego, bogato inkrustowanego dzbana.

Starzec zarzucil Quintusowi na szyje wieniec z kwiatow i bialych szarf.

-Czynimy to, by cie uhonorowac - wyjasnila mu kobieta.

-Na co czekasz? - zapytal skryba. - Siadaj, siadaj, siadaj! A ja zaczne.

Quintus odstawil pucharek. Myslal teraz tylko o swoim mieczu.

Draupadi rozesmiala sie, zachwycona.

-Oferujemy mu kadzidlo, oferujemy mu historie, nawet oferujemy mu "amrita" - wspanialy,

niebiański nektar, a on martwi się o bron. Doprawdy, oto wojownik, jakiego szukamy.

"Czy jesteś jednak tym, którego ja poszukuję?" - zdawały się pytać jej podkreślone antymonem oczy. Zapach drzewa sandalowego bił od jej włosów, a linia czerwieni błyszczała w miejscu, gdzie je rozdzieliła i upiększyła klejnotami. Wieniec z kwiatów leżał za nią, a won unosząca się z pucharu była przejmująco słodka.

Czy uległby jakiegś przemianie, gdyby to wypił? Czy mógłby dzwignąć, jak Ganesia, głowę słonia? "Osli leb jest bardziej prawdopodobny - pomyślał - kara za oddalenie się od obozu i słuchanie, chociaż przez chwilę, tych szalenców." Kirke zamieniła ludzi Ulissesa w świnie, a grecki bohater zagroził jej mieczem. Ale jego miecz roztrzaskał się o skałę.

Znowu napotkał wzrok kobiety. W jej głębokich niczym Morze Śródziemne oczach odbijał się otaczający ich ogień. W płomieniach uformowały się postacie: jego bracia - Pandawas; złotooki król, który przegrał Draupadi w kosci i wpędził ich w wojnę; jego wroga, który posiadał bron, czyniąca go niezwyciężonym - dopóki on... Arjuna... nie znalazł oreza, by go pokonać.

-Taki sam wieniec dałam memu mężowi. Był nim Arjuna, który wszystkim, co zdobył, musiał się dzielić z braćmi. W ten sposób poślubiłam pięciu braci. Nazywałeś się... - przerwała, jakby szperając w pamięci w poszukiwaniu imienia - Quintus. To oznacza "piec", nieprawdaz? Weź więc wieniec!

Trzymała go w szczupłych dłoniach. Jeszcze chwila, a zrzuci mu go na szyję, co przywiąże go do niej na zawsze. Wieniec musnął mu włosy.

Zerwał się na równe nogi tak szybko, że brązowa statuetka tancerza upadła na dywan.

-Kriszna! - zakrzyknął skryba. - Ty i on byliście wielkimi przyjaciółmi, odkąd... powiedz, pamiętasz...

-Drzewo... - potrząsnął głową Quintus. Cudze wspomnienia znowu opanowały jego myśli. Ironiczna, tajemnicza postać, której dyskretny humor skrywał umysł wielki jak niebiosy. Jestestwo poświęcone... jemu? Oczywiście, nie jemu. Arjunie, temu herosowi z dziwacznych, hinduskich opowieści.

-Dano mu wybór: armie lub Kriszna, jako jego woznica - i wybrał Kriszne. On. Arjuna. Potrząsnął głową, próbując oddzielić własne myśli od tamtych legend.

Nie chciał wspomnień Arjuny. Ale mały tancerz był dla niego cenny, więc pochylił się i podniósł go. Kpiarskie dźwięki fletu rozbrzmiały mu w uszach.

-To magia - rzucił oskarżycielsko. - Same iluzje. Jestem pewien, że złamanie mojego miecza to też magiczna sztuczka.

Siegnal po skorzana pochwe i wyciagnal miecz. Ostrze zalsnilo w swietle ognia, potem zamigotalo... Blekitne wzory zatrzepotaly na calej dlugosci klingi. Nawet dotyk rekojesci byl dziwny. Spojrzal na nia: byla ozdobiona zabami.

-Orez Arjuna - wyjasnil Ganesia notujac cos skrupulatnie.

Wowczas ostrze ponownie zmienilo ksztalt. Rzymski wzor, najwspanialszy na swiecie. Przynajmniej zawsze tak uwazal.

-Iluzje - wyszeptal. - Czy to wszystko jest zludzeniem?

Nagle zmrozil go lek.

-Czy to sen?

Czy obudzi sie z krzykiem, wykrwawiajac sie na smierc od strzal Yueh-chih? Lub przebudzi sie z opuchnietym jezykiem, umierajacy z pragnienia po strasznej klesce swoich zolnierzy?

-Iluzja? - podchwycila jego slowa Draupadi. - Znasz iluzje. Pamietasz? Maja, bog zludzenia, wykonal "namaste", dotykajac stop twego brata. Oglosil sie wspanialym artysta, owladnietym pasja tworzenia. A ty poprosiles go o palac, ktorego nikt nie zdolalby skopiowac.

Ganesia rozwinal zwoj.

-Tak jest! Na papirusowej wstredze widnialy dwa plaskie dzwigary stropowe, lsniace niczym twarz boga, obramowane zlodem i wysadzone zlodymi kwiatami, blyszczacyimi od brylantow. Wieki temu Kriszna umiescil je na polnocnym zboczcu Matki Swiata.

-Kto tam mieszkal? - spytal Quintus.

-Ty - to znaczy: Arjuna - pokiwal glowa Ganesia. - My wszyscy, przez dlugi czas. To byl twój dom, w ktorym znalazles milosc i smutek, szczescie i smierc. I niczego nie pamietasz. No coz, Kolo obrocilo sie dla nas wszystkich. Przypomnisz sobie.

-Maja zbudowal palac. Przed frontowymi drzwiami umiescil swietliste drzewo o lisciach z rznietych szmaragdow, zylkowanych zlodem. Przeniosl wyrosniete juz drzewa i zalozył park; sprowadzil spiewajace ptaki, by zamieszkaly w ich koronach; utworzył stawy i sadzawki, zarybil je i ozdobil kwiatami. A gdy skonczyl...

-Czy to byl palac Mai?

-Byc moze - odrzekla Draupadi. - Wszystko jest zludzeniem.

Jej oczy posmutnialy.

-Wiec jestem martwy?

-Iluzja moze byc rowna rzeczywistosci - odparla. - Przywiedlismy cie tutaj. Jezdzczy, ktorzy chcieli cie zabic, byli prawdziwi. Burza, ktora przezyles, byla realna. Uzytek, jaki z niej uczynilismy, by cie oslonic, gdy pedziles poza kregami swiata, byl iluzja. Tak jak ukrycie twego miecza.

-Jego zniszczenie bylo wiec iluzja.

-Nie. On naprawde zlamal sie na skale. Nosisz miecz Arjuny, bys mogl wrocic do swoich zolnierzy i zapewnic nam ich pomoc.

Quintus powoli splotl rece na piersi. Biala szarfa i kwiaty dotknely jego kolana. Odepchnal je.

-Skoro jestescie wystarczajaco potezni, by wezwac na pomoc sama pustynie, nie potrzebujecie moich uslug. Jesteśmy wiezniami. Pozwolono nam miec bron tylko dlatego, ze pustkowia sa bardziej niebezpieczne niz oddaleni od domu Rzymianie.

-Czemuz wiec nie odwrocisz sie i nie odejdziesz? - spytala Draupadi. - Niektorzy tak wlasnie zrobili.

Ganesia spojrzal na zwoj jak na mape.

-Ukryli naszego Orla. - Wiedzial, ze nie moga zrozumiec. Jak mogl im wyjasnic, tym nierealnym mieszkancom iluzji, co dla Rzymian oznaczal Orzel? Wygladali na Hindusow. Moze powinien przytoczyc przyklad Aleksandra, ktory zapuscil sie w te dalekie strony. Zaszlo mu w gardle. Nigdy nie byl uczonym, nigdy nie mial zbyt duzo czasu na studia, czy na dobrego nauczyciela. Nawet Lucilius opowiedzialby te historie lepiej od niego.

-Lojalny - przemowila. - Bardzo dobrze. Jesteś tutaj. I oni tu sa. I talizmany. Patrz!

Wyluskala jedna z delikatnych muszelek z bransolety, ozdabiajacej jej smukly nadgarstek.

-Miazdze te muszelke. I rozrucam kawalki... o, tu... i tu... i tu...

Upuscila Isniace skorupki na bursztynowy dywan.

-A teraz pragne ja odzyskac. Tak bardzo pragne, ze zrobie wszystko, by ja znowu miec. Zbieram wiec odlamki - jej palce, zakonczone migdalowymi paznokciami, pracowicie odnajdywaly fragmenty muszli a nastepnie lacze je ze soba, bo przeciez pamietam ten ksztalt.

Uniosla dlon, na ktorej spoczywala nienaruszona skorupka.

-Kolejna gra cieni?

Ganesia potrzasnal glowa:

-To byla prawdziwa przemiana. Rozwinelas sie, Draupadi.

-Chcialabym wykroczyć poza iluzję. Potrafię połączyć cienie w odpowiednie formy. Mogę nadać im kształt, który uratuje ludzkie życie. Umieję wziąć odrobinę materii świata i zmienić ją. Ale nic więcej, przynajmniej bez pomocy.

-Słyszałem - powiedział Quintus - że Hindusi są potężnymi magami.

Jego głos był bardzo suchy. Puchar u jego stóp kusił, lecz nie odważył się z niego napić.

-Ten napój ochroni cię przed ranami - rzekła Draupadi - i uczyni prawie nieśmiertelnym. Jeśli go odtrącasz, napij się z sadzawki.

-Nie pochodzimy z Hind - odezwał się Ganesia. - Och, później, zanim zmieniły się gwiazdy i wypędzono nas ponownie, żyliśmy tam... w pałacu, który Maja zbudował na twoje... Arjuny... polecenie. To był nasz dom i wierzymy, że wkrótce go odzyskamy.

Quintus był coraz bardziej niespokojny. Zgodnie z prawem powinien wezwać swych ludzi lub Ssu-ma Chao, by obezwładnili szalenców. Miał jednak wątpliwości, mogli być przecież wyrocznia. Najświętsze wieszczki uważane były często za obłąkane. Myślał o kobiecie, siedzącej przed nim na trójnogu o nożkach oplecionych przez węże, gdy dymy unosiły się ze szczeliny w ziemi, a sny spływały z jej ust.

-Daleko zarzucacie swoje sieci, skoro zdołaliście złapać kogoś takiego, jak ja.

-Sieci! Teraz zaczynasz rozumieć - Ganesia kiwał głową z aprobatą. - Dawno temu była tu równina, bogata w wodę, żyzne pola, lasy i jeziora. Potężne miasto wznosiło się niedaleko stąd, miasto ludzi, którzy przywedrowali tu z Dalekiego Wschodu, z krainy znanej jako Mu. Przybyli tutaj, do miasta Ujgurow. I dalej, na wyspę morską, teraz zatopioną...

Quintus miał spocone dłonie. Tyle pamiętał z Platona.

-Zatopiony ląd - Atlantyda.

-Jak powiedziałeś, zarzucamy sieci daleko. Jak fale, które zalały nasze miasta. - W głosie Ganesii brzmiał smutek. Lza stoczyła się po policzku Draupadi. - W noc najczarniejszego zła wysłano fale, które ze wściekłości spadły na równinę, zamienioną przez Ujgurow w córkę godną Ojczyzny. Ogromne skały strzaskwały kolumny naszych świątyn, pałaców i teatrów. Ci, którzy zdołali - uciekli. Gdy obejrzelismy się za siebie, ujrzelismy tylko zniszczenie. Oczy zdarły glebę, odsłaniając naga kość Ziemi. Kraina wyschła i pojawił się piasek, by pogrzebać ruiny naszej chwały. Lamentując pokonaliśmy góry i dotarliśmy do Hind. Dokonali tego ci z nas, którzy nie poddali się rozpacz, nie spadli z gigantycznych szczytów ani nie umarli z braku powietrza. Zeszliśmy na bogate pola, przypominające nam kraj, który

utrakilismy. Jego mieszkańcy przywitali nas nad brzegami świętych rzek. Gdy przedstawiliśmy się i opowiedzieliśmy o naszej tragedii, uklonili się do samej ziemi. Udekorowali nas szyje wiencami i honorowymi szarfami. Zamiast "Naacal", imienia naszych kapłanów, usłyszeli "Naga" - nazwę ich świętych ludzi. Być może owe "Naga" były lojalnymi corami Ojczyzny i Hind stał się klejnotem na Jej czole - tak jak Mu. Nawet symbol był ten sam. Draupadi?

Kobieta uczyniła gest dłonią. Powietrze nad najbliższą kadzielnica zamigotało, zmieszało się z iskrami i utworzyło wizerunek siedmiogłowego weza, którego Quintus (jak sam siebie przekonywał) nie widział na ścianie urwiska.

-Weze - powiedziała. - W naturze człowieka leży strach przed nimi i to jest madre. Lecz podobnie jak ognia, nie trzeba ich nienawidzić. Czyż wasi kapłani nie czczą wezy?

Quintus uśmiechnął się na przekór sobie, przypominając sobie jak stawiał spodki mleka ogrodowej gadzinie, która gniezdziła się niedaleko domowej świątynki.

Trudno było myśleć o tej przerażającej pustyni, która przebyli z takim trudem, jako o dnie morza. Lecz przypominał sobie gładkie, białe smugi, odsłonięte przez wiatr, a gdy podniósł wtedy szczypte dziwnego piasku do ust, poczuł sol.

"Wciąż mogłabyś być na pustyni. Mogli użyć twojej głowy do tego, do czego użyli głowy prokonsula - do przerzucania się nią w zabawie ku uciechu barbarzyńców. Lub mogła być preparowana w namiocie jakiegoś Yueh-chih, by brudny rzemieślnik przerobił ją później na czarke do picia."

Był więc winny tym ludziom przynajmniej wysłuchanie ich opowieści. Poza tym, trudno było oderwać wzrok od kobiety, mówiącej głosem podobnym do głosu jego "genius loci".

Popatrzyła na niego.

-Mówiłam ci: zrzucamy sieci naszych iluzji daleko, a sieci naszych wizji jeszcze dalej.

Spojrzał na statuetkę Kriszny.

-W waszym kraju macie piszczalki - flety, muzykę, taniec - mówiła - nie mogłyby istnieć bez niego, bez jakiegokolwiek jego obecności.

"Jest Pan albo Sylen." Jednakże wydało mu się bezużyteczne wypowiedzenie tych słów głośno.

Z uporem, który - jak sadił - pochwaliby jego dziad, Quintus podjął rzecz, będąca według niego najbardziej przekonującym argumentem przeciwko temu szalenstwu:

-Pani, połamałaś tamta muszle. Potem przywróciłaś jej dawną formę - nie wiem, w jaki

sposob. Lecz wiedzialas, gdzie znajdowaly sie jej kawalki i wiedzialas jak je polaczyc.

-Znakomicie! - wykrzyknal Ganesia, klaszczac pulchnymi dlonmi. - Spojrz do gory!

Quintus popatrzył w niebo. Gwiazdy ponownie rozkwitly, nawet jasniej niz na pustyni.

-Widzisz konstelacje?

Ganesia wskazal te, ktore pokazywano Quintusowi, gdy byl chlopcem.

-Kiedy bylem w twoim wieku, nie bylo Lowcy, Wielkiej ani Malej Niedzwiedzicy. Mielismy Nage, Korone... ach, wszystkie one przeminely. Konstelacje na niebie zmienily sie. A gdy pojawiaja sie nowe wzory, nastaje dla swiata czas zmian. "Jako na niebie, tak i na ziemi." To czas przelomu. Nie wydaje ci sie, ze nie ma wokol porzadku ani sprawiedliwosci, ze wszystko jest chaosem?

Ojciec zginął daleko od domu, piekna matka zwiedla i wyschla, dziadek dlugo umieral w swym lozku, stracili ziemie. A potem zdrada na pustyni, pelzanie wsrod piaskow wezy, znikniecie iluzji, ktora miala ich ocalic.

"A jesli nie jestes szalony, lecz normalny i czujesz, ze wszystko dokola jest niezrozumialym chaosem?"

Usiadl, przykladajac honorowa szarfe do czola.

-Czy widzales kiedykolwiek - spytala Draupadi - mezczyzn lub kobiety, przypominajacych Ganesie i mnie? Ktorzy wygladaja tak jak my, ale z ktorymi nie zasiadlbys do wieczerzy, ani nie wysluchal ich opowiesci, chyba ze zbrojny w silne amulety?

Przesunela dlonia nad woda sadzawki i ukazaly sie twarze.

-Czy widzales kogos, wygladajacego tak jak oni? Ciemne wlosy; przymkniete mroczne oczy; waskie, zacisniete usta; szlachetny ale budzacy groze wyglad.

Blizniaczo podobni do Draupadi, byc moze, ale w tym samym stopniu poswieceni Ciemnosci, w jakim ona - Swiatlu.

-Oto Czarni Naacalowie - powiedziala. - Powstali, gdy gwiazdy utworzily odpowiednie wzory. Zostalismi wyrwani z naszych odwiecznych rozmyslan, a ty ze swego dotychczasowego zycia, by stawic im czolo.

Byl oblakany. Mogli go tutaj zostawic. Mogli go potem odnalezc. I odszukaliby go, z twarza wykrzywiona grymasem szalenstwa, z rozwianym wlosem - gdyby nie obawiali sie, ze ucieknie.

-Draupadi!

Istoty zwące siebie Naacalami zeszywniały, jakby smakując powietrze, które drzało i wyraźnie zgestniało. Od strony urwisk otaczających dolinę Quintus usłyszał szelest gigantycznych splotów. Schodzących w mrok, szukających ciepła obozu, życia jego ludzi...

-Nie!

-Stój!

Ganesia unosił zwoj. Draupadi rozłożyła ręce w geście, którym - jak już widział - przyzywała swoje iluzje. Powietrze nadal gestniało, a szelest przybliżył się. Quintus obnażył miecz.

-Nie uda ci się zabić weza mieczem - powiedział Ganesia. - Potrzebujesz luku - Gandivy - który tylko Arjuna potrafił napiąć.

-Nie jestem wam potrzebny - odparł Quintus. - Moim żołnierzom - tak. Pozwólcie mi do nich odejść.

-Powstrzymałam weza - iluzja przeciwko iluzji. Ale nie jestem wojownikiem, Ganesia też nie. Aby pokonać weza Czarnych Naacalów, musimy mieć człowieka wojny. Ciebie. A ty musisz mieć bron. Twój Orzeł pomoże w naszym dziele, którego musimy dokonać. Staniemy się ptakiem, unoszącym w szponach bezradnego gada. Może się nawet zdarzyć, że tak jak Arjuna - będziesz musiał odnaleźć śmiercionośny orez, który mógłby spustoszyć ziemię. Lepiej, żeby nie trafił w ręce Czarnych Naacalów!

Quintus usłyszał kogoś, wołającego po drugiej stronie jeziora. Straż? Czy wartownicy znaleźli czyjeś zwłoki, czy też odkryli jego zniknięcie? Spojrzył w górę. Na horyzoncie zaczęły lopotać sztandary - szkarłatne, purpurowe i złote - razem z płomieniem nocnego nieba obwieszczały wojnę. Zaczynało świtać.

Spędził całą noc na rozmowie z tymi dziwnymi istotami - Naacalami czy duchami - czymkolwiek byli, przypominali do złudzenia "genius loci" jego dzieciństwa.

-Nadszedł czas - rzekł Ganesia. Podniósł wielką muszlę i zadał w nią, dobywając dźwięk, który doceniłby każdy trebacz.

-Zdradziłeś wasze położenie - zauważył Quintus.

-Oni nie szukają nas, szukają ciebie - powiedziała Draupadi. - I przynoszą wieści, które powinieneś usłyszeć.

Rozdział jedenasty

Panie! Trybunie! Przez chwilę jego świadomość szybowała gdzieś w przestworzach. Gdy powróciła zwykła czujność, ujrzał tylko gołą ścianę - dywany, ozdobne poduszki, starzec z głową słonia i pulchnymi rękoma - wszystko to zniknęło. Tylko dwoje nieruchomych

kaplanow czy wrozbitorow w czystych, choc znoszonych szatach, wpatrzonych w slonce, jakby zanosili poranne modly. Smuzki kadzidla unosily sie spirala w powietrze, swiatla z pochodni mrugaly, jakby wciagniete pod fale.

-Trybunie! Gdzie jestescie?

Quintus znalaz te chrypki i wiedzial, ze pauza oznacza, iz Rufus sygnalizuje zwiadowcom, by otaczali brzeg, a oddzial rusza naprzod.

W przejsciurozlegl sie nagle tupot. Zolnierze dzierzyl i obnazone miecze, ich buty krzesaly iskry z kamiennego podloza.

-Stac!

Rzymianie zatrzymali sie, spogladajac ze zdumieniem na kaskady, sadzawki, kaplana i kaplanke, siedzacych w pozycji "lotosu" naprzeciw ich trybuna.

Legionisci poprawili uchwyty na rekojesciach mieczy. Za nimi pojawil sie Ssu-ma Chao w otoczeniu swojej strazy. Poranne slonce mienilo sie na jasnych wlosach Luciliusa.

Rufus przeszedl wscieklym wzrokiem nie kaplanow, lecz swojego oficera. Gromil go za niesubordynacje i pozostawienie go z trybunem, ktoremu nie ufal. Quintus dziekowal bogom, ze jest oficerem i nie podlega wladzy starszego centuriona.

-Ci ludzie nie maja broni. To przyjaciele - odezwal sie Quintus. - Co chcesz zameldowac?

Centurion wypchnal naprzod dwoch zolnierzy.

-Gajus, Decimus, opowiedzcie trybunowi to, co opowiedzieliscie mnie. "I lepiej, zeby to byla ta sama historia, jesli wiecie, co jest dla was dobre." W jego glosie pobrzmiwala grozba.

Draupadi i Ganesia przerwali modlitwy, usiedli wygodnie, obserwujac rozwoj sytuacji ze spokojnym zainteresowaniem i bez leku. Slonce oswietlalo ich glowy. Zapowiadalo sie upalny dzien, nawet woda splywajaca do sadzawki i bogata roslinnosc nie dawaly upragnionej ochlody. Trudno jest pozostac na strazy w takim miejscu. Szum spadajacego wodospadu obiecywal spokoj i odpoczynek.

Quintus przypomniał sobie, ze tych dwoje bylo adeptami iluzji.

-Panie, centurion rozkazal nam pilnowac wozow, obozujacych za sciezka.

Dobrze pomyslane. Quintusowi od poczatku nie podobaly sie te wozy. Podejrzana tez byla ich nieudana proba zjazdu do doliny.

Nie widzac szczegolnego zagrozenia ze strony kaplana i kaplanki w podniszczonych sukniach, Rufus schowal miecz. Wciaz nosil metalowy helm. Z luboscia uderzyl palka w

dłoni.

-Spanie na posterunku...

-Panie, na wszystkich bogów, przysięgam: nawet nie przymknęliśmy oczu. Obozowali; rozpalili ognisko; wyciągnęli zapasy - jakal się Gajus, zwalasty młodzik z prowincji Italii.

Za nim Arsaces zmagal się z tłumaczeniem jego słów na partyjski dla Ssu-ma Chao i jego żołnierzy, coraz bardziej zniecierpliwionych i podejrzliwych. Ganesia machnął nagle ręką, aż Pers spojrzał na niego zdumiony. Ssu-ma Chao parsknął śmiechem, po czym również zamilkł.

-Czy nie wydało wam się dziwne, że korzystali z zapasów, choć mieli tuż obok świeżą wodę i trawę?

Obydwaj legionisci niedostrzegalnie wzruszyli ramionami. Nigdy nie przebywali tak długo i tak blisko przedstawicieli tyłu nacji. Dla nich wszystko, co robili ci ludzie, było niezrozumiałe.

-Wówczas zaczął wiać wiatr. Chmura zasłoniła księżyc. Usłyszeliśmy syk...

-Słyszeliśmy go wcześniej, panie, w nocy, gdy się przebudziliście.

To było pod Merv, kiedy strach przed gigantycznym wezem opanował cały oboz - Quintus był pewny, że Draupadi i Ganesia pochyliłi się naprzód, słuchając w skupieniu jego opowieści.

-I dlatego uciekliście, czyż nie? - wycedził Lucilius.

Przesłiznął się przez pierwszy szereg zbrojnych, by przyjrzeć się nieznanym istotom. Jego twarz rozjaśniła się na widok Draupadi. Pochwyciła jego spojrzenie i umknęła wzrokiem w bok.

-Nie, panie! - zaprzeczenie przyszło zbyt szybko i - pomimo różnicy statusu między nimi a patrycjuszem - zbyt gwałtownie.

-Więc słyszeliście... co? Coś, co wzięliście za weze? I podeszliście cicho, z mieczami w pogotowiu, na wypadek, gdyby się zbliżyły?

Gajus trzymał rękę na piersi, jakby sięgając po jakiś amulet.

"Chłopcze - pomyślał Quintus o niewiele młodszym od siebie legioniscie - wiem, co czujesz." Mezczyzna zaczął się pocić, a białka błysnęły wokół tęczówek jego oczu.

-Szelest... Pochodzę z Arpinum, panie, wyrosłem wśród pol, byłem też na pustyni, ale to było gorsze... To znaczy głośniejsze... Pojawili się między nami a... kupcami. Zobaczyłem światło... och, czarne światło, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Nie mogliśmy się ruszyć.

-Zastyglismy jak zahipnotyzowani - przerwal Decimus. - Jak ptak, wpatrzony w wielkiego weza. Nie mogliśmy nawet zawołać o pomoc. Było tak, jakby wszystko wokół się gdzieś rozplynęło. Światło także potem zniknęło. Szelest ucichł i księżyc wyjrzał zza chmur. Oni odeszli, razem z wozami. Nie zostały nawet ślady kół, by wskazać kierunek, który obrali.

Draupadi kleknęła i pochyliła się nad wodą. Wyciągnęła dłonie i ton uspokoiła się.

-Czy to ci, którzy zaginęli?

Postacie poruszyły się w lśniących glebiach. Nawet Quintus, który widział wcześniej jej iluzję, był zaintrygowany. Oczywiście - tamte wozy, tamte zwierzęta i tamci pochyleni kupcy o twarzach zdrajców - choć tak podobni z rysów do kapłana i kapłanki przed nim - musieli być odbiciem czegoś.

Uniosła rozkazująco dłoń, wpatrując się w dwóch strażników. Ci kiwnęli potakująco i odwrócili wzrok.

-Zgubiliśmy coś więcej - powiedział Quintus. - Gdy przeniesiecie nas tutaj...

Za jego plecami rozległ się pomruk.

-...wielu z nich brakowało. Myśleliśmy, że zabili ich Yueh-chih lub wybrali własną drogę, zdradzając swych towarzyszy.

-Ach, trybunie, zdrada jest zawsze metoda Czarnych Naacalów.

Ganesia zachichotał.

-Nie obawiajcie się, wojownicy. To miejsce jest chronione. Kiedy tu przybyliśmy, uciekając przez góry, wykorzystaliśmy nasze siły magiczne, by je osłonić. Gdy jechalście tu, musieliście widzieć Nage, siedmiogłowego weza.

-Nie mogliśmy przejechać - mruknął Ssu-ma Chao. Przez chwilę Quintus słyszał nosowe dźwięki mowy Ch'in, zanim zastąpiła je dystyngowana łacina szlachetnie urodzonego oficera.

-Nie osmielili się. Jesteście - kim? Czarodziejami, alchemikami - czy prorokami?

Ssu-ma Chao wymierzył stal w Ganesie i zbliżył się, trzymając czubek ostrza przy gardle mężczyzny.

-Usłyszysz twoją odpowiedź - warknął - lub wytnę ją z twojego podstępного gardła.

-Kolejny błąd - oświadczył Ganesia, gdy Draupadi krzyknęła. Quintus nie wiedział, czy mogłoby oprzeć się jej błaganiom, gdyby to jego poprosiła o darowanie starcowi życia.

-Boisz sie - rzekl skryba. - Wiesz, ze nie jestem pierwszym, który podrozuje po tych krainach, zraszanych krwia zolnierzy przez twojego Syna Niebios.

-Wysladasz na jednego z mnichow-zebrakow z poludnia lub zachodu.

-To prawda, przybylismy spoza gor.

-Ale... - Ssu-ma Chao kiwnal glowa w strone kaplanki - ona jest potezna czarownica.

-Ona nam wierzy! - Jeden z Rzymian podbiegl do Draupadi i, zapominajac o dyscyplinie, upadl jej do stop. - To wyrocznia, prorokini. Wie, ze nie klamie, klne sie na moja dusze!

Rufus postapil naprzod, chwycil go za tunike i odciagnal.

-Panie, jestem sklonny rzec, ze on w to wierzy. Coz innego mogloby go sklonic do zlamania szyku? To odwazny zolnierz.

Szturchnal legioniste.

-To za opuszczenie formacji, reszta - wieczorem. Popamietasz mnie.

Trudno jest sie smiac z ostrzem miecza na gardle. Ganesii to sie udalo. Czy, gdyby Ssu-ma Chao pozbawil go glowy, stary skryba powrocilby w postaci, ktora wczesniej widzial Quintus? Cien slonia zdawal sie migotac na kamieniu.

-Pokaz wojownikowi, Draupadi. Szybko.

-Kolejny odwazny - wtracil Rufus.

Dwoch szlachetnie urodzonych oficerow unioslo brwi, patrzac na centuriona, który zasalutowal im swoja palka na tyle bezceremonialnie, ze mozna to bylo uznac za zniewage. Quintusowi przemknelo przez glowe, ze wcale nie potrzebuje Ganesii, by zrozumiec mysl Rufusa. "Prokonsul, stary lis, nie zyje, a my jestesmy daleko od Rzymu, chlopcy."

-Darujcie mu.

Slowa Draupadi podzialaly na rozgniewanych mezczyzn jak oliwa na wzburzone morze. Raz jeszcze rozpostarla rece nad sadzawka, w ktorej wozy, przestraszone zwierzeta i Czarni Naacalowie czekali na jej uwage.

-Dopoki wszystko nie bedzie gotowe, moje sily sa ograniczone. Nie wiedzialam, ze czesc z nich umknela - zamyslila sie i przyklekla, wpatrzona w wode. Jej gladka powierzchnia polyskiwala niczym plynny braz, odbijajac olbrzymi dysk wschodzacego slonca.

Tylko orzel mogl patrzec prosto w slonce, nie narazajac sie na oslepienie.

-Pani - zapytał Quintus - co z naszym Orlem? Widzę go, jak leci na zachód, nawet gdy ten, któremu służymy, zmierza na wschód.

-Orzeł! - Draupadi klasnęła w ręce.

Woda w sadzawce zmetniała. Obraz Czarnych Naacalów zniknął. Zastąpił go widok wzmocnionych ziemią ścian wysokiej wieży, z której żołnierze w mundurach Ch'in wysyłali strzały za strzałami, podczas gdy inni podsycali wielki, dymiący ogień. Przez kleby dymu przebijali się ludzie.

-Fort Miran! - krzyknął Ssu-ma Chao. - Ktoż zaatakowałby Imperium w samym sercu pustyni?

-Ci, którzy się jej nie boją - odparła Draupadi.

-Ci ludzie twierdzą, że mają wrogów, którzy mogą...

-My nic nie twierdzimy, trybunie - przerwał Ganesia. - Jeśli Czarni Naacalowie posiadają moc, której szukają, spowodują takie zniszczenie, że burza piaskowa, która zdolaliscie przetrwać, będzie wspomnieniem rajów.

-Mój generał. Miasto Syna Niebios. Co się z nim stanie? - zapytał Ssu-ma Chao.

Dym zawirował w wodzie, która przyniosła teraz wyobrazenie oblezonego garnizonu. Chmura strzał przesłoniła broniących się wojowników. Ostrzał i dym z wieży trwały jeszcze chwile. Później, gdy grad strzał ustał, dym zaklebił się, zakrywając całą scenę. Kiedy się rozwił, wieża leżała w gruzach.

-Skąd wiadomo, że to prawda? - spytał Lucilius, uprzedzając Ssu-ma Chao.

-Draupadi - zapytał Ganesia - czy podolasz?

Podniosła dłoń. Po raz pierwszy Quintus zauważył pot na jej czole i głębokie cienie pod oczami.

Woda ponownie zadrzała. Gdy się uspokoiła, ukazała oficera, umundurowanego podobnie - choć bardziej bogato - jak Ssu-ma Chao. Lecz jego płaszcz był w strzępach, a luskowa zbroja porwana. Figurka wyglądała tak realnie, że zarówno wojownicy Ch'in, jak i żołnierze Rzymu poderwali się zdumieni. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk.

-To nie jest zwykły okrzyk bojowy - mruknął Ssu-ma Chao.

-Ujrzał bitwę, jakiej dotąd nie znał - zadumał się Ganesia - i czuje strach. Ma powody.

Za dowódcą Ch'in jechała jego gwardia; żołnierze maszerowali najszybciej jak mogli lub powozili chyboczącymi się rydwanami.

-Arjuno, nie utrzymam tego dluzej! - krzyknela Draupadi. Iluzja zniknela, a jej rece zadrzaly. Podniosla sie i omal nie upadla.

Quintus zlupal ja, zanim zorientowal sie, co robi, i przytulil do siebie. Rozluznila sie na chwile w jego objeciach. Jej wlosy pachnialy drzewem sandalowym i trybunowi nagle zakrecilo sie w glowie.

-Jakim imieniem go nazwala? - skrzywil sie Ssu-ma Chao. Arsaces pokrecil glowa.

-Ale co zrobisz - odezwal sie Lucilius - gdy zorientuje sie, ze nie jestes tym, za kogo cie uwaza?

-Jest! Byl! - powtarzala Draupadi.

-Utracila swoja sile - powiedzial Ganesia. - Medrzec Uyasa mowil mi, ze zrodzila sie z ognia Sziwy, ktorego trzecie oko pozre niebo i ziemie.

"Byla - czym?" - pomyslal Quintus. Drzala, wiec przytulil ja mocniej.

Jej dlonie o polyskliwych paznokciach uniosly sie i zacisnely na jego zbroi. Jedna z nich spoczela na jego sercu, oddychal jakby dokonal ogromnego wysilku.

-Arjuno, powiadam ci, musisz zrobic to, co wtedy, gdy walczyles z setkami Kaurovasow. Miales luk i miecz, lecz bedziesz potrzebowal broni o wiekszej mocy. Zazadaj jej od wszystkich twoich zywiolow - Orla w tym, Pasupaty w poprzednim zyciu!

-Bredzi - orzekl Lucilius. - Ktos powinien ja powstrzymywac, choc nie tak jak czyni to teraz nasz bohaterski trybun.

-Ona pochodzi z Hind. - Osmielil sie przeciwstawic Arsaces. - Mowia tam, ze wszyscy ludzie odradzaja sie w nastepnym zyciu, dopoki dzieki prawym uczynkom nie wyzwola sie z Kola.

-Jest swieta - Rufus stanal pomiedzy Quintusem i Rzymianami. Gajus i Decimus przytakneli. - Jak Sybilla i Pytia ze starych opowiesci.

-Musimy wesprzec naszego generala - zarzadzil Ssu-ma Chao.

-Zaczerpnac wody, przygotowac wozy i w droge!

Spojrzal na Quintusa.

-Wiesz, czego m y szukamy - powiedzial trybun.

-To podarunek dla Syna Niebios - odparl oficer Ch'in. - Ten oto obiecalby ci go, lecz wiesz, ze... Nie chce cie oklamywac, Rzymianinie. Dobrze razem walczyliśmy. Ten oto daje ci

słowo, że wstawi się za wami. Gdy dojedziemy.

-Bdziesz tu bezpieczna - Quintus zorientował się, że szepcze do ucha Draupadi.

-Nie! Nie zostawiaj mnie!

-Wiesz, że nie może tego zrobić - wtracił się Ganesia. - Wiedza, gdzie jesteśmy. Jest ich wystarczająco wielu, żebyśmy przestali liczyć na szczęście i iluzję. Jedziemy z wami.
btounaztp

Rozdział dwunasty

To na pewno Dolina Alajska - Ganesia wskazał krainę, leżącą poniżej skalnego punktu, na którym teraz stali, objęci, chronić się przed wiatrem. Powiedział to, jakby coś wspominając. -Ty też ją pamiętasz - szepnęła Draupadi. - Musisz pamiętać, jak przybyłeś na wzgórze, szukając oreza. Szukając Pasupaty.

Nazwa zadzwieczała w uszach Quintusa niczym huk bitewnego rogu. Miecz - to była jego bron. I miał swój miecz, bron, noszona dawno temu przez tego Arjuna, którego Draupadi nazywała jednym ze swoich pięciu mężów. Arjuna, ten Mars Hindusów, odwiedził kiedyś wzgórze, jak Grek udaje się do Delf, poszukując broni, mogącej zagrozić całemu światu.

Trudno było uwierzyć, że legendarna Draupadi jest tą samą kobietą, która stoi obok niego, okutana w ciężkie, owcze skóry, zakrywające bursztynową szatę. Won sandalowego drzewa przytłumił dym i zapach kobiety, budzący go w nocy i nakazujący postawić na straży jej snu jednego ze starszych legionistów. Nie mógł uwierzyć, że jest szalona.

Gdyby Draupadi mówiła prawdę, a złudzenia nie były jej największą umiejętnością, Quintus mógłby zmierzyć się z każdym wrogiem. Miał miecz Arjuna. Ale Arjuna był łucznikiem, a Quintus znał luki tylko jako straszliwa bron Fartów. Z drugiej strony jednak, jeśli Draupadi i Ganesia mówią prawdę, Partowie nie są już największym zagrożeniem, chyba że Czarni Naacalowie posłużą się ich talentem wojennym.

Ale zanim do tego dojdzie, skały mogą okazać się wystarczającym przeciwnikiem.

Quintus wciągnął głęboko górskie powietrze. Ciągłe zimne, ciągłe ostre; lecz noże, które wbijały się w jego piersi podczas pokonywania najtrudniejszego odcinka wspinaczki - zniknęły. Przeszli tak daleką drogę - od kamienia i wody sanktuarium, do którego umknęli z brzucha piaskowej nawałnicy, aż do wysokich wzgórz, nazywanych przez Arsacesa "bam i dunya" - "Dach Świata". Jeśli, jak twierdził, ta trasa prowadziła zaledwie przez pagórki, to Quintus nie pragnął zobaczyć prawdziwych gór.

Nie mógł sobie nigdy dokładnie przypomnieć miejsca, w którym wąska ścieżka przestała się wznosić. Wydawało mu się, że wspina się "od zawsze", ostrożnie lawirując między tobolkami i pakami oderwanymi od wysychających kości zwierząt i ludzi, którym zabrakło sił

lub woli do dalszego marszu.

Co gorsza, pojawiły się góry, których imiona nazywały groźne wśród podniebnych szczytów i skał niebezpieczeństwo. "Mordercy Hindusów" - góry, które przyniosły śmierć z zimna, głodu czy wskutek upadków ludziom, przypominającym wyglądem Draupadi tak bardzo, że mogli należeć do jej rasy. Wędrowcy z dalekiego Hind. Szczęśliwcy, którym udało się przebyć góry, szli dalej przez pustynie do kraju jedwabiu, zwanego przez Rzymian Serica. Potem były Niebianskie Góry, określane przez okolicznych mieszkańców mianem "Gór Cebulowych". Pozornie nic nie znacząca nazwa - cebula to zwykle jedzenie rolnika lub legionisty. Ale tutaj cebula była trucizną. Jak inaczej wytłumaczyć zawroty głowy, krótki oddech i gwałtowność, z jaką niektórzy padali i umierali, nawet poniżej szczytów? "Hannibal i jego zwierzęta - pomyślał Quintus - nigdy nie odwagiliby się porwać na takie wysokości."

Zołnierze Ssu-ma Chao wytrwale wspinali się coraz wyżej, jakby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, ale oni już kiedyś odbyli te wędrowki, gdy podróżowali na zachód, do Partii - An'Hsi, jak ją nazywali. Rzymianie, no cóż, muly Mariusa, posuwali się mozolnie naprzód. Doszło do małej rewolty, gdy spróbowali zmniejszyć swoje obciążenie, ładując najcięższe przedmioty na zwierzęta. Przed najtrudniejszymi odcinkami Quintus zdecydował się złamać trochę dyscyplinę; miał nadzieję, że mniej obciążeni ludzie zyskają większą szansę przeżycia.

Mimo to, wciąż oplakiwał stratę trzech Rzymian. Pewnego bladego poranka jeden z nich po prostu się nie obudził. Inny upadł na kolana w stromym przejściu, po czym ostygnął zanim zdążył pożegnać się z przyjacielem. "Pękło mu serce" - orzekł Ganesia. Następny spadł z urwiska, kiedy juczne zwierzę, które prowadził, wpadło w panikę i, wierzgając, zaplatało go w uprzaz, po czym runęło w dół, a on nie zdążył się wyswobodzić. To był odważny człowiek - nie krzyczał, gdy leciał w dół. Nawet Ch'in go żalował.

Lucilius, oczywiście, znosił to wszystko znakomicie. Quintus nienawidził się za niegodziwość tych pełnych zawisłości myśli. Usta patrycjusza popekały na mrozie. Jego ręce zbieleły, potem stwardniały; na ciele nie pozostały żadne rany, które na tych wysokościach mogłyby zabić równie pewnie, jak oberwanie skały. Damy z Palatynu nigdy nie rozpoznałyby w tym zylastym, znudzonym mężczyźnie, opatulonym w jakieś szmaty, znanego im arystokraty paradującego w białej todzie z szerokim, purpurowym pasem. Zresztą słusznie. Było mało prawdopodobne, by kiedykolwiek jeszcze mogły go ujrzeć. Quintus, zgodnie z naukami Draupadi, pomyślał, że Lucilius sam przecież tego chciał, pragnął wyruszyć do krainy jedwabiu. A że wyprawa nie spełniła jego oczekiwań...

Gdy zaś chodzi o Draupadi... Otulona owczymi skorami i bursztynową suknią, której wywinięta falda ogrzewała jej twarz, wspinała się z mniejszą trudnością niż Ch'in albo Arsaces, mając doświadczenie poprzedniej wędrowki przez te góry. Odpoczywała od czasu do czasu wraz z resztą karawany, lecz była zawsze gotowa, by pomóc Ganesii (który odsuwał jej wspomagającą dłoń ze zniecierpliwieniem) lub wesprzeć ślaniającego się żołnierza. Gdy na nią patrzyli, wspinaczka zdawała się łatwiejsza.

Mogła być mistrzynią iluzji, lecz nie zrobiła nic, by im pomóc. Lucilius zarzucił jej to kiedyś, a ona zapatrzyła się w dal.

-Trudny jest to, czym ból dla ciała - powiedziała, podsycając gasnący ogień. - Dano je wam, byście poznali co znaczy pokora.

Jej oczy spotkały się z oczami Quintusa, który wciąż starał się ukryć strach o nią i podziw dla jej wytrzymałości. "Pamiętasz, jak żyliśmy w dzikich ostępach, gdy twój brat-król przegrał wszystko w kosci?"

Pewnej nocy opowiedziała mu te historie. Jej opowieść była tak żywa, że sam już nie wiedział, czy pamięta tamte lata, tamte zdarzenia, jakby były prawdziwe, czy zna je tylko z jej relacji.

Wrocili wspomnienia. Powietrze na Dachy Świata było bardzo rzadkie. Smakowało jak wino. Podczas długich, zimnych nocy dawne zdarzenia i iluzje wirowały w jego głowie niczym malutka, brązowa figurka, którą ciągle nosił na sercu. Odkąd opuścili sanktuarium, nie dała żadnego ostrzegawczego znaku. Nie widział też żadnych śladów wozów lub zwierząt, niczego, co mogłoby ujawnić trop Czarnych Naacalów.

Ssu-ma Chao zbliżył się do młodszego trybuna.

-Widzisz Wieżę? - zapytał, wskazując w dół, wzdłuż doliny.

Niesamowite: ptaki szybowaly pod nimi. Quintus oderwał wzrok od tego dziwu, by spojrzeć tam, gdzie wskazywał Ssu-ma Chao. Wznosiła się z dna doliny - zapomniany przez boskich budowniczych fragment Dachy Świata. W jej stronę posuwały się malutkie figurki, szereg za szeregiem, ludzkie kruszyny maszerujące obok swoich zwierząt.

-Kamienna Wieża - wyjaśnił Ssu-ma Chao. - Zbudowali ją ludzie z Han, kiedy Syn Niebios, Han Wuti - jego pokryte bliznami palce wykonały pełen szacunku gest - po raz pierwszy wysłał armię przez Jadeitową Bramę w głąb Krainy Ognia, a te pobili wrogów w drodze do An'Hsi.

Quintus patrzył uważnie na Kamienną Wieżę. Legion inżynierów, ani tym bardziej zbrojnych, nie postawiłby jej, nawet gdyby pracował nad nią przez dwa pokolenia - od czasu Wuti do czasu panowania obecnego Cesarza, Hana Yuan-ti. Była zrujnowana po powtarzających się wciąż atakach Ch'in i Fartow, Hsiung-nu, Saka i Yueh-chih. Dostrzegł grobowce, przypominające te z jego ojczyzny. Brązowa statuetka - Kriszna? Znalazł ją w takim właśnie miejscu.

-Zbudowaliśmy ją na ruinach. Uważamy, że zawsze była miejscem handlu, ostatnim przed Su-le - powiedział Ssu-ma Chao.

Su-le... znowu byli dalej, niż przypuszczał. Ganesia mówił o handlowym mieście Kacha.

Zastanawiał się, czy było ono tym samym miejscem, co Kasia czy Kaszgar, wspomniany wieki temu pod murami Carrhae przez najbardziej awanturniczych greckich wojowników.

Jego oczy przywykły do odległości. Kamienna Wieża, widziana stąd, nie wyglądała na tak oddaloną. Ale wiedział, że dotarcie do niej zabierze im wiele dni, a całe tygodnie miną, nim osiągną Su-le.

Horyzont migotał na granicy zasięgu wzroku. W dół, w dół, zawsze w dół, na pustynie, a potem jeszcze bardziej w dół, do amfiteatru, jakim była Kraina Ognia - dolina słonych równin, zwiru i ruchomych dụn. Niektórzy powiadają, że płynie tam rzeka, wpadająca do jeziora w samym jej sercu. Trudne do uwierzenia, lecz Quintus pomyślał o sanktuarium, miejscu, które wydawało się nigdy nie istnieć.

Wszystko więc może być możliwe. Lecz jeśli Czarni Naacalowie dotrą tam pierwsi - wszyscy będą zgubieni. Dotknął figurki na piersi, próbując wyczuć niebezpieczeństwo. Omal nie wybuchnął śmiechem. Był przecież Rzymianinem, nie magiem, a z pewnością nie tym boskim herosem, za którego uważała go Draupadi. Arjuna. Pomyślał, że gdyby był Arjuna, nie dzieliłby takiej kobiety z braćmi.

Potrząsnął głową. To było szalenstwo.

Miał inne problemy. Na przykład: co może ich spotkać, jego samego i jego ludzi, w Kamiennej Wieży. Albo w Su-le.

Ssu-ma Chao przemówił, jakby wykonywał rozkaz:

-Ten oto zaluje... - oficjalny ton zagubiony gdzieś podczas bitwy, burzy piaskowej i dalszej wędrowki, znowu powrócił. - Czego zalujesz?

Koniec braterstwa. Zbliżali się do "limes", granic Imperium Ch'in, sieci fortów, oficerów i raportów... Coż teraz znaczyła przysięga złożona przez oficera Ch'in? Czymże było ich braterstwo?

Mógł go zmusić, by potwierdził jego przypuszczenia.

-Gdy dotrzemy do Su-le... tam jest garnizon. Raporty przesyłane są do Czterech Dowództw Zachodu i do Dowództwa w Wuliang za Jodeitową Bramą.

Ssu-ma Chao nie życzyłby sobie, by te osobistości dowiedziały się, że on i jego oddział zawdzięczają życie trybunowi, niewolnikowi i jencom, których wzięli z An'Hsi do Fartów. Quintus zastanawiał się przez chwilę, jakie słowa wypisano na wąskich, drewnianych paskach, które widział raz czy dwa w rękach Ssu-ma Chao.

Znowu odbiora im bronie. A to co ich połączyło w bitwie i niebezpieczeństwach - będzie tylko wspomnieniem.

Jedni bogowie wiedza, co sie z nimi stanie. Moze sie zdarzyc, ze beda zazdroscic tym, ktorych zamieniono w Merv w niewolnikow. Byli w Rekach Fortuny. I nie osiagneli jeszcze Su-le. Wiele moze sie wydarzyc. Ponownie sprobował spojrzec w przyszosc i w y c z u c, co jeszcze sie zdarzy.

Nic. Zadnego ostrzezenia. "Bogowie sprawcie, by Czarni Naacalowie wymarli na wysokosciach" - pomyslal, odsuwajac wspomnienie smierci, wizji, ktora przezył w gorach.

Wiedzial, ze modlitwa nie bedzie wysluchana.

Rozdzial trzynasty

Zostawcie mnie! Draupadi odrzucila owcze skory, ktore nosila w gorach i oddalila sie od cizby niepokojacych ja barbarzyncow. Zbyt duzo ludzi, oczu, glosow; nie mogla tego zniesc, po tak dlugim czasie spedzonym w sanktuarium tylko w towarzystwie Ganesii, wody, drzew i odwiecznych, gorskich szczytow.

"Odwiecznych, Draupadi? - Widzialas, jak rozpadaja sie gory."

Okrzyk - "Nie odchodz sama!" - podazyl za nia, wzmagajac jej gniew. To nie byl Ganesia: znala go wystarczajaco dobrze, by wiedziec, ze wciaz wedrowal od ludzi z Krainy Zlota do ludzi Zachodu, cwiczac nowe jezyki i robiac notatki do jednej ze swych nie konczacych sie historii.

Stala na skalnym wystepie, obserwujac doline. Karawana zblizyla sie do Kamiennej Wiezy - lecz ciagle mieli przed soba niezly szmat drogi.

"Nie odchodz sama!" - Jakby jej iluzje nie mogly zmusic irbisa czy weza do blyskawicznego odwrotu! Powinien o tym wiedziec. Draupadi tupnela noga. Czemu Arjuna nie poszedl za nia, jesli uwazal ja za tak slaba?

Nawet teraz, nawet tak daleko od ich wspolnej przeszlosci, widziala jego oczy, jak wtedy, gdy wygral ja w kosci i uczynil swoja zona i zona swoich czterech braci. A poza tym... byl z nich najodwazniejszy, najbardziej lojalny i uczciwy.

Skoro obowiazki zmusily go do okrzyku: "Nie odchodz sama!" - zamiast pojsc za nia, pozostanie samotny. Zyla w dzikich ostepach. Przezyla wojne. Lecz teraz nie byla pewna, czy chce byc wciaz sama. Sledzily ja oczy nie tylko jego, nie tylko Arjuny. Byl takze drugi oficer - jasnowlosy, ktory zachowywal sie tak, jakby byl wodzem. Jego usmiechy sprawialy, ze marzyla o sztylcie. Cieszylo ja, ze mezczyzni, ktorych uznala za najbardziej godnych zaufania, nie ufali mu, choc twierdzil, ze jest szlachetnego rodu. Jego oczy spoczywaly na niej, jakby byla pionkiem w grze, w jego grze w kosci.

Kosci zawsze kosztowaly drogo jej rodzine. Najstarszy maz porzucil dla nich palace i krolestwo - a w koncu takze i ja. Nie ufala tej grze, ani temu mezczyznie, zachowujacemu

sie jak wytrawny gracz.

Przez cale swoje dlugie zycie byla mistrzynia iluzji. Co sie stanie, jesli pokaze mu troche prawdy? Ucieknie ze wstretem.

Wyciagnela rece przed siebie. Gladkie, bez zmarszczek, choc stwardniale od znojow ostatniej podrozy. Draupadi dobrze przyswoila sobie wszystkie nauki. Po tych wielu latach wciaz wygladala na... - nie, nie byla juz ta szczupla dziewczyna, wymykajaca sie z celi, by wewnetrznymi przejsciami dotrzec do biblioteki przyswiatynnej szkoly w miescie na nabrzezu, gdzie dzielila sie swymi obawami z Ganesia i innymi zaufanymi studentami.

Od tamtej pory, odkad miasto upadlo, a morze bylo znowu ziemia, Draupadi przegladala sie w wodzie morskiej lub w fontannie, w srebrze, metalu tarcz, przez wszystkie te lata wygnania.

Opuszczenie doliny sanktuarium i widok miejsca noszacego znana jej nazwe sprawily, ze przywalil ja ciezar tych wszystkich lat. Zdumiewajace, ze czas nie odbil sie na jej twarzy - widziala to w oczach Arjuna. Wiedziala tez, ze tutaj, w tym miejscu i czasie, zwano go Quintusem. Wiedziala, ze to imie znaczy: "piec". Byc moze byl piatym synem. Lub wcieleniem jej pieciu mezow. Byl inny. Pelen rezerwy, jak blizniacy: trudno bylo dopatrzyc sie w nim krolewskiej dumy jednego z braci, walecznego serca innego. "Sam Arjuna byl przepelniony spokojem." Ten mezczyzna tez cierpial, tez wiele stracil i daleko zawedrowal. Jednakze, w odroznieniu od Arjuna, nigdy nie byl oklaskiwany.

Byl inny - a jednak poznala go w chwili, gdy wkroczyl na wysepke jej wygnania.

Wciaz wedrowali rozdzieleni. Wszyscy bogowie sprawcie, by mogli sie polaczyc.

Szafran, przyproszony kurzem, opadl jak znikajace zaklecie iluzji i Draupadi patrzyla na Kamienna Wieze. Byla juz blizej, lecz ciagle daleko. Lata temu, tak wiele lat temu... Probowała wydobyć z mroku nieokreslone, zamglone wspomnienie, nie miała jednak pamieci Ganesii, nie miała tez zapisanych drobnym pismem kronikarza zwojow papirusu. Przeszosc odeszla bezpowrotnie.

Czy Kamienna Wieza zawsze gorowala nad sucha dolina? Tak jej sie wydawalo: dorzecze, w ktorym spedzila pierwsza czesc swojego zycia, lezalo daleko za miastem, zwanym przez zlotoskorych wojownikow Su-le. Pamietala je jako miasto polozone niedaleko wybrzeza, owiewane silna i wilgotna bryza, odswiezajaca jak winogrona, ktore rosly na zboczach w poblizu miast, otaczajacych dawno wyschniete morze.

"Jak dawno to bylo? Zmienil sie nawet taniec gwiazd."

Zerwal sie wiatr. Znow wzniosl sie kurz. Draupadi czula nawoz, troche zgniecionej zieleni, dym z ogniska i dzikosc prawdziwej pustyni, wyroslej z wyschnietego morza, otulajacego brzegi w czasach, kiedy niebo bylo zupełnie inne.

Zamknęła oczy, sięgając myślami tak daleko, jak tylko zdołała. Gdyby pomyślała o nocnym niebie, ujrzałaby tamte, zagubione w pamięci gwiazdy i ich konstelacje. Teraz wspomnienia przychodziły z łatwością: błękit morza między pokrytymi śniegiem gorami, miasta pełne topornych budynków, skrytych w cieniu smukłych świątyn i wież, Isniących czystym światłem, które prowadziło do zatoki smukłe, zwrotne okręty, ciężkie od przewożonych skarbów. Widziała Naacalów w Świątyni poświęconej Ogniovi - ucielesnieniu płomienia czystej myśli i odbicia Umysłu oraz Czasu poza wszystkimi światami. Widziała swoją własną rolę w tejże Świątyni, poczuła nadzieję i rosnącą moc młodej adeptki magii, która wtedy była.

Ganesia pamiętałaby lepiej. Jej umiejętności ograniczały się do tworzenia iluzji. W Świątyni byli tacy, którzy pragnęli dać jej więcej. Ale ona nie chciała ich magicznej mocy, wtedy, w tamtych spokojnych czasach, gdy słońce świeciło nad Morzem Wewnętrznym.

Było tylu lepszych od niej adeptów. Tylu znakomitych mężczyzn i tyle mądrych kobiet. Wszyscy młodzi, z wyjątkiem Ganesii, który ich nauczał. Silny lub silniejszy, niż mogli uwierzyć.

Niektórzy mówili, że nauki Naacalów były takimi samymi złudzeniami jak dzieła, nad którymi pracowała podczas uroczystości. Wierzyli, że pod złudną jasnością i myślą czai się inna prawda - prawda ciemności. Tak, jak olbrzymia ryba wyskakuje ponad powierzchnię morza, by uratować przypadkowego żeglarza - powiadali - inne istoty czyhają w głębinach, by pozrec nieostrożnych i, w końcu, połknąć wszystko. To byli Czarni Naacalowie, postrzegający życie jako przerażająca ucztę, opisana wielkimi literami na stronicach księgi świata.

Nawet ona, praktykująca iluzje, poczuła, że nie zdoła ich powstrzymać; skoro wszystko, co mogła stworzyć - zniknęło? Mistrzostwo prawdziwej przemiany tkwiło w odległości życia - czasu, który pozwolono jej spędzić studiując, za co była wdzięczna. Miała - jak to wtedy określono? - "Cały czas światów". Powiedział to Ganesia, z którym podzieliła się swymi obawami, i mu zaufała.

"Gdzieś indziej mogłabym się zwrócić?" Początkowo nikt jej nie wierzył. Ganesia miał swoje zwoje, studia. Wpatrzony we wzory na niebie i ziemi, nie dostrzegł nowego zagrożenia. "Przez te wszystkie lata - pomyślała - tkwił w samouludzie." Czy taka była kara, która sobie wyznaczył?

Zdała sobie z tego sprawę po raz pierwszy - w ciągu tylu lat - gdy spojrzęła na dolinę i nazwała ją. Kiedy gwiazdy zmieniły swój porządek, miłosiernie zapomnieli... zapomnieli wiele. On nie zapomniał niczego, nawet własnych błędów.

A ona pamiętała swoje iluzje. Zastanawiała się, kim by była, gdyby je odrzuciła! Jaka odległość w czasie dzieli ją od siebie wydobytej z iluzji i siebie, która jest teraz? Czy tyle, ile zatopiona w skale kosa od żywej istoty? Zasmiała się z gniewem. To stworzenie chwili,

zwace siebie Luciliusem i zachowujace sie jak ksiazatko, uciekloby od niej z krzykiem...

"A co z Arjuna?" W ciebie, ktore teraz poznala prawie nie pamietal wlasnego imienia.

Ach, jak bardzo dlugo podrozowali roznymi drogami, dlugo nawet po tym, jak Najglebsze Morze wchlonelo chwale Mu.

Ozyly nie chciane wspomnienia, i osunela sie na kolana. Spojrzala w strone Kamiennej Wiezy, lecz zamiast niej ujrzala bardziej goscinna, bogatsza i o wiele starsza kraine.

Ich zycie bylo spokojne i dostatnie - w palacach, w skapanych w sloncu miastach nad Najglebszym Morzem - dopoki zawisc Czarnych Naacalow nie zniszczyla wszystkiego. Nie chcieli juz dluzej czekac na swoja uczte: pragneli jej natychmiast i znalezi sposoby, by nagiac do swej woli ludzi, ziemie i wode.

Chmury zakryly oswietlane przez blyskawice niebo. Nie spadla kropla deszczu. Wzgorze zadrzalo i rozpadlo sie, a dym i lawa splynely po zboczach. Dno morza zatrzescilo sie i ogromne fale zaczely bic w zatoke. Ganesia byl zrezygnowany: zgromadzil juz wiedze licznych zywtow i bylby calkiem zadowolony dodajac swe swiatlo do wiecznego Plomienia. Ale wiedziala, ze milosc do wiedzy i uczniow wciaz go kusila. Byli jeszcze tacy mlodzi, tyle opowiesci przed nimi. W koncu wspolczucie zatriumfowalo nad rezygnacja i Ganesia nauczyl swoich adeptow ostatniego przedmiotu: przezycia.

Przygotowali lodzie, jedzenie, bron i droge ucieczki. Draupadi utkala iluzje, ktore umozliwily im dotarcie do zatoki.

Po tygodniu ciemnosci, nie ustepujacych nawet w poludnie, zagrzmialo: grom przetoczyl sie przez niebo i ziemie. Grunt zadudnil i morze runelo z rykiem, by pochlonac miasta. Ich statek plynal naprzod, dopoki wiatr nie zerwal zagli z masztow; wowczas wszyscy przebywajacy na pokladzie zjednoczyli cala sile swoich umyslow, by utrzymac kurs. W strone gor na zachodzie, zawsze na zachod. Fale przewalaly sie wokol nich, a Draupadi, uczepiona masztu, wyspiewywala iluzje, ktore powstrzymywaly atakujace ich morskie stwory.

-Draupadi?

Przymilny glos sylabizowal jej imie. To Lucilius. Moze odejdzie, jesli uda, ze go nie slyszy. Nie warto bylo odrywac sie od wspomnien, zeby marnowac na niego iluzje.

Wiedziala, ze jej przyjaciele, nauczyciel i ona sama zaplaca okrutna cene za te ucieczke. Jakim prawem przezyli swoja ojczyzne?

Prawem zwierzecia, szukajacego przetrwania sila instynktu? Jesli taka byla przyczyna, rachunek przekroczy mozliwosci zaplaty. A moze probowali przechowac madrosc dla nastepnych pokolen, dla tych, ktorzy przyjda? To, jak przezyja te probe, da odpowiedz czy

mowili prawde.

Wtedy zaczelo sie. Gdy dno morza peklo i woda uciekla w glab ziemi, przyszlo im uiscic rachunek. Plyneli, dopoki nie zabraklo wody. Potem opuscili statek i zaczeli wedrowke przez blota morskiego dna, wyschniete polacie soli i skal - pustkowia, ktorego nawet Ganesia nie moglby sobie wyobrazic.

-Pani? Draupadi!

Osmielal sie czegos zadac, gdy ona medytowala! Odwrocila sie do Rzymianina plecami, jeszcze glebiej tonac we wspomnieniach.

Nadeszla noc, podczas ktorej zniknal jeden z uczniow - ich przewodnik i straznik. Ganesia byl stary. Ona nie przeszla przeszkolenia wojowniczkini. Opoznieli marsz, lecz towarzysze podtrzymywali ich podczas mozolnej drogi ku wzgorzom.

-Zostawcie nas - wyszeptala.

-Jestesmy ze soba powiazani.

Starzec i slaba kobieta oraz pieciu silnych mezczyzn, ktorzy bez nich mieli wieksza szanse przezycia. Nie bylo wyboru: Draupadi pozbyla sie resztek sily, rzucajac najlepsza - miala nadzieje - ze swych iluzji: "Jestesmy martwi; idzcie bez nas. Dobrze nas wspominajcie".

Tak tez zrobili. Lecz mieli racje. Wszyscy byli ze soba powiazani. Dlatego tez ciagle sie spotykali w chaosie i wirowaniu czasu. Tak jak teraz. Ale pieciu w jednym, zamiast pieciu braci? W sposob oczywisty wskazywalo to na zmiany w porzadku wszechrzeczy.

-Nie powinnas byc tu sama - Lucilius osmielil sie polozyc dlon na jej barku. Czula cieplo jego palcow gladzacych ja po ramieniu.

-Tak nakazal twoj oficer? - spytala, obserwujac go.

-Ten smierdzacy czosnkiem wiesniak? - Lucilius wybuchnal smiechem, w ktorym brakowalo jednak prawdziwej radosci. - Wcielony do Legionow, by nie umrzec z glodu jako syn zdrajcy, ktorym jest!

Draupadi potrasznela glowa. Niech widzi, ze gardzi jego slowami. To nie bylo tak jak wtedy, gdy Dushassana probowal zniewolic ja i rozebrac pomimo jej krzykow, ze nadszedl jej czas w miesiacu. Ani wtedy, gdy sluzyla na krolewskim dworze jako pokojowka.

To bylo odlegle w czasie i przestrzeni.

Ganesia i ona lezeli na schnacej soli i zwirze dawnego dna morza myslac, ze umieraja bez zadnej nadziei na ponowne narodziny. Jej umysl odplynal; umysl Ganesii, jak sadzila,

zawedrowal jeszcze dalej.

-Przeżyja - powiedział jej. - Zwycieża. Nie płacz, corko, gdyż z pewnością ich spotkamy.

Lecz głowa Draupadi opadła, a iluzje, dziwniejsze niż kiedykolwiek, zatoczyły przed jej oczyma.

Pojawił się Plomien. Oczywiście, należało zakryć twarz na widok tego świętego zjawiska; oczywiście, należało odwrócić wzrok, by nie oslepnąć. Ani ona, ani Ganesia nie mogli zrobić nic. Bali się. Oto chwila zapłaty. Ale dzięki wielkiej miłości i ufności, które zdolali zachować, przetrwali.

-Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, prorokini, kobieto, czy cokolwiek jesteś! - głos Luciliusa był gniewny, rozkazujący.

"Co to chwilowe, przemijające stworzenie, które śmie mnie dotykać, może o tym wszystkim wiedzieć?"

Ile czasu zabrakło im przebycia gór i dotarcie do sadyb ludzkich? O ile dłużej zdobywali sobie szacunek? Spowily ją złudzenia: bogactwo tkanin, wyszywanych klejnotami, zapach sandalowego drzewa i kardamonu, powab oczu, podkreślony proszkiem i ozdobione czerwienią paznokcie.

Jak bardzo Arjuna był szczęśliwy, kiedy ją wygrał! Zatriumfował nad wszystkimi książętami Ziemi. A gdy ozwały się konchy muszli, zazał jej i ujrzał mężczyznę, którego rozpoznała po oczach, choć przyobleczony był w ciało syna tutejszych wzgórz. Zabrał ją do domu Pandawasów - matki Kunti i czterech braci. Ich również pamiętała - znowu odrodzonych.

W Mu ich umysły połączyły się. Tutaj połączyły się także ich ciała; towarzyszyła im wszędzie - w pałacach i w dzicy. I tak było do końca tamtej epoki. Przypomniała sobie, że postanowili opuścić świat i powrócić do ukochanych przez Arjuna wzgórz. Lecz wzgórz zatrzęsły się, a oni polegli, jeden po drugim.

Zgineli daleko stąd. Ocknęła się w ciszy, a promienie słońca i woda igrały wokół niej. Ona i Ganesia byli znowu sami.

-Mogłabyś słuchać, gdy mężczyzna mówi - rzekł Lucilius. - Może warto, byś poświęciła mi chwilę.

Odwrociła się i popatrzyła na niego. Jasne włosy, blade oczy, ogorzała skóra - nie, to nie był mężczyzna dla niej. I ten wyraz jego twarzy - jakby wyciągał po nią rękę.

W górach ignorował jej obecność. Teraz przyjął postawę łowcy pewnego swej zdobyczy. Dotknął jej; nie, żeby miał do tego prawo, lecz tak, jakby takie prawo w ogóle nie istniało.

"Oczy i pozadliwe dłonie podazały za nią na dworze Viraty, gdy odgrywała tam rolę pokojowki, a jej meżowie: kucharza, nauczyciela tanca, gracza... General Kitchaka niepokoił ją najbardziej. Raz złapał ją nawet i trzymał z nożem na gardle. Poprosiła go o późniejsze spotkanie i zgodził się."

Zdała sobie sprawę, jak jest bezbronna, pozbawiona mocy, pozycji i oddzielona od tych, z którymi podazała przez wieki. Wtedy zaczęła szukać pomocy.

Teraz krzyknęła gniewnie i wymierzyła policzek.

Zdumiała ją wściekłość, która zabłysła w jego oczach, niczym u drapieżnika schwyconego w światło pochodni.

-Osmielasz się uderzyć mnie, patrycjusza z "gens" Luciliana... przypuszczam, że wolisz tego oracza, u którego zapach armii przytłumił odor pol...

Znow złapał ją za ramię. Wzburzona zaczęła dygotać. Próbowwała oddychać głęboko, by się uspokoić, po czym spojrzała mu w oczy, szukając zrozumienia.

Dostrzegła w nich dumę rodową, nieposkromioną żądze posiadania, gniew, wywołany ocenianiem go przez kogokolwiek lub cokolwiek - gdyż tak naprawdę za ludzi uważał tylko tych, którzy byli przydatni. Ujrzała w nim inwencje w zaspokajaniu własnych potrzeb, pozbawiona jednak sprytu i umiejętności. A także potencjał, mogący uczynić z niego mężczyznę i wojownika, lecz z jakichś nieznanych przyczyn zaprzepaszczony i wypaczony. Najgorsze zaś było to, iż - jak zauważyła - on wiedział, że nie skorzystał ze swojej szansy.

"Jak może żyć w takiej kalekiej postaci?" Gdyby byli w sanktuarium, nie zabrakłoby jej wody do uformowania odpowiedniego lustra, które ukazałoby mu samego siebie. Teraz podniosła rękę w geście, rozpoczynającym pierwsze z zakleć, które powie mu, kim się stał.

-Wydrapałabys mi oczy, prawda? - Pchnął ją na ziemię. - Powinienem cię naznaczyć.

Było zupełnie tak samo, jak na dworze Viraty. Poddaj się, albo cię napietnują. Walcz lub pogodz się z pogardą do samej siebie, która przynosi ustepliwość. Umrzyj z godnością, gdy każdy nerw twojego ciała pragnie żyć.

Przygniatal ją do ziemi, wpychając kolano między jej nogi. Krzyczała i walczyła z furia. Usłyszała zgrzyt kolców na skalistym gruncie, gwoździ, którymi nabijane były podeszwy butów Quintusa-Arjuny.

-Czy nie wystarczy nam kłopotów bez tego, co zamierzasz zrobić? Ch'in na nas patrzy. I tak traktują nas już jak barbarzyńców.

-Tubylcze kobiety, oraczu. Nie znają przynależnego im miejsca.

-Draupadi nie jest markietanka, trybunie. Uczenie jej czegokolwiek nie należy do twoich obowiązków.

Usłyszała kroki innych. Chciało jej się krzyknąć ze wstydu. Powinna to przewidzieć. Quintus mówił jej, by nie oddalała się sama: czy on to przewidział?

-Nie będziesz mi rozkazywać, oraczu. Czemu się nie klaniasz? Okaz więcej pokory, jak przystało klientowi, którym jesteś. Mów do mnie "Dominus" - tak tytułowałeś mojego wuja, kiedy liżales mu stopy na Palatynie!

Ciemnowłose trybun uwolnił Draupadi od ciężaru Luciliusa jednym, mocnym pchnięciem. Trybun upadł na ziemię. Quintus z satysfakcją przyglądał się swemu wieloletniemu wrogowi.

Lucilius poderwał się, gotowy do skoku.

Draupadi zobaczyła zbliżającego się ku niemu Quintusa - "tysiące razy widziała Arjuna, mocującego się dla wprawy ze swoimi braćmi". Ale to nie był trening. Byli tu obcy. Tylko lasce Ch'in zawdzięczali, że nie są więźniami. Jeśli zaczną walczyć, utracą wszystko, co zdolali osiągnąć.

-Panowie! Przestancie! Dajcie spokój!

To był ten starszy, o włosach koloru płonącego węgla: wściekle czerwonych i przyproszonych siwizna. Złapał Quintusa-Arjuna i przytrzymał go.

-Chcecie, aby oni patrzyli na waszą bojkę? - ostrzegł. - Jak myślicie, co zrobią, gdy was zobaczą, rzucających się sobie do gardel? Możecie równie dobrze zwrócić waszą broń przeciwko żółtoskorym. No dalej. Tak, wiem. Jesteście trybunami, ja zwykłym centurionem. Życie strawiłem w Legionach. Wezwijcie ludzi i ukarżcie mnie.

Spojrzał w górę zbocza. Zbliżał się dowódca Ch'in, zwabiony okrzykami i bijatyką. Krecąc głową, co miało znaczyć: "Nie ma niebezpieczeństwa", Quintus uspokoił go.

Czy jednak nie klaniał?

Trzej mężczyźni przeszywali się wzrokiem. Jeśli zaczną walczyć ze sobą - stracą wszystko. Draupadi przypominała sobie wydarzenia na dworze Viraty. Pobiegła wtedy do Bhimy, najteższego i najgwałtowniejszego z braci. Pracującego, zupełnie niestosownie, jako kucharza. Ten wyperfumował się, przyoblekł w jedwabie i zajął jej miejsce w lożu generała. Kiedy Kitchaka próbował objąć, jak mu się zdawało, przerażona kobieta, Bhima złaził mu zapasniczy chwyt i sciskał dopoty, dopoki nie zamienił go w kłab ciała, okrecony obwisłym, pomietym i podartym jedwabiem.

Cały dwór był zaszokowany! Jakże się wówczas śmiała!

Teraz też wybuchnęła śmiechem. Dzwignęła się z ziemi i uczyniła magiczny gest - zmiądzona kula, w którą przeistoczył się general Kitchaka, zmateriałizowała się przed oczyma Luciliusa.

-Czy tego właśnie chcesz? - spytała. - Taki los spotkał ostatniego mężczyzny, który mnie dotykał.

Lucilius cofnął się, lecz tylko o krok: doceniła to.

-Nie pozadasz mnie. Pragniesz siły i władzy, by narzucić swoją wolę. A za siłę bierzesz pozory - jak to!

Kolejny gest i jej ręce wypełniły się złotem... kraglami, metalowymi blaszkami, które cisnęła rzymskiemu arystokracie pod nogi. Zaczął wygrzebywać je z pyłu, gdy klasnęła w dłonie; chłodne, twarde monety przemieniły się w zetony z ledwo wysuszonego gnoju.

Trybun odrzucił je; wargi drżały mu konwulsyjnie. Rufus ryknął śmiechem. Quintus wykorzystał okazję, by wyzwolic się z jego uścisku. Przez chwilę poruszał wargami, po czym również się rozesmiał. Chwilę później nadeszli żołnierze Ch'in. Draupadi usłyszała Ganesie, przemawiającego do nich w ich języku - zakładała, że przekazuje im jakąś wersję prawdy. Oni także zasmiali się, a ich śmiech powrócił echem odbitym, zdawałoby się, od samej Kamiennej Wieży.

Ona zaś zachowała surową twarz. Odezwała się z powagą:

-Nikt nie będzie mnie braci, wykorzystywać i odrzucać. Potrzeba ci kolejnej lekcji? - spytała.

Quintus uśmiechnął się do niej:

-Pani, nie trzeba ci meskiej opieki.

Potem zwrócił się do Luciliusa:

-Może nie zamienilibyśmy cię w zmiądzoną kukłę, ale obiecuję ci - jeżeli kiedykolwiek jeszcze zbliżysz się do Draupadi lub innej kobiety z tej karawany, spróbuję tego dokonać. Jasne?

Otrzepując dłonie, osmieszony i pełen wstydu wśród dobiegającego zewsząd śmiechu, słyszalnego - jak mu się zdawało - w samej Kamiennej Wieży, Lucilius skłaniał głowę i oddalił się. Choć próbował trzymać się prosto i iść miarowym, marszowym krokiem, sama droga nadawała mu przyspieszenie.

-To zaiste będzie miało swoje następstwa, córko - oznajmił Ganesia. Pochyliwszy się z trudem, podniósł coś z ziemi. Złotą monetę.

-Jak zawsze - dodal - dokonalas wiecej, niz myslalas.

Monety mialy byc zludzeniem, iluzja zmieniajaca forme, by wprowadzic przeciwnika w blad. Udalo jej sie lepiej, niz zamierzala. Mloda dziewczyna, uczennica, przebudzila sie w niej raz jeszcze. Wyciagnela dlon po monete...

...iz doliny, jakby w odpowiedzi na smiech, dobiegla ich spiewna mantra. Kazdy ton inkantacji brzmial grozba. Rozlegl sie jek grozy.

Rozdzial czternasty

Podniosla sie mgla, jakby przyzwana sila muzyki i krzyku - mgla w krainie tak suchej, ze nawet bialy polysk soli nasladowal naturalny kamien. Kleby zgestnialych wilgotnych oparow wypelnily doline, zakrywajac Kamienna Wieze. Pelzaly leniwie w gore, lizac okalajace ja skaly. Mimo iz zakryly wszystko w dole, nie stlumily loskotu walacych sie glazow, najpierw pojedynczych, potem calej lawiny. Grunt zadrzal straszliwym ostrzezeniem.-Musimy zejsc na dol!

Zarowno Rzymianie, jak i zolnierze Ch'in szukali oparcia dla rak. Walczyli, by zalozyc uprzaz przestraszonym, wierzgajacym zwierzetom, by przytroczyć bagaz...

-Nie zdazysz do nich na czas! - Quintus wykrzyknal do Ssu-ma Chao po partyjsku.

-Nasi ludzie sa tam, na dole! Musimy sprobowac!

Quintus patrzyl na mgle. Przezył burze demonow, ale to bylo inne. Nie piasek, lecz opary wznosily sie, by ich otoczyc. Jako chlopiec widzial takie mgly nad Tybrem. Pomyslal, ze prawie czuje wode - nie rzeke, lecz morze: mokre, zimne, dziwne w tym kraju pustyn.

Ziemia ponownie zatrzesla sie pod stopami. Rozlegly sie dzikie ryki przerazonych zwierzat. Rzymianie, bogoslawnieni - albo przekleci - duma, pokrywali strach przeklenstwami (choc dalo sie slyszec takze modlitwy). Blagania Ch'in o ochrone niebios brzmialy rownie przenikliwie, jak glosy zwierzat.

Quintus takze przeklinal. Przekleta, slamazarna armia Ch'in! O wiele sprawniej uwijaja sie Rzymianie i - aaach, oto wlaczyl sie Rufus, biorac na siebie dowodzenie tluszcza tych wrzeszczacych barbarzyncow.

-Ladujcie juki! Prawdziwa duma Mariusa - kto wie, moze was wlasnie obserwuje! Wynosimy sie stad!

Legionisci zarzucili na plecy swoj ekwipunek, o wiele lzejszy, choc wciaz stanowiacy powazne obciazenie. Brak taboru pozwolil im na szybkie opuszczenie obozu i zapewnial mobilnosc, w odroznieniu od mieszkancow Wschodu, ciagnacych swoje wozy przez gory i pustynie. Quintus pomyslal, ze nic im nie pomoze, gdy zbrocze gory osunie sie i wszyscy

runa w dol. Przez chwile doznal koszarnej wizji - ujrzal lezacego na skale Rzymianina wsrod roztrzaskanego ladunku, kopiacego slabo, krotko, niczym zuk, zanim sandaly maszerujacych wydusza zen zycie.

Nie ma czasu! Draupadi, czy jest bezpieczna? Chwycil ja za ramie i popchnal szorstko w kierunku Ganesii.

-Wy dwoje! Dolaczcie do reszty. Podtrzymujcie sie i uwazajcie na siebie!

Wiedzial, ze to glupia komenda.

Kobieta uchwycila sie starego uczonego; jej oczy staly sie ogromne, ale nie czail sie w nich lek. Czemu mialaby sie bac? Czyz nie przezyla gorszych rzeczy... wielokrotnie, jesli ma wierzyc jej opowiesciom? Ku swemu zdumieniu zdal sobie sprawe, ze tym, co lsnilo w jej oczach, byla odwaga i wsparcie dla niego. Chcial - bogowie, naprawde chcial - obiecac jej, ze nigdy juz nie bedzie poddana takiej probie, przytulic ja i dotknac jej twarzy.

Znow zadrzala ziemia. Gruz obsunal sie ze skalnego wystepu niedaleko trasy ich przemarszu.

-Cofnac sie! Natychmiast!

Quintus biegł razem z innymi. Jego oddech stal sie chrapliwy, poczul uklucie w piersiach. I wtedy zalala go fala wspomnien.

...Na dworze Viraty byl bezuzyteczny. Co gorsza, budzil smiech, a jego krolewski brat, niefortunny gracz w kosci, byl zawodnikiem, ktory nie umial przegrywac. Lecz on, Arjuna, czempion Yugi, badz jakiegokolwiek innego wieku, byl nauczycielem tanca. Nie, gorzej: ubrany jak kobieta, rozpieszczany przez krolewskie damy, udzielal rad, dotyczacych w rownym stopniu opiekszania twarzy, co ulozenia dloni i stop w starozytnych tancach. Nie mogli wtedy oslonic Draupadi...

Powrocil do rzeczywistosci, popychajac przed soba starca i kobiete. Objuczony ekwipunkiem z latwoscia, plynaca z wieloletniej praktyki, pobiegł do miejsca, gdzie ustawiali sie pozostali. Nawet Lucilius byl gotowy, jego oczy gracza blyszczaly, doceniajac zagrozenie.

-Krzycza z dolu - ktos zauwazyl. - Wiatr przynosi dzwieki!

-Mylisz, ze zdolamy dac im rade? - spytal Lucilius.

Oczy Quintusa przeskakivaly z Rzymian na wojownikow Ch'in. Czy wszyscy byli gotowi? Czy w koncu mogli ruszyc? Do licha, czemu nie porzucili tego glupiego rydwanu?

"Poniewaz jest on tym dla Ch'in, czym Orzel dla nas" - w jego glowie pojawila sie

natychmiastowa odpowiedz.

Legionisci byli gotowi. Rufus prawie nie musiał używać pałki. Ch'in, jednakże... Ssu-ma Chao, nie dbając o dostojenstwo, siodłał swojego konia. Przesłiznął się wzrokiem po Rzymianach i zatrzymał się pełen obaw.

Latwo byłoby im teraz opuścić Ch'in. Lżej uzbrojeni i wyekwipowani, mogliby uciec, pozostawiając ich w samotnej walce z żywiołem gór i wstrząsanej eksplozjami ziemi, grożącej rozpadnięciem się na dwie połowy. A później wrócić i, gdyby żołnierze Ch'in nie byli jeszcze martwi, urządzić zasadzkę...

-Chodźmy - mruknął Lucilius, zaciskając palce na mieczu.

-Zaczekajmy na naszych towarzyszy.

Rufus zaklął, ale on klął nieustannie - od pierwszego wstrząsu: Quintus zignorował go.

-Jesteśmy gotowi - dobiegł go głos Draupadi. Ganesia, stabilniejszy od skały, która ciągle ich podtrzymywała, patrzył na Rzymian i Ch'in.

W jego oczach czaiła się jedna myśl: "zdrada".

Taka sama determinacja dojrzał Quintus na twarzy Luciliusa. Rzymianie byli gotowi. Niech więc zaszadają Orla i uciekają na Zachód. Zakładając, że skały nie podzwigną się i nie zgniotą ich za te hanie i za tchorzostwo pod Carrhae. I za opuszczenie znaku.

Przez chwilę Quintus poczuł ciężar ptaka na ramionach. Odejść bez odzyskania go oznacza, że przestana być Legionem i zamienią się w halastre barbarzyńców. Tak naprawdę, Ch'in nie byli ich sojusznikami. Kupili ich, uwięzili, a Ssu-ma Chao prowadził ich teraz jako jenców swemu Cesarzowi, jakby byli egzotycznymi zwierzętami, wleczonymi za rydwanem Triumfu.

Ale jednak... Ssu-ma Chao uznał ich za swoich towarzyszy. Przywrócił im szereg nadzarpniętej godności, oddając bron. Pozwolił uratować chociaż część honoru, utraconego po przegranej bitwie.

-Nie uda się nam odzyskać Orla - wyszeptał Lucilius, podniecony i przejęty, jak wtedy, gdy zapragnął posiadać Draupadi. Zgiął palce i złączył je, jakby nakrywając kobiece piersi.

-Jesteśmy mężczyznami, czy zbiegłymi niewolnikami? - Quintus splunął.

Lucilius wykrzywił usta w uśmiechu.

Oczywiście, pragnął Orla, pragnął wolności. No cóż, Quintus też tego chciał, nawet jeśli ją zmarnują próbując powrócić do Rzymu.

Ale nie kosztem zdrady. Nie po tych wszystkich zdradach, jakich sam doświadczył. Orzeł

wzbilby się ze swojego miejsca nad literami "SPQR" i rozdarł na strzepy człowieka winnego takiej nielojalności.

-Pomozemy im. Ruszamy razem, albo wcale!

Znużona twarz Ssu-ma Chao rozjaśniła ulgą. Rufus skierował się ku wierzgajacym zwierzętom. Były spocone pomimo chłodu i wysokości. Mężczyźni przeklinali próbujących sprowadzić rydwan po zboczach dygoczącego wzgórza. Centurion zatrzymał się, by klepnąć Quintusa po ramieniu - gest, który ten poczytał sobie za zaszczyt. Ganesia, zanim zeszła się po ścieżce w dół, skłonił się głęboko przed trybunem.

Wierzchowiec, osiodłany przez Ssu-ma Chao, miotał się i wierzgał. Quintus pospieszył, by uspokoić konia, tak jak robił to tysiące razy na swojej farmie. Podjęta teraz decyzja oddzieliła go od domu, prochów dziadka i wszystkiego, o czym marzył.

Czuł jednak ogarniająca go falę ciepła, mimo wysokości, strachu przed trzesieniem ziemi i straszliwą rzezią, tam na dole. Rzadko odczuwał taką pewność, z wyjątkiem - rzecz jasna - tych nielicznych chwil, kiedy chwalił go dziadek.

Razem z oficerem Ch'in przytroczyli juki ostatniemu zwierzęciu, próbując je uspokoić i poskromić.

Raz jeszcze zatrzęsła się ziemia. Deszcz skalnych odłamków spadł na nich, niczym wystrzelony z katapulty Tytana. Dwoch ludzi krzyknęło i umilkło nagle, gdy skalne bloki zmiotły ich ze ścieżki.

-Wybaczcie, wybaczcie to zolwie tempo... Oni tam umierają, a ja ich zawodzę, zawodzę moich braci... - lamentował Ssu-ma Chao.

"Cały dzień stali w pełnym słońcu, bez wody. Szczęście mieli ci, którzy umarli wcześniej, z partyjską strzałą w oku lub sercu."

Nareszcie byli gotowi. Może uda się im powstrzymać tę rzeź.

-MARSZ! - ryknął Rufus, aż poczuł ból w płucach. Rzymianie i Ch'in ruszyli w dół szarpaną wstrząsami ścieżką. Góra mizolila się, jakby miała urodzić mysz. Jak w przypowieści tego starego Greka-niewolnika. Ale nie tutaj. Nie tutaj. Jakiemu cudowi ten huk służy za akuszerkę?

"Może samemu Orkusowi?" - - pomyślał Quintus. Wszyscy zostaną straceni do Hadesu, bez monety dla przewoźnika. Przynajmniej, biorąc pod uwagę chwiejące się wokół skały, nie będzie kłopotów z pogrzebem.

"Nie mów mi nic o śmierci" - zaszeptano coś w jego głowie. Głos szemrał jak wiatr na pustyni. - "Tamci, na drodze poniżej, są martwi. Możesz do nich pojsc, jeśli chcesz. Możesz

pogrzebac ich ciała, skoro taki jest twój wybór, podobnie jak do ciebie należy wybór sposobu pożegnania się z życiem... To nie są twoi ludzie... nie twój kraj... nie twoja bitwa... Dlaczego obawiasz się okrutnej śmierci, skoro alternatywa dla niej jest życie niewolnika? W Rzymie sami niewolnicy zbuntowali się przeciwko takiemu życiu."

"Liz moje sandały" - dodał Lucilius.

"Uważaj na ten kamień..." - Quintus poszukał bezpieczniejszego oparcia dla stopy, kierując ręką ku pewniejszemu uchwytowi. "Jego dziad zginał kark i zabijał swoją dumę, płaszcząc się niczym klient, lecz nigdy nie zawahał się."

O mało się nie potknął. Głupi wypadek byłby niezłym wyjściem, co? Powiedziałby Minosowi i Radamantysowi na sądzie: "Przewrocilem się. Rozczulałem się nad sobą". Czekalby go Tartar. Rzymianie tak naprawdę nie wierzyli w takie miejsca, ale po tym, co zobaczył w śnie i na wygnaniu, lepiej nie ryzykować.

"Cisza" - zazał od głosów, walczących w jego czaszce. Ich echo zdawało się rozbrzmiewać w hełmie. Zwir uderzył w blachę; wzbil się kurz, wyciskając mu łzy z oczu. Szczęśliwi ci, którzy umarli.

"Nigdy nie zmusisz starca, by ci się kłaniał. Ja również tego nie zrobię."

Krok za krokiem, pokonując skały i ziemie przejścia, posuwali się w dół zbocza. Zależnie od przyjętego punktu widzenia, bogowie albo im sprzyjali, albo chcieli ich jeszcze bardziej ukarać, gdyż większości udało się dotrzeć do doliny.

Lament, który usłyszeli, gdy ziemia zaczęła dygotać, ucichł. Nikt nie pamiętał, w jakiej chwili urwały się podziemne grzmoty. Nikt sobie nie przypominał, kiedy umilkły niesione przez wiatr krzyki.

Ostatnie skalne odłamki potoczyły się z zamierającym loskotem w dół, gdy Rzymianie i Ch'in niepewnie zatrzymali się na równinie. Nikt nie osunął się z ulgą na kolana, co napelniło Quintusa ciepłą dumą. Nawet wiatr, osuszający im skóra z potu, ucichł. Polknęła ich mgła, rozciągająca wokół grubą parawan ciszy.

Szarawobiałe kleby wily się między nimi. Poruszanie się wśród nich było jak zwiąd w ruinach, nie tyle udekorowanych pajęczynami, co nimi poprzegradzanych. Miękkie dotknięcia mgły na wychudzonych twarzach i krwawiących dloniach napawały odrazą. Lucilius skrzywił się, jakby dotknął padliny:

-Uleee!

-Cicho! - burknął Rufus.

Draupadi owinięła twarz przybrudzonym szafranem swego stroju. Quintus spostrzegł, że

oddycha płytko, jak na dużej wysokości, nie chcąc zaczerpnąć do płuc zbyt wiele tego mglistego, niezdrowego powietrza.

"Mgła pożywi się tobie - ozwał się w głowie niechciany głos - Pajeczyny oplota cie. Będiesz chwytal powietrze i zanosił się kaszlem, dopóki krew nie trysnie ci z ust, plamiąc wieży. W ten sposób zostawisz swoje kości tutaj, gdzie budowle wspaniałych miast zniknęły bez śladu."

Przez zapach pleśni, czegoś starego, słonego i zepsutego jak zgnily skorupiak, przebijał zapach pustyni. Czyniło to odor jeszcze nieznosniejszym.

-Spokojnie, chłopcze, spokojnie - dobiegł go głos Rufusa. W oczach żołnierzy czaił się strach. Ludzie byli zagubieni i przerażeni.

-Mgła gestnieje, panie - ktoś mruknął.

Czy spotka ich jeszcze coś gorszego, spowitych mgłą wojowników, jak muchy oplatanie siecią pajaka, gdy rusza w głąb prawdziwej pustyni?

Przyszło mu na myśl, że Draupadi jest mistrzynią iluzji. Oczywiście, ona...

-"Domina"? - Quintus zwrócił się do czarodziejki, jakby była wielką damą jego własnej rasy - będziemy wędrować w tej mgłę, aż wreszcie umrzemy.

Spojrzała mu w oczy, po czym spuściła wzrok.

-Nawet po śmierci byłoby lepiej - przyznała. - Oni obserwują. Albo coś. Stworzyłam już tarcze... - wyciągnęła drżącą dłoń. - Obiecuje.

Nagle nawet chwila spędzona wśród tych mgieł zdawała się o wiek za długa. Stawały się coraz gęstsze i gęstsze, jakby czerpiąc siłę z uwieczonych w nich ludzi. Śmiercionosny, ohydny odor narastał.

-Chciałabym oszczędzić wam tego, co zobaczycie - powiedziała.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, nie wyglądała na zbyt pewną siebie.

-Jestecie na właściwej drodze, wierzcie mi - dodała. Zamknęła na chwilę oczy, a gdy je otworzyła, cofnęła się, jakby ujrzała okropności ukryte przed innymi.

Upadek konia przerwał ciszę. Quintus usłyszał trzask kości. Chwilę później miedziany zapach krwi wypełnił powietrze, gdy wojownik Ch'in skrocił meczarnie zwierzęcia. Próbując zobaczyć, gdzie padł koń, Quintus stąpił krzywo i omal nie upadł na ostry zwir. Uratował się kalecząc sobie dłonie i kolana, czuł silny ból w piersiach, jakby znowu przykładano do jego ciała znamie Legionu. Nie chciał myśleć o tym, w jaki sposób mgła lizła krew, saczaca

sie ze skaleczen. Nagle w jego umysle pojawil sie wizerunek szczuplej postaci, dzierzacej pochodnie w dloniach. "Kriszna" - szepnal do siebie. Jego brazowy talizman, ostatnia wiez, laczata dom z tym zapomnianym przez bogow miejscem; straznik, ostrzegajacy go przed niebezpieczenstwem.

Teraz ostrzegal przed zwodniczym czarem Draupadi. Quintus podszedl do wrozbiarki z Hind.

-Mozesz to skonczyc? - zapytal glosem, ktorego nigdy dotad wobec niej nie uzyl. - Niewazne, co chcemy zobaczyc. Nie chcemy - zaden z nas nie chce - byc tutaj, nie chcemy tu zginac.

Draupadi wpatrywala sie w jego twarz, jakby odnajdujac w niej cos, co kochala i czego bardzo dlugo jej brakowalo. Uniosla rece w powolnym gescie, spiewajac coraz glosniej. Wyczerpana wysilkiem znoszenia iluzji, z ktora walczyła, zachwiala sie; podtrzymal ja w ostatniej chwili. Poczul zapach pizma, drzewa sandalowego i potu.

Mgla rozwiewala sie. Kiedy zniknely jej ostatnie klaczki, dal sie slyszec przytlumiony brzek dzwonek u uprzezy i ujrzeli objuczonego wielblada.

Smiejac sie i przeklinajac jeden z Rzymian zdjal reke z "pilum". Niema sensu zabijac czegos, co moze sie jeszcze przydac.

Opary przerazenia ulotnily sie wraz z mgla. Ktos pochwycil walesajace sie zwierzę, dzwonki ucichly.

Wielblad kaszlinal i runal na ziemie, jakby tylko dzwiek dzwonek trzymal go dotad przy zyciu. Gdy mgla sie rozwiala, mogli sie dopiero rozejrzec. Wszedzie wzdluz szlaku scielily sie ciala wielbladow i koni, jakby to tajemne cos, co zatrzeslo ziemia, ukradlo rowniez ich zycie.

Obok zwierzat lezeli ludzie - nieporzadne tlumoki obleczone w podrozne stroje. Wszyscy byli martwi.

Rozdzial pietnasty

Wstega mgly zniknela, zabierajac ze soba ostatnie, tak przyjaznie otulajace opary. Pustynny wiatr szarpnal Quintusem. Przez chwile wdychal wonie tego miejsca: suchy kamien, sol, pot przestraszonych ludzi i spracowanych zwierzat. Potem, gdy wiatr pchnal go do przodu, mala figurka na piersi zadrzala. Wiatr niosl odor smierci. "Dalej, naprzod." Quintus wkroczył na pole trupow.

Dzwonki pobrzekiwal przy uprezach lezacych nieruchomo koni i wielbladow, gdy wiatr poruszał czaprakami i szatami martwych kupcow i straznikow. Maly swiat Fartow, Syryjczykow, Zydow, Persow, Ch'in i przewodnikow zniknal gdzies w niebycie. Podroz

wyssala kolor i wzory ich strojow: wystawnosc i przepych byly dla miast, nie dla pustyni. Takze ciala wydawaly sie pozbawione naturalnej barwy.

Ssu-ma Chao skinal dlonia.

-Na odleglosc strzalu z luku od Kamiennej Wiezy - mruknal.

"Musialby to byc bardzo dlugi strzal."

-Trzeba by niezlego lucznika - rzucil prostacko Lucilius. Bylo do przewidzenia, ze wlasnie on wypowie te slowa.

Jakis zolnierz zasmial sie w odpowiedzi. Smiech narastal w szeregach. Quintus wiedzial, ze ten rodzaj hysterii, zrodzonej z ulgi, moze byc rownie grozny, jak panika.

-Cisza! - Trzask palki Rufusa poparl rozkaz, natychmiast ucinajac wszelka wesolosc.

-To nie pomoze, panie - rzekl Ganesia i podszedl do zolnierza, ktory zasmial sie pierwszy.

-Nie okazujesz szacunku martwym, mlodszy bracie - powiedzial miekko.

-Jak ich pogrzebiemy, panie? - lapidarne pytanie Rufusa brzmialo, jakby dotyczylo zorganizowania obozu na noc.

Jednakze Quintus nie byl dowodca - czy centurion o tym zapomnial? Rzadzil tu Ssu-ma Chao, niewielkiego wzrostu jak na mezczyznie, lecz nawykly do wydawania polecen. Szyk marszowy zostal zlamany. Ludzie odprowadzali zwierzeta na tyly, zeby nie wpadly w panike i nie zezarly zapasow.

Powod? Quintus bardzo dobrze znal swoich ludzi - twardoglowy, wiejski rod. Byli zdyscyplinowani, lojalni, posluszni obyczajom - pogwalconym pod Carrhae, gdy Rzymianie uciekli, zostawiajac martwych i rannych bez opieki. Byli Rzymianami, a nie motlochem: jesli znowu oszukali smierc - to dobrze. Jesli nie, wszyscy byli jej dluznikami i nalezalo umrzec jak na Rzymian przystalo.

"Widzisz, dziadku? Badz ze mnie dumy." Znajomy zew ozwal sie w jego sercu. Do tej pory watpil. Tym razem rozterki zniknely. Moze isc ta plugawa sciezka, lecz jak Rzymianin i czlowiek, z ktorego dziadek moglby byc dumny.

Rufus taktownie zasalutowal Luciliusowi, po czym gestem nakazal zolnierzom kopanie dolow.

-Z szacunkiem dla zmarlych. Mozemy przynajmniej zakryc im twarze. Sprawdzcie, czy maja monety dla przewoznika. Wy tez chcielibyscie, zeby ktos to dla was zrobil.

"Mozemy jeszcze tego potrzebowac."

Cialo Quintusa kazdym nerwem pragnelo uciezki. Spojrzal na Ssu-ma Chao, który stal bez ruchu. Zmusil sie do uczynienia kroku w strone trupow. Pochylil sie, by szarpnac zawoj najblizszego mezczyzny. Byl kupcem o wysokiej pozycji, sadzac po doskonalej jakosci szat, nawet nieco podniszczonych ciezka podroza. Skora pochwy miecza byla znakomicie wyprawiona i bogato ornamentowana, zas rekojesc broni... gdzie miecz? Zabrano go.

Kupiec nie cierpial przed smiercia - ale wygladal na starego, o wiele starszego niz ktos, kto wybiera sie w podroz taka trasa. Stary i wysuszony, jakby slonce palilo go cale miesiace, a nie przez czas, który byl potrzebny karawanie, by zginac. Cialo rozsypalo sie pod palcami. Wzdrygnal sie i obrocil ku innemu trupowi.

-To nie ma sensu - wtracil Arsaces. - Wkrotce piach pogrzebie tych ludzi, jak grzebal niezliczone wyprawy i miasta.

Probowal mowic niedbale, lecz jego dlon wciaz szukala blekitnego amuletu, który nosil pod szatami.

Coz to za smierc, pozostawiajaca cala karawane wsrod piaskow, kradnaca bron i zostawiajaca bogactwa - i c o ja zadaje?

-Ten jest rozbrojony! - krzyknal Quintus. - Sprawdzcie, czy inni...

-Cala bron zniknela. Nawet polamane strzaly - Rufus byl pierwszy do wykonania tego rozkazu.

Arsaces szarpnal juki. Te spadly, rozrzucone tkaniny pokryly piasek. Pers odskoczyl. Biegajac od jednego jucznego zwierzecia do drugiego, rozdzielal worki z najcenniejszymi dobrami, wysypujac przyprawy i szkla na piasek.

-Na Plomien, nic nie ruszyli! - oswiadczył Pers. Glos mu'drzal. Nie rabowac, kiedy byla okazja...

-Ten rowniez nie ma broni! - krzyknal Lucilius. Trybun odwrocil sie od lezacego twarza ku ziemi ciala do innego, przygniecionego przez wierzchowca. Karawana byla mala armia. Kupcy potrzebowali ludzi zdolnych i chetnych do walki. "Edepol!" - czyzby ta karawana byla wyprawa starcow?

-Moga miec przy sobie klejnoty - znoszone buty Arsacesa zgrzytaly na zwirze. Wygladal na rownie zniecheczonego, co Quintus.

-Cala karawana martwa, zadnych oznak choroby, bandytow czy chocby krwi. - Mitro, wspomoz nas!

Gdy Arsaces wykrzykiwal swoje obawy, Quintus przykleknal przy ciele kupca. "Badz mezczyzna." Zdobycz wojenna - nie, to nie bylo prawdziwe pole bitwy, a oni nie byli

wrogami. Zmusił się, by dotknąć ciała. Zwłoki zdawały się zapadać pod jego palcami, niczym wyprozniony bukłak, który zachowuje swój kształt, poki nie musnie go niedbala dłoń.

Rozległy się przekleństwa i modlitwy, gdy inni Rzymianie i wojownicy Ch'in prawie jednocześnie dokonali tego samego, makabrycznego odkrycia. Ta martwa karawana była wyprawa starych ludzi, którzy umarli naturalną śmiercią. Ich ciała ubrane według młodzieńczej mody - pomocników, strażników czy ukochanych synów, odbywających swoją pierwszą pustynną podróż - wyglądały jak wykopane z wydm mumie.

I marszczyły się pod dotykiem.

Zza pleców Rzymian rozległy się komendy w języku Ch'in. W głosie Ssu-ma Chao pobrzmiwały historyczne tony. Arsaces położył dłoń na ramieniu Quintusa.

-Chce, żebyśmy natychmiast odeszli. Mamy dzień marszu do Kamiennej Wieży...

Quintus spojrział ukradkiem na słońce. Zdawało już opasć nisko w kierunku, w którym tak bardzo chciał się udać... Czyżby więc znowu początek Carrhae - brutalnie narzucony marsz na pole bitwy, po którym następuje inne, równie ciężkie wymagania?

Głos dowodcy Ch'in wznosił się do krzyku. Quintus pomyślał, że pragnie ciszy i spokoju. I on, i żołnierze Ch'in, i przede wszystkim - Rzymianie. Ssu-ma Chao złagodził warunki niewoli. Rozkazał, by zwrócono im bronie. Dużo mu zawdzięczali. Lecz wciąż nie odzyskali Orła. Co dalej jedna reka, może odebrać drugą - co się więc stanie, gdy dotrze do swojego ludu?

Jedynym wyjściem było więc umrzeć na polu bitwy. Zginąć tutaj, pomiędzy ciałami wyssanymi przez... Quintus wzdrygnął się, przypominając sobie dziecięce koszmary, wywoływane opowieściami o Lamii.

-Na wszystkich bogów, tu spoczywa bogactwo - mruknął Lucilius. - Musimy zwlekać z wymarszem. Nie możemy jeszcze odejść. Nie, dopóki...

Natychmiast zaczął szperać w szatach trupów. Czym innym jest obszukać martwych, by znalezisko wspomogło żyjących, czym innym grabienie dla zysku tu, na pustyni, gdzie skradzione kosztowności utrudniają tylko dalszą wędrowkę. Quintus gotów był założyć się o każdą monetę, że Lucilius już zdążył obrabować najbliższe leżące ciała.

Draupadi zbliżyła się i przemówiła do niego po raz pierwszy od chwili, w której zatrzesła się ziemia.

-Powinieneś zobaczyć, co znalazł Ganesia.

-Powinieneś również słuchać tego człowieka - Quintus wskazał na Ssu-ma Chao. - Tylko dzięki jego łasce nie jesteśmy niewolnikami.

-Arjuno... - zaczęła protestować.

-Przeestan! - Cały lek Quintusa, cała jego złość, a nawet uczucie dumy zawarło się w tym rozkazie. - Jestem Quintusem, nikim innym. Nie rozumiesz? Nie jestem Arjuna!

Jej zranione oczy rozszerzyły się i znienawidził siebie za to, że zadał jej ból, a także za to, że zadał ból sobie. Niech pozna prawdę. Niech odwróci się od niego teraz, zanim będzie mu trudniej ją utracić. Lecz widok jej cierpienia zasmucił go, dodał więc łagodniejszym tonem:

-Nawet jeżeli nim jestem, to naprawdę nic o tym nie wiem. Przykro mi.

Żołnierze Ch'in zbliżali się, otaczając dawnych sojuszników. Część z nich dobyteła broni. Gdyby choć jeden Rzymianin wyciągnął miecz lub dotknął włóczni... Wtedy Ch'in zmietliby ich słabe sily.

I jeszcze ona, Draupadi.

-Naprawdę mnie nie znasz?

Jej dłoń dotknęła jego piersi dokładnie w tym miejscu, gdzie spoczywała brązowa statuetka Kriszny, która rozgrzała się pod naciskiem tych na pozór delikatnych, wrażliwych palców.

-Myślałam, że jest inaczej.

-Może - odparł. - Ale musimy się zastanowić, czy to nie iluzja.

Przytaknęła smutno.

-Chciałabym, żeby tylko prawda była między nami. By dać ci...

W tej chwili doskoczył do niej i nie zważając na nic pochwycił ją w ramiona.

-...ale ty nie wierzysz...

-A czy ty wierzysz?

-Wierze? Ja to wiem. Pamiętam.

-Ja pamiętam o swoich żołnierzach, których muszę ochronić, zanim on - wskazał Ssu-ma Chao i jego wojowników - zaatakuje.

-Wszyscy jesteście... w tym życiu nazywasz to: "Rzymianinem", prawda?

Myślała o obowiązku i dyscyplinie. Cholera.

Mimo to musiał skinąć głową.

-Tak jest, "Domina".

-To również przypomina człowieka, który mnie wygrał - zaśmiała się smutno. - Nawet na dworze Viraty był tak przejęty swoją rolą, że nie mógł dostrzec niczego innego. Może ja też byłam ślepa, myślać tylko o tym, co ja widzę i co ja wiem...

-Mam! - krzyczał Ganesia. Przez chwilę jego głos pobrzmiwał autorytetem bitewnej trabki, przyzywającej Quintusa na czoło kolumny. Światło skupiło się, migocząc nad starcem, poruszającym się po poboju z niezwykłą sprawnością, jak na człowieka jego lat.

Quintus wyszedł naprzeciw starcowi. Potknął się. Z piasku wystawał kawał drewna, który uchwycił, by uniknąć upadku, a później zaczął używać jako laski, by pospieszyć do Ganesii.

Starzec trzymał w ramionach ciało, które błyskawicznie zamieniało się w płaty suchej skóry, pokrywającej kości. Nosił stroj strażnika. Quintus zmusił się do spojrzenia na trupa. Wargi złuszczyły się ze szczęk, odsłaniając coś zupełnie innego niż martwe, pozbawione wyrazu twarze, które widział dotąd. Ta twarz, młodsza od innych, zachowała rys indywidualności. Malowały się na niej strach i nienawiść, jakby strażnik zobaczył nadchodzącą śmierć i walczył z nią szalenczo, bez nadziei zwycięstwa. Quintus zauważył jeszcze złamany łuk, jakby wojownik w żaden sposób nie chciał oddać go w ręce wroga.

Ganesia złożył martwego obok pozostałych. Dłonie mężczyzny, ciągle zacisnięte, uderzyły o ziemię z głuchym odgłosem.

-Spojrz - rozkazał medrzec. Rozwarł jedną z koscistych pięści, by pokazać strzęp ciemnego materiału.

-Co to jest? - spytał pochylając się Quintus. Ganesia zaczął błyskawicznie wykrzykiwać do Ssu-ma Chao komendy w języku Ch'in.

-Nie dotykaj tego! Ten biedak zrobił to i dlatego nie żyje... - Ganesia ostrożnie schylił się i dmuchnął na skrawek.

-Z szaty Czarnego Naacala?

-Tak, a inni na nas czekają - powiedział Ganesia.

"Moglibyśmy ich okraść" - pomyślał Quintus. Arsaces zna się na gwiazdach i mogliby prowadzić.

-Ale oni są tam - oświadczył Ssu-ma Chao - gdzie my powinniśmy się udać.

-I tak zrobimy, Eksceleńco - odpowiedział starzec z godnością, kłaniając się na sposób Ch'in. - Ale nie wyruszymy nieswiadomi niebezpieczeństwa. Powiadam: strzeżcie się. Nie ufajcie nikomu, niczemu, nawet jeśli wygląda na waszego starszego brata, dopóki nie

upewnimy się, kim jest naprawdę.

-Dlaczego? - spytał Ssu-ma Chao.

-Szukają broni, może samej Pasupaty, poszukiwanej przez Arjuna w poprzedniej epoce. Na pewno jeszcze jej nie znaleźli. Inaczej byłoby tak samo martwi, jak ci tutaj - lub pogrążeni w modlitwach do naszych bogów i do bogów wroga o uwolnienie. Lecz natknęli się na coś prawie równie dla nas śmiertelnego - a bardziej śmiertelnego dla tych biednych głupców.

-Coż to takiego?

-Życie - odparł krótko Ganesia. - Życie i zdrowie. Prawdopodobnie dusze. Ci ludzie nie zostali po prostu pozbawieni życia, lecz tego wszystkiego, co odróżnia człowieka od bestii. Modliłbym się o spokój ich dusz i lepsze przyszłe życie, ale dla nich nie będzie następnego obrotu Kola. Dusze tych biedaków zostały pozarte.

Rozdział szesnasty

Pod skorupą z potu i brudu zbledli nawet najbardziej smagli. Quintus widział, jak Rufus walczył z drzeniem - i wygrał. Nic nie zostawił. Żadnego ciała do pochowania, żadnej duszy, która samotna wędrowałaby przez Rzekę i stanęła przed Sadem, tym Sadem, do którego on zbliżył się we śnie, a mimo to uniknął go, bo nie wybiła jeszcze jego godzina. Miał wystarczająco dużo czasu, by podróżować przez pustynie tak ogromne jak sama Gaja. Kiedy nadejdzie już czas, by nie cierpiał, lecz działał - jak Rzymianin albo ten widmowy bohater, którym - jak przekonywali go Ganesia z Draupadi - był on sam?

Pragnął teraz usiąść i odpocząć na świeżym powietrzu, z dala od tych dziwnych trupów. Byłby szczęśliwy, gdyby zdołał wyrwać Orły ze świątyn tych, którzy zabili jego towarzyszy - znak jego własnego Legionu, a także te wysłane do Merv. Ale coraz bardziej wątpił...

"Czemu się opierasz? - rozległ się głos. - Chcesz swoich bogów, wolności? Możesz to mieć, razem ze słodką wodą, spływającą swobodnie ze skały w cieniu południa... Tylko..."

Brazowy talizman na jego sercu zakłuł niepotrzebnie. Quintus zacisnął dłoń na patyku, który wciąż trzymał w dłoni, szukając ujścia dla przepelniającej go złości.

"Świetnie. Czuj złość. Te całe rozkoszne wściekłość. Uwolnij ją. Niech zabłyśnie, niczym ognisko o północy, podsycane naftą. Nagrodzimy cię za twoje usługi."

Palce trybuna zacisnęły się na drewnie. Bał się, że za chwilę delikatna pałka pęknie, a wraz z nią jego opanowanie. Niech trzasnie jak łamana kość, kregosłup wroga, który go więził i dzierzył klucze do upragnionej wolności. "Dlaczego właśnie ty - spośród wszystkich ludzi - miałbyś opierać się pragnieniom?"

Wzrok Quintusa spoczał na patyku. I wtedy zobaczył - to nie był żaden kij, lecz luk, smiercionosnie wygięta broń Fartow, która pod Carrhae zniszczyła jego samego i jego spokojne i bezpieczne życie. Luk był kompletny, miał nawet założoną cieciwę.

-My mamy strzały do takiego luku - powiedział jeden z Ch'in. - Chyba że czekasz...

Zatoczył rękę, wskazując bezkresną płaszczyznę ziemi i soli, jakby czekając, że za chwilę w tym właśnie miejscu zmaterializują się strzały i kolczan.

"Z jednym lub dwoma dobrymi Legionami" - zadumał się Quintus. Bogowie bronię innych Rzymian przed takim jak jego, okrutnym losem. Skinął głową, dziękując żołnierzowi.

-Tak więc - rzekł Ganesia - znalazłeś swój luk. Czy nawet to nie przekonuje cię, kim jesteś? Jestem stary i nigdy nie wojowałem, ale wydaje mi się, że gdy żołnierz odnajduje swoją broń, bitwa jest blisko.

"Blżej, niż myślisz."

Starzec wpatrywał się w Quintusa, spojrzeniem wymuszającym wiarę, a nawet coś więcej. Walczył więc z tą wiarą, tak jak wcześniej walczył z tym co go przeraziło i zadało poddania się bardziej całkowitego, niż posłuszeństwo Legionowi czy kapitulacja pod Carrhae.

"Ucisz go. Zrób to."

"Ucisz się" - odpowiedział głosowi swojej duszy.

Zapatrzył się na promienie słoneczne, spadające w dół, niczym pikujący drapieznik, szybujący na Zachód. "Niech to będzie dobry omen" - pomodlił się.

Kimkolwiek był Ganesia, nigdy nie skłamał, nigdy go nie zdradził.

Czy Lucilius wysmieje go? "Przed bitwa - powiedział sobie stanowczo Quintus - mądry wódz wysłuchuje przepowiedni i myśli własnego serca."

-Słyszałem - zaczął wolno - głosy, które przemówiły do mnie. Obiecywały...

Ganesia unosił dłoń, jakby przestrzegając przed odkrywaniem sekretu przy świadkach. Madre, znużone, stare oczy wyjaśniały.

-Bądź pewny, Wojowniku - tytuł zabrzmiał bardziej dumnie niż "Książę" - będę obserwował i będę stał na straży, a Draupadi zapewni nam taką ochronę, iż tylko nasi najgorsi wrogowie będą mogli przebić osłonę ślepoty i złudzeń, utkana nad tą krainą.

Oczywiście, to właśnie najgorszy wrogowie mieli być tymi, z którymi przyjdzie im stanąć twarzą w twarz.

Ssu-ma Chao skłaniał głowę.

-Ten oto... - przerwał i porzucił formalności. - Słyszałem, czego nie powiedziałeś staremu alchemikowi. Ty również je słyszysz? Głosy obiecujące spełnienie najskrytszych pragnień, o ile tylko...

"Opowiedz mi o tym. Powie, że jesteś szalony i odda twoje ciało pustyni, abyś nie zatruwał umysłów innym. A wtedy będziesz nasz i pozremo twoją duszę, tak jak pozarlismy dusze głupców, którzy leżą tu wokół ciebie. Powiedz mi i poznaj cenę sprzeciwiania się naszej woli."

Quintus dotknął swojego talizmanu, jakby jednocześnie uspokajał i figurkę, i swoje ciało.

-Czyż nie mówi się, że wiatr i burze przynoszą marzenia? Nie słyszeż zadan posłuszeństwa, lecz groźby złych ludzi, złodziei, kradnących życie i pustynnych bandytów, kradnących skarby.

Po raz pierwszy ujrzał w Ssu-ma Chao nie zwycięzcę, zmienionego w sojusznika, lecz człowieka równie udreconego i równie przerażonego, jak on sam.

-Nie doprowadza cię to do szalenstwa? Możesz spać.

Na twarzy Ssu-ma Chao - malował się teraz wyraz, który Quintus zobaczył po raz pierwszy, kiedy wódz Ch'in opróżniwszy żołądek po pierwszej bitwie umył się i niepewnie spojrział na

wlasna twarz, odbijajaca sie w cudownie czystej wodzie.

"Woda splywajaca ze skal..."

-Rzymianinie - rzekl oficer Ch'in, wymawiajac to slowo, ku zdumieniu Quintusa, poprawnie - czy ty i twoi ludzie jestescie do wynajecia?

-Nie jestesmy gladiatorami ani straznikami - odparl Quintus, nie zwracajac uwagi na rozjasnione nagle oczy Luciliusa. "Spytaj, za ile."

-Nie pozadamy zlota. Jesteś w posiadaniu skarbu, ktorego szukamy - naszego Orla i wolnosc.

-Jezeli nie dostarcze was do Su-le, zginie ja sam i zginie moja rodzina. Lecz bede blagal w garnizonie w Kaszgarze, by zwrocono wam honor i boga wojny, ktorego czcicie. Czy sie zgadzasz?

-Zgadzam? Na co?

-Zeby wasze miecze sluzily nam w drodze do Kaszgaru.

-Dalismy ci juz slowo - powiedzial Quintus (Lucilius syknal gniewnie). - Myslisz, ze maszerujemy ku wiekszemu niebezpieczenstwu niz to, ktore przezyalismy?

Ganesia wpatrywal sie w Quintusa, wymuszajac na nim uczciwosc. Teraz wykorzystal te taktyke przeciwko dowodcy Ch'in. "Niech odpowie zgodnie z prawda."

-Tak, przezywalismy juz burze. Ale tutaj, w glebokiej pustyni, otoczeni przez wrogow, spotkamy takie nawalnice, przy ktorych tamte przypominaja ziarenka piasku, unoszone lekkim wietrzykiem. Doprowadz nas do garnizonu w Kaszgarze, a przysiegam, bedziesz mial moj glos za twoim Orlem i przyjacielmi, nawet gdybym musial przebyc pustynie na kolanach, by zaniec petycje Synowi Niebios.

Quintus poczul znajome uklucie nad sercem. "Odpowiedz mu. Ten czlowiek cierpi."

-Zgadzam sie - rzekl Quintus. Krzyknal na ludzi, by szykowali sie do wymarszu. W nocy powinien swiecic ksiezyc, nie ma wiec powodu marnowac swiatla, gdy niebezpieczenstwo jest tak blisko.

-Czy ty...? - spytal polglosem.

Ssu-ma Chao uklonil sie, potwierdzajac zawarty uklad. Potem wskazal na swoich zolnierzy:

-Zaopiekuj sie nimi, jesli zginie.

Rozdzial siedemnasty

Zmierzając w kierunku Su-le i garnizonu w Kaszgarze, zagłębili się wreszcie - jak mówił Arsaces - w prawdziwą pustynię. Przed nimi rozciągała się jasna, prawie biała, trudna do ogarnięcia wzrokiem płaszczyna. "Wejdz tu, a nigdy nie wyjdiesz." Tak się nazywała - mówili na szlakach karawan, czyniąc gesty odstrasżające złe omeny. Arsaces nie mógł powstrzymać śmiechu, widząc Rzymian naśladowujących zabobonne znaki barbarzyńców. "Wejdz tu, a nigdy nie wyjdiesz - to nie była przesada, pomyślał Quintus, to była prawda." Z miejsca, w którym stał, pustynia otoczona gorami, których śnieżne szczyty stanowiły mizerną namiastkę chmur, rozciągała się niczym amfiteatr oczekujący gladiatorów. To było pustkowie zwiru i wydm, poprzecinane pasmami soli i porozrzucanymi kośćmi. Błagali bogów, by nie musieli zostawić tu własnych.

Kilka uschniętych tamaryszków wystawało z piachu. W dzień trudno było tu znaleźć żywą roślinę lub stworzenie. Jeśli zaś chodzi o martwe - wędrowcy wciąż czuli na sobie jakies obce oczy.

Od czasu do czasu Quintus przyłapywał badawczy wzrok Ganesii. I wtedy jakby coś sobie przypominał, coś z innego życia, innego czasu.

-Okropna scena - powiedział starzec - na której los świata i wszystkie nasze życia, przeszłe i przyszłe, muszą grać do końca.

To nie były słowa, które zwłaszcza Quintus chciałby usłyszeć.

Nie pojawił się nikt obcy i Rzymianie, którzy nasłuchali się od Ch'in o Modunach, Hsiung-nu i Yueh-chih (historie, które raczej miały przestraszyć, niż poinformować - Quintus był tego pewien), odetchnęli z ulgą. Ale odpoczynek nie trwał długo - podczas nocnych i dziennych marszów zauważyli, że na tej pustyni nie ma żadnego życia. Od tej pory wypatrywali bandytów - jako dowodu, że ciążąca tu klątwa jest inna niż ta, która zniszczyła karawane pod Kamienną Wieżą.

Draupadi, choć była mistrzynią złudzeń, nie podzielała tych nadziei. Błędła i była coraz słabsza. W końcu, na jej życzenie, przywiązano ją do wieloblada o najdelikatniejszym chodzie. "Ona wyludniła twój świat" - zaszemrał grzeszny, kuszący głos. - "Co będzie, jeśli umrze? Oczywiście, już jest szalona - być może miłosierdziem byłoby ją zabić. Ludzie, których teraz widzisz - miluj ich, chłopcze, bo ich twarze są ostatnimi, na które patrzysz na tym świecie."

Chyba że ulegnie. Quintus zauważył, że głos zaniechał obietnic.

Próbował nie słuchać i przegrał. Spróbował nie odpowiadać i też przegrał. Popadłby w obłęd, gdyby słuchał kusiciela. A jeśli nie - umarłaby jego dusza, zły urok zniszczyłby ją równie łatwo, jak Czarni Naacalowie wyszali życie z kupców, których truchła marszczyły się pod dotykiem. Wtedy zginęliby wszyscy, a ich kości leżałyby tutaj, na pustyni, chyba że burza zdążyłaby je przykryć. A ostatni pozostały przy życiu przekląłby los, który pozwolił mu

patrzec na smierc jego braci.

Jego bracia.

Quintus zatrzymal sie przy tej mysli. Przyzwyczajony do dyscypliny Legionow nie zmylil kroku - bo teraz szli, oszczedzajac wyczerpane wierzchowce. Wszyscy byli jego bracmi - Rzymianie, zolnierze Ch'in, ktorzy, nawet jesli nie byli rownie daleko od domu jak oni, dzielili ich wygnanie i strach. Nawet Lucilius - bo przeciez wyrosli na tej samej ziemi.

Ale Ganesia, z cala swoja madroscia, i Draupadi? Jakze mogl byc "bratem" istnien tak dalekich i tak obcych? Czyz nie bylo tak, ze gdy spogladal na Ganesie, starozytny nauczyciel natychmiast zmienial forme i glowa slonia pojawiala sie na zaokraglonych ramionach? Bez watpienia byla to sztuczka swiatla lub upalu, albo skutek znuzenia: oczy sleply od blasku, bijacego od polaci soli.

Draupadi - Quintusowi natychmiast przyszla na mysl legenda o Titonosie - ukochanym switu. Aurora obiecala mu kazdy dar, o jaki poprosi. Wybral niesmiertelnosc i dostal ja. Ale nie dostal daru wiecznej mlodosci. Po jakims czasie probowal przewzac chleb bezzebnymi dziaslami, a jego piskliwy glos przeszywal powietrze; ostatecznie zamienil sie w pasikonika. "Jest mistrzynia iluzji. Ale jesli iluzja zawiedzie, moze sie okazac, ze calujesz czaszke."

Narodzenie i odrodzenie - powiedziala mu. Albo w to wierzysz, albo iluzja stala sie rzeczywistoscia.

Brneli w kierunku Su-le. Rzymski chod. Rzymski lud. Zwierzeta juz odpoczely, ale oni woleli marsz - byli Rzymianami.

-Uparty, jak jeden z mulow Mariusa! - zawolal Lucilius, jadac na wierzchowcu. Mogl zachowywac sie niefrasobliwie, ale usta mial spekane a cialo znuzone tak samo, jak wszyscy inni; kpine oslabilo uzycie tego starego imienia. Wszak byli mulami Mariusa, zolnierzami Rzymu, ktorego nigdy juz nie ujrza, podazajac za zdobytym Orlem.

Szedl krok przed innymi, kolce jego znoszonych butow zgrzytaly po zwirze. "Marsz." Slonce swiecilo i odbijalo sie od piasku, gipsu i soli. Ganesia widzial to wszystko jako dno morza. Morskie dno. Trudno uwierzyc, ze bylo tu kiedys morze srodladowe, podobne do Morza Wewnetrznego. "Tyle wody" - pomyslal Quintus. Zakrecilo mu sie w glowie na mysl o takim luksusie. Nie mogl juz sobie wyobrazic ukrytej sadzawki, nad ktora dawno temu znalazl Draupadi, spoczywajaca wsrod przepychu jedwabnych poduszek, drzewa sandalowego i bursztynowych swiatel. Wyznala mu wtedy, ze w samym sercu pustyni jest drugie takie miejsce. Jesli pustkowiu w ogole moze miec serce... Gdyby przetrwali cialem i dusza wystarczajaco dlugo, by tam dotrzec... i jesli predzej nie zabija ich sojusznicy.

Krok przed innymi, utrzymywany stale i niezlomnie. "Maszeruj, Rzymianinie" - uslyszal glos dziadka, silny i ponaglajacy, tak jak wtedy, gdy byl chlopcem. Z poczatku protestowal, lecz dziadek go zawstydzil. Pozniej nauczyl sie nie uskarzac, nawet jesli zadania starca

pozbawiały sił jego ciało. Teraz, maszerując, wspominał twarde, pełną determinacji twarz i błogosławił ją.

Talizman z brązu, który nosił na sercu, nie dawał znaków ostrzeżenia. Wyglądało na to, że udało mu się jakos doprowadzić do zawieszenia broni z "genius loci" tego miejsca.

Ta myśl zatrzymała go na chwilę. Utrzymuj tempo. Jedno uderzenie serca, jeden marszowy krok. Suchy pył, unoszący się spod stop i kopyt, oraz bezchmurne niebo, rozciągające się nad nimi aż po nieosiągalny horyzont, sprawiły, że zakreciło mu się w głowie. Nie byli kompania - pomyślał o żołnierzach i sojusznikach - lecz karawana niewolników. Zachwiał się i wyciągnął rękę.

-Ostrożnie, panie - rozległo się mruknięcie. Ktoś z uśmiechem pomógł mu utrzymać się na nogach. Dotknął dłoń skóry jucznego zwierzęcia. Była sucha i porowata: słońce wysysało cały pot natychmiast po jego wydzieleniu.

-Arjuno? - głos Draupadi był miękki i pełen uczucia. Sybilla. Oto dobre, łacińskie określenie na ciebie. Tak bardzo chciał być tylko Rzymianinem, tylko Quintusem, synem swego ojca i dziedzicem dziadka, nie chciał być widmem, lawirującym pomiędzy wrogimi światami żywych i umarłych.

Zboczył z drogi by wyłożyć to dokładnie Draupadi, lecz jej wciąż olśniewające piękno - ciemne oczy, okalone teraz cieniem zmęczenia, bursztynowa skóra - sucha i brudna i wspaniale, długie włosy, przesuszone i splątane - uciszyło go.

Oczy Draupadi, gdy spotkały się z jego wzrokiem, wypełniły się najpierw obawa, a potem łzami.

-Zawsze byłeś więcej niż jednym istnieniem - powiedziała. - Gdy się spotkaliśmy, przysiągłeś nawet dzielić się mną z braćmi. Nie mam o to żalu, Arjuno... lecz zawsze byłeś wieloma w jednym. Dokładnie tak, jak teraz. Jesteś sercem tych wszystkich ludzi... i ich szczęściem, pochodzącym z Królestwa Złota.

Potrzaskał głową, jakby ktoś ugodził go mieczem.

-To zbyt dużo - odezwał się niewyraźnie. - Więcej, niż mogę udźwignąć.

-Wiec byłbyś jedynie lojalnym spadkobiercą, podążającym za głową rodziny, lojalnym żołnierzem, słuchającym dowódcy? Najdroższy, życzę ci takiego luksusu. Albo żebyś ją mogła nie być już Draupadi. Pogrzebać ją, pogrzebać marzenia i iluzje. Zatopić się bez reszty w obowiązkach żony żołnierza.

Ich oczy spotkały się. "Czy rozumiesz o czym mówię?" zdawali się pytać siebie nawzajem.

-"Domina", skoro Los chciał inaczej...

-Nie twój i nie zawsze - odrzekła. - Ale...

Nagle uniosła dłoń i uśmiechnęła się ironicznie - zadło, ociekające miodem.

-Jesteś zmęczony. Czy twój honor bardzo by ucierpiał, gdybyś zgodził się dosiąść, choćby na krótko, jakiegoś wierzchowca?

-Muszę dawać przykład.

-Przykład - do krzyża z tym!

Quintus zerknął na nią. Nie spodziewał się, że Draupadi nauczy się tego przekleństwa i był pewny, że wcale mu się to nie podoba. Rozesmiał się, rozdarty między zaskoczeniem a dezaprobatą. Myślał, że już nie umie się śmiać.

Cofając się na tyły kolumny, sprawdził linie marszu. Wierzchowce i zwierzęta juczne wlokły się z trudem. Garby wielbładow zapadły się - wiedział, że to znaczy, iż nawet te pustynne zwierzęta już wkrótce będą potrzebować wody. Jeden ze strażników Ch'in, zwiastając najwyraźniej bardzo niskie mniemanie o pozycji Rzymian w generalnym porządku wszechrzeczy, popatrzył na niego spod łba, lecz Arsaces wyszczerzył radośnie zęby i uniosł kciuki do góry - gdzie się tego nauczył? - wskazując mu zwierze, które najlepiej znieśie trud dzwigania go.

Konno (choć niechętnie) przejechał obok stada. Miał kolumnę Rzymian i z dumą zauważył, że żaden z nich nie potykał się ani nie narzekał - chociaż żar i wysuszone powietrze uniemożliwiały marszowy śpiew. Rufus zsalutował. Miał Draupadi na wielbłądzie i Luciliusa, krecącego się jak zwykle koło oficerów Ch'in, jakby próbując uszczknąć trochę ich władzy.

Ssu-ma Chao skinął Quintusowi. Obrócił łeb swojego wierzchowca - pięknego zwierzęcia z Fergany, podniósł się w siodle i wyciągnął rękę przed siebie:

-Tam zmierzamy.

Quintus spojrział z ukosa. Choć uciekali przed światłem na wschód, blaski i cienie późnego popołudnia czyniły patrzenie bolesnym. Na dobitkę wzbily się tumany kurzu.

-Widzisz? - spytał Ssu-ma Chao. - To wieże Su-le.

-Mogę to powiedzieć innym? - zapytał Quintus. Uciesza się z możliwości odpoczynku. I z posiłku, a nawet z kąpieli, choć nie mogli oczekiwać tu prawdziwej, rzymskiej łaźni. Powie również Draupadi i ujrzy w jej oczach radość i ulgę.

Chmura pyłu unosiła się między nimi a Su-le. Quintus, doświadczony wojownik i ofiara zdrady, wzmożył czujność, jego dłoń spoczęła na rekojesci miecza. Cicho, niezauważalnie,

dal znak Rufusowi; centurion natychmiast przybrał postawę obronna.

Kurz opadł i mogli wreszcie zobaczyć Su-le. Miasto wyglądało na nowo wybudowane - typowo garnizonowa osada, oplacająca dobrze swoich żołnierzy, dzięki którym istniała.

-Silny oddział - skomentował Ssu-ma Chao, trzymając reke na mieczu. - Wiemy, że są tu zamieszki, dlaczego więc ich wysłali?

Oficer Ch'in zmrużył oczy. Patrzył na Rzymianina przez ciemne szczeliny powiek.

-Przypuszczam, że zanim zginęła karawana, dostali wiadomość... Było wystarczająco jasno, by urządzenia sygnalizacyjne mogły pracować. Chociaż... myślę, że tamci ludzie umarli zbyt gwałtownie.

Ssu-ma Chao skrzywił się.

-Wciąż mam nadzieję, że udało im się przetrwać. Lecz ty, Rzymianinie, patrzysz na Su-le, jak na gigantyczną pulapkę. Co czyni cię takim podejrzliwym?

-Jeszcze kiedyś byłem zdradzony przez sojuszników. "Dobrze o tym wiesz." Powiedział to głośno, zanim zdolał zapanować nad językiem. Według Quintusa wszyscy byli równi, byli braćmi - lub śmiertelnymi wrogami. Nietrudno było wyznaczyć granice.

Ssu-ma Chao rozesmiał się. Po zbyt długiej chwili napięcia kilku oficerów z jego sztabu również wybuchnęło śmiechem.

-Oto dlaczego chcę ich współpracy - obwieszczył oficer z miną człowieka, powtarzającego niepodważalny argument.

"Lubię tego człowieka - pomyślał Quintus - choć tylko bogowie wiedzą dlaczego."

Nadszedł Lucilius. Słyszac wesołość, osmielił się zbliżyć. Jego ironiczna obecność zepsuła nastrój tej niepowtarzalnej chwili.

-To kupcy - spytał wskazując - czy komitet powitalny?

Quintus czuł metal miecza objającego się o nogę. Dał znak maszerującej kolumnie Rzymian, by byli czujni. Nie gotowi do ataku, na wszystkich bogów, nie. Nie chciał z nimi walczyć, nie chciał przelewać krwi ludzi, którzy z nimi razem zniesli koszmar przeprawy przez góry. Lecz jeśli żołnierze z garnizonu w Su-le zamierzają zaatakować, otrzymają więcej, niżby sobie życzyli.

Poza tym, zawsze istniała szansa, że odzyskają Orla.

Trzeba było nie być jakiejś dyscypliny, by usiedzieć w siodle, podczas gdy cienie wydłużały się, a chmura kurzu, wzbijanego przez nadjeżdżający oddział, rozrastała się na bezkresnym

niebie. Tuman zaklebil sie przed nimi, po czym opadl na nadjezdzejacych jezdzcow. Byli ciezkozbrojni i trzymali w pogotowiu obnazona bron. Drugi szereg tworzyli lucznicy.

Widzac to, Ssu-ma Chao zeskoczyl z konia i ruszyl im naprzeciw, wyrazajac uleglosc cala swa postawa. Zgial sie w glebokim uklonie:

-Ten oto chcialby spytac...

-Najpierw wyjasnij, dlaczego podrozujesz z tymi zolwimi odchodami, jakby byli twoimi towarzyszami broni. I, co gorsza, dlaczego pozwoliles im zatrzymac bron?

"Jak udalo im sie to odkryc?"

Oddzial zblizyl sie. Byl znacznie liczniejszy zarowno od kolumny Rzymian, jak i uszczuplonych sil Ssu-ma Chao. Quintus postanowil trzymac dlon z dala od miecza.

"Wiesz, ze to wszystko przez ciebie? To ty myslales o Rzymianach jak o bandzie niewolnikow. Ale moglbys to zmienic..."

"Ucisz sie" - rozkazal ostro, chcac skoncentrowac sie na zewnetrznym zagrozeniu, ktoremu musial teraz stawic czolo.

Czyjas reka dotknela jego ramienia. Draupadi podjechala ku niemu. Chwila nie byla odpowiednia ani na rozmowe, ani na myslenie o niej. Ale musial jej wysluchac.

-Oni sa juz kim innym - powiedziala. - Pamietam, jak ziemia zadrzala i polknela wode...

-Czy wlasnie to mi oferujesz? - zapytal Quintus. - Wspomnienia, ktorych nie chce?

Draupadi pokrecila glowa, a jej twarz pojasniala. Mlodosc i zycie powrocily.

-Wiesz, co oferuje.

Ta rozmowa zdawala sie ogrzewac jego serce, jego dusze i jego cialo. To nie byl zar slonca, odbity od piaskow pustyni, lecz tesknota, ktorej doznawal ilekroc spojrzal na Draupadi.

-Nie twoj Orzel, ani twoj dom - zaskoczyla go swymi slowami - nawet nie moc, ktora przywrocilaby ci twoje pierworodztwo. Quintusie, taki jaki jestes teraz - jestes wart dalszej podrozy. Oto nasza oferta - podroz, zycie... tak dlugie, jak nasze wlasne.

W tej chwili przesylo go nowe uczucie - pragnienie objecia jej i trzymania w ramionach tak dlugo, jak trwa nieskonczonosc. Zawsze mial nadzieje, ze kiedy zostanie zaaranzowane jego malzenstwo (co doszloby do skutku, gdyby Fortuna mu sprzyjala), bedzie czul dla swojej narzeczonej sympatie, a ona... ona tez bedzie mu zyczliwa. Lecz ta kobieta, z jej magia, wytrwaloscia i pamiecia - ta kobieta twierdzila, ze byla jego zona w swiecie, ktory

zginął. On tego nie pamiętał. Zasługiwała na coś lepszego, niż by ją wykorzystał i posiadał bez przysięgi, bez obrzędu, który z pewnością żył w jej wspomnieniach.

Gdyby zginął w następnej godzinie, niech przynajmniej zostaną wypowiedziane słowa. Była nawet przystrojona w szafranowy welon rzymskiej oblubienicy.

-Gdzie ty, Kajo - zaczął, sięgając po słowa "confarreatio", najbardziej uroczystego małzńskiego ślubowania - tam ja, Kajus.

Głos miał przytłumiony, ale nie z powodu piaskowego pyłu.

Nosił pierścien służby dla Rzymu. Dał go jej.

Rozdział osiemnasty

Wojsko garnizonowe utworzyło wachlarz. Quintus, ku swej rozpaczycy, od razu dostrzegł ich siłę. Byli wypoczęci i gotowi do ataku. Mieli łuczników - formacje, której po lekcji pod Carrhae nauczył się bac. Czy jego żołnierzom starczy czasu, by chwycić tarcze i utworzyć "testudo"? Nawet jeśli tak, będa musieli pozostawić bez osłony tych, z którymi maszerowali przez te wszystkie miesiące. Ponadto podejrzewał, że Draupadi i Ganesia nie przyjmą ich ochrony. Poczł, że palec, na którym tak długo nosił pierścien, był teraz lżejszy i jakby obcy. Nie ma czasu, by o tym myśleć.

Quintus spojrzł w twarz dowódcy garnizonu. Jego oczy były zimne i groźne. Nie, on nie wyglądał na człowieka, który przyjąłby wyjaśnienie - kogokolwiek, dla czego zezwolił więźniom na podróżowanie z bronią. Zwłaszcza, gdyby był to jeden z owych więźniów.

Dowódca warknął coś gniewnie w języku Ch'in i wskazał na Rzymian. Quintus zrozumiał komendę, zanim jeszcze Ssu-ma Chao spróbował ją przetłumaczyć.

-Musicie złożyć broń - rzekł oficer, tonem prawie przeprasającym.

Quintus podał mu miecz.

-Ten oto protestuje z pokorą, uważając, że odbieranie broni dobrem wojownikom jest niemądre - arystokrata Ch'in skłonił się znowu, jakby prosząc o wybaczenie. - Właśnie przybyliśmy spod Kamiennej Wieży. Mineliśmy dobrze uzbrojone karawane, która mimo to została wybita jak muchy...

-Otrzymałismy stamtąd raport - powiedział dowódca garnizonu (który najwyraźniej nie miał zamiaru się przedstawić). - Pochwycono szalenca, na chwilę przedtem zanim umarł. Był bardzo stary, a przysięgał, że jeszcze poprzedniego ranka był młodym terminatorem u barbarzyńców Hu. Czarno odziane demony - powiedział - ukradły mu młodość, życie i rozum. Słońce upiekło mu mózg. Mówił też, że widział cztery demony, jeden z nich zginął. Pozostałe trzy... - dowódca przerwał, wpatrując się w Ssu-ma Chao. - Wiedziałeś o tym?

Zimny dzwiek poluzowywania mieczy w pochwach przeszyly jego serce. "Skoro to nie wiezniowie przybyli do garnizonu w Su-le, nie bedzie kogo odliczyc w raporcie dla przelozonych." Solne polacie pustyni z latwoscia wchlona krew Rzymian.

Mial nadzieje, ze jego ludzie dobrze wykorzystaja czas, zanim powtorza jego gest kapitulacji.

Uslyszal za plecami przeklinanie i zlorzeczenie Rufusa.

-Wiec znowu niewolnicy, nie sojusznicy? Jesli chca nasze miecze, niech je sobie wezma. Czemu nie...

Bunt? Sadzac po ostrym tonie, ktorym komendant garnizonu najwyrazniej strofowal Ssu-ma Chao i po pokorze, z jaka ten sluchal, rebelia nie byla mozliwa. Raczej zbiorowa egzekucja.

Dowodca garnizonu gestykulowal zywo. Na jego komende Ganesia i Draupadi podjechali na swych zdzonych, zakurzonych wierzchowcach. Quintus w sama pore powstrzymal sie przed wyciagnieciem dloni. To byl ten dobrze znany, senny koszmar, jedyny, ktory Draupadi pamietala, a ktory umknal z pamieci Quintusa, ze jest wiezniem wsrod wrogow, a on nie moze jej pomoc.

"Pozwol im jej dotknac" - podszeptyl glos wewnetrzny. Jego rece wrywaly sie do luku, broni, ktora - wedlug Draupadi - wladal niezrownanie Arjuna. Jesli jego talent przetrwal w ciele Quintusa, to pustynia ujrzy drugie spustoszenie. Nie beda nawet potrzebowali Pasupaty.

-Jakim rodzajem demonow sa c i wloczedzy? - Quintus rozumial juz wystarczajaco duzo z jezyka Ch'in, by zrozumiec pytanie i odpowiedz Ganesii.

-Jestesmy uczonymi - odrzekl starzec - i alchemikami.

Komendant garnizonu cofnal sie do tylu.

-Wy? Alchemikami? Potraficie sporzadzic Eliksir Niesmiertelnosci?

-Nie starzejemy sie - oswiadczył Ganesia. - Pamietam waszego Pierwszego Cesarza...

Dowodca wygladal, jakby nieledwie mial pasc plackiem przed medrcem. Jego ludzie rowniez nieznacznie zlagodnieli. Rufus wskazal broda miejsce, w ktorym szereg zalamywal sie lekko. - Moze tam...

Podszedl do nich Lucilius.

-Powiedz im... powiedz, ze zaplacimy, ze mamy zloto... powtarzal. Jego twarz smagana pustynnym wiatrem byla zaczerwieniona, malowalo sie na niej skrajne napiecie, oczy

blyszczaly. - Nasze zycie, nasza bron, nawet nasz Orzel... - Wspomnial o znaku dopiero po namysle, zrobil to jednak.

-Ten oto zwie sie Li Liangli - odezwal sie komendant garnizonu. Ogrom zaszczytu zaparl Ssu-ma Chao dech w piersiach, lecz po chwili zaczal goraczkowo tłumaczyc, bo mowa komendanta stala sie zawila i wieloznaczna. - Ten oto oswiadcza, ze Syn Niebios musi was zobaczyc i zamienic kilka slow.

"Moze bysmy ich pobili" - przemknelo Quintusowi przez glowe. Teraz, gdy byli wstrzasnieni i zdumieni, mniejsze sily Rzymian mogly miec szanse, nawet jesli nie na ucieczke, to na godna, zolnierska smierc.

Ssu-ma Chao uniosl glowe, jakby odgadujac ich plany.

-Nie. Nie. Jezeli ten oto uczynil cokolwiek, by okazac wam wdziecznosc - "zrobil z was sojusznikow, a nie niewolnikow" - nie pohanbiajcie go przed jego oficerami, albo bedzie musial umrzec, a jego ludzie wraz z nim. W wielkim bolu, bedac wczesniej swiadkiem waszej smierci. A pozniej posla ludzi, by zabili rowniez jego rodzine w Krolestwie Zlota, cala - az po najlichszego sluge. Pamiec o nas bedzie zhanbiona.

Jego oczy przesliznely sie po Luciliusie i splunal.

-Zdobedziecie wiecej zlota robiac to, czego chce komendant.

-A czy my odzyskamy wolnosc? - odparl Lucilius.

Dowodca garnizonu Li Liangli warknal kilka slow. Ta wymiana zdan bez watpienia mocno go zaniepokoil. Ssu-ma Chao skurczyl sie w sobie.

-Ci niewolnicy - Arsaces - klatwa na jego oczy - tłumaczyl slowa Ssu-ma Chao i przez szeregi Rzymian poszedl grozny pomruk - sa ludzmi z Rhum, ktorzy dobrze sluzyli i pomogli nam pokonac wiele trudow, by okazac ci posluszenstwo. Upokorzenie wodza Ch'in wciaz nie bylo wystarczajace i on dobrze o tym wiedzial. Oddal swoja dume, by ich chronic i, byc moze, zdobyc dla nich troche sztuk zlota, ktorych tak laknal Lucilius.

-Posluszenstwo - rzekl dowodca garnizonu w jezyku Fartow uzywanym na szlakach karawan. - Masz z tym klopoty, nieprawdaz?

Obrocil sie do mlodszeo mezczyzny - swojego zastepcy? - ktory nosil takie same znaki arystokratycznego pochodzenia, z jakimi Lucilius obnosil sie dumnie dlugo, dlugo przed Carrhae.

"Patrygusz - Quintus rozpoznał ten gatunek. - Rownie uprzedzony i arogancki, jak nasz."

-Mlodszy bracie, przypatrz sie dobrze temu czlowiekowi i jemu podobnym. I pamietaj ich,

kiedy powroczisz do Ch'angan i poklonisz sie Synowi Niebios, zasiadajacemu w swiatlosci na Smoczym Tronie. Ten oto w zakurzonych szatach to oficer z pogranicza. Ludzie, ktorzy sluzą w tych odleglych stronach, nie zawsze sa pobożnymi synami i poslusznymi wnukami. Zostali deportowani za jakas obraze - dlatego ich tu ogladasz. A temu motlochowi, tym towarzyszacym mu barbarzyncom, rowniez przyjrzyj sie dobrze i traktuj ich jak dzikie bestie.

Ssu-ma Chao spasowial, z gniewu lub wstydu.

Rufus rzucil Quintusowi spojrzeie, ktore mozna by uznac za blagalne u kogokolwiek innego, u niego zas - za zadanie krwi i zemsty. "Ciagle chcesz, bysmy trzymali sie z tylu?"

Musi cos teraz zrobic, inaczej wybuchnie bunt.

Zblizyl sie ostroznie do Ganesii, pokazujac zolnierzom z garnizonu, ze nie ma broni.

-Bedziesz dla mnie tlumaczyl? - spytal. Jego partyjski byl rownie dobry, jak tego pyszalkowatego oficera. Wielokrotnie widzial takich jak on, bezlitosnych dla swoich zolnierzy, odmawiajacych im odpoczynku, wody i cienia. Wiedzial, ze zgina, jesli nie beda posluszni.

Ganesia skinal glowa.

-Powiedz wiec temu... uzyj jakiejkolwiek uprzejmosci, ktora uwazasz za najstosowniejsza... ze choc my, z Rzymu, mozemy byc zmienni, nasze slowo jest stale niczym Gwiazda Polarna. Dalismy je oficerowi, ktory traktowal nas z honorem, licujacym z jego wlasnym - i oczekuje na rownie honorowe traktowanie jego samego.

Przebiegle, cieple oczy Ganesii rozjasnily sie.

-Spryt, jak widze, jest kolejnym lukiem, ktory potrafisz naciagnac. Tym razem trafiles w samo sedno, okazales sie madrzejszy niz niejeden z cenionych medrcow Krolestwa Zlota. Powiem temu Li Liangli, ze twoi ludzie postepuja tak, jak maja nadzieje, ze postepowac sie powinno.

Jego glos wzniosl sie do szybkiego, tonicznego szemrania mowy Krolestwa Zlota. Quintus pomyslal, ze to, co w dobrej, przejrzystej lacinie byloby tylko kilkoma krotkimi slowami, w jezyku Wschodu zabralo mnostwo czasu. Arystokratyczny, mlodszy oficer w oburzeniu uniosl wytworne brwi.

-Kung Fu Tse - stwierdzil. Jego przelozony prawie nie sluchal, a jego grozny wyglad nieco zlagodnial.

-Czy chcesz ich miecze? - Quintus postapil naprzod. Wlocznie znizily sie do poziomu jego piersi, lecz zignorowal je. Czynil wlasciwie - wezwal tego aroganta, by postepowal z nimi sprawiedliwie, opierajac sie na swoim wlasnym kodeksie. Moglby broniec nawet Ssu-ma

Chao, który traktował ich jakby był prawie Rzymianinem, za co upokorzono go przed własnymi żołnierzami.

Lucilius rzucił mu spojrzenie, które wyraźnie wskazywało, że zbyt długo przebywał na słońcu z nieosłoniętą głową. Mimo to wyciągnął miecz, prowokując komendanta garnizonu do wzięcia broni i przyznania się do strachu nie tylko przed Rzymianami, lecz również przed towarzyszącymi im wojownikami Ch'in.

Odmowa byłaby gestem honorowym. Powinien wyrzec słowa respektu, co niewatpliwie miałyby miejsce, gdyby Quintus negocjował z Rzymianami; ale już przyzwyczaił się wymagać mniej od tych barbarzyńców. Li Liangli po prostu odwrócił się od niego i przemówił do Ssu-ma Chao:

-Syn Niebios potrafi być miłosierny. Nakazał generalom, by byli wyrozumiali wobec błędów tak długo, jak długo utrzymywana jest ogólna dyscyplina.

Ssu-ma Chao podał miecz Quintusa żołnierzowi, który z kolei oddał go trybunowi. Ten odebrał swój ozeł, naśladując najlepiej jak umiał ukłon Ch'in. Znowu pod jarzmem patrona? Quintus przysięgł sobie nigdy więcej nie giąć karku jako klient - lecz musiał myśleć o swoich ludziach. Musi być teraz zakładnikiem. Może będzie musiał tego załować, lecz schował miecz chwilę wcześniej, zanim oficer obroczył się ku niemu.

-Cesarz, mój władca, rozkazał, by wszyscy ludzie z Południa okazali mu posłuszeństwo. Głowy niepokornych są wystawione w Ch'angan na widok całego świata. Wy - wy musicie uznać go swoim monarchą.

-Nadużywa swego szczęścia - mruknął Lucilius. Quintus ujrzał ku swemu zdumieniu jak młody patrycjusz i arystokrata Ch'in porozumiewają się oczami.

Czekali więc znowu wygnanie, być może niewolnictwo. Pomyślał, że dni, kiedy był klientem w Rzymie, uważał za ciężkie. Teraz zdał sobie sprawę, że nawet nie otarł się o prawdziwy "trud", ani granice własnej wytrzymałości. Był pozbawiony ojca, dziadka i pozycji, a Legiony, powołane do istnienia ku chwale Rzymu, zgubione przez głupotę i zachłanność szlachetnie urodzonych. I jakos to przeżył. Uważał prace na roli i szkolenie wojskowe za znużające: obecnie znosił chłód gór i żar pustyni, które mogły zmrozić krew lub ją zagotować, chyba że najpierw zostałaby wyssana przez demony.

Przewidywał, że będzie maszerować jeszcze dalej na Wschód, w głąb krain złotych, którego nigdy nie zobaczy. "Pokazemy tym obcym Rzymianom" - chciał krzyknąć swoim ludziom, by usłyszeć ich wiwaty i ujrzeć saluty. Tutaj, w Kaszgarze, albo przed samym tronem tyrańskiego władcy całej Azji. Uzbrojeni lub zakuci w lancy. Pokazę barbarzyńcom Rzymianom! Skinal na Rufusa, by uformował kolumnę. Sylwetki legionistów rzucały długie cienie. Unoszący się pył pobrudził mu twarz. Kurz, niczym szafranowy welon, osiadł wokół oczu, wchłaniając ich wilgoc i zmuszając go do przecierania twarzy.

Komendant garnizonu rzucił komendę. Jego jeźdźcy utworzyli szyk; część z nich jechała za kolumną Rzymian. Połączone siły opuściły obszar wielkich skal i maszerowały wśród żwiru, wspinając się na strome grzbiety kretych wydm, bez zatrzymywania się nawet na posiłki. To był poważny sprawdzian ich serc i siły. "Patrz, arogancki barbarzyńco. Oto są Rzymianie." Gdziekolwiek ukryli Orla, oni będą maszerować dumnie, jakby gdzieś z niebios chronił ich jego cień.

Światło czerwieniejącego słońca odbijało się od bezkresnych splotów soli przemieszanej z pustynnym piaskiem, aż przypomnieli sobie równiny pod Carrhae po przegranej bitwie.

Rozbłysnęły pochodnie, zwiastujące, że do Kaszgaru zbliżają się żołnierze.

Rozdział dziewiętnasty

Wartownicy na murach miasta dostali sygnał, że przybywają podróżni. Tutaj nawet pola były strzeżone przez rolników, ubranych jak wojownicy. Rzadka zielen urozmaicała pylistą ziemię, nieco ciemniejsza w pobliżu kanałów, którymi saczyły się cienkie strumyki wody, umożliwiające jakakolwiek roślinność. Kaszgar, czy też Su-le, jak nazywali je Ch'in, otoczony był podwójnym murem: wysokimi, cienkimi topolami, rzucającymi cienie na maszerujących, zmęczonych ludzi i właściwymi fortyfikacjami: czterdziestostopowa ściana, wzmocniona platformami strażniczymi i kwadratowymi wieżami. Mury były wypłukane do białości i lśniły w słońcu. Quintus dostrzegł paliki, do których przywieszano lucywa lub urządzenia sygnalizacyjne. Liczba tych mocnych, trudnych do zdobycia wież stanowiła o sile miasta.

Z murów pomrukiwała ulewa światła. Ruch za murami ostrzegał przybyszów, że czekają na nich ludzie wyszkoleni w posługiwaniu się bronią. Nie zważając, że towarzyszą im żołnierze i oficerowie z Su-le - wliczając w to Li Liangli - garnizon rzymski stanął pod bronią. Quintus przyjrzał się wysokim, dobrze zabezpieczonym murom. Zobaczył sterty drewna - wielkiego skarbu w tych stronach. Bez wątpliwości używano go jako pochodni do nocnej sygnalizacji.

-Załóż się, że są w pełni zaopatrzeni - mruknął z uznaniem Rufus, gdy zbliżali się do bramy. Placówka wyglądała na samowystarczalną, jak każde miasto garnizonowe, w którym stacjonowali dotychczas.

-To Lucilius jest graczem, nie ja - odpowiedział Quintus. - Nie wyrzucalibyśmy srebra na rzecz oczywista - zakładając, że ujrzymy jeszcze kiedyś naszego skarbnika.

Temat był zbyt związany z domem. Mówiono, że Ch'in to Kraina Złota, lecz jak dotąd, niewiele widzieli szlachetnych kruszców. Nawet rzymski niewolnik zwykle ma przy sobie trochę monet. Lecz więźniowie... podobnie jak niewolnicy byli własnością: ich status mógł się zmienić, ale w ściśle określonych granicach.

-Niewdzięczna ziemia do uprawy - skomentował centurion, odchodząc od bolesnego tematu. Przejżdżali obok pól, wyrwanych pustyni staraniem i katorżniczą pracą,

uprawianych przez silnych mezczyzn i kobiety. Ich kazdy, nawet najmniejszy ruch byl przemyslany i jakby wyuczony. Wydzielali ziemi pozywienie - zielen spomiedzy ochry i szarosci. Racjonowali wode. Zmuszali role, by karmila swoich mieszkancow, skoro nie moze rozkwitnac. Chronili ja przed jezdzcami, wrogami i demonami. Nawet najstarszy z wiesniakow przypominal zolnierza.

-Nie pragnalbym miec tutaj ziemi i mula - stwierdzil Rufus. - A ty, panie?

Wyobrazil sobie mgielke w rzecznej dolinie, zbyt krotko nazywanej przez niego domem. Nawet kiedy ubozeli, ich ziemia obfitowala w bogactwo wody i zyznej gleby. A na te dary natury mieszkancy Kaszgaru nie mogli miec zadnej nadziei. To byla biedna kraina, lecz stanowila dom dla wojowniczych mezczyzn i twardych kobiet, ktore tu pracowaly. Mieli wlasna ziemia i przyszlosc, w ktora patrzyli z ufnoscia - szczescie daleko od wladzy Rzymu. O ile nie podbija ich Czarni Naacalowie. Goracy wiatr owional twarz Quintusa. Wzdrygnal sie. Mial wrazenie, jakby stanal zbyt blisko ognia. Oczekiwal raczej wilgotnej, toskanskiej bryzy. Mogla przyniesc chorobe i goraczke, ale teraz zaryzykowalby, byle tylko jego wysuszona skora mogla poczuc wode. Podmuch poruszył rzad konia, na którym siedzial, i wzniecił rozblyski zmatowialego złota w czuprynie Luciliusa, pociemnialej teraz prawie do koloru włosow gorzej urodzonych Rzymian. Jak czesto mawial, bylo to jego jedyne zlot. Gdyby tylko mogl je postawic w grze ze starszymi od siebie, dawno bylby lysz. Lucilius podjechal do oficerow Ch'in. Sledzil oczami mlodego podoficera ze stolicy. "Lucilius jest mezczyzna dla kobiet - przypominal sobie Quintus. Sa do siebie podobni - szlachetni urodzeni, dbajacy o pozory, nadskakujacy lepszym od siebie."

Zauwazyl, ze partyjski Luciliusa poprawil sie. Quintus zastanawial sie, czy mlody arystokrata Ch'in zaryzykuje, rozmawiajac z ktoryms z Rzymian. Oho! Luciliusowi udalo sie przechwycic jego wzrok i uklonil sie, ale Ch'in odwrocil glowe. Quintus powstrzymal usmiech: to byl najwiekszy afront, jaki widzial przez te wszystkie lata klienteli. Twarz Luciliusa oblala sie purpura.

Niech sprobuj jeszcze raz. Niech pozna to uczucie. A pozniej, na wszystkich bogow, niech mu sie powiedzie. Odpowiednik patrycjuszowskiego trybuna bylby teraz znaczacym sojusznikiem, zwlaszcza gdyby mieli ruszyc na Wschod, do stolicy Ch'angan. Byl pewny, ze czesc z nich niewatpliwie zostanie tam poslana, w tym samym celu, w jakim Krassus i inni prokonsulowie wyruszali na podboj tych ziem. Lecz kto znajdzie sie w tej grupie? Lucilius, jesli dopnie swego. Byc moze Arsaces: znal sie na zwierzetach i moglby byc uzyteczny podczas marszu, takze jako tlumacz. On? Byl dowodca tylko dlatego, ze nie bylo nikogo lepszego. Mozliwe, ze nadszedl czas na przekazanie dowodztwa Luciliusowi, zrobi to jesli dzieki temu beda mogli cos osiagnac. A wtedy pewnie zostanie tutaj, razem z innymi Rzymianami. Moze nawet bedzie uprawial te oporna ziemie?

W ten sposob ich sytuacja nie bedzie sie o wiele roznic od losu braci - legionistow w Merv - z wyjatkiem tego, ze tu moga miec nadzieje na jakas namiastke wolnosci. I ziemie. Oczywiscie, sucha jak pieprz, ale j e s t tu troche wody. W przeciwnym razie nie bylyby pol

i topoli. Jakie budowle mogłaby tu postawić kohorta Rzymian, pracujących razem... Akwedukty wznoszące się między włoskimi wzgórzami pojawiły się nagle w jego umyśle. Miał wrażenie, że pod turbanem gotuje mu się mózg. A pod tuniką wzbiera znajoma moc talizmanu.

Niebezpieczeństwo, tutaj? Czy też zapomnienie? Jak mógł marzyć o ziemi i przyszłości, nawet tak wyblakłej i odosobnionej jak w Su-le? Draupadi przejechała obok i talizman rozgrzał się ponownie. Bogowie, odesła ją, a on nie pozwoli odjechać jej samej. Przecież przysięgał.

Straznicy Ch'in zacieśnili wokół nich krag. Spojrzenie Ssu-ma Chao było teraz wszystkim, na co mogli liczyć; oficer Ch'in miał teraz dwóch przelozonych.

Bramy Kaszgaru rozwarły się, by ich wchłonąć. Cień murów polknął ich, oferując chwilę błogosławionego chłodu i ciemności. Potem przeszli przez palisadę do samego miasta. Straznicy obserwowali ich z góry. - Alarm - ocenił Rufus. - Nie za wiele tej przezorności?

Zołnierze Ch'in wyglądali jakby wciąż oczekiwali napadcy: czyje i skąd - nie wiedzieli; podobnie Li Liangli: aroganccy, despotyczni i wciąż gotowi, by zaatakować. Wszyscy byli opanowani tym samym - od najprostszego rekruta po dumnych prokonsulów - strachem.

Uprząż zdronzonych zwierząt pobrzekiwała mieszając się z ich rzeniem i rykami. Po raz pierwszy od miesiąca otoczył ich hałas miasta. Jedzenie - wszystko jedno jakie, wyschnięte czy osmalone - na te myśli usta Quintusa wypełniły się śliną. Lepiej o tym nie myśleć. Raczej więzienne mogą nie dorównać marzeniom. Ponadto nie miał pieniędzy. Nie stać go na dodatkową żywność. I - co gorsza - nie mógł kupić prezentu, który nawet klient w Rzymie byłby w stanie ofiarować kobiecie.

Jeden z wielbłądów wyciągnął szyję. Klapnęły dyszące smrodem szczęki. Quintus rozpoznał to zwierzę; jego brzemię poznałby nawet w czelusciach Hadesu. Orzeł. "Uspokój się - powiedział sobie. - Jesteś wyczerpany. Brama jest zamknięta i nawet jeśli wielbłąd się urwie, daleko nie ucieknie."

Zołnierze na murach uznali, że zagrożenie minęło. Porzucili posterunki, nie obawiając się nieoczekiwanego ataku. Jeden lub dwóch z nich, prawdopodobnie po służbie, pokazywało sobie ze śmiechem rozjuszony wielbłąd, który wierzgało i klapało zębami, desperacko podtrzymując opinie o złośliwości wielbłądów.

Tyle tylko, że ten wielbłąd nigdy dotąd nie zaatakował żadnego z poganiaczy. Była to jedna z przyczyn, dla których wybrano go do noszenia Orla. Stał się nawet obiektem kpiny, choć jego jeździec budził zawistę. A teraz ryczał, gryzł i próbował się uwolnić, wierzgając i kopiąc na oslep. Jeden z poskramiających go ludzi upadł, błyskawicznie się podniósł i uskoczył, by uniknąć stratowania.

-Gdyby to był pies, przysiagłbym, że się wściekł - ocenił Rufus. - Najwyższa pora odzyskać

nad nim panowanie.

Arsaces znalazł się na koniach, lecz gdy zbliżał się z rozłożonymi rekoma do rozhukanego wielbłąda, człowiek w nakrapianej szacie uderzył go łaską w plecy. Pers wtoczył się pod racice zwierzęcia. Mimo zgiełku panującego na rynku, Quintus usłyszał trzask łamanych kości. Twarz Arsacesa była okrwawiona i wykrzywiona. Jego skrecony kark zwisał bezwładnie.

"Gdzie jest mój miecz?! Wiedziałem, że to głupie!"

Gdzie podział się przeklęty wierzchowiec Arsacesa? A, tam jest! Zanim Quintus skrecił w bok, próbując odszukać człowieka, który uderzył przewodnika, ten zdążył już zniknąć w tłumie. "Weź miecz na wypadek, gdyby wrócił." Ale żołnierz z obnazoną bronią zastąpił mu drogę.

Jak mógł pomścić śmierć przyjaciela? Arsaces był Persem, lecz dobrze służył Legionom, okazując lojalność przewyższającą wszystko, czego oczekivaliby po Człowieku Wschodu. Trudno uwierzyć, że jego energia zniknęła. Jakie szalenstwo pchnęło Quintusa do pozbycia się broni?

Zwierze znów zaczęło szaleć. Popregi juków rozluźniły się i tobole powoli zeslizgiwały się na jego bok. Znowu ten morderca! Tym razem jego pałka spadła na grzbiet wielbłąda. Bestia szarpnęła się. Juki przekrzywiły się jeszcze bardziej. Paski trzasnęły i pakunek upadł na ziemię. Orzeł był zawinięty tak dokładnie, że Quintus nie usłyszał brzęku metalu, uderzającego o grunt. Pałka zadała kolejny, ostatni cios. Z chrząknięciem, jakby całe powietrze zostało wypchnięte z jego płuc, zwierze przewróciło się na ciało Arsacesa.

Złodziej i zbrojca we wzorzystej szacie odważnie sięgnął po zwoj tkaniny, która chroniła Orła Rzymu.

-Brac go!

-Strzelaj!

-Zabij złodzieja!

Człowiek w pustynnym stroju porwał pakunek i zarzucił sobie na plecy. Obrocił się, desperacko szukając drogi ucieczki. Mogłoby mu się to udać, gdyby nie było tam Rzymian, a lupo byłby czymkolwiek innym, tylko nie Orłem Legionu. Lecz skoro droga była zamknięta dla Rzymian, to dla niego również.

Złodziej miał czarne oczy, lśniące dziwnym blaskiem w przyciemnionych dla ochrony przed słońcem oczodołach. Jego twarz - Quintus znalazł te rysy, poznawał też przężne i zwinne ciało. Ten obszarpany złodziej i morderca był uderzająco podobny do Draupadi.

Ssu-ma Chao odwołal swoich ludzi. Rzymianie nie zdolaja uciec. Mozna wiec pozwolic im zlapac zlodzieja.

Morderca ma Orla, a oni maja do niego wolna droge!

Quintus rzucil sie naprzod, nie dbajac o Draupadi, wykrzykujaca jego - lub Arjuna - imie. Wiedzial tylko, ze nikomu nie wolno zabic towarzysza i uciec z lupem, zwlaszcza gdy tym lupem jest Orzel Legionu.

Krzyknal w straszliwym gniewie. Przeciez on moze uciec! Czlowiek w wyswiechtanej szacie zmierzal wlasnie w strone bramy, lecz ta byla zamknieta i strzezona przez Ch'in i Rzymian. Quintus zastapil mordercy droge. Palka uniosla sie.

-Na litosc boska! Dajcie mi miecz! - zawolal. Sama mysl, ze zebrze u Ch'in o bron, wpedzila go w prawdziwa furie.

-Lapcie go!

-Ludzie z Ta'Chin! - krzyknal Ssu-ma Chao. Dobywszy miecza, cisnal go Quintusowi. Bron zablysla, chwytajac promien gorejacego slonca. Trybun zdolal zlapac ja w sama pore, by sparowac cios morderczej palki.

Palka uderzyla w ostrze wydajac odglos dwoch scierajacych sie glowni. Sila tego ciosu wstrzasnela Quintusem. Goraco poplynelo mieczem do rekojesci, z niej do ramienia i wreszcie ogarnelo cale ciało. Plomienie wystrzelily z ostrza, spowijajac przeciwnika. Ten zakrecil palka, az zaswiszczalo powietrze. Znow rozlegl sie dzwiek uderzajacego o siebie metalu. Mimo iz ta bron wygladala na wykonana z drewna - byl to tylko pozor. Zrobiono ja z pewnoscia z czegos daleko bardziej mocnego i trwalego. Quintus wyczul po chwili, ze jego miecz zbliza sie do kresu wytrzymalosci. Pot przykleil mu dlon do rekojesci.

Kolejny cios. Quintus poczul wstrzas, przeszywajacy reke i ramie. Ostrze zabrzeczalo i zlamaro sie, pozostawiajac mu w dloni trzon i okolo stopy metalu. Kolejne uderzenie tej palki...

...Nigdy nie nadejdzie. Jego piers zalala fala ciepla, emanujaca z talizmanu. Cieplo to, uderzajace do glowy niczym wino, przepelnilo cale jego ciało. Ujrzal, jak ciemne oczy przeciwnika rozszerzaja sie i przeszywaja go na wylot. Blogoslawione cieplo wypedzilo z Rzymianina bol i zmeczenie, a zlamana glownia rozjarzyla sie blaskiem.

Z rekojesci, ktora wciaz sciskal w dloni, trysnelo swiatlo. Przez chwile Quintus mogl widziec kosci swojej reki i ramienia, przeswiecajace przez skore. Czul goraco, ktore go jednak nie parzylo.

Jego oczy spotkaly sie z czarnymi oczami zlodzieja, w ktorych czaila sie niezrozumiala nienawisc. Tryskajace z rekojesci miecza swiatlo spowilo go, wywolujac bol. W miejscu

zatknięcia się z morderczym promieniem ciała złodzieja gnilo i rozpadło się. Wciąż wpatrywał się w Quintusa pełnym nienawiści, innym spojrzeniem, nawet wtedy gdy twarz wykrzywił mu grymas agonii i strachu. W końcu oczy zaszyły mu mgła, nie wyrażając już niczego.

Quintus usłyszał krzyczących ludzi. Plomienie rozpelzały się, pochłaniając szaty pokonanego i materię osłaniającą Orla. Pakunek rozpadł się, gdy przepalily się spinające go troczki. Brązowe piora Orla, uwolnione ze zwęglonych zwojów, Isniły wciąż żywym blaskiem.

Plomien prawie doszczetnie strawił morderce. Mimo to, ten stał nadal. Był już szkieletem, lecz wciąż stał, dzierżąc łaskę. Po chwili tajemnicza bron upadła z hukiem. Bezbronny kościotrup rozpadł się w proch, jakby liczył sobie tysiące lat.

Quintus upuścił złamane ostrze, które nagle stało się zimne. Ukląkł przy Orle. Ważne było, tak jak pod Carrhae, by znak nie leżał na ziemi. Dzwignął się na nogi, przyciskając Orla mocno do piersi, po czym zatknął go na drąg i podniósł wysoko. Był zmęczony, jak po rozstrzygającej bitwie.

Ostre słońce Kaszgaru świeciło mu prosto w oczy. Poczul, że jego głowy nie chroni turban, który nosił od samego początku tej fatalnej wędrowki. Będzie go jeszcze potrzebował - bogowie wiedzieli, że nie znajdzie tu nigdzie rzymskiego helmu.

Draupadi podeszła do niego, trzymając w swych szczupłych dłoniach zakurzony zawój. Otrzeplała go z pyłu i podała mu. Nie wyglądała na przerażoną czy wstrząsnietą. Była przecież żoną najpotężniejszego wojownika swoich czasów. A wcześniej - trudno pomyśleć, czym była wcześniej. Quintus pragnął przede wszystkim zanurzyć się w wodzie. Skok do Tybru, zimnego od wiosennych roztopów - to byłoby lepsze od Elizjum.

Draupadi przysunęła się bliżej i Quintus otoczył ją ramieniem, czując siłę jej gibkiego ciała. Przez chwilę stał, rozdarty między Orlem a ukochaną. Obydwoje obdarzali go siłą, regenerującą duszę i ciało.

Obejmując Draupadi, uświadomił sobie, że przyglądają mu się rzymscy wojownicy i żołnierze Ch'in. Zarumienił się. Jego ojciec nigdy nie okazywał matce takiej troski publicznie. Nawet epitafium wyryte na jej grobie: "Przesiadwała w domu i przedła welne", przypominało, że jest żona i gospodynią, nie kobieta. "Ale to jest moja ukochana" - powiedział sobie i objął Draupadi jeszcze mocniej. Ta obca Rzymianom myśl była daleko starsza od Rzymu. Draupadi domyśliła się jego decyzji i uśmiechnęła się.

Wiatr zaszeleszczył w zakłnionych wilgoci topolach i wzbil zasłone z kurzu, która przesłoniła twarze otaczających go ludzi - poblądle, przestraszone lub wyrachowane. Stopniowo wśród ogólnego zgiełku wychwytywał pytania - jedne będące wyrazem troski, inne brzmiące jak polecenia. Gesty kurz - zmieszany z popiołami wroga - szybko pokrył ich ręce. Otrzeplał czarne włosy Draupadi niczym gorskie potoki płynące wśród nocy. Lecz jeszcze

zanim jej dotknął, długie loki rozbłysły. Spojrzał na swoją dłoń. Ona również świeciła.

Jeszcze chwile temu całe jego ciało pokrywał biały pył soli i potu. Teraz lśnił czystością, wyglądał jakby brał udział w pochodzie triumfalnym u boku zwycięskiego prokonsula. Orzeł jasniał nad głowami, przyciągając wzrok zgromadzonych.

Draupadi oparła rękę na kij, podtrzymującym znak i dumne motto Rzymskiej Republiki: "Senat i Lud Rzymu".

-Masz naprawdę potężną broń - szepnęła.

Przede wszystkim to był symbol Rzymu i jego potęgi.

Tam, gdzie był Orzeł, był szacunek, nawet w niewoli. Draupadi wiedziała, o czym myśli - tak jak wiedziała to kiedyś - ale potrzaskała tylko głową.

-Czyż nie szukasz Pasupaty, silniejszej od łuku Arjuna? Arjuna bardzo długo przetrzasał góry. Znalazł obcych nauczycieli. Wówczas powrócił. Ten orzeł - jeśli go nie znajdziesz - zwróci się przeciwko człowiekowi, który nie będzie umiał go wykorzystać.

Słońce oświetlało Orła, który rozsiewał wokół siebie blask chwały.

Nadszedł Li Liangli. Zatrzymał się kilka kroków od nich i warknął parę słów do swojego zastępcy. Ten zmarszczył brwi. Quintus domyślał się rozkazu. Komendant garnizonu chciał odebrać im Orła. Orła Quintusa. Talizman jego Legionu i symbol Rzymu - zaraz po tym, jak go odzyskał.

Otoczyli go żołnierze Ch'in o nieruchomych twarzach. Z większością z nich podróżował. Czy zawahają się przed zabiciem człowieka, z którym razem walczyli i cierpieli? Jeśli tak, to Quintus był pewien, że wkrocza żołnierze z garnizonu. Lucilius także zaczął przepychać się do przodu, szybko jednak został - z całym szacunkiem - zatrzymany przez Rufusa. Wściekłymi gestami próbował wymoc na centurionie, by ten go przepuścił.

-Musisz im go oddać - syknął do Quintusa. - Inaczej wymordują nas bez wahania.

-Czym będzie nasze życie pozbawione honoru? - zapytał Quintus. Przez twarz Luciliusa przebiegł grymas. Strachu? Czyżby wiedział, że prosi o przysługę, że błaga dawnego klienta?

"Chodźcie i weźcie go" - patrycjusz nie odważył się wypowiedzieć jeszcze tych słów na głos. Quintus delikatnie odepchnął od siebie Draupadi. Zdjęła rękę z Orła. Ciepło przepływające między nimi osłabło. Kiwnęła głową i cofnęła się w tłum gapiów i żołnierzy. Czastka świadomości zarejestrowała, że zaczęła rozmawiać z Ganesią, stojącym w pobliżu ludźmi, usuwającym ciało Arsacesa. "Zegnaj, stary przyjacielu." Nie było nic niezwykłego w nazywaniu Persa "przyjacielem". Ale określenie go "bratem" mogło zranic.

Gdyby Quintus oddał Orla, znowu by przegrał, tak jak pod Carrhae. Ptak widział już Surene, przyjmującego kapitulację Legionów i prokonsula. Później Quintus walczył za Orly i o mało nie zapłacił tego życiem. Kolejna klęska musiałaby go zabić. Czuł w sobie moc symbolu. "Niech spróbują go odebrać." Nie udało im się, chyba że on tak postanowi.

Albo umrze. Śmierć albo hańba, być może; ale jego dziadek kłaniał się jako klient dla dobra Quintusa... A on - miał ludzi, którzy na niego patrzyli, i miał Draupadi. Porzucił marzenia o domu. Czy musiał zrezygnować ze wszystkiego?

"Głupcze, popatrz jak poddali się Ganesia i Draupadi!"

-Quintusie... przyjacielu... - spróbował znowu Lucilius. "Nawet nie próbuj, trybunie. Serce może ci pęknąć z wysiłku. Czemu nie? Moje pęka właśnie teraz."

Warknął na patrycjusza, który zbladł pod opalenizną. "Wciąż uważasz, że masz coś do stracenia?"

-Zaczekajcie.

Ssu-ma Chao postąpił krok naprzód.

-Gdyby zezwolono temu pokornemu słudze...

Powiedział to najpierw w Ch'in, a następnie przetłumaczył na partyjski. To samoupokorzenie dziwnie zabrzmiało w tym języku błyskotliwych intryg dworskich i karawaniarskich przekleństw.

Komendant burknął coś i jego młody oficer przystąpił do swego przełożonego. Stał wyczekując. Spojrzenie jego oczu bardzo źle wrożyło.

Nie, nie zapomni Quintusowi utraty twarzy przed motłochem i swoim własnym dowódcą.

-Przyjacielu - to słowo w ustach Ssu-ma Chao - inaczej niż wypowiedziane przez Luciliusa - nie wzbudziło w Quintusie chęci do zmuszania wyschniętych warg do splunienia. - Oddałem wam bronię. Razem walczyliśmy. Dalem ci słowo - moi przodkowie świadkami - że postaram się, by traktowano was z szacunkiem. I tak będzie. Nie chcemy dalszego przelewania krwi.

Quintus zrozumiał. Umrzec w bitwie, umrzeć z honorem - to śmierć godna żołnierza Rzymu. Lecz to był wrog zamieniony w sojusznika, oferujący mu w istocie życie ludzi.

Quintus popatrzył na Orla. Światło odbiło się od wykutego z brązu, groźnego dzioba. Potem zgasło.

-Towarzyszu - odezwał się ciepło Quintus - Nie jesteś sługą ciemności. Strzeż go. Spraw Fortunę, byśmy mogli osiągnąć nasze cele.

Delikatnie podał Orla oficerowi Ch'in, który wziął go i unosił, oddając mu należne honory.

Rozdział dwudziesty

Plonące na murach Kaszgaru ognie rzuciły krwawe światło na pustynię, gdzie pod silną strażą obozowali Rzymianie. Kapitulacja Quintusa na niewiele się zdała: nie ufano mu jako sojusznikowi, i niewiele bardziej jako więźniowi - a wraz z nim pozostałym Rzymianom. Ognie posterunków strażniczych migotały, a smród plonącej smoly splotywał na obozowisko. Komendant garnizonu nie wpuszczał ich nawet za mury. Wydalenie z Kaszgaru nie było największym nieszczęściem. Miasto zdawało się chore i niespokojne - płaczące dziecko w wymarłym domu, dwa psy gryzące się nad brudnym ochlapem; polujące dzikie koty, przytłumione krzyki pijanych do nieprzytomności mężczyzn. Nie, pustynia wydawała się przy tym ogrodem. Mieli nawet świeże jedzenie.

Quintus widział jednakże twarz Li Liangli. Nawet przez ten krótki czas, gdy ją obserwował, postarzała się i poszarzała, jakby komendant cierpiał na chorobę nie ciała, lecz ducha. Wysłano go, by odparł Hsiung-nu i był posłuszny. Teraz miał do czynienia z więźniami niepodobnymi do innych, i niebezpieczeństwami, których wolał sobie nie wyobrazić.

Quintus przypatrywał się strażniczemu ogniom, jakby w każdej chwili oczekiwał, że ujrzy wznoszący się płomień sygnalizujący zagrożenie. Niebezpieczeństwo kryło się i na pustyni, i wśród wzgórz. Inne zagrożenie - był tego pewny - tkwiło w mieście, gdzie czaili się przybysze, mogący stać się tak znaczącymi przeciwnikami. Kaszgar był najdalej wysuniętą placówką Cesarstwa, lecz w jednym przypominał Quintusowi Rzym: podstępna walka frakcji wyrywających sobie władzę i wpływy.

Dwa oddziały żołnierzy Ch'in dzieliły pustynię z legionistami: wartownicy z garnizonu, lojalni wobec komendanta i, prawie tak samo uważnie obserwowani jak Rzymianie, żołnierze Ssuma Chao. Powrócił on z Partii opromieniony, jak myślał, sukcesem tylko po to, by znaleźć się w centrum podejrzeń. Coż warta była obietnica oficera ze Wschodu - jego przysięga na przodków - coż to było warte, gdy jego przyszłość była tak teraz niepewna? Quintus westchnął. Jakkolwiek by wybrał - wybierze źle. Jak uciekna bez broni? On sam mógłby ruszyć w kierunku Ch'in i rzucić się, dajmy na to, na tego ulizanego oficera ze stolicy. Śmierć szybka i pewna. Albo mógł poczekać na to, co grasowało po pustyni i w mieście - i co on, Draupadi i Ganesia uważali za śmiertelnego wroga.

Usłyszał zbliżające się kroki; ciężki, znudzony krok Ganesii - jakż musi być zmęczony po tak wielu, wielu latach - i delikatne stapania Draupadi. Pomyslał, że prawie słyszy towarzyszący jej brzęk małych złotych, srebrnych i miedzianych dzwoneczków. Podeszła do niego, a on bez wahania otoczył ją ramieniem.

Ganesia uśmiechnął się.

-Oto jedyna rzecz - powiedział - która idzie dobrze. Wy oboje...

Spojrzał na kobietę, owinięta szafranem w kolorze welonu rzymskiej narzeczonej. "Gdzie ja, Kajus, bądź ty, Kajo" - powtórzył w myślach, napawając się brzmieniem tych słów.

Zerknęła na niego. Był tu ogień. I nawet jeśli brakowało drzwi do namaszczenia tłuszczem i orzechów, by rozrzucić je przed wiwatującym, rozspiewanym tłumem - to był tu kapłan. A na jej palcu widniał pierścien, znak zaślubin.

Wyciągnął dłoń i dotknął go. Uśmiechnęła się.

Wtem Ganesia stanowczo uniosł rękę.

Zamarli. Ganesia potrząsnął głową, a Draupadi przytaknęła. Chwile później zaczęła śpiewać delikatną, cichą kolysankę. Odplynęli w sen, w iluzję.

Lucilius i Wang Tou-fan, młody oficer ze stolicy, przeszli obok nich, jakby ich tam nie było - nieważne, że rekojesc oficerskiego miecza prawie dotknęła szaty Draupadi.

Ciekawe, czy Lucilius, zawsze pierwszy do wykpienia każdego przejawu braku oglady, znajdował przyjemność w traktowaniu go jak niedouczzonego barbarzyńcy?

-Widziałeś to? - rzekł cesarski żołnierz. - Widziałeś, jak świecił. Niczym Feniks, odrodzony z popiołów.

-To jest łacina! - Gdyby nie czar Draupadi, jego okrzyk zdradziłby ich. Gdzie Wang Tou-fan nauczył się ich języka? Znajome, ukochane sylaby brzmiały dziwnie w ustach azjatyckiego arystokraty. Dziwnie i niestosownie: Quintus chciałby zetrzeć mu je z warg.

-Zdumiewające - mruknął - Nie myślałem, że mają ze sobą cokolwiek wspólnego, prócz dumy rodowej. Najmniej zaś oczekiwałbym wspólnego języka.

-O n i nie - odparł Ganesia - lecz inni tak. Inni, dla których nauczenie się obcego języka jest równie łatwe, jak zmiana jednego stroju na drugi. Zresztą, nie tylko ubranie można zmienić - dodał ponuro.

-Nie mamy Feniksa - jak go nazywasz - lecz Orla - odpowiedział Lucilius. - Podążają za nim nasze Legiony. Jeśli słuchales Ssu-ma Chao...

-Prowincjusz bez znaczącej rodziny - co mógłby mi powiedzieć? Sprowadził was tutaj. Sprowadził waszego Orla, jak go nazywasz. Widziałeś, jak świecił, nawet dla niego. Czegoż nie zrobiłby... dla was?

-Co z tego? Sztuczka światła, nic więcej - wycedził Lucilius.

Ch'in syknął. Quintus zastanowił się nad słowami Ganesii. "Równie łatwo, jak zmienić jedną szatę na inną..." Tak robili Naacalowie. Człowiek, którego pochłonął ogień, umarł w

milczeniu. Ale smiertelny krzyk dal sie slyszec zza jego plecow.

To czyste szalenstwo. To byl obled, wykraczajacy daleko poza najdziksze fantazje. Co, jesli dwoch ludzi, oprócz Arsacesa, zmarlo w Kaszgarze - cialo jednego z nich splonelo od mocy Orla, a duch drugiego ulegl zniszczeniu, gdy ego tego pierwszego zawladnelo jego materialna powloka. Prawdziwe oblakanie. Lecz jak inaczej wytлумaczyc tamten krzyk, albo jak mogl ten arogancki, mlody oficer przemawiac teraz czysta lacina.

-To bez znaczenia - dodal posepnie Lucilius. - Orzel - och, no dobrze - Feniks znajduje sie w twojej mocy. Lub twego dowodcy. A ty i on, jak zauwazylem, macie tu najmocniejsza pozycje.

-To bez znaczenia - odrzekl Wang Tou-fan czy tez to, co nosilo teraz jego cialo. - Nie pozwoli ci tu zostac. Zdradzil sie z tym, gdy byl... Powiedzmy, ze zmeczeni ludzie zbyt duzo pija. Mamy troche szczescia: to ja mam wrocic do Ch'angan z toba i Orlem.

Lucilius wzruszyl ramionami, Quintus nie musial widziec jego twarzy, by wiedziec, co rzymski trybun teraz myśli: "A co j a bede z tego mial?" Kosci, kleska, marsze - wszystko bylo takie samo. Nawet tak daleko od domu. Lucilius mogl dojrzec przyszlosc i wladze, co jak sadzil, utracil.

-Jak sprawil, ze Orzel rozblysnal? - chcial wiedziec Ch'in.

Quintusa rozbawil ton glosu Luciliusa:

-Nie wiem. Nigdy wczesniej tego nie widzialem. Dzieje sie tutaj cos oblednego. Uciesze sie, kiedy pojedziemy do miejsca, gdzie szanuje sie rodzine i czlowiek moze zachowywac sie w sposob cywilizowany.

-Lepianki i parweniusze! - splunal szlachcic Ch'in. Jupiterze Optimusie Maximusie, mowil tak o wlasnej stolicy! Czy tez o stolicy mlodzienia, ktoremu zabral cialo. Po chwili odzyskal panowanie nad soba.

-Czlowiek, ktory nauczyl mnie tajemnicy ognia Orla - tajemnicy samego Feniksa - spotka sie z honorami, naleznymi ksieciu, czy samemu Synowi Niebios.

Lucilius niemal zaskomlal z zadowolenia.

-Zaczynasz mnie interesowac.

-Ty mnie - nie...

-Tamten wiesniak? Nie poslucha cie. Ale to dla niego zaplonal Orzel. Niech pomysle...

-Musze to zrozumiec - oswiadczył Wang Tou-fan.

-A jeśli go dotkniesz? Może pochłonąć cię, jak pochłonił... jak określić twoje poprzednie...? Tak, tak wiem. Nic nie mówię - nie, żeby ci nie wierzył. Czy podejmiesz to ryzyko?

-Dotknął go Ssu-ma Chao.

-Wybór, jak mówię, należy do ciebie.

-On zajmuje miejsce - rzekł Wang Tou-fan - które należy się tobie. Możesz je odzyskać, a nawet zdobyć dużo więcej. Decyzja - jak ja mówię - należy do ciebie. Usun go, a być może Orzeł stanie po twojej stronie. Wtedy wrócimy do tej rozmowy.

Quintus szedł. Nigdy nie zgadzali się z Luciliusem, od chwili, gdy patrycjusz pierwszy raz spojrzal na niego i zaklasyfikował go jak parweniusza i klienta swojej rodziny. W rewanzu Quintus widział w nim jednego z odpowiedzialnych za upadek i ponizenie najbliższych. Przez cały ten długi czas służby i wygnania byli niczym wrogowie, spieci krótkim lancuchem i rzućni na głęboką wodę, by razem utonąć lub walczyć ramie w ramie osiągnąć suchy ląd.

-Oto ostrze - powiedział Wang Tou-fan - a oto flakonik. Na Najdalszym Wschodzie mają świetne trucizny. Ale jedno zadrapanie...

Lucilius wzdrygnął się z obrzydzenia.

-Chcesz przez całe życie być wojownikiem, prawie niewolnikiem, podczas gdy Ch'angan jest tak obiecującym miastem dla utalentowanego człowieka, który wie, jak osiągnąć zaszczyty i bogactwo? Bierz noż!

-On nie jest wart mojej uwagi - mruknął Lucilius. - Umrzec z ręki kogoś takiego jak ja to honor, na który ten oracz nie zasługuje.

-Skąd ta pewność? A może się go boisz? - albo tego starego niedolegi, który mu służy? Podczas gdy powinien służyć tobie. Powiedz mi, Luciliusie: boisz się?

Bac się Rufusa? Jeśli Lucilius dotąd się go nie obawiał, to teraz powinien - choćby za te myśli o zdradzie. Quintusa ścisnęło w dolku. To było nie do pomyślenia...

-Co to? - szepnął Lucilius i rozejrział się.

-Boisz się? To tak jak myślałem. Przypatrz się swoim przeciwnikom: kogo się lekasz? Niezdara, młody głupiec, staruszek z Hind i ona, która z nim podróżuje.

-Ona mnie interesuje - rzucił przez zęby Lucilius.

-Weź ją, jeśli chcesz - powiedział Wang Tou-fan, jakby ciskał monety jeczacemu zebrakowi. - Oni nie są... pozbawieni pewnych umiejętności. Jak zapewne sam zauważyłeś. Co już bez wątpliwości odkrył ten prostak, twój wrog.

Tamten zasmiał się miękko.

-Interesuje się nią wielu.

-Sam go zabije - wymknęło się Quintusowi przez zacisnięte zęby.

-Cicho! - syknęła Draupadi. Wyciągnęła rękę ku niemu, gdy ruszył w stronę Luciliusa i Wang Tou-fana, chcąc przekroczyć granice iluzji.

Jej oddech na jego szyi był ciepły i przyjemny.

-Nie, Quintusie - zanuciła, jakby tkala kolejne zaklęcie. "Pani, oczarowujesz mnie każdym ruchem." - Nie, Kajusie. Najdroższy. Proszę, panuj nad sobą!

Kolysała go, próbując odprężyć jego napięte ciało.

-Jestem tu. Zostan ze mną.

Tak więc, Lucilius knuł zdradzie. Noż w plecy. I to nie jego, lecz Rufusa. Quintus wiedział, że patrycjusz jest sprzedajny, ambitny i zepsuty, że zbyt chętnie zakłada, iż wystarczy poprosić o cokolwiek, by to dostać. Ale nie sądził, że jest do tego zdolny. Ze zduszonym jękiem wsparł głowę na ramieniu Draupadi. Jej ciało układało się w jego objęciach lepiej, niż mogłoby marzyć. Wiedział, że to nie było złudzeniem.

Mimo to zostawił ją. Musiał podejść bliżej, by przyjrzeć się dwóm ludziom, urodzonym na przeciwnych polkulach świata, których zjednoczyła zdrada. Rzymianie okrywali Rzym wstydem i hanbą, ale tutaj... tutaj to było coś zupełnie innego... Zostało ich tak niewielu na tej obcej, wrogiej ziemi, z dala od domu.

-Kto idzie? - rozległ się ostry głos Luciliusa.

-Jak długo już jesteś na pustyni? - spytał Wang Tou-fan. - Czy naprawdę jesteś na tyle głupi, by wierzyć w te historie o demonach i goblinach?

Gdzieś z oddali dobiegł Quintusa syk olbrzymich węży o szerokich paszczach, wysysających życie swymi lśniącymi jadowymi kłami, póki zdobycz nie zamieni się w stare, poszarzałe lupiny, takie jakie widział przy Kamiennej Wieży.

-Tak - wyszeptała Draupadi. - Tak. Na pewno został dotknięty ich mocą. Obiecano mu...

Oczywiście, lecz co mu obiecano? Draupadi? Złoto, którego zawsze pozadał? Będzie miał szczęście, jeśli nie okaże się, że dostanie go więcej, niż będzie mógł przelknąć - jak jego pan, martwy prokonsul.

Lucilius wciąż tam stał.

-Dlaczego sam tego nie zrobisz? - zapytał. - Możesz powiedzieć, że próbował uciec. Albo, że oszalał i chciał kogos zabic.

-Może potrzebuje dowodow od tych, ktorzy sa moimi jencami. Wiesz, jak kazdy czlowiek tutaj, ze tak dlugo, jak dlugo pozostanie przy zyciu ktorys z Rzymian, on go nie opusci. Nie opusci nawet ciebie.

Quintus domyslil sie pogardliwego spojrzenia, stanowiacego cala odpowiedz Luciliusa. Czy wezmie noz i trucizne?

Szlachcic Ch'in stal teraz bez ruchu. Quintus uslyszal czyjes kroki, tak blisko, ze spiskowcy musieli uslyszec oddech w martwej ciszy.

To Ssu-ma Chao! Dlaczego porzucil bezpieczny oboz? Chyba ze - ta mysl zmrozila Quintusa - on takze...

-Kto tam lazi? - warknal oficer Ch'in. Quintus omal sie nie rozesmial patrzac na tych dwoch, jak usiluja zachowac pozory, udajac, ze nic ich nie laczy i spotkali sie zupełnie przypadkowo.

Wang Tou-fan opanowal sie szybko, przesywajac Ssu-ma Chao wzrokiem - proba woli: kto pierwszy ustapi, pierwszy spusci oczy. Mlodszy mezczyzna pochodził z Ch'angan i cieszył się przychylnoscia dworu, lecz Ssu-ma Chao miał w sobie zelazna moc. Można go bylo nazywac prowincjuszem, oskarzac o synowskie nieposzanowanie, nieledwie o zdrade Syna Niebios, lecz miał swój honor i zasady. Mieszkaniec Ch'angan był podstepnym zdrajca, knul z wiezniem. Nie mogl wiec zniesc tego przesywajacego spojrzenia starszego mezczyzny.

-Okolica nie jest bezpieczna - rzekl Ssu-ma Chao. Zginely nie jakies tam demony, lecz nasi ludzie. Gdybys przemierzal te pustynie tak dlugo, jak ja - przed czym niech cie duchy przodkow chronia - wiedzialbys, panie, ze zastawia pulapki grozne nawet dla najbardziej czujnych. - Sklonil sie gleboko, ironicznie. - Pokorny sluga sugeruje, ze jedna wycieczka po Takla Makan nie czyni z szanownego oficera ze stolicy wykwalifikowanego przewodnika. A ty - zwrocil sie do Luciliusa - jestes - lub powinienes byc pilnowany. Wracaj wiec do obozu. Nie zamelduje o tym twojemu oficerowi i nie zostaniesz ukarany.

Lucilius zeszywnial. "Hoc habet!" - pomyslal Quintus, jakby oklaskiwal smiertelny cios. Mimo ciemnosci ujrzal, jak oczy patrycjusza rozjarzily sie ze wscieklosci. Niewolnik i podwladny - oto jak traktowal go Ssu-ma Chao. Skinal na Wang Tou-fana, jakby proszac go o zaopiekowanie sie nieposlusznyim jencem, by nie trzeba bylo informowac odpowiedzialnego rzymskiego oficera - Quintusa.

-Ja tu teraz dowodze - warknal Wang Tou-fan.

Ssu-ma Chao zlozyl jeszcze glebszy uklon. Potem odwrocil sie powoli i odszedl w strone obozu i ognisk. Syk ucichl. Pomyslal, ze tej nocy nie ponowia proby.

Wang Tou-fan spojrzal na male, zatrute ostrze, ktore wysliznelo mu sie z rekawa. Coz prostszego - pobiec za tamtym oficerem i zasztyletowac go, nawet nie musialby tego robic - wystarczyloby zadrasniecie. W tej chwili jego nienawisc do Ssu-ma Chao przewyzszyla chec ujrzenia Quintusa martwym. Gdyby go zabil, wina mozna by obarczyc Rzymian.

Draupadi uniosla dlon i wykonala nieznaczny ruch. Chwile pozniej Wang Tou-fan zatrzymal sie, jakby czymś ugodzony... czymś o rozmiarach malego kamienia, ktory odbil sie od jego ramienia i upadl w piach.

Draupadi zachwiala sie i Quintus pochwycil ja. Magia i ostatnie wypadki kompletnie ja wyczerpaly.

-Tkasz potezne iluzje, pani - wyszeptal w jej jedwabiste wlosy, ktore nie tracily - nawet tu, na pustyni - zapachu sandalowego drzewa.

-Nie rozumiesz - powiedziala. - Nie mialam w dloni kamyka, kiedy zaczynalam. To nie bylo zludzenie, to byla prawdziwa kreacja.

Objal ja delikatnie. Wsrod zdrady i perfidii odniosla zwyciestwo, ktorego tak bardzo pragnela od tylu lat.

Lucilius dogonil Wang Tou-fana. Ten mruchal do siebie:

-Starcy. Zawsze starcy. Przyslali mnie tutaj, gdzie jestem lekcewazony. Wykuwaj swoja przyszlosc, mowili. Spraw, bysmy byli dumni. Jak, na moich przodkow? To jedno wielkie wiezienie z mieczy. Szukam wiec mocy, a gdy ja znajde, sam Smoczy Tron stanie przede mna otworem. Oznacza to wladze i cale bogactwo Zlotego Krolestwa dla moich sojusznikow. Jestes po mojej stronie?

Reka Luciliusa strzelila w gore. Gdyby Wang Tou-fan byl Rzymianinem, gest zakonczylyby sie uderzeniem w ramie.

-Wykuwac wlasna przyszlosc? Skapiliby ci srebra i zlota zatrzymujac wladze i zaszczyty dla siebie, az do smierci.

Wang Tou-fan rozesmial sie cicho, wydajac nieledwie syk rozbawienia.

-Starcy. Starzy ludzie i mlodzi glupcy - jak tamtych dwoje - sluzacy im. Ale ludzie umieraja. O tak, umieraja. A ich moc... bedzie moja. Bedzie moja...

"Decyduj, Luciliusie - pomyslal Quintus. - Uratuj dusze lub ja sprzedaj. Badz Rzymianinem albo zdrajca, ale wybierz."

Patrycjusz wyciagnal reke po ostrze. Zablysko posrod mrokow nocy. Truczna zdawala sie miec kolor zbutwialego drewna lub lodki Charona.

-Zgubiony - wyszeptal Quintus. Byl jego wrogiem, lecz mimo to oczy zasly mu lzami. - Jest zgubiony. Powinienem go zabic, ale - bogowie, on jest czlowiekiem i Rzymianinem, a teraz...

-W moim dawnym zyciu - szepnela Draupadi - przysieglam nie myc wlosow, dopoki nie bede mogla wyplukac ich we krwi mych wrogow. Rozumiem. Tam, moje serce - polozyla mu rece na ramionach. - Tam.

Spiskowcy rozeszli sie, niby przypadkowo, w roznych kierunkach. Wiatr wzbil wokol nich piasek, ktory przeslonil przepastne, obojetne niebo.

Rozdzial dwudziesty pierwszy

Maszerowali juz "od zawsze" przez pustynie, przy ktorej Morze Martwe, marszczace w glebi Judei swe ponure wody, wygladalo rownie goscinnie jak dolina Tybru wiosna. Nie jechali z nimi kupcy, gdyz Wang Tou-fan, spieszacy do centrum Krolestwa Srodka, wybral tak ryzykowna marszroute, ze przezorni handlarze nie smieliby jej nawet sprobowac. Karawany skrecaly zazwyczaj na polnoc do Aksu, Kuchy i Tarpanu, tulac sie do cienia Niebianskich Wzgorz lub na poludnie do Khotanu w Hind, krawedzia nienasyconej Takla Makan Shamo. Wang Tou-fan planowal zas przeciac pustynie w poprzek, by jak najszybciej dotrzec do Mirami, przystanku na poludniowym szlaku. A potem? Quintus ogladal mapy i byl zaniepokojony. Dlaczego zdrada na takim pustkowiu?

"Szalenstwo!" - wykrzykiwali kupcy. "Cien Arsacesa - pomyslal Quintus - na pewno trzesie sie ze zlosci na taka glupote i marnowanie zwierzat, o ktore tak bardzo dbal."

Mieli racje. Po miesiacach marszu i zycia na pustyniach, Quintus uwazal sie za zahartowanego. Lecz na wszystkich pustkowiach, przez ktore przejezdzal, bylo jakies zycie: tutaj nie bylo nic. Polamane grzbiety wydm wygladaly jak kosci gigantycznego Krakena, wyrzuconego na niegoscinny brzeg. Wyblakle, potrzaskane kawalki drewna, sterczace z resztek osad, pogrzebanych w piasku rownie gleboko, jak grobowce Egiptu, tylko czekaly, by przebic nieostroznych lub podrozujacych noca. Kiedy zrywal sie wiatr, widzieli czasem odsloniete wysuszone szczatki, ktore kiedys byly ludzmi lub zwierzetami, zanim opuscilo ich szczescie.

Dawno temu podtrzymywala ich stara maksyma "Rzynski chod, rzynski lud". Teraz spalony sloncem Rufus kolysal sie - z rozkazu Quintusa - na grzbiecie wielblada, spazmatycznie lapiac powietrze. Inni dosiadali zwierzat na zmiane, podczas gdy oficerowie Ch'in mieli konie i wozy. Wytrzymalosc byla ich jedyna duma.

Kolyszac sie w rytmie swojego wierzchowca, Quintus przyspieszyl, mijajac innych Rzymian. Lucilius jechal konno, wyprostowany jak na paradzie, gardzac czyms, co nazywal "okazywaniem slabosci". Gdy opuszczali Kaszgar, Quintus mial swoj plan: oslabic wroga, podkopac jego sily do obrony. Lucilius moze byc tak arogancki, jak tylko sobie zyczy, byle

nie zagrazał ich zyciu. Kiedy centurion upadł, ciężko dysząc, wraz z Draupadi zbadali go szybko w poszukiwaniu ran: zimna i wilgotna skóra oraz chrapliwy oddech bardzo przypominały zewnętrzne objawy działania trucizny.

Teraz Rufus jechał obok manipulu legionistów, na których wypadła kolej marszu. Wszyscy odciążyli swoje bagaże na ile mogli - i zezwolono im na to. Teraz niesli tylko prowiant i wodę - oraz bron. Draupadi oczywiście jechała, kołysząc się w wyscielonym siodle, otulona woalami, przez które przeswiecał zwodniczy cień jej piękności - jedyny jasny blask na tym pustkowiu. Ganesia trzymał się blisko niej i wyglądał, jakby spał.

Quintus minal strażników Ch'in. Wykrzyknął zachrypniętym głosem powitanie. Obrociwszy się w siodle, Ssu-ma Chao skinieniem głowy zezwolił mu podjechać bliżej. Odsunął materiał, który szczelnie zasłaniał jego twarz i zapytał o coś Rzymianina. Mówienie i oddychanie zabierały wilgoc, odsłaniał więc zawoje, gdy pustynia ochładzała się nocą. Pewne rzeczy musiały być jednak powiedziane już teraz.

-Szalenstwo - wychrypiał Ssu-ma Chao. - Prawie modle się o to, byśmy umierali szybciej - ludzie lub zwierzęta. Byłoby więcej wody dla pozostałych.

Całkiem możliwe, że cała karawana padnie. Brakowało nie tylko wody, ale też żywności. Słabsze konie padną najpierw, mimo iż wiele wierzchowców było przyzwyczajonych do upału i piasku. Później przyjdzie kolej na wielblady. Gdy te wygina - umrze wszyscy, a wielkie, piaskowe dryfy przykryją ich - dopóki wiatry nie odsłonią wysuszonych lupin, ku przerażeniu kolejnych nierozważnych podróżników.

-Miran - Quintus zajaknął się, wymawiając obcą nazwę, która była teraz celem jego marzeń. - Czy naprawdę dotrzemy do Mirami?

-Jeżeli tak jest życzenie przodków - odrzekł Ssu-ma Chao - i nie zesła burzy...

To nie była odpowiedź. Pustynne burze zmuszały do przypadania do ziemi i pocenia się w grubych zawojach, chroniących przed zasypującymi ich kamieniami i żwirem. Takie nawałnice opóźniały marsz, potem - Quintus dobrze to wiedział - zabraknie wody, co zrodzi konieczność upuszczenia zwierzętom krwi...

-Przypuszcmy, że osiągniemy Miran. Co wtedy?

-Jaskinie... odparł oficer Ch'in. Był jedynym, który odważył się pokazać Quintusowi mapy. Rzymianin był mu za to ogromnie wdzięczny. Jako jedyny, Ssu-ma Chao uważał go wciąż za sojusznika i nie chciał, by podróżował przez nieznaną pustkowie bez żadnego rozeznania.

Bo to było pustkowie. Raz, pod Kaszgarem, Draupadi spojrzała i cofnęła się przerażona. Madre, senne oko Ganesii rozszerzyło się. "Tyle lat, odkąd dno morza wyszło - zamyslił się, zanim rozmowa stała się zbyt bolesna, by ją kontynuować. - Fale, zwieńczone białą pianą, ptaki, szybujące na olbrzymich, silnych skrzydłach, nasze statki, niosące nas naprzód

- na niebie, i na ziemi..."

Kara była choćby myśl o galerze, tnącej wody Morza Środkowego - błękitna woda... Wspomnienie wilgoci, chłodu, możliwości picia do woli nie tylko po to, by zaspokoić pragnienie, wpędzało w szalenstwo.

Przynajmniej jak dotąd nie było burzy. Za to miłosierdzie musieli dziękować bogom lub przodkom. Byli w glebi pustyni i wciąż nie zobaczyli ani jednego ptaka.

-Oaza? - wyszeptał. "Cien" - pomyślał. Chłód. I, na wszystkich bogów, tryskający strumień. Draupadi, jej odsłonięte, połyskujące włosy, jej oczy błyszczące w świetle ognia i gwiazd... Słońce wypaliło mu jego oczy, zanim ją taka ujrzy.

-Jakie niebezpieczeństwa? - zachrypiał.

-Burze - mruknął Ssu-ma Chao. - Albo zejście ze szlaku.

Wang Tou-fan miał specjalny przyrząd, wskazujący północ. Quintus próbował - i nie udało mu się - odnaleźć Gwiazdy Polarnej. Lecz czy wynikało to z jego ignorancji, czy konstelacje gwiazd ułożyły się inaczej - nie potrafił powiedzieć. Był zwykłym człowiekiem, nie był filozofem i - jak dotąd - zawsze był z tego zadowolony.

A teraz? Żałował, że nie ma mądrości Ganesii, jego przenikliwości, doświadczenia i wytrzymalności. Albo talentu Draupadi. Przebyła już raz tę drogę; nie było tu zagrożeń, których nie знаła. Teraz, gdy wędrowali na wieczne wygnanie, wciąż szukała swojego wroga.

Ssu-ma Chao zakrył twarz, zasłaniając ją szczelnie, jak robili to Nabatejczycy, którzy tak dawno temu zdradzili Rzym pod Carrhae.

Równie ściśle racjonując rozmowę jak wodę, Quintus pograżył się we własnych, niewesołych rozmyślaniach. Pustynia skłaniała do refleksji.

"Jestes Rzymianinem." To prawda. "Musisz wytrwać." Niestety, też prawda. "Jestes legionista." I to także. "Twoim zawodem jest wojna." Tak nigdy nie było, choć walczył, ale dlatego, że musiał. On błagał tylko o ziemię swej rodziny, tak obficie nawodnioną i żyzną - och, Dis, nie myślec teraz o Tybrze, czując w ustach suchość otaczającej go krainy.

Jego zawodem nigdy nie była wojna. Czy to jednak nadal prawda? Tu, na pustyni, kłamstwo mogło kosztować życie. Czasami, kiedy zamykał oczy, widok pustyni zastępowały obrazy krain, które niegdyś znał jak własną kieszeń. Jego zawodem był teraz trud i wojna, gdyby miało do niej dojść. A kiedy jechał bądź szedł zmęczony przez niewyrażalną terazniejszość ku niezrozumiałej przyszłości, marząc tylko o położeniu się przy drodze i spokojnej śmierci, to właśnie duch wojownika - to, co było w nim duchem Arjuna - podtrzymywał go na siłach i nawet dawał radość polowania, wiodącego coraz bliżej i bliżej

wroga.

Ślady Czarnych Naacalów spotykali wszędzie. Tylko głupcy i szalency mówili o tym przerażającym syku, który czasem tak wyraźnie słyszeli. Nazywali piasek "ming sha" - śpiewający piach. Lecz dla Quintusa brzmiało to jak syczenie wielkich węży, żyjących nawet na takim pustkowiu. Wiedział, że zawsze, gdy kiedyś w przyszłości ujrzy weza - czy będzie to madra delficka zmija, czy najpotulniejszy wąż domowy - przeszyje go wewnętrzny dreszcz niepokoju lub sięgnie po bron.

Poczuł takie drzenie, gdy pochwycił zimne i wrogie spojrzenie Wang Tou-fana. Mężczyzna obrócił się i zdjął z piersi kompas. Opuszczył go, potem podniósł, zagłębił się w rozważaniach, popatrzył na niebo i znowu opuszczył. Słońce nie osiągnęło jeszcze zenitu - przynoszącego śmiertelną falę upałów południa, kiedy ludzie i zwierzęta kładli się na ziemi, próbując zasnąć i uniknąć przerażających snów. Wang Tou-fan dał znak zezwalający na postój. To było szaleństwo, lecz Quintus był zbyt zmęczony, by czuć cokolwiek, prócz ulgi. Postój oznaczał możliwość położenia się w cieniu, odpoczynku i - co najważniejsze - wyszczenia paru łyków wody, smakującej skora butli, w której była przechowywana. Będzie to ostatnie picie przed zachodem słońca.

Otarł z czoła blade pył zaschniętego potu i odwrócił się. Chciał być blisko Draupadi, by pomóc jej zsiąść z wieloblada i poczuć się choć przez chwilę mężczyzną, nie tylko jencem, wędrującym przez krainę udreki.

Miękko zsunęła się w jego ramiona. Zarbijający z nieba i jej bliskość sprawiły, że Quintus doznał uludy, że leżą oboje pod zielonymi drzewami nad sadzawką czystej wody.

Obok nich przejechał Lucilius, psując nastrój tej chwili. Jakby wpatrywali się w powierzchnię wody, odnajdując w niej odbicia swych twarzy i ktoś z nagle cisnął kamień, niszcząc ich wizerunki.

-Powiniennem go zabić - mruknął Quintus.

-Czy byłaby to gorsza kara od tej, którą sam sobie wyznaczył? Napij się i powiedz, czy właśnie tego chcesz - zganila go delikatnie.

Lyknął trochę cuchnącej wody. Piasek przedostał się do płynu i do ust. Woda smakowała jak przeklinane przez legionistów gorzkie owoce, rosnące nad Morzem Czarnym. Wzdrygnął się patrząc na wciąż dumnie wyprostowane plecy Luciliusa.

"Bogowie, strzeżcie go. Jest już martwy. Lub gorzej. - Jest więzieniem złych mocy."

Draupadi pochyliła głowę.

-Oni zabierają nie tylko krew i siłę, jak to uczynili pod Kamienną Wieżą.

Polecenie dosiadanania wierzchowcow przyszlo za wczesnie. Quintus przygladal sie Draupadi, moszczacej sie w siodle na ryczacym ze znuzenia wielbladzie, po czym sam wsiadl na konia i ruszyl sprawdzic swoich ludzi.

Zwierze jeczalo niczym stary niewolnik, niepewny, czy wytrzyma kolejna chloste. Quintus juz to slyszal i wiedzial, co to znaczy. Musi dokonac przeglądu zolnierzy i zwierzat - zwlaszcza obejrzec upartego, starego wielblada, noszacego Orla.

Jechali dzien po dniu i Quintus wiedzial, ze bogowie wysluchali przynajmniej jednej z jego modlitw. Nie chcial widziec swoich ludzi podzielonych na tych, ktorzy chwiejac sie i cierpiac w promieniach slonca pra naprzod, poki nie padna, i na takich, ktorym sciemnieje skora, a oczy znikna wsrod zmarszczek pofaldowanej skory, ale ktorzy przystosuja sie do pustyni, jakby sie tu wychowali. Musza przezyc lub wszyscy umrzec.

Sen mieli plytki, wypelniony marzeniami. Snow Quintusa nie nawiedzal jednakze Wiek Zloty, lecz Wiek Zielony. Jego dom wydawal mu sie teraz rownie nierealny, jak Elizjum, byl bardziej rajem niz ogrodem, o ktorym opowiadal Arsaces. Bogowie sprawcie, by przebiegla dusza Persa wedrowala po takich miejscach. Pewnego dnia Draupadi wspomniala o cedrach, porastajacych wysokie wzgorza Hindu, i Quintus snil o nich - o miejscach, ktorych jego wlasne oczy nigdy nie widzialy, lecz ktore wydawaly mu sie tak znajome, jak wlasna dusza.

Ganesia mowil, ze uczy sie i marzy o wodzie, jezeli w ogole jeszcze marzy. Niepojete, co kiedys powiedzial: ze cala ta pustynie pokrywalo niegdys bezkresne morze.

-Miran? - to bylo wszystko, na co mogl liczyc, gdy podnosil juki i przytraczal je do protestujacego zwierzecia. Obydwa garby Bactriana byly twarde, niczym piersi kobiety, karmiacej w czas glodu. Umra. Woda zostanie wypita; wielblady padna i wszyscy zaczną umierac. - Musza dotrzec do Miranu.

Noca pustynia oziebiala sie - smiercionosne blogoslawienstwo, przed ktorym chronili sie, rozniecajac ogniska z nawozu i odkrytego przez wiatr drewna. Zamarzali i piekli sie na przemian...

...By zbudzic sie, kiedy wstawal swit - ognista kula wystrzelona z piekielnej wyrzutni na Wschodzie - miejsca, do ktorego uparcie zdazali. Wielblady ryczaly, stajac na nogi. Ludziom brakowalo sil, by narzekac. Kazdego dnia wdrapywali sie na siodla albo ustawiali w marszowy szereg. Moze dzisiaj znajda wode. To byla wystarczajaca nadzieja.

Lucilius szedl u boku jadacego Wang Tou-fana, nie zwazajac na pyl wzniecany konskimi kopytami. Opromienial ich wschod slonca. W tych dniach byli jak bracia, przejeci wspolnym planem. Quintus pamietal Surene. Otaczala go podobna nienawisc, przemoc i perfidia.

"Nie opieraj sie. Wytrzymaj."

Quintus drgnal, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem pod kopyta jadących za nim. Skąd dobiegł ten głos? Tak długo nieobecne, znajome uklucie nad sercem - tak, to jego talizman, tancerz z brazu, przebudził się z długiego snu, w który zapadł, gdy dotarli do głębokiej pustyni. Albo, być może, aż do tej chwili był bezpieczny? To wyjaśnienie było przerażające.

Wyjał figurkę i przyjrzał jej się: delikatna, starożytna i zdumiewająco silna. Jego wzniesione ręce pochwyciły i zatrzymały ostatni promień wschodzącego słońca. Lekki wietrzyk wzbudził tumany piasku, wirujące wokół niezgrabnych, wielbladkich kolan i osłaniające go przed światłem.

Z figurki trysnęły snopy światła, które przestraszyły konia Wang Tou-fana. Zwierze cofnęło się, rzuciło i tancerz na tylnych nogach. Arystokrata Ch'in przywarł na moment do konskiej szyi, po czym zwałił się na ziemię, rozrzucając wokół kamyczki, zwir i kurz. Rzymianin skrecił swoim wielbladkiem w bok, by uniknąć stratowania oficera. Lśniący luk przebił zasłone pyłu, gdy kompas z brazu wypadł z rąk Wang Tou-fana.

Światło nad głową... czy to słońce sprawiło, że jego cień przypominał wielką, skrzydlatą istotę? Cień zbliżył się do nich i spadł poziomo, niczym skrzydlaty drapieżca. Chwycił lancuch kompasu, jak orzeł porywający węzła, by zanieść go do swego gniazda.

"Nie" - powiedział sobie Quintus. To kolejna magiczna sztuczka. Nie mógł usłyszeć triumfalnego okrzyku. Żaden drapieżnik nie wyda go z siebie, gdy jest tak blisko łupu, a później musi trzymać dziób mocno zacisnięty, by nie upuścić zdobyczy.

Mimo to, przysięgałby na duchy utraconego domu, że widział orła pikującego w dół, by skraść brazowy kompas Wang Tou-fana. Czemu jednak orzeł - symbol Rzymu - miałby wybrać to właśnie urządzenie, od którego zależy ich życie?

Nigdy nie ujrza Miranu! Wszyscy umrą tu, na pustyni! Quintus zeskoczył z konia i rzucił się w kierunku oficera Ch'in i Luciliusa, szalenczo rozkopujących zwir i pył. Ich dłonie spływały krwią, wysychająca szybko na rekawach i piasku.

-To nie pomoże - chrapliwy głos Rufusa zatrzymał ich wszystkich - oficerów, patrycjuszów, jeźdźców i żołnierzy - w miejscu. - Wszystko, co robicie, to bezładne przesypywanie piasku... skal... czegokolwiek. W ten sposób niczego nie znajdziecie. Trzeba szukać inaczej.

Natychmiast wkroczył do akcji, wnosząc swymi chrapliwymi rozkazami i ciosami pałki spokój i porządek.

Podzielili grunt - wedle rzymskiego sposobu - na kwadraty i oczyszczali je systematycznie. Lecz mimo poszukiwań i pomocy oficerów, kompasu nie znaleziono. Quintus nie wierzył zresztą w inny rezultat.

Oczy Draupadi, Quintusa i Ganesii spotkały się, jak gdyby wszyscy troje obserwowali w

rozpaczy własną zgubę.

Słońce, niebo i pustynia zdążyły już - jak to zwykle w południe - zamienić się w piec hutniczy, zanim wszyscy zrozumieli, że brązowy kompas zaginal na zawsze. Niektórzy, purpurowi od palącego słońca, rzucili się z wściekłości na ziemię. Żołnierz Ch'in sygnalizował po buklak.

-Stój! - To Rufus. Cios jego pałki odtrącił dłoń człowieka od cennej wody. Jeden z towarzyszy uderzonego ruszył na centuriona, który ponownie wznosił pałkę.

"Skoczyłeś na głęboką wodę, stary przyjacielu" - pomyślał Quintus i pośpieszył w jego obronę. Nastroj wśród żołnierzy Ch'in był coraz gorszy. Nie zbuntują się, lecz muszą kogoś obarczyć winą za utratę nadziei.

-Posłuchaj mnie, człowieku - Rufus przemówił po łacinie, nie było więc mowy, by wojownicy Ch'in go zrozumieli. Mimo to, lata dowodzenia i znakomita znajomość żołnierzy sprawiły, że ich miecze nie opuściły pochew. - Posłuchajcie. Wiedzieliśmy, że będzie to straszna podróż, nawet jeśli Jego Ekscelencja miał to małe... jak wy to nazywacie... no, wiecie. Teraz, kiedy kompas zaginal, będziemy musieli iść dalej i będziemy musieli znaleźć wodę. Czy sądzicie, że zabierze nam to dużo więcej czasu?

Wiatr ucichł. Ganesia nie musiał podnosić głosu, by tłumaczone przez niego słowa Rufusa dotarły do każdego żołnierza. Ku zdumieniu Quintusa Lucilius unosił dłonie, na których zasychała krew.

-Uważasz, że dotrzemy do Mirami? - Quintus spytał Ganesie półgłosem.

-Jest słońce. Są gwiazdy. Możemy podróżować jak żeglarze.

-Stary kapłan wypowiedział dokładnie to, co pragneli usłyszeć. Choć żeglarze woleli na ogół nie tracić ładunku z oczu, Ganesia przemierzył przecież kilka dziwnych morz. Można było polegać na jego doświadczeniu - przynajmniej, by przetrwać ten dzień.

Mogło się jeszcze udać. Quintus doznał naglej wizji Draupadi, siedzącej w swojej świątyni nad sadzawką. Woda spływała po jej włosach, przyklejając szafranową suknię do bursztynowej skóry. Był rozgrzany nie tylko upałem, ale i marzeniem nierealnym dla mężczyzny, który nigdy nie zobaczy Miranu. Nic nie będzie dobrze. Umra tu na pustyni. Wiatr i piach przykryją ich kości, grzebiąc je w nekropolii ogromnej jak Egipt.

Przypomniał sobie zakaz picia słonej wody podczas marszu pod Carrhae. Byłaby teraz nektarem. Mimo to mieli jeszcze trochę czasu, by położyć się i umrzeć. Ale jeszcze nie teraz. Quintus wmieszał się w spor pomiędzy Ch'in a Rzymianami, wymuszając spokój, odpoczynek i podróż nocą. Zachodzące słońce wskazywało kierunek: zachód (jakże pragnął tam właśnie zmierzać) - muszą iść w przeciwną stronę.

Oczekiwał drwiny ze strony Luciliusa, lecz ten siedział, opierając się o juki. Słońce rozjasniło jego włosy, błyszczące niczym monety, których nigdy nie przestał pragnąć. Draupadi osłoniła się przed zarem lejącym się z nieba. Stała obok, trzymając rękę na czole starszego trybuna. To nie była odpowiednia chwila, by ktoś umarł, nawet zdrajca.

Nie ma ptaków - wymruczał. Wargi miał blade. - Nie ma ptaków na tej przeklętej przez Orkusa pustyni. Ale widziałem jednego. Widziałem Orla. Przyleciał i porwał nasze życie...

Zdrada była karana śmiercią. W Rzymie zdrajców zrzucano ze Skaly Tarpejskiej lub zabijano w bardziej okrutny sposób. Kiedy Spartakus i rebelia niewolników zostali pokonani, wzdłuż dróg pojawiły się krzyże. Dla silnego mężczyzny było to długie i bolesne konanie.

Co dorównuje cierpieniem śmierci z pragnienia?

Lecz czemu skazywać na potępienie cały Legion - i niewinnych żołnierzy Ch'in? I dlaczego gubić... jakiś strzep wiersza, którego kiedyś się uczył, powrócił do jego pamięci, owijając się wokół obrazu Draupadi, spowitej w narzeczeński szafran.

-Nie wierze w to - oświadczył Quintus. Był zadowolony, że pomyślał o polach, o świecie pełnym zieleni i wody. Wciąż była nadzieja.

Zobaczył, jak Rufus wymachuje rękoma i krzyczy na żołnierza Ch'in, który wyglądał na równie zawziętego, jak on sam.

Głosy unosiły się w nieruchomym powietrzu.

-Komu możemy zaufać? I m! - Rufus wskazał ręką Draupadi i Ganesie. - Niech oni opiekują się wodą. I, na wszystkich bogów, zrobimy coś, zanim ja cała wypijemy!

Jechali lub maszerowali, ponieważ perspektywa położenia się i śmierci na klującym żwirze i piasku pustyni była znacznie gorsza. Lepiej iść naprzód, dopóki nie poczernieje język, a miłosierne szalenstwo nie zaciemni umysłu. Dopóki nie pęknie serce.

Odkąd zgubili kompas, umarło pięciu ludzi. Po przykrytych piaskiem truchłach nie można było odgadnąć, czy byli to Rzymianie, czy wojownicy Ch'in. Znaczyło to, że było o pięciu ludzi mniej głodnych i spragnionych.

Wedrowali od wielu dni. Do tej pory powinni już znaleźć przynajmniej ruiny placówki. Nie było burz, które mogłyby ukryć pod piaskiem i pyłem pustyni ciała patrolu. Nie mogli wysłać własnych zwiadowców - samotny człowiek na słabym wierzchowcu zginąłby niechybnie, tracąc zwierzę i porcję wody. Zamiast pomysłu wyprawienia kogoś bez wody byłby zadaniem tortury niewinnemu, bardziej łaskawym byłoby podcięcie mu gardła na miejscu.

Quintus wiedział już, że są zgubieni. Była to chwila, gdy pokonywali zbocze olbrzymiej diuny. Pustynia była nawet jakby mniej złowieszcza. Wiał nocny wietrzyk, błogosławienie chłodny.

Delikatna chmurka pyłu wirowała wokół dłoni.

I wówczas - gdy spojrzeli w górę - okazało się, że gwiazdy się przesunęły. Och, Orion nadal gdzieś ścigał Małą i Wielką Niedźwiedzicę; Kasjopeja wciąż uciekała przed zakochanym bogiem. Tyle tylko, że tutaj konstelacje nie miały sensu.

-Jesteśmy na morzu - powiedział do Ganesii.

-Raz widziałem statek, spływający po fali i wbijający się w następna. Nie zobaczyłem go już więcej - odrzekł starzec.

Mówienie boleło. Quintus po prostu skinał głową. Także myślenie o takiej ilości wody było niepotrzebna meczarnia. Spojrzał na Draupadi. Nie on jeden ślala powłoczyste spojrzenia w jej kierunku, lecz oczy innych przyciągały raczej buklaki, które trzymała w zasięgu ręki.

Potrząsnęła głową.

-Zniknęła nawet moc iluzji - szepnęła. Zniknął też jej cudowny głos. - Nie mogę nawet zapewnić ci złudzenia wilgoci w gardle.

Chwycił ją mocno za rękę. Kiedy przyjdzie jego pora, gdy będzie musiał umrzeć, chciał trzymać ją w ramionach i patrzeć w oczy. "A wtedy - pomyślał - gdy wszyscy będą już martwi, ona i Ganesia pojedą dalej. Jak przedtem."

Przesunęła palcami po zgrubieniu na jego dłoni.

-Nie. Nie. Nie chroni nas teraz iluzja. Gdy umrzesz, my także zginiemy. Może liczymy sobie wiele lat, lecz ja nie jestem jeszcze gotowa, by skapitulować.

Jej głos odzyskał siłę, po czym ucichł. Czy ona i stary kapłan mogliby odbierać innym życie i dzięki temu istnieć - tak jak zrobili to Czarni Naacalowie pod Kamienną Wieżą? Pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

"Nie, przez te wszystkie lata." Roztńczona figurka rozgrzewała się na jego sercu. Była z nim zawsze, nie mogłby jej porzucić, tak, jak nie mogli porzucić Orla.

Draupadi ścisnęła mu dłoń.

-Chciałam rzeczywistości, nie snów - powiedziała. - To jest prawdziwe. Ty jesteś prawdziwy.

Quintus unosił jej dłoń ozdobioną ślubnym pierścieniem do swych popekanych ust.

-Tak, jak to.

Jechali dalej w milczeniu. Był czas, kiedy "błędzenie umysłem" było poważną zbrodnią.

Teraz probowali bladzc, by mniej cierpiec. Unosili sie pomiedzy noca a dniem, pod nieznanymi konstelacjami i sloncem, ktorego wschody i zachody nie wskazywaly zadnego kierunku. Rownie dobrze mogliby byc dziecmi, obracanymi do utraty rownowagi, ktore mialyby potem odnalezc swoich kolegow.

-Jestesmy tacy slabi - zwrocil sie ochryplym glosem do Draupadi, kiedy cenny lyk wody umozliwil mu mowienie. - Czemu po nas nie przyjda?

Zapatrzyla sie na chimeryczne ksztalty goracego powietrza unoszace sie ku bezchmurnemu niebu. Nawet widok odleglych gor o bialych czubkach byl udreka, bo biel oznaczala snieg. Drogocenna wilgoc: nie dla nich. Nigdy nie dla nich.

-Czarni Naacalowie? - Jej wargi mozolnie ukladaly slowa. - Oni pragna zadawac nam cierpienie. Obserwuja nas. Mysle, ze nawet teraz moga nas odnalezc.

Konsternacja wyostrzyla jej drobne rysy pod brudna woalka.

-Ty i Ganesia?

-Wiedziales, jak dawno temu tu bylismy - wyszeptala. - To ty wedrowales po pustyni, szukajac Pasupaty. Ty. Quintus-Arjuna. Czy naprawde nie pamietasz?

Wowczas Ssu-ma Chao wydal komende: "Ruszac" - przed siebie, w jakimkolwiek kierunku, byle dalej, wciaz dalej. Nadeszla jego pora, by zsiasc z wierzchowca i maszerowac w szeregu. Musieli sie wiec rozdzielic. Dzielila ich nie tylko odleglosc, dzielily wspomnienia.

"Mysl - powiedzial sobie - Mysl." Maszerowal. Z zadowoleniem powrocil do niezmiennego, kojacego rytmu legionowego kroku i - w tym rytmie tysiecy stapniec dziennie, regulowanych ciagla dyscyplina - zapomniec o wszystkim.

Jego ramiona pracowaly, jakby stanowil czesc kolumny paradujacej na wybrukowanej drodze gdzie w Italii. Pomyslal o galerze niewolnikow, zginajacych zgranym ruchem grzbiety na komende "hortatora". Ale tym razem nie beben narzucal rytm, tylko pulsowanie krwi w skroniach i sercu. Rzym odkryl, jakie tempo oszczedzi umysl i serce tak dlugo, jak dlugo sie da: bebnij zbyt dlugo, zbyt szybko, zbyt twardo, a czlowiek umrze.

Ale nie wczesniej, na wszystkich bogow, niz osiagnie zapomnienie. Jestem Rzymianinem - mowil jego krok. Lewa, prawa; lewa, prawa; buty tra zwir na mialki pyl. Wszystko tu bylo sola i prawie uwierzyl opowiesciom Ganesii o morzu. Zreszta, to niewazne. Nigdy wiecej nie zobaczy Morza Srodkowego. "Wierz w to, co pozwala isc naprzod" - powiedzial sobie. Lewa, prawa.

Szukal zapomnienia - ale zapomniec Rzym? Porzucil rodzine, ziemie, nadzieje na powrot, nawet honor. Czy teraz, kiedy zaoferowal miecz swym wrogom, musi zrezygnowac z myslu o "patria"?

Draupadi mowila mu, ze to w nim samym tkwi moc i sila.

Ale nie w Quintusie - w Arjunie, tym starozytnym ksieciu-wojowniku, ktorego dusza, zgodnie z naukami kaplanow-czarodziejow Egiptu, wcielila sie w uparte, rzymskie ciało. Uparte jak mul. Silne jak mul. Lewa, prawa; lewa, prawa. Sloneczny mlot walil w jego czaszke - o wiele wiecej uderzen niz potrzebował, by zachowac rytm.

Zapomniec.

Pamietac.

Powietrze migotalo. Jego umysl wirowal. Byl Quintusem - nie, nosil luk; mial rydwan i tanczacego boga, by nim powozil; byl... ktos upadl i zostal zaladowany na wielblada...

Powietrze palilo piersi, podniosl wiec reke, by rozluznic szate. Dlon pochwycila rozgrzewajacy sie talizman.

Wyciagnal malutkie wyobrazenie roztanczonego Kriszny, boga starego juz w czasach, gdy jakis artysta, zyjący w Italii na dlugo przed jego rodakami, wyrzezbil go, by spoczal w grobowcu. Jak krazki swiatla mogly wystrzelic z tej malej figurki, oslepiając człowieka i konia, tak bardzo, ze zagubil ich najcenniejszy przedmiot? Kriszna tanczyl w swietle, tymi samymi ruchami wyrazajac zalosc i radosc. To Quintus, nie Arjuna teraz to sobie przypomnial. Bog tanczyl z pochodniami. Padl na twarz i dotykajac jego stop, prosil nie o armie, prosil o samego Boga.

Kriszna zgodzil sie byc jego woznica.

Posiadl potezne bronie. Siedzial w pierscieniu ognia, by uwiezic moc. Teraz - w pulapce kolejnego zycia - pamietal, ze zdobyl najpotezniejszy orecz. Ale co to bylo? Nie mogl sobie przypomniec, zwlaszcza teraz, gdy maszerowal, zachowujac rzymski rytm, az kosci stop scieraly sie na proszek, ktorego biel dorownywala mijanym solnym polaciom.

To nie mocy musial szukac, lecz zycia. Dawniej poszukiwal zycia w ruinach nad jeziorem.

Ach, tak. Maszerujace stopy wyrwaly sie spod kontroli umyslu. Byl na wlasciwej drodze. Mysl o jeziorze. Mysl o rzece. Draupadi; jego rodzinna dolina. Tak teraz odlegle... Lecz pod Dachem Swiata uslyszal legende: ze w sercu pustyni tryska strumien kryształowo czystej wody, ktory moga odnalezc tylko ludzie w najwiekszej potrzebie. Nikt jednak nie wiedzial, gdzie go szukac.

Oaza, byc moze taka, jakie znali z Egiptu, Judei czy Syrii. Albo cos wiecej.

Byli zgubieni. Nie mogli byc bardziej zrozpaczeni. Moze?...

Slyszal o takich miejscach, tak swietych, ze zwierzeta, bedace smiertelnyimi wrogami, tulily

sie do siebie, zwilzając gardła czystą wodą, zamiast krwią.

Czy to wodne przymierze dotyczyło także Czarnych Naacalów? Quintus wątpił. Nie, to nie była jego myśl, to musiało być zdanie Arjuny... daleko mu było do dyscypliny, która on, Quintus wyniósł z domu. Lewa, prawa; lewa, prawa.

Nie zauważył, że przyspieszył, że wyprzedził innych Rzymian, że dogania Ch'in. Cześć z nich jechała, zasłaniając usta i nosy przed kurzem. Inni zwieszali się z siodeł. Jeszcze inni z trudem szli.

"Czy Orzeł wie? Czy nas dojrzy? Musi." Znowu myśli Arjuny? Nie trzeba być księciem-wojownikiem, zwykły wiejski chłopak wie, że ptaki zawsze orientują się, gdzie jest woda. Szkoda, że na Takla Makan nie ma ptaków.

Zrownął się z żołnierzami Ch'in. Ssu-ma Chao, dobrze znając temperament niektórych swoich sojuszników, wystawił strażę, by powstrzymać ich przed zabiciem Wang Tou-fana.

Juczny wielbłąd potknął się i stanął chwiejnie. Potem padł, ludzie i zwierzęta podążający za nim skreśliли w samą porę, by go nie stracić.

Quintus zatrzymał się również. Trzymanie się poza linią marszu wymagało żelaznej woli.

Daleko przed nimi Ssu-ma Chao dał znać, by rozładować juki martwego zwierzęcia. Dziwne. Czemu po prostu tego nie zostawić? Raczej nie wyglądało na to, by mogli unieść dodatkowy ładunek. Nagle zszawione oczy Quintusa zapłonęły.

Zwierzę niosło Orła. Widział zbliżających się Wang Tou-fana i Ssu-ma Chao. Obydwaj znudzeni mężczyźni walczyli o pozycję. W końcu Wang Tou-fan wygrał potyczkę dwoma, trzema władczyimi słowami i gestami. On tu dowodził. On. Tylko on. Poparł ten fakt położeniem ręki na mieczu, odganiając nawet Luciliusa, który wpatrywał się w Orła z taką samą tęsknotą, co inni, wierni Rzymianie.

Zwykły rozsadek podpowiadał Quintusowi, że nie powinien podchodzić bliżej. Nie ujrzy Orła, a jego obecność może zaoğnić sytuację. Mimo to, spostrzegł, że zmierza w kierunku znaku, wzbijając stopami obłoki pyłu. Kurz unosił się, okrywając go. Gdy dotarł do warg, poczuł sól, a przecież jego ciało nie mogło mieć aż tyle wody...

Gdy trybun dotarł do martwego wielbłąda, Wang Tou-fan położył dłoń na Orle. Słowami, których Quintus nie rozumiał, i daleko bardziej czytelnym gestem oświadczył, że odtąd znak będzie podróżował przytroczony do jego siodła.

Quintus skinął na Ganesie. "Tłumacz, proszę."

-Bardzo dobrze - rzekł, a Ganesia powtórzył jego słowa w języku Ch'in. - Więc rozpakuj Orła i trzymaj go w gorze. Niech jego blask lśni nad miejscem, gdzie położymy się, by

umrzec.

Wang Tou-fan przeszył Quintusa wzrokiem.

-Prowadzisz nas na zatracenie - ciągnął dalej trybun, znajdując gdzieś potrzebne słowa. - Śmierć jest dla nas niczym. Wszyscy jesteśmy ja winni Rzymowi: kiedy nadejdzie nasz czas, splacimy dług. Ale ty - czy nie masz życia i przyszłości przed sobą?

Lucilius podniósł głowę, weszac okazje.

-Nie będziesz temu oto rozkazywał - odrzekł Wang Tou-fan przez tłumacza.

-Nie - potwierdził Quintus. - Lecz co z nimi?

Nagle przypomniał sobie, jak w innym życiu jego królewski brat postawił wszystko i przegrał. On jednakże, nie mając nic, nie miał też nic do stracenia. Z wyjątkiem swojego życia, którym od lat pogardzał.

-Możesz nas prowadzić - przyznał - lecz czy wytrzymasz? Możemy ci pomóc. A oni - może zechcą toba pokierować.

-Czego zadasz za tę usługę? Zbyt sprytnie, mimo wcześniejszych prób Ganesii, by złagodzić zadło kłamstw Wang Tou-fana.

-Orla - odpowiedział brutalnie Quintus. - Wówczas, jeśli zginiemy, zginiemy honorowo. - Wzruszył ramionami. - Może nas przeżyjesz, a wtedy Orzeł będzie twój - zerknął na Luciliusa. - Tak, jak jest teraz.

Patrycjusz odwzajemnił spojrzenie, lecz nic nie powiedział.

-Wiec jak? - Oszukuj. Udawaj, że mówisz z pozycji siły. Nagle pojął, że nie przypomina już zrównoważonego, zdyscyplinowanego Rzymianina Quintusa, zasiadającego do gry o honor i życie. Musiał być silny, bo wiedział, że silni wygrywają, słabi zaś cierpią i giną. Zbyt długo był słaby.

-Poza tym - dodał przebiegle - zawsze może przybyć garnizon i unieważnić nasze porozumienie. Co masz do stracenia?

Ssu-ma Chao odwrócił się, maskując - co? Śmiech? Bogowie, on powinien urodzić się Rzymianinem!

"Jest tylko jeden problem - pomyślał Quintus. - Jeżeli Ssu-ma Chao wyrazi zgodę, może zginąć zanim zdążymy pożegnać się jak bracia."

-Masz jakieś pojęcie, gdzie jesteśmy?

"Pomozcie" - prosił cała swoją duszą Ganesie i Draupadi.

-Nim zmieniły się gwiazdy - powiedział szybko Ganesia - ta niecka, która przemierzamy, była wielkim Morzem Wewnętrzny. Widziałem mapy. Były na nim wyspy, do których przybijały statki i... - pozwolił sobie na zamyslenie. - Były tam źródła słodkiej wody i drzewa owocowe. Wszystkie nie mogły zniknąć, były w samym sercu morza. Możliwe więc, że znajdziemy gdzieś wodę. Lecz musielibyśmy udać się do samego jądra pustyni. Wystarczy wam na to odwagi?

-Powiedzmy, że znajdziemy wodę. Co wtedy?

-Nabierzemy sił - powiedział Quintus - by znowu spróbować dotrzeć do Miranu. Albo wysłamy szybką grupę zwiadowczą - jak powinniśmy to już dawno zrobić.

"Gdybys był prawdziwym oficerem, a nie łobuzem i zdrajca." Jego wzrok spoczął na Luciliusie, jakby chciał wymusić na patrycjuszu przejście na stronę Rzymian.

-Nie mamy lepszego wyjścia - Lucilius wypowiadał słowa z trudem, jak na torturach. Może tak było naprawdę - cierpiał z powodu upałów bardziej niż inni.

Wang Tou-fan stał niezdecydowany. Jasne, że się bał. Myślał gorączkowo, a obawa, strach i wyczerpanie czyniły go coraz słabszym. Uśmiechnął się przebiegle. "Spróbuj jeszcze raz. Zdradz tych, którzy ci pomogli. Wszystkich, zwłaszcza tego niedolegę o sztywnym karku, dowodzącego placówką i przybierającego poze Syna Niebios. Może się okaże, że nie będzie trzeba dzielić się ze zdrajca - a poza tym, czy oni wszyscy nie są barbarzyncami?"

-Zgoda - rzekł, zapominając o urodzeniu. Mówił jak parweniusz, jak kupiec, który przewiduje unicestwienie karawany.

Próbując powstrzymać drżenie rąk, Quintus skinął głową i wyciągnął ramiona po Orla.

W tej chwili, choć niebo było przejrzyste i bezchmurne, rozległ się loskot grzmotu, a błyskawica przecięła horyzont.

Rozdział dwudziesty drugi

Orzeł spoczął w dłoni Quintusa, oświetlony słońcem, uwypuklającym każdy detal brązowego upierzenia ptaka. Dobrze pasował do reki, niczym rekojesc miecza do dłoni weterana. Zamknął oczy, chroniąc się przed blaskiem orlich skrzydeł i powstrzymując łzy. Pierwszy raz trzymał go przez krótką chwilę, tuż przed ciosem w głowę, który omal nie pozbawił go zmysłów i życia. Pamiętał, jakże dobrze pamiętał tamten zapach - krwi, potu i metalu. Ale strach i ból nie zdołały zabić w nim przekonania, że oto znalazł się we właściwym miejscu i postępuje właściwie.

Moze bronil dowodcy niewartego jego sluzby i lojalnosci, ale Krassus byl prokonsulem Rzymu, co - jak uwazal - usprawiedliwialo kazda cene, jaka moglby zaplacic za jego zycie. A tutaj, daleko od Rzymu, dzierzyl dumnie znak Legionow. Niezaleznie od tego, czy jakies slowo o jego zyciu i sluzbie kiedykolwiek dotrze do "patres conscripti", czczonych przez dziadka na rowni z domowym oltarzem, czy tez do tych niesfornych, klotliwych ludzi rządzacych krajem nad Tybrem - znowu mial poczucie misji.

Wbijajac znak w ziemie, Quintus poczul, ze slabnie. Odrodzenie jego wlasnego ducha pobudzilo sile innych a minelo juz duzo, duzo czasu odkad pomyslal o nich jako o "swoich ludziach". W obecnosci Orla staneli w gotowosci, instynktownie formujac znajomy szyk.

Quintus poczul, ze promieniuje niegasnacym swiatlem, ktore karmilo sie nim, przywracajac innym sile i ducha.

Jasnosc zniknela, pozostawiajac wrazenie, ze dokonalo sie cos wielkiego i glebokiego - ale nie umial tego nazwac.

Podeszla do niego Draupadi, z lekiem spogladajac na Orla.

-Ta bron - powiedziala - nie ustepuje mieczowi, ktory nosisz.

Quintus popatrzył w gore - czy dumny, brazowy ptak ozyje?

Znak drzal w jego dloni, jak gdyby przycupniety Orzel naprawde rozpostarl skrzydla, gotowy do lotu. Lecz orly czynia tak tylko na duzych wysokosciach. Stamtad, z ich wlasnego miejsca, spadaja kolujac, niesione wiatrami. Tutaj nie bylo gor.

Blask bijacy od ptaka zlocil niebo. Kolor nabieral glebi i ponurosci. Quintus oderwal wzrok od Orla i spojrzal na Ssu-ma Chao. Przed "buranem" - straszliwa pustynna nawalnica - niebo zmienialo barwe na brazowa. Kiedy zaczela sie burza, niebosklon ciemnial od wiatru, niosacego zwir i piasek.

Ostrozny podroznik - a Ssu-ma Chao byl najlepszym przewodnikiem, jakiego mieli - bylby zaalarmowany takimi zmianami i nakazalby przygotowac na czas ochronne zawoje. Oficer Ch'in otworzyl usta do krzyku, szukajac wlasnego turbanu. Po chwili jednak przestal, jakby zagubiony. Wielblady staly bez ruchu, ciche i spokojne.

Mimo iz niebo - niczym przykrywajaca ich misa z brazu - przybralo kolor, zapowiadajacy najgorsza nawalnice, nie bylo wiatru, nie wzbijal sie piach. Wszystko wokol zastyglo w jakims pelnym napiecia bezruchu.

Wielblady zaczely zbijac sie w kupe, jakby buntujac sie przeciwko zbyt ciezkiemu jukom. W atmosferze pojawila sie jakas ciezkosc, wciaz roslo cisnienie, az Quintus nabral pewnosci, ze nawet dlugie wydmy zostana wbite w ziemie - i to bez pomocy wiatru.

Draupadi okrecila sie wokol, obserwujac horyzont, po czym zwrocila sie do Ganesii:

-Wszystko procz nas - jestesmy okrazeni.

Starzec obrocil sie, jakby wypatrujacz wciaz niewidocznego wroga.

Lucilius pierwszy odzyskal sile dzialania, przerywajacz zaklecie. Jego zielone oczy rozszerzyly sie ze strachu; zaczal isc w strone Orla - mozolnie, krok za krokiem, jakby walczyl z rwacym nurtem rzeki.

-Orzel - odezwal sie. - Daj...

Quintus odsunal znak.

-Daj mu go - rozkazal Wang Tou-fan.

-Pozwol, by mogl go wziacz - odrzekl Quintus. Przemowil, nie zwracajacz uwagi na strach. Dla wszystkich musi stacz sie jasne, ze to Orzel wybiera - a ludzie sa tylko posluszni.

-Pozwol, by sprobował - uscisлил.

Przerzedzone rzymskie sily powoli wracaly do zycia.

Czesc przesunela sie do przodu, oddzielajacz zolnierzy Ch'in od trybuna. Jeden czy dwoch ruszylo w kierunku Draupadi i Ganesii, by ich chronic. Reszta zwarla bez komendy znajome szyki.

Lucilius ponownie siegnal po Orla.

-Nie - Quintus znów go odsunal.

Wowczas uslyszeli szmer piasku. Niektorzy wedrowcy nazywaja to "spiewajaczymi piaskami". Przypominalo to trzepotanie przerazajaczyc, owadzich skrzydel, wabiaczyc mniejsze istoty na pozarcie.

Grunt zatrzasl sie pod ich poranionymi stopami. Huknal grzmot, raz i drugi, jakby przyzywajacz wszystkie wrogie sily. Slaba, blekitna iskra przeskoczyla miedzy ludzmi w szeregu. Niebo pociemnilo. Powietrze zdawalo sie ochladzac. Postrzepione grzebienie uniosly sie na rzymskich helmach. Quintus czul narastajacz energie.

-Zelazo - mruknal Ganesia. - Tu jest duzo zelaza i oni o tym wiedza...

-Szybko! - krzyknela Draupadi. - Zdejmujcie helmy i zbroje, jesli wam zycie mile!

Wiekoszosc Rzymian juz dawno zaladowala swoje zbroje na zwierzeta. Ch'in byli wyekwipowani w skory. Mimo to pozostawaly jeszcze kolce nabijane na butach

legionistów... Quintus myślał gorączkowo: pasy, bron, narzędzia - tak, to można porzucić, ale iść bosą po tym królestwie ostrych skalnych krawędzi oznaczało wyrok powolnej śmierci. Ujrzał nagle oczyma wyobraźni Czarnych Naacalów, tropiących ich wzdłuż krwawych śladów.

Ale wiedział, że musza zaufać Draupadi.

-Buty precz - całe zelastwo! - rozkazał.

Co z jego własnym obuwiem? Mogłoby pochylić się, by je zrzucić, lecz żeby to zrobić musiałby odłożyć Orla.

Lepiej stać unosząc nad sobą tę przeszywającą ciało i ducha ogromną, nieskończoną moc. Czy to o własnie czuł Arjuna, gdy odnalazł Pasupate i nauczył się nią władać? Czy taki był ostateczny sprawdzian wojownika? Załował, że nie pamięta.

Napięcie narastało. Dłonie Cniintusa drżały chwytając wibracje metalowego Orla. Prawie słyszał brzęczenie brązu.

Przerazliwy huk rozdarł niebo i ziemię. Ostatnia rzecz, jaką ujrzał, był białopurpurowy piorun. Upadł na kolana.

Wyczerpane zwierzęta zaczęły wierzgać i ryczeć. Ktoś krzyknął strasznym głosem, ginąc od przeszywającego płomienia. Zerwał się wiatr i Quintus poczuł zapach czosnku i nadciągającego deszczu - dziwny zapach na tym pustkowiu. Oczy mu zwilgotniały, gdy łzy walczyły by spłynąć spod zacisniętych powiek.

Usłyszał pobliskie głosy:

-Na Jupitera Optimusa Maximusa, widziałes Sekstusa?

-Upieczony jak prosie... bogowie!

Czy był on tak bardzo przerażony, że płakał tak, jak nie płakał nawet na pogrzebie matki? Nie - łzy są ciepłe, a wilgoć spływająca po jego twarzy była chłodna. Wiał wiatr - nie podmuch z kuzni Wulkana, lecz prawdziwa bryza, ciężka od wody i soli.

Na tę wysuszona nieckę soli i zwiru lunał nagle ulewny deszcz. Orzeł drżał w dłoni Quintusa. A on sam poczuł się silny i szczęśliwy.

Deszcz nasilał się, chłodząc wyschniętą skórę. Wszystko gineło w nieprzebranych strugach wody.

Talizman Quintusa pulsował - nagromadzona moc szukała ujścia.

-Na ziemię! Nie podnosić się! - krzyknął. Błagał wszystkich bogów, by jego ludzie zdążyli

pozbyc sie metalowego ekwipunku. Kolejna blyskawica moze uderzyc wlasnie w nich.

"Musze zarzadzic pogrzeb Sekstusa" - pomyslal.

Energia wibrujaca w Orle narosla do granic wytrzymalosci. Stezal, oczekujac na uderzenie.

Tym razem na trzask pioruna odpowiedziala sama ziemia, ktorej loskot towarzyszył gromowi. Echa grzmotu przewalily sie przez pustynie - blisko i daleko. Ludzie i konie padli i potoczyli sie po zwirze. Nawet wielblady ogarnela panika i probowaly sie zerwac. Niektorzy zaczeli je poskramiac, stojac niepewnie na sliskim i rozedrganym gruncie.

Deszcz spowodowal, ze zapach morskiej soli byl silniejszy niz zwykle. Quintus otworzyl usta i przelknal lyk wody. Ta hojnosc nieba upoila go. "Prokonsulowie sa glupcami, pijac Falerno - pomyslal z roztargnieniem - skoro maja taka cudowna wode." Ktos zaczal wiwatowac, Rufus szybko go uciszyl.

Kolejna blyskawica - choc zacisnal mocno powieki - palila purpura. Kiedy eksplozja ucichla, osmielil sie otworzyc oczy...

Zorientowal sie, ze w niemym oslupieniu wlepia wzrok w ogromna szczeline w ziemi

Draupadi westchnela, a Ganesia zanucil cos w jakims obcym jezyku.

-Cofnac sie! - rozkazal Quintus, choc sam ruszyl po niepewnym podlozu naprzod, trzymajac Orla wysoko, jakby prowadzil dumnie maszerujacy Legion.

Rufus krzyczal na ludzi, by gromadzili zapasy wody - tyle ile sie tylko da.

Czy Quintus zdobyl bron silniejsza niz cokolwiek, o czym moglby marzyc? Czyz Orzel nie sciagnal blyskawic i nie uchronil go przed ich mordercza sila? "Moze Charon szybko przewiezie Sekstusa. Zginal od gromu, przeznaczonego dla mnie" - - pomyslal. I czyz znak nie byl zrodlem nowej mocy?

Szukal i znalazl orez - miecz i luk Arjuny. "Teraz - pomyslal - szukalem i znalazlem t e bron doskonalego zniszczenia w tym czasie i w tym miejscu." Powinien rozesmiac sie z ironii bogow, ktorzy postanowili, ze potezny orez, tak dlugo przez niego poszukiwany, bedzie Orlem, ktorego utrata okryla go hanba.

"W jakim przebraniu Pasupata przybyla do ciebie, Arjuno?" - Nie zdziwil sie gdy nie dostal odpowiedzi.

Jakakolwiek forme przybrala jej moc, Pasupata byla teraz Orlem Legionow. A Quintus byl jednoczesnie jej wladca i sluga. Jego oczy napotkaly wzrok Draupadi, ktora usmiechnela sie do niego. Jakze piekna byla w deszczu, odkrywajacym kraglosci jej ciala. Zadnych zludzen. I wciaz nosila na palcu pierscien, ktory jej ofiarowal.

-Trzymac sie mocno! - wykrzyknal Ganesia glosniej, niz Quintus kiedykolwiek slyszal.

Ziemia zadrzala od nowych wstrzasow. Teraz nawet horyzont zdawal sie tanczyc. Kolejny trzask, po ktorym znowu nadszedl grzmot, ktory poruszył niebo i ziemie. Tym razem Quintus przewrocil sie, lecz szybko stanal na nogi, chwytajac sie drzewca Orla. Przez chwile Pasupata pelnila role laski ulomnego. Wspierajac sie na niej, trybun ruszył naprzod.

Zatrzymal sie na samej krawedzi rozpadliny. Ch'in wzywali pomocy swoich bogow i przodkow. Od strony Rzymian dobiegaly na przemian przeklenstwa i modlitwy - odnoszace jednak skutek.

Quintus zatrzymal sie na skraju czelusci. Dwa wstrzasy zachwialy nim do przodu i do tyłu. Tylko znak, wbity gleboko w ziemie, uchronil go przed upadkiem w ciemna przepasc rozwartej szczeliny.

Cala ta kraina byla kiedys pod woda wewnetrznego jeziora, ktore rozmiarami, byc moze, konkurowalo z Morzem Srodkowym. Plywaly po nim statki, a rozne dziwne stwory zamieszkiwaly jego glebiny.

Talizman Quintusa rozgrzal sie ostrzezeniem - lecz nie byl to prawdziwy alarm. Nizej, jakby kiedys pochlonelo go morze, spoczywal statek, jakiego Quintus nigdy dotad nie widzial. Przyszlo mu do glowy, ze na takim wlasnie okrecie mogl podrozowac Ganesia.

Dno morskie otworzylo sie i uwiezilo statek - a obok niego takze olbrzymiego morskiego potwora, z rozwartymi szczekami, ktore probowaly atakowac.

Draupadi i Ganesia klekneli obok Quintusa, spogladajac w dol na szczatki tytanicznej bitwy.

-Plomieniu, swiec nad nimi - mruknal Ganesia.

Woda musiala wedrzec sie na przechylony poklad, kiedy morska bestia uderzyla w okret, przerazona trzesieniem ziemi i oszalala tak bardzo, by napasc na cos co uznala za swego wroga. Mozliwe, ze byla rownie przestraszona jak ludzie, obserwujacy spieniona wode i wylaniajace sie z niej olbrzymie szczeki, probujace ich polknac.

Na pokladzie mogli byc Biali Naacalowie, tacy jak Ganesia. Lecz nie pomogly im ani modlitwy, ani ich moc.

Ostatnie chwile zalogi - Quintus odwrocil wzrok. Zbyt dobrze mogl to sobie wyobrazic - wdzierajaca sie woda, paniczny strach i nawet desperackie proby obrony przed niesamowitym przeciwnikiem.

Czas i przestrzen zamigotaly, tak jakby Quintus naprawde mogl to pamietac. "Czesc uciekla pod poklad. Jeden czy dwoch wyskoczyl za burte. Inni modlili sie, nawet gdy ci sposrod nich, ktorzy byli wojownikami, uderzali na potwora ze swoja bronia, majac nadzieje dac

troche czasu innym, by przygotowali potężniejszy orez." Ale przegrali. Dlaczego? Pokonani przez Czarnych Naacalów? Czy ich moc osłabiło to, przed czym uciekali? Albo może zabiła ich sama ziemia, a nie Czarni Naacalowie? Potwór schwycił okret za rufę, sciągnął go w dół, a wtedy ziemia rozwarła się, wciągając wszystko w ciemność i milczenie.

Skąd to wiedział? "Spójrz jeszcze raz." Wejrzał jednocześnie w rozpadlinę i w swoje wspomnienia.

-Smok! Potężny "hug"! Król Smoków!

Ch'in dotarli później do przepaści. Większość z nich wpadła w panikę. Jedni zaczęli się modlić, inni rzucili się do ucieczki, jakby próbując umknąć przed tym, przed czym nie uszli marynarze z wymarłego statku. Biegli i przewracali się, a kiedy nie byli w stanie podnieść się, pełzali gdzieś przed siebie, ogarnięci bezrozumnym strachem.

Droga Wang Tou-fana doprowadziła go w pobliże szczeliny. Było oczywiste, że jej nie dostrzegł.

-Uważaj, człowieku! - wrzasnął Lucilius. Ruszył nawet za oficerem Ch'in - "żeby go zatrzymać, czy popchnąć?" Kolejny wstrząs zbił Rzymianina z nog. Padając chwycił Wang Tou-fana desperacko za kolana, próbując odciągnąć go do tyłu.

Ten krzyknął, niczym rodzona kobieta. Zaczął ze zdumiewającą siłą wyrywać się Luciliusowi - dziki, szalony taniec zawiodł ich na sam brzeg czelusci.

-Nie uratujesz go! - krzyknął Rufus. - Pusc go, chłopcze!

Nigdy nie będą mogli się dowiedzieć, czy Lucilius opuściłby swego towarzysza zdrady, czy chciałby go uratować. Potężny wstrząs znowu przetoczył się przez pustynię, Lucilius upadł, a Wang Tou-fan, krzycząc coś o wielkim smoku, rzucił się w przepaść.

Talizman Quintusa rozgrzał się i trybun pochwycił go, szukając choćby tak kruchego wsparcia. To, co teraz nadeszło, nie było zwykłym trzesieniem ziemi. Skąły dygotały i waliły się, błyskawice wybuchały na niebie, a ziemia zamknęła się z trzaskiem, niczym wieko ogromnej skrzyni, skrywającej swe sekrety i dodającej do długiej listy ofiar - kolejna.

Grom znowu przemówił przedłużającym się loskotem, jak gdyby ziemia trawiła teraz, to, co wchłonęła. Po chwili wszystko ucichło. Wydmy zachwiały się i przybrały nowe kształty o zapachu soli starożytnego morza. Na solnych polaciach błyszczwały kaluze, marszcząc powierzchnie pod dotykiem burzowych wiatrów. Upał znowu się wzmagał.

Talizman wysunął się Quintusowi spomiędzy rozdygotanych palców. Mały, brązowy tancerz zatoczył u jego stop swój taniec radości i smutku, rozsiewając iskry z trzymanyh w dłoniach pochodni.

Podniosł go i wcisnął pod tunikę.

Potem, wspierając się na drzewcach Orla, odwrócił się z trudem, by spojrzeć na swoich ludzi. Ilu przeżyło?

Jakiś jezdziec Ch'in kleczał, jęcząc i chowając głowę w ramionach. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało ani tego zaakceptować. Jego towarzysze lamentowali coraz głośniej. Część z nich, bardziej przesadna, widziała wszędzie demony, w każdym zakątku pustyni. Panika i obłęd, które trzeba było natychmiast opanować.

-Lapać zwierzęta! - ktoś krzyknął. Komendę przetłumaczono na partyjski, potem na język Ch'in.

Rzymianie pośpieszyli okiełznać wierzchowce. Żołnierze Ch'in, oglupiali po stracie Wang Tou-fana, poruszali się wolniej. W tym tempie nigdy nie stworzą oddziału zdolnego do dalszej podróży.

-Stac! - krzyknął chrapliwie Quintus. Pomimo ulewy, w ustach wciąż czuł straszną suchość.

Woda na pustyni... fala i potok morza, wsiakającego w ziemię... ucieczka Draupadi i Ganesii... to było ostatnie, co zdawał się pamiętać z epoki Złotego Wieku.

Nie sądził, że kiedykolwiek przestanie być spragniony. A deszcz ustawał.

-Zostaniecie tam, gdzie jesteście! - Jego głos zabrzmiał trochę silniej, lecz wciąż nikt go nie słyszał. "Musisz" powiedział sobie. Niczyje życie nie może zostać zmarnowane, tylko dlatego, że zawiodło go własne ciało.

Sciskając drzewce Orla, spróbował po raz trzeci:

-Stac!

Znak zadrzał mu w dłoni. Chmury na niebie zdawały się zmieniać; światło słońca opromieniało Orla z boku. Blask promieni migotał na jego skrzydłach. Bardziej stale światło skupiło się na Quintusie - wstrząsnął się od pływającej do niego mocy. Żołnierze stopniowo otrząsali się z przerażenia. Ch'in podnosili się z wolna. Dowodzeni przez Ssu-ma Chao, który podtrzymał ich ducha, nakazując zająć się zwierzętami, utworzyli ponownie zwarty oddział.

Chmury zniknęły, przepędzone przez wiatr o zapachu soli. Jego poddmuchy zdawały się rozposcierać światło, bijące od wznoszącego się ponad nimi Orla. Quintus pomyślał, że znaleźli się pod skrzydłami wielkiego ptaka.

Wpatrzeni w tajemnicze zjawisko, zbili się w gromadkę. Światło mieniło się wszystkimi barwami tęczy. Na ustach wykwitły uśmiechy niedowierzania. Wtedy światło zgasło.

Rzymianie i Ch'in stali na nagim, ubitym gruncie, przypatrując się sobie nawzajem.

Dwoch ludzi podeszło do ciała Sekstusa. Jeden z nich zaczerpnął garść soli, żwiru i błota i rozsypał ją nad zwęglonymi resztkami.

-Był naszym towarzyszem - rzekł Rufus. - Poswiecimy trochę czasu, by go pochować.

A potem pójdą dalej. Może Orzeł ich poprowadzi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Światło lśniło nad nimi, a chmury znikaly z nieba. Wiatr stawał się coraz bardziej suchy i ciepły. Ssu-ma Chao zostawił wielbłąda przywiązanego do palika i podeszedł do Quintusa.

-Jesteśmy daleko poza granicami znanych krain - przyznał jako pierwszy z wszystkich Ch'in.

Quintus mocniej uchwycił drzewce Orła i skinał głową. Przywołał gestem Rufusa, który przybiegł z wawo, jakby nigdy świat nie otworzył się pod jego stopami. Draupadi również podeszła. Objął jej szczupłe ramiona, czerpiąc z niej siłę i wsparcie, jak czerpał je wcześniej z Orła.

Ssu-ma Chao spojrzał na pustynię.

-Każda burza mogłaby zatrzeć ślady karawany. Nie tylko ta... Zgodzisz się ze mną?
Czekamy na słońce?

Zachód słońca wskaże kierunek. Bada wtedy mogli znowu ruszyć na wschód - tak myślał Quintus. Burza zwiększyła ich zapasy wody. Może uda się znaleźć posterunek, którego patrol poprowadzi ich prosto do Miranu.

Iść za słońcem? Ale gdzie ono jest? Światło, owszem, jasniało im nad głowami, lecz olbrzymi krag, zbyt jaskrawy, by mógł spojrzeć nań ktokolwiek inny prócz Orła, zastąpiła światłość, bijąca jednolicie z całego sklepienia niebieskiego.

-Złudzenie - orzekła Draupadi. - Próbuja nas zmylić.

-I im się to udaje, pani - powiedział Ssu-ma Chao. W jego oczach malowało się pytanie.

-Zbiorowa iluzja. Musi ją podtrzymywać kilku adeptów tej sztuki. Ja jestem sama. Zaluje, że nie jest inaczej - odpowiedziała.

-Rozbijemy oboz? - To nie była dobra chwila, by czerpać ponurą satysfakcję z tego, że głos Luciliusa ciągle drżał.

-I będziemy tu leżeć, czekając aż przyjdzie jakiś potwór i nas zje? - wtracił się Rufus, zapominając o randze trybuna.

-Carrhae bylo przykladem. Maszeruj lub umrzyj. Maszerujemy dopoki nie umrzemy - albo przegramy.

Ssu-ma Chao rzucil starszemu Rzymianinowi spojrzenie, w ktorym czailo sie cos, jakby... lek.

-W nas nie ma juz takiego ducha - powiedzial. - Czy to dlatego - wskazal - ze powrocil do was bog?

-To dlatego, ze jestesmy Rzymianami - odparl Quintus. - A ci dwaj sa nimi bardziej niz inni - skinal z respektem na centuriona i Orla, po czym zwrocil sie do Draupadi:

-Mowisz, ze chca nas zmylic. Skad masz te pewnosc?

-Iluzja jest moja sztuka - przypomniala mu. - Zludzenie, tak jak prawda, ma swoja cene - kosztuje duzo sily i ducha. A j a, Plomieniowi niech beda dzieki, nie moze zyc cudzym zyciem jak Czarni Naacalowie. Dawno temu zlozylam przysiege, ze pierwaj umre, niz do tego dopuszczce. Przyzwano przeciwko nam wielka moc - wskazala swiatlo, zabarwiajace cale niebo i poszarpany horyzont. - Jesli uda sie im wykorzystac ja przeciwko nam, bysmy zabladzili na pustyni - uznaja, ze dobrze wypelnili swoj obowiazek. Zwlaszcza teraz, kiedy z pewnoscia wyczuli sile naszej broni - skinela nieznacznie na Orla, blyszczacego w zwodniczym swietle.

-Orzel? nasz znak? - zapytal Rufus, po czym spojrzal skruszony.

-Sami widzieliscie jej moc. To znak waszej armii, lecz takze najpoteczniejsza bron, ta, ktorej Arjuna - wojownik i ksiaze - szukal dawno temu, kiedy walczył o swoja rodzine. To poteczny orez defensywny i ofensywny. Mogliby go uzyc...

-Jak, pani?

Odpowiedzial Ganesia:

-Moga go uzyc do przywrocenia rzeczom ich pierwotnego miejsca. By raz jeszcze wypelnic pustynie morzem i zeglowac po nim jako niepokonani i jedyni wladcy ziemi i wody. Lecz ja widzialem Ojczyzne tonaca. Przeszlosc odeszla. Nowy wiek dzierzy berlo. To inne krolestwa winny rzadzic swiatem.

Wytrzymal wzrok Rufusa.

-Mowie tak, choc pamietam tamte czasy. Trzeba powstrzymac Czarnych Naacalow. Znalezc ich i powstrzymac. Zniszczyc, jesli bedzie trzeba. To nie jest juz ich swiat.

Przerwal, patrzac na ruine obozu.

-Teraz, kiedy mamy siłę.

Quintus pochwycił wzrok Ssu-ma Chao. Wojownik Ch'in złożył przed Ganesia głęboki ukłon, głębszy nawet od upokarzającego go ukłonu przed komendantem Kaszgaru.

-Kiedy będziecie gotowi do wymarszu? - spytał Rzymianin.

-Na twój rozkaz - Ssu-ma Chao sklonił się ponownie, po czym zaczął wypowiadać komendy, które, jak już wszyscy wiedzieli, oznaczały: "Zwijac oboz", "Pakowac się", "Dosiąsc wierzchowców".

Zolnierze Ch'in trwali w martwym bezruchu. Nie poruszył się nikt - nawet po tym jak Rufus zdzielił palka najbliższego marudera. Pieciu z nich leżało na ziemi, zobojetniałych na niewygodę, z kolanami podciągniętymi pod brody i kurczowo zacisniętymi powiekami. Pozostali kleczeli przy nich. Wszyscy dyszeli, jak po zbyt długim biegu, wyglądali na śmiertelnie wyczerpanych.

Jeden z wielbładow opierał się objuczeniu i żołnierz odskoczył od niego. Po chwili upadł zawodząc bezradnie.

Ssu-ma Chao podszedł do niego, krzyknął, potrząsnął nim, wreszcie uderzył w twarz. Spasował z gniewu, pomieszanego ze strachem i wyciągnął miecz.

-Nie! - Draupadi przebiegła przez obszar zapadłej czelusci. Quintus zadrzał - w każdej chwili ziemia mogła się tutaj stopić lub rozstąpić pod nogami. Brudna, poszarpana suknia kapłanki powiewała za nią, przypominając o dawnym wdzięku. Ludzie rozstepowali się, by ją przepuścić.

Ruchem fali, rozbryzgującej się w zetknięciu z brzegiem w delikatną pianę, przyklekła przy cierpiącym, ujęła jego twarz i wywinęła mu powiekę. Oczy nieszczęsnika uciekły w głąb czaszki.

-Jego duch odszedł - zwróciła się do Ssu-ma Chao. - Jeżeli będziemy mogli zabrać go wraz z towarzyszami do miejsca gdzie światło jest znajome i ziemia nie rozstepuje się pod nogami, być może przebudzi się i będzie ci znowu posłuszny. Złe uczynisz, zabijając go za coś, co nie jest jego winą.

Oficer spojrzał na nią z ukosa.

-Nie, nie, to nie będzie ujma na twoim honorze - nalegała. Wszystkie jej starania by przemawiać do dowodcy Ch'in z pokora i okazywać mu szacunek odeszły w niepamięć. Teraz w jej głosie pobrzmiwał autorytet Sybilli.

-Jest wpatrzony w wizję ze swojej przeszłości i nie może tego znieść. Czy nie odkryłeś jeszcze, że to może złamać nawet ciebie? Toś szczęśliwy. Daj mi znac, kiedy to się stanie,

a powstrzymam innych przed zabiciem ciebie.

Ktorys z zolnierzy wybuchnal szalenczym smiechem.

-Musimy sie stad wydostac, albo wszyscy popadniemy w obled - mruknal Lucilius.

Mial racje.

-Zadnej zaloby po przyjacielu? - zadrwil Quintus, lecz zaraz pozalowal kpin. Patrycjusz moze okazac sie jeszcze potrzebny - byl ostrozny i rozwazny, jego rozum moze okazac sie przydatny, skoro umysly tylu innych odeszly.

Quintus uwaznie obserwowal legionistow. Zaprowadziwszy najlepszy porzadek, na jaki bylo ich stac, zebrali sie w szyku. Byli zmeczeni, poobijani i przestraszeni. Ale nikt, bogom dzieki, nie oszalal.

Szyk wygladal bogoslawienie normalnie. Ruszyl, by stanac we wlasciwym miejscu przed szeregami. Ludzie wyprostowali sie, gdy zblizyl sie z Orlem i zasalutowali, uderzajac dumnie reka w piers, jakby szykowali sie, by wkroczyc do podbitej stolicy poteznego imperium.

Quintus usmiechnal sie.

-Bracia - przemowil cieplo. - Odzyskalismy naszego Orla i honor.

Nikt nie drgnal, lecz opalone twarze rozjasnily sie. Szukal slow, by wyrazic swoja dume i pragnienie wiania otuchy w ich serca, ale gardlo mu sie scisnelo. Wiedzial, ze teraz dziadek by go upomniat. Pamiec podpowiedziala slowa, ktorych potrzebowal:

-Znowu mozemy nazywac sie RZYMIANAMI.

Zawsze nimi byli, lecz - odkad ich pojmano - jakby polowicznie: pozbawieni Orla i dumy, maszerujacy pod rozkazami innych zolnierzy. Teraz, nawet w tym dziwnym miejscu, znowu byli na czele. Mala formacja zdawala sie czerpac sile z brazowego znaku.

Quintus podjal decyzje, ktora dlugo rozwazal.

-Zlamac szyk - polecil. - Chce, zebyscie pomogli im - wskazal na Ch'in. - Sa naszymi towarzyszami. Pomozmy im, jakby mieli wypalony znak Legionu.

-Spowolnia nas - syknal Lucilius.

-Ssu-ma Chao mial nasze zycie i honor w reku - warknal Quintus. - Zwrocil nam je. Czy jego takze zdradzimy?

Porzucic ludzi, towarzyszy tych strasznych dni? - gniew Quintusa wzbieral, dopoki nie uswiadomil sobie, ze to nie byla jego zlosc, lecz wspomnienie Arjuna, ktory szukal broni,

zalecal sie do ksiezniczki i walczył z iluzjami i sennymi omamami. Zupelnie tak, jak teraz.

Grunt zadrzał mu przez chwile pod stopami, jakby balansował na podlodze wielkiego rydwanu. Rydwan Arjuna, którym powozil Kriszna. Nie miał teraz powozu, lecz pamietal tamta bitwe, poczucie straty, strach i zagubienie, paralizujace go tak samo, jak zolnierzy Ch'in, przywiazanych do porykujacych zwierzat. Jako Arjuna poznal ten lek. Jako Quintus nie pozwoli, by inni cierpieli tak, jak kiedys cierpial on sam.

"Przykucnal na samym srodku pola bitwy; wszystkie oczy byly zwrocone na niego. Zdawalo sie, ze Kriszna zatrzymal czas, a on Arjuna rozwiazuje zagadki - piasty Yugi lub Kola tego czasu. Nacierac? Cofnac sie? Zwyciezyc lub uciec - miał uczucie, jakby klulo go sto innych losow, kazdy krzyczacy: <<Wybierz mnie, wybierz mnie!>> Poczul wstret. Byl Arjuna, a miał mniej ducha niz nauczyciel tanca - mniej ducha niz eunuch, ktorego udawal. Nie osmielili sie patrzec. Zebrali sie wszyscy, ktorzy kochal. Bracia stali u jego boku. Ludzie, ktorzy musial zabic - jego wrog, czlowiek milujacy go jak ojca, a nawet starzec, jego nauczyciel sztuki wojny - wszyscy byli teraz przeciwko niemu."

Tanczaca figurka rozgrzala sie pod tunika. Przez cale zycie byla talizmanem Quintusa. Migotala w jego zalawionych oczach - odzyskana z grobowca w Lacjum, wyobrazajaca tajemniczego Kriszne, tanczacego w smutku i radosci, naklaniajacego go, by szedl wciaz naprzod.

Podniosl sie z kolan, wpatrzony w talizman z brazu, spoczywajacy na jego dloni. Draupadi czekala na niego. Raz jeszcze czekala, aby wygral bitwe, ktorej ona takze byla powodem.

Nie chcac przekazac Orla chorazemu, wsiadl na wielblada, wciaz trzymajac drzewce. "Dobrze - pomyslal. - Jesteśmy tu. Gdziekolwiek owo <<tu>> jest. Dokad zmierzamy? W jakim kierunku?" "Naprzod" - bylo niewiele znacząca komenda, gdy ukryto slonce. Podejrzewal, iz Czarni Naacalowie beda krazyli wokol nich, dopoki nie padna wielblady i wszyscy nie powymieraja.

Talizman z brazu rozgrzal sie w jego dloni. Spojrzal na Orla. Oswietlalo go oszukancze swiatlo, podkreslajac finezyjnie wykonane szczegoly pior i gladkiego, smiercionosnego dzioba. Byl symbolem, bronia - i straznikiem ich honoru. Czy moglby ich poprowadzic?

Glowa ptaka z brazu rozblysla swiatlem, spowijajac symbol Rzymu oslepiajacym blaskiem. W gore, w przestworza wystrzelila swietlista smuga. Biorac to za sprzyjajacy omen - na wszystkich bogow, niech okaze sie drogowskazem, a nie pulapka - Quintus skinal na zolnierzy.

Wielblad zadrzał sploszony. Trybun zwolnil. Bogowie tylko wiedza czego sie przerazil. Jeden z maszerujacych krzyknal i spojrzal pod swoje stopy. Rufus uczynil gest w kierunku Quintusa, by ten prowadzil.

Doznal iluzji, ze wielblad kroczy po kaluzach wody, a jego szerokie racice wydaja odglos

jakby grzeźły w błocie.

-Złudzenie - powtórzyła Draupadi. - Mamy szczęście. Nie zgromadzili więcej sił.

Gdy mówiła, płaszczyna pustyni drgnęła i jedna z wydm zaczęła się powoli rozsypywać. Czemu właśnie ta? Jeśli powiedzie się plan Czarnych Naacalów, przestana ufać nawet własnym cieniem i w końcu zwróci się przeciwko sobie.

Co mogło być pogrzebane pod tą wydmą: martwy potwór, czy może żywa chimera?

Usłyszał jakieś odgłosy za plecami, potem trzask palki. Ssu-ma Chao zaczął protestować, po czym ucichł, jakby zawstydzony. Kto, jeśli nie on - oficer Ch'in z pogranicza - zna te krainy najlepiej?

-Naprzód! - krzyknął Quintus i poruszył Orlem. Zniekształcone światło słońca oslepilo go na chwilę. Raz jeszcze poczuł się silny. Gdyby musiał, mógłby jechać bez końca, by osiągnąć swój cel.

Światło spłynęło na wielbłąda. Ten ryknął przerażony, lecz ruszył chwiejnie do przodu w tempie, które mógł utrzymywać godzinami.

Podawali ścieżka Orla. Sami bogowie nie mogliby zadać więcej. Karawana osiągnęła największą z możliwych prędkości. Gorący nad nimi Orzeł prowadził ich ku zwycięstwu.

Rozdział dwudziesty czwarty

Na pustynnym niebie nie wschodziło słońce - oświetlało ich tylko słabe, rozproszone isnienie, które promieniowało chwałą Orla, wskazując różnice między nocą a dniem. Dlatego też upał był jedyną wskazówką, wedle której odróżniali pory dnia i nocy. Kiedy przace słońce powalało wielbłądy, Quintus zgadywał, że to południe i ogłaszał postój. Nawet pragnienie niektórych z wojowników Ch'in, by uciekać przez pustynie, by - na wszystkich przodków - spotkać inną karawane, nie powstrzymywało Rzymian przed wykonywaniem rozkazów i wymuszaniem posłuszeństwa na niedoszłych dezerterskich. Quintusa bolały oczy, jakby wypełniono je wrzonym złotem. Mimo to, gdy rozbili oboz, zmusił się do zakreslenia jego granic.

Mysł o zieleni. Mysł o wodzie. Mysł o domu. Lecz wspomnienia doliny Tybru zacierały się coraz bardziej.

Pozdrowił Ssu-ma Chao.

-Twoi ludzie? - zagadnął.

-Dwoch jest wciąż cierpiących i trzeba opiekować się nimi jak dziećmi - zameldował oficer. - Ten oto błaga, żeby ich nie porzucić...

Quintusa rozszloscyly te slowa.

-Nie zostawimy tu nikogo zywego - odpowiedzial. - Gdyby to bylo mozliwe, zabralbym nawet naszych zmarlych, aby nie wpadli w lapy Czarnych Naacalow.

Ssu-ma Chao przytaknal. Twarz mial teraz zoltawa, nie barwy polerowanego zlota, jak wtedy w Partii, ktora wydala sie Quintusowi swiatem bezpieczenstwa i wygody.

-Ten oto nie powinien osmielac sie probowac przezyc, jako ze zbiegl z pola bitwy... - Wygladal, jakby chcial pasc na kolana albo, co gorsza, na twarz.

-Odwrot nie jest powodem do wstydu - Quintus sprobował dodac mu wiary i otuchy. Ani nawet przegrana.

Wiedzial, jednak, ze to tylko puste frazesy.

-Mowisz tak teraz - Ssu-ma Chao wskazal na znak. - Kiedy widzialem cie w...

-Mogliśmy wtedy umrzec. Jak widzisz, zyjemy. J a tez zyje, choc bylem smiertelnie ranny.

Pamietal, ze mial wybor. I wybral powrot do zycia w hanbie kleski, by nie zostawic swoich zolnierzy bez dowodcy, nawet na wygnaniu.

-Zyjesz, i teraz... - Ssu-ma Chao wybuchnal nagle nieopanowanym smiechem, wzbudzajac poruszenie w obozie - ...odradzasz sie na nowo? Jesli mozna powiedziec, ze cokolwiek moze sie tu odrodzic.

Chwala mu za ten smiech. Atmosfera w obozie nagle stala sie lzejsza. Uslyszal glos Rufusa:

-Smieje sie w nieszczesciu? Nie twierdze, ze postepuje jak Rzymianin, ale trzeba woli Rzymianina, by spojrzec w twarz Losom. I rozesmiac sie.

Ssu-ma Chao skinal glowa w kierunku centuriona.

-On nie zna strachu.

-Nie - zgodzil sie Quintus. - Zadnego. Obawia sie tylko o swoj honor, a o to nie musi sie bac.

-Honor... honor tego oto uciekl. Ten oto okupi swa marnosc. - Zmagal sie chwile z ta mysla, po czym powiedzial: - Bez kompasu tylko wasz Orzel moze nas poprowadzic. Czyz nie tak?

O ile blask slonecznego swiatla na brazie mozna nazwac wskazowka...

-Nie wiemy, czy doprowadzi nas do szlakow karawan. Jesteśmy w rekach Fortuny -

odpowiedział Quintus zgodnie z prawdą - przynajmniej tak to pojmował. - Ale wasz bog na pewno...

-To nie jest bog.

-Czy zaprzeczysz, Rzymianinie, że ta rzecz ma wielką moc? Czyż nie rozpoznaje innych mocy?

-To, co mówisz, coraz bardziej mnie zaciekawia - powiedział Quintus. - Chodźmy do obozu, bracie, i usiadźmy.

Głowa oficera Ch'in uniosła się na dźwięk tego słowa. Kiedyś, jeszcze niedawno, byłoby dla niego obelgą w ustach jęńca.

Po chwili podszedł za Quintusem ku plachtom wojłoku, rozłożonym w cieniu odpoczywającego wielbłąda. Był wdzięczny za możliwość wytchnienia, cienia i - przede wszystkim - obecność Draupadi, która powitała go wodą i delikatnym dotykiem ramienia.

Chciała się wycofać, lecz Quintus zatrzymał ją. Nie było czasu na naśladowanie manier dam Ch'in. Ona i Ganesia byli uczonymi i znali Czarnych Naacalów zanim świat uległ przemianie. Oni więc najlepiej mogą wiedzieć, w jaki sposób ich wrogowie używają swoich mocy.

Stopniowo przyłączali się inni - Rufus, Lucilius (nie można było się przed nim opędzić), Ganesia - ludzie, którym Quintus najbardziej ufał i człowiek, którego musiał się najbardziej strzec.

-Przemów w imieniu pokornego sługi - zwrócił się Ssu-ma Chao do Ganesii. Tyle Rzymianin zrozumiał. Później głos oficera zalał się i słowa w języku Ch'in płynęły niczym wartka rzeka, która nawet Ganesie uczyniła bezradnym.

-Wolniej, wolniej - rzekł, unosząc dłoń. - Jestem starym, zmęczonym człowiekiem.

Starym - być może. Quintus nienawidził tych rozważań. Obliczanie wieku Ganesii pociągało za sobą myśl o latach Draupadi. Wyglądała tylko na wiotką i przemęczoną; Ganesia zaś był starcem. Jego zapadnięte, ciemne oczy były przekrwione i osłabione podróżą, jakby należał do jednej z młodszych ras. Mimo to obydwójce przewyższali wszystkich czujnością, która mogłaby wzbudzić nawet najlepszego zwiadowcy i inteligencją, wyostrzoną przez nie wiadomo jak wiele lat.

-Balem się - przetłumaczył Ganesia. Głos mu drżał. Czyżby on również odczuwał teraz strach? - Porzuciłem dowództwo i próbowałem uciec z miejsca niespokojnej śmierci. Ale wciąż mówię o czym innym... Myślę więc, że nie mogę powrócić do Ch'angan, aby nie splamic jej okolic moim tchorzostwem i hanbą. Muszę je zmasakrować. Własną krew, a jeśli tak będzie trzeba i krew moich bliskich... Lecz wolalbym pomścić się na moich wrogach, przed którymi się ugiąłem. Pojde zatem dalej.

Ganesia przerwał, unosząc dłoń wdzięcznym gestem bąjarza, proszącego o uwagę. Reka drżała mu nieznacznie.

-Pyta mnie, czy wasz Orzeł może zaprowadzić nas do naszych przesładowców.

Draupadi tak silnie zacisnęła palec sukni w dłoniach, że widac było, jak jej drobne kości przeswiecają przez skórę. Spojrzała na nich i Quintus zauważył, jakiego wysiłku wymagało od niej, by nie popatrzeć w stronę Ganesii. Ten wbił wzrok w ziemię, zachowując neutralność tłumacza.

-Sa tymi, którzy chcą ukrasć...

-Skąd wiecie...

Rufus i Lucilius przerwali ciszę w tej samej chwili. Centurion urwał speszony spojrzeniem Luciliusa, mrużąc do siebie:

-Dzień, w którym zgodziłem się z... może słońca nie ma, albo zaczynam wariować... Och, do krzyża z tym!

-Spytaj ich! - warknął Lucilius. - Skąd wiecie, że oni nie narzucają nam tej decyzji?

Ssu-ma Chao spojrzał na niego pytająco. Potem spuścił głowę.

-Chcę wiedzieć - Draupadi przemówiła wolno po partyjsku - czy naprawdę proponujesz ruszenie na Czarnych Naacalów, czy też może są to słowa, które Ganesia włożył w twoje usta.

-O n chce wiedzieć - rzekł oficer Ch'in. - Ten, który zdradziłby nas wszystkich. Tak, to były moje słowa, nie tego starego człowieka. Ktoż może zareczyć, że inne karawany nie padną łupem... nie zostaną pochłonięte przez te krwiożercze potwory? - W jego oczach zabłysło szaleństwo na wspomnienie Kamiennej Wieży.

-Czy naprawdę wierzysz - głos Draupadi był miękki i delikatny - że poprowadziłabym was i waszego trybuna na śmierć?

Rozpostarła dłonie i wyciągnęła przed siebie te z pierścieniem, który ofiarował jej Quintus.

Byli zdesperowani, lecz Rufus znalazł chwilę, by uśmiechnąć się szeroko do Quintusa i poklepać go po ramieniu.

-Wierzę w słusność moich rozkazów - odezwał się trybun. Chciał dłużej rozkoszować się tą chwilą, lecz czas był cenny. - Wierzę - lub wierzyłem! - rzucił w stronę Luciliusa - w szlachetne cele moich dowódców. Lepszych ode mnie - jak usiłowali mnie przekonać. Lecz teraz wierzę tylko w Orla.

Rufus odwrócił się do młodszego oficera.

-Teraz jesteś Rzymem, synu. Ty rozkazesz, a ja wykonam rozkaz. Poprowadzę ludzi do walki z samymi bogami Hadesu. Powiedz tylko słowo, panie.

Lucilius zerwał się na równe nogi. Wzrok miał dziki. Prawie dygotał z gniewu i strachu.

"Czemuż nie miałby się bac? Wszyscy się boimy."

Każdy Rzymianin bał się śmierci i czegoś od niej gorszego, tego co już widzieli. A on obawiał się utraty wartości, które stały się dla niego cenne. Ale Lucilius - ten bał się podejmowania decyzji. I oto teraz musiał ją podjąć.

-Dlaczego? - Quintus zapytał Draupadi i Ganesie.

Walczyli z Czarnymi Naacalami, którzy byli ich krwi i wiary. Lecz dlaczego potrzebowali sojuszników, mając przecież własne moce?

Draupadi wyciągnęła rękę, by dotknąć Orła. Quintusowi przyszło na myśl, że mogłaby to zrobić i ta myśl uspokoiła go, zanim jeszcze usłyszał jej słowa.

-W tej epoce jesteśmy gośćmi, Quintusie - odpowiedziała. - Ona już nie jest nasza. Należy teraz do was, do młodszych ras i narodów, które powstały po zatopieniu naszej Ojczyzny. Wierze - Ganesia i ja wierzymy - że przeżyliśmy tylko po to, by dokończyć naszego dzieła, by pokonać ciemność tak, abyście wy mogli dostać to, co przeznaczyły wam Losy.

"Czemu ja? Straciłem szansę na powrót do domu..." Przypomnił sobie te najsmutniejsze ze słów Achillesa: "Zgubiony w każdym przypadku".

Tak więc, pozostało już tylko jedno pytanie: w którym kierunku ruszyć? Orzeł jasniał nad nimi, jedyną świecą gwiazdą wśród ochry i szarości pustyni. "Decyduj. Decyduj, głupcze" - zdawał się mówić.

Ziemia zadrżała, w powietrzu unosił się zapach soli. Rufus zaczął wymachiwać ręką, by odzyskać równowagę. Ganesia potrząsnął głową:

-Wyspa, która mijaliśmy tamtej nocy, Draupadi... Przypominasz ją sobie?

-Myślisz, że nie jest zalana? - spytała spokojnie, jakby rozmawiali o podróży z poprzedniego dnia albo z zeszłego tygodnia. - Była bardzo mała, ale gorował nad nią taki szczyt z tabernakulum... - przerwała i popatrzyła na Ssu-ma Chao.

-Znam opowieść - rzekł oficer - o fontannie czystej wody, o świątyni w glebi pustkowi, odnajdywanej tylko przez ludzi w największej potrzebie - choć też nie zawsze. Usłyszałem ją od umierającego człowieka, ostatniego ocalałego z karawany. Natknął się na niego patrol.

Zabralismy go i probowalismy ratowac, lecz zmarl bredzac, jak wtedy myslelismy.
Bredzac... - oficer Ch'in dodal po namysle. - Jesteśmy poza granicami naszego poznania.

-Naprzod - Quintus przylapal sie, ze powtarza cicho jakies slowa. Mysl Arjuny stala sie jego wlasna.

-Naprzod? - warknal Lucilius. - A w jakim kierunku jest owo "naprzod"? Potrafisz powiedziec?

Rufus spojrzal na niego spode lba. Gdyby Lucilius nie byl patrycjuszem, zdzielilby go palka. Uderzenie oficera oznaczalo smierc. W ich sytuacji nie mialo to juz znaczenia. Jednak Rufus byl posluszny zasadom.

-Nie osmielilbys sie, co? - Lucilius burkнал do centuriona, ktorego oczy mowily za niego.

-W kazdym razie, musimy ruszac - odezwała sie Draupadi. - Lepiej, zebysmy my ich znalezi, a nie oni nas w chwili, ktora sobie upatrze.

Podskoczyli, gdy zza ich plecow rozlegl sie krzyk. Jeden z zolnierzy, przywiazany do wielblada glowa w dol, krzykнал z przerazenia, a po chwili wydobyl z siebie jek agonii. Jego grzbiet wygiال sie w luk, a calym ciałem wstrzasnely konwulsje, az popekaly liny mocujace go do zwierzecia. Zanim upadl na twarz, ujrzeli, ze byla cala spuchnieta i szerniala, jakby go uduszono.

-Weze! - krzykнал ktorys z Rzymian, patrzac pod nogi, jakby zaatakowal ich prawdziwy legion gadow. Syk i szmer pustynnego zwiu byly coraz bardziej wyraźne, co zaniepokoiło nawet Rufusa. Wyczerpanie, zmacenie umysłu - to wszystko czynilo ich tak podatnymi na kazda sugestie... Teraz widzieli juz olbrzymie sploty, przesuwajace sie po piasku, czyhajace, gotowe do...

Draupadi wyciagnela przed siebie reke i zaspiewala. Syczenie ucichlo.

-Nie ufam problemom, ktore tak latwo rozwiacz - skomentowal Rufus.

-Ten czlowiek byl juz szalony. Dlatego mogl tak latwo uwierzyc i ta wiara go zabila. Usunelam iluzje, lecz ostrzegam: kiedy bedziecie najslabsi i najbardziej znuzeni - zaatakuja znowu.

-Musimy wiec ruszac - skwitowal Rufus. - Panie? - zwrocil sie do Quintusa po rozkazy.

"Szczesliwy Rufus, ktory moze zrzucic ciezar dowodzenia na oficerow, choc ci rowniez nie chca go przyjac." Ganesia spojrzal Quintusowi w oczy. Zrezygnuj z dowodzenia lub badz go godny - byc moze - uratuj im zycie.

"Ale Ganesia daleko bardziej nadaje sie na dowodce!"

"To nie jest nasz świat ani nasz czas" - przypomniał sobie jego słowa.

Gdy poznał sposoby Czarnych Naacalów, by zdobyć panowanie, Ganesia popadł w rozterkę. Nie wiedział, co sam mógłby zrobić, gdyby dano mu władzę - może byłby łaskawym tyranem, ale przecież - tyranem. Trudno byłoby wystąpić przeciwko kochanemu satrapie, lecz Quintus, Rzymianin, zrobiłby to. A jeśli nie on, zrobiliby to inni Rzymianie.

-Draupadi! - rzucił Ganesia, alarmując także wojowników.

Ponownie zaspiewała. Następny żołnierz, opanowany szalenstwem po trzesieniu ziemi, krzyknął i zaczął się wic. Jeknął, poczerwieniał na twarzy i Quintus usłyszał trzask łamanych kości.

Draupadi podbiegła do niego. Rozłożyła ręce, trzymając je w powietrzu nad klatką piersiową mężczyzny śpiewała coraz głośniej. Żołnierz osunął się, krew chlusnęła mu ustami. Możliwe, że śmierć była dla niego wybawieniem.

Ramię Draupadi zeszywniało, jakby walczyła z napierającymi zwojami olbrzymiego, niewidzialnego cielska, próbującego ją zgnieść.

-Widzisz coś? - Ganesia spytał Quintusa.

Ten mocniej zacisnął dłoń na Orle. Czy widział ducha pokrytego zielonymi i brązowymi łuskami? Słyszał opowieści podróżników o wezach tak ogromnych, że mogłyby polknąć wół - a Draupadi była przecież mniejsza...

Quintus dobył miecza i runął na zjawę. Ostrze rozpadło się z trzaskiem. Draupadi zatoczyła się i upadła, jakby odrzucona na bok. Teraz on, sapiąc, mocował się ze zwojami, oplatającymi go ze straszna siła. Nie był w stanie przejść paru kroków, które dzieliły go od Orla. Usłyszał śpiew Draupadi, wznoszący się na coraz wyższe tony.

"Muszę jej pomóc" - pomyślał Quintus, lecz brakowało mu tchu, by jej powiedzieć, że nadchodzi. Gdyby mógł dosięgnąć Orła, miałby broń lepszą od każdego miecza.

Czuł jakby zebra obłożono mu ołowianymi ciężarami. Patrzył na Draupadi jakby przez krwawą mgłę... Upadłby, gdyby nie podtrzymało go to coś, z czym walczył.

Draupadi podeszła bliżej z niewielkim nożem w ręku. Cios zadany wezowi sprawił, że ból w piersiach Quintusa zelzał. Potwór padł, jakby ktoś zadał mu truciznę.

Kurz poderwał się z ziemi. Wydawało się, że olbrzymi stworzali w nią ogonem w śmiertelnych drgawkach.

Pluca Quintusa plonęły, gdy próbował opanować nierówny oddech. Talizman na jego sercu był chłodny i nieruchomy.

Wiedział, że beda następne weze. Wczesniej czy pozniej zobaczy je kazdy, a Draupadi nie bedzie w stanie pokonac wszystkich.

Zmusil sie do ruchu, po czym zgial sie wpol, z trudem pokonujac bol przeszywajacy cale jego cialo. Jak po morderczym biegu maratonskim. "Radujcie sie, zwyciezylismy" - rzekl biegacz. Potem upadl i umarl. "Nie mozesz jeszcze umrzec. Jeszcze nie zwyciezyles. Leta nie jest dla ciebie."

Oczy Ganesii blagaly go: "Musisz teraz sam wybrac". Wiedział, że starzec toczy własna wewnetrzna bitwe, w ktorej walcza dwie racje - dobro i zlo, wolnosc i zniewolenie. Moze znal takie bitwy. Moze widzial, jak przegrywali je Czarni Naacalowie.

Byc moze tak sie to własnie zaczelo: pragnienie czynienia dobra, chronienia, przewodzenia - a potem zniszczenie opornych, nawet kosztem unicestwienia swiata.

Ganesia byl sojusznikiem i Quintus wiedzial, że musi mu pomoc.

Bładzili? Doskonale, fontanna czystej wody Ssu-ma Chao jest rownie dobrym celem w tym swiecie iluzji, jak kazdy inny.

-Jedziemy - rozkazal. Nie zobaczył kto go poprowadzil - lub zanosl - do konia, gdyz wzrok miał utkwiony w Luciliusie. Patrycjusz ponownie ruszył w strone Orla.

Ale Quintus zdazyl go uprzedzic.

Kon Quintusa rzal i wierzgal. Choc przyzwyczajony do pustyni, nawet on bal sie wezy. Czy wyczul iluzoryczne gady? Musialo tak byc. Wiatr zaczal sie wzmagac, wzbijajac piach i zwir w wirujace tumany, przypominajace wezowe sploty - lepiej tak nie myslec, bo wyczerpanie, strach i wspomnienia gadzich zwojow sprawia, że wroca. A ich uscisk jest smiertelny.

Rufus pochylil sie i oproszyl pylem twarze martwych. Draupadi dosiadla wierzchowca nie przestajac spiewac.

-Na siodlo i trzymaj jej wodze! - zawolal Quintus do Rufusa. - Bedzie potrzebowala obu rak, by nas chronic. Naprzod!

Nie zamierzal zastapic miecza Orlem. Jednak swiety znak wspaniale pasowal do dloni, niczym cudownie wywazona bron. Raz jeszcze swiatlo, odbite od dumnie uniesionej ptasiej glowy, utworzylo korone chwaly, oswietlajaca niebo i ziemie.

Znowu uslyszal syk, tym razem przed nimi. Wiedział, że jesli zawroca w ucieczce, gady zaatakuja ponownie.

"Bogowie, pomozcie" - pomyslal. Wydalo mu sie, iz figurka tanczacego Kriszny poruszyła sie na jego piersi.

Quintus uniosl Orla. Gdy swiatlo siegnelo ziemi przed nimi i powial wiatr, jakis ksztalt, lsnacy niczym Orzel, uniosl sie nad pustynia i tanczac poplynal przed siebie. Z jego wzniesionych dloni tryskalo swiatlo, jakby trzymal w nich pochodnie.

Cudowny blask przybieral na sile, az wypelnil cala swiadomosc Quintusa. Lzy splynely mu po policzkach i musial spojrzec w bok.

Kiedy jasnoc przygasla na tyle, by mogli otworzyc oczy, piasek i niebo wygladaly tak jak zawsze. Stali w piaskowej niecce. Teraz byla to tylko pustynia, a nie siedlisko potworow. Cudownie bylo tak stac i podziwiac bezchmurne niebo, wiedzac, ze to, co wyglada na obloki, to w rzeczywistosci odlegle gory, polozone na polnocy i wschodzie. Wspaniale bylo znowu wiedziec, ze istnieja - polnoc i wschod.

Quintus poczul pewnosc, taka jaka czul zawsze, gdy Orzel okazywal swoja moc. Bez watpienia przetna szlak karawan i dotra do miasta zanim wyczerpia sie ich zapasy wody.

To mogloby sie udac. Zamiast jednak na to liczyc, odwrocil leb swego konia i poprowadzil zolnierzy glebiej w pustkowiu, idac za tanczaca sylwetka, migoczaca i blyszczaca przed nimi, niczym roziskrzone ognisko w czas zniw.

Iskry pojasnialy i rozproszyly sie, tworzac swietlisty szlak wsrod odwiecznej szarosci pustyni. Droga biegla coraz dalej i dalej, zapraszajac do podrozy.

Czesc ludzi odwrocila sie. Ktos krzyknal, po czym upadl na ziemie, wciskajac twarz w zwir.

-Mamy sciezke - powiedzial Quintus. Podniosl Orla wysoko, jak pochodnie przy wejsciu do mrocznej jaskini. Symbol Legionow jasnial niczym plynny metal. Roztaczal wokol nie tylko swiatlo mocy, chwaly, Senatu i ludu Rzymu, lecz takze dawal znak i obietnice, ze tutaj, w dziczy, gdzie szalenstwo zakrada sie pod oslona poludniowego slonca, bezpieczne skrzydla Orla chronia wszystkich, ktorzy tego pragna.

Rzymianom i Ch'in ta ochrona moze nie wystarczyc: byli zolnierzami, ktorzy musza isc tam, dokad im rozkaza, byc moze na smierc.

Lecz to byla ich szansa. Pamiec rzadow, kraju i domow, nawet jesli nigdy juz ich nie ujrza, skupila sie w tej swiatlosci. Sadzac po blasku, ktorym jasnialy oczy Ssu-ma Chao, Quintus domyslil sie, ze Orzel - czy tez Feniks, jak wolal go nazywac - oznacza dla niego to samo: wladze, przewodnictwo, lojalnosc, przodkow, spogladajacych na niego z duma i radoscia.

Quintus wprowadzil Rzymian i Ch'in na swietlisty szlak.

Rozdzial dwudziesty piaty

Daleko w przodzie tanczaca figurka podrzucila pochodnie. Te zalasnily jasno, unoszac sie w gore, potem wy buchely jeszcze jasnieszym plomieniem.-Ale jesli swiatlo zgasnie... - rozlegl sie szept, uciszony trzaskiem palki. Idziesz tam, dokad cie prowadzi. Jezeli prowadzi dobrze, zyjesz, dostajesz ziemie i mula i starzejesz sie w spokoju i dostatku. Jezeli nie - umieras. Lecz zawsze musisz byc posluszny.

Quintus wiedzial, ze zaden z nich nie rozumie takiego przeciwnika. O czym mysleli? Smierc w bitwie lub chocby z pragnienia byly tym, co pojmwali: tego nie. Szli jednak za nim.

Czemu sie ociagacie? - zdawala pytac sie malutka figurka. Teraz, majac przed soba swietlista sciezke, mogliby jechac lub maszerowac niczym rzymska droga ku losowi pelnemu chwaly.

Uśmiechnal sie szeroko do Ganesii:

-Naprzód! Tak, jak powiedział mi ostatnim razem.

-Pamiętal - odrzekł mag. - Lecz idź szybciej.

Ganesia wiedział. Pamiętal i miał spisane, jak Arjuna jechał rydwanem powozonym przez Krisznię, by podjąć bitwę, która wstrząsnęła fundamentami świata. Miał swoją zwykłą broń - i miał Pasupate, oręż najpotężniejszy, którego szukał na pustyni.

Quintus pomyślał, że teraz jest inaczej. Podróżowali wciąż szybciej i szybciej, a "ming sha", śpiewający piasek, wzbijał się, by mogli bezpiecznie dotrzeć do miejsca, w którym wrogowie ich nie dosięgną.

Słońce zaszło, lecz blask trwał niezmiennie, mimo zmęczenia brnęli więc dalej. Ci, którzy jechali - maszerowali; ci, którzy maszerowali - jechali, odpoczywając na ile było to możliwe. Kiedy zapadnie ciemność, będzie pora na rozbięcie obozowiska. Zerwał się gorący wiatr. Quintus był bardzo szczęśliwy.

Mijały godziny. Księżyc piał się coraz wyżej na nieboskłonach.

Orzeł jasniał pod latarnią księżycy niczym egipskie elektrum. Quintus ujrzał, że w obrębie kopuły światła, rzucanego przez znak, pustynia zmienia się - łagodnie, jakby ją osłonięte, zakrywając jej zatrważającą grozę, a pozostawiając kiedyś dawno zagubione piękno.

Ganesia mówił, że wszędzie tu było morze: patrzeć teraz na zbocza dżun łatwo można było zobaczyć fale.

Obrocił się, by spojrzeć na tych, których prowadził. Ganesia jechał pogrążony w szczęśliwym śnie. Wyglądał jakby zmierzał nie na bitwę, lecz by odnaleźć to, co ukochał najmocniej. Draupadi klusowała spowita znowu w woalkę, być może czujniejsza od starca. Kiedy patrzył, odrzuciła zawoj. Oswietlił ją blask, scierający obawy i znużenie z jej twarzy, a jej piękno poraziło Quintusa.

To nie była jego Draupadi, jak o niej zawsze myślał: ciepło szafranu i drzewa sandalowego, ciemne, falujące włosy, spływające łagodnie na wyprostowane plecy. Twarz tej kobiety była srebrna, o rysach tchnących chłodnym pięknem antycznej maski, jakie widywał wzdłuż Via Appia, uśmiechające się zacisniętymi ustami jak jego talizman.

Pomyślał, że to nie Draupadi, lecz Diana Trzech Drog, Łowczyni na szlaku, prowadzącym ją ku zdobyczy, albo Selene, przyglądająca się z góry okrytemu nocą światu. Lub nawet - wzdrygnął się na te myśli - mroczna bogini skrzyżowana, objawiająca się jako kapłanka łącząca niebiosy i Hades.

Quintus przypominał sobie, że jest mistrzynią iluzji i ujrzał teraz w jej twarzy magiczną moc i siłę. Przyjrzał się innym, jadącym tuż za nią i zobaczył ich prawdziwych, odartych ze zwodniczych rysów: uparta lojalność Rufusa; siłę i prawosć Ssu-ma Chao, nawet chytrą i

lisa przebieglosc Luciliusa.

Czy beda chcieli jechac na przekor mocy, przyzwanej przez Czarnych Naacalow? "W tym swietle, z Orlem jasniejacym w ksiezycowej poswiacie, mogliby zrobic wszystko" - przyszlo Quintusowi na mysl. Tempo ich podrozy i sposob, w jaki trzymali uniesione glowy, mowily mu, ze sa gotowi stawic czolo kazdemu niebezpieczenstwu. "To takie proste - pomyslal - jeden prosty..."

Swiatlo zamrugalo... zasloną kurzu lub chmur - po tylu miesiacach dziwnie bylo myslec o chmurach, ktore nie byly pustynna nawalnica ani wiecznymi sniegami odleglych gor. Co to bylo? Jeszcze przed chwila mial jasnosć, wieksza niz kiedykolwiek przedtem, co powinien zrobic. Drzewce Orla rozgrzaly sie w jego dloni. Czyzby zapomnial? On nie zapomnial, zdawalo sie mowic ostrzezenie.

Naprzod.

Zerwal sie wiatr, przeslaniajac ksiezyc calunem piasku. Blask Orla przygasl, po czym rozjarzyl sie na nowo. Ksiezyc byl teraz nizej na niebie, udajac sie na spoczynek. Jego swiatlo oslablo, potem zgaslo.

Sylwetka, tanczaca przed nimi, zatrzymala sie, rozsiewajac lune lampy, w ktorej dopalaja sie ostatnie krople oliwy. Po chwili jej swiatlo tez zgaslo.

Stali na nagim pustkowiu. Przyjemny, zimny wiatr owional ich, chlodzac twarze. Potem i on zamarl.

Po srebrze - olow. Znuzenie wypelnilo cialo Quintusa. Dal sygnal do postoju i wbil Orla gleboko w pustynny zwir. Nadszedl teraz czas snu.

W uszach trybuna zadzwieczal glos Rufusa. Nie ten zwykly donosny okrzyk, lecz chraplivy dzwiek, gluchy z wyczerpania i leku.

Jak daleko zaszli - i dokad dotarli? Byli poza granicami poznania. I byli smiertelnie zmeczeni. Ziewnal. Jeszcze chwila, a polozy sie gdziekolwiek i usnie. Byloby to niewlasciwe - sa Rzymianami. Ale pod Orlem...

-Do licha z tym - mruknal i pozwolil, by nogi ugiely sie pod nim.

Zblizyla sie Draupadi. Nie wygladala na zmeczona, poruszala sie ze swoja zwykla gracja.

-Wiesz, gdzie jestesmy? - szepnal.

Czy stracil ja dla iluzji, ktore widzial? Watpliwosci zmrozily go bardziej niz wiatr: byl zmeczony, chcial spac. Sen przynosi wizje. Wizje byly fantazjami, splywajacymi do jego umyslu przez bramy z kosci sloniowej. Bramy zludzen.

Draupadi spojrzala na piasek.

-Blizej miejsca, do ktorego musimy dotrzec - szepnela. - Podaj mi dlon.

Zaskoczyla go. Przy innych zawsze byla pelna glebokiej rezerwy. Mimo to z zadowoleniem wyciagnal do niej reke. Dotknela jej i wydala krotki, radosny dzwiek. Zobaczyl co zrobila: kopula swiatla, rzucanego przez Orla, rozswietlila mroki pustyni.

-Nie ukryje nas to na zawsze - wyjasnila - lecz posluzy teraz.

Dobiegł go gwar obozu szykujacego sie do snu. Powinien tam wrocic i pokazac im, ze czuwa.

-Daj im odpoczac - powiedziala Draupadi. - Wasze umysly i bogowie niewiele moga zrobic w obliczu tego, przed czym wkrótce staniemy. Zaszliśmy szybko i daleko - potrzebujemy odpoczynku.

Pustynia wygladala teraz na tak wygodna, jak jedwabny kilim - lec na niej, zanurzyc sie w niej... jak w glebokiej wodzie... nagle powrocil do rzeczywistosci. Ukleknal i zanurzyl dlon w piasku. Skala, pyl, kurz, zwir - zadnej wody.

Pozwolil pylowi wyciec spomiedzy palcow.

-Chca przywrocic swiatu jego dawny wyglad - zadumala sie Draupadi. - Nawet teraz, korzystajac z waszego znuzenia, przeprowadzaja swoje proby. - Westchnela. - Strzezcie sie. Zanim ich naprawde ujrzymy, wiele nas jeszcze czeka.

Jej wzrok powedrowal ku Orlowi, ktorego brazowe oczy dziko spogladaly ponad ich glowami.

-Nadszedl czas, aby ta bron stala sie nasza tarcza.

Quintus polozyl sie na boku. Draupadi spoczela kolo niego i pozwolila mu oprzec glowe na swoich kolanach. Sen okryl go niczym szafranowy welon.

Rozdzial dwudziesty szosty

Statki unosily sie w polyskliwej, blekitnej wodzie. Podobne labedziom male lodzie i wieksze jednostki, ktorych wiosla uderzaly w fale w rytmie wielkich skrzydel przelatujacych ptakow. Przechylaly sie i obracaly, odpływajac od brzegu i skalnych iglic, na ktorych ptaki wily gniazda. Bandera Ojczyzny - dysk Slonca - lopotala na masztach. Ponizej, na pokladach, uwijali sie zeglarze w swym pospiesznym tancu. Stal obserwujac, jak jego statek przechodzi pomiedzy dwiema ciemnymi skalami, blyszczacymi w sloncu i swietle, odbitym od niespokojnego morza. Nie byly to zwykłe skały, sterczace z odmetow, ani punkty orientacyjne wskazujace na zdradliwe i niebezpieczne wody. Sztuka, nauka i rzemioslo

pracowały nad nimi przez wiele lat, budując u ich podstaw przystanie i schody, prowadzące do platformy, gdzie umieszczono latarnie morskie i gongi, kierujące do domu zblakane okręty i ostrzegające przed niepożądanymi gośćmi. Na najwyższych turniach długo i umiejętnie pracowali inżynierowie, budując triumfalny łuk, ozdobiony reliefem, na którym wyrzeźbiono sceny z historii Ojczyzny, łączące obydwa skalne wierzchołki.

Cień legł mu na twarzy, lecz jego serce rosło i śpiewało, kiedy statek przepłynął pod Łukiem Pamięci. Znajdowała się za nim zatoka, nad którą na wzgórzu stała świątynia, gdzie Naacalowie studiowali i służyli Słońcu. To był dom. Jego i...

"Ktoś krzyknął?"

Zanim jeszcze otworzył oczy, jego dłoń spoczęła na mieczu. Zerwał się na równe nogi. Zbyt gwałtownie. "Uważaj człowieku, bo wypadniesz za burte!" - nie! Gdzie on był? Kiedy był? Morze błękitów i zieleni, słońce złocejące żagle i ptasie skrzydła, krzeszące ogień z kryształów, Isniących w skale Łuku Pamięci - to wszystko dawno zniknęło. Ponury świt rozjaśniał wschód, przypominając żołnierza, którzy chcieliby uciec przed bitwą.

Quintus ponownie usłyszał belkotliwy krzyk. Ruszył ku granicom obozowiska. Jedno było pewne: człowiek z poderzniętym gardłem nie mógłby tak długo wydawać z siebie tych odgłosów. Głos wznosił się do czystego szaleństwa, po czym nagle umilkł.

Ssu-ma Chao dzwignął się z kolan od bezwładnego ciała.

-Martwy - oznajmił. - Czy zrozumiałeś jego ostatnie słowo?

-"Cień, Cień" - powtórzyła jej Draupadi.

Przybiegł Lucilius z krótkim mieczem w garści, jak zwykle pojawiając się w chwili, gdy niebezpieczeństwo minęło.

-Patrzcie! - wskazał ręką.

Na ziemi, poza kręgiem światła rzucanego przez Orla, kładły się długie cienie, wznoszące piskliwe, przeraźliwe okrzyki, niczym nietoperze, porozumiewające się niesłyszalnym dla ludzkiego ucha kodem. Były jak długie, czarne płaszcze, unoszące się i zamiatające piach, ciemniejące w promieniach wschodzącego słońca.

Draupadi klasnęła. Cienie pozostały. Zaczęła śpiewać. Słowa brzmiały chrapliwie i niepewnie. Cienie zamigotały. Wzięła głęboki oddech i zaśpiewała donośniej, po czym ponownie klasnęła. Cienie zniknęły. Omal nie upadła z wyczerpania, lecz szybko odzyskała siły.

Ganesia stanął za jej plecami. Przemówił do niego szybko w języku nie znanym Quintusowi. W jej głosie brzmiało przerażenie.

-Tak - odpowiedział jej Ganesia po partyjsku. - Sa coraz silniejsi. I beda rosnac w sile w miare jak my bedziemy sie do nich zblizac.

-Uwazaja nas za dzieci albo glupcow? - zapytal Ssu-ma Chao.

-Bardzo prawdopodobne - odparl stary mag. Polozył rece na ramionach Draupadi. - Wiedza, ze jestesmy z wami. Ja na ich miejscu probowalbym oslabic wlasnie nas, by pozbawic reszte armii ochrony.

-Armii? - Ssu-ma Chao parsknal smiechem, przypominajacym jek.

-Z kazdym switem jest nas coraz mniej. Chodz i zobacz.

To byl jeden z zolnierzy Ch'in, ktory stracil zmysly podczas trzesienia ziemi. Twarz wykrzywial mu grymas, upodabniajacy ja do teatralnej maski, symbolizujacej strach.

Lucilius mruknal cos pomiedzy "Pakujmy sie" a "Linia marszu". Ganesia gladko wsliznal sie miedzy niego a oficera Ch'in, uniemozliwiajac Luciliusowi uslyszzenie czegokolwiek.

-Moglibysmy wyslac ludzi na zwiad, zeby zobaczyli - albo wyczuli - czy nie ma ich gdzies w zasiegu wzroku - zaproponowal dziwnie niezdecydowany Rufus.

-Nie! - krzykneli jednoczesnie Quintus i Lucilius. Nie mogli dopuscic do utraty kolejnych ludzi - ich dusz i umyslow.

-Byl tylko szeregowym zolnierzem - rzekl oficer Ch'in - ale sluzyl wiernie.

-Sluzyl ci dobrze nawet wtedy, kiedy umieral - powiedziala Draupadi. - Z jakichs przyczyn byl - jak by to okreslic? - swiadomy? wzraliwy? podatny! - znalazla wlasciwe slowo, przybierajac wyraz twarzy kogos, kto probuje wyrazic wyrafinowana koncepcje w jezyku odpowiednim dla dzieciecego umyslu - na wplyw Czarnych Naacalow. Kto wie, czego mogliby dokonac, gdyby nie krzyknal i nas nie obudzil? Byl wierny do samego konca, oddal zycie za towarzyszy. Przodkowie moga patrzec na niego z duma.

Waskie oczy oficera Ch'in rozszerzily sie z szacunku. Podniosl sie z kolan i zasalutowal martwemu piechurowi, podczas gdy zolnierze owineli go plaszczem i pochowali w plytkim, pospiesznie wygrzebanym grobie.

-Co teraz? - zapytal. Jego wzrok spoczal na Quintusie. Lucilius spiorunowal go spojrzeniem, jak zawsze gdy zwracano sie do Quintusa jako do dowodcy.

Ale to Ganesia byl tym, ktory odpowiedzial:

-Idziemy dalej. Zawsze naprzod.

Wskazal na Orla, blyszczacego w miedzianych promieniach wschodzacego slonca. Bilo od

niego swiatlo.

-Bedzie nas prowadzil - lecz droga nie nalezy do latwych.

Dzien zlewal sie z dniem, a wydmy, ktore pokonywali, byly wciaz wyzsze i wyzsze. Jechali dopoki mogli. Pozniej, kiedy zwierzeta utrudzily sie, szli pieszo, prowadzac je.

-Przypomina to patrzec w gore z dna studni - mruknal Rufus. - W jaka dzicz zabrnalismy tym razem?

Oczywiscie, nikt nie umial na to odpowiedziec. Dzien po dniu s c h o d z i l i w dol, moze zdazali do czegos, co bylo najglebsza czescia morskiego dna. Dzien po dniu cienie wokol nich powiekszaly sie. Zatrzymywaly sie, gdy patrzyli na nie uparcie. Im wyzej stalo słońce na niebie, tym stawaly sie mniejsze, znikajac w poludnie.

Ale potem trzeba bylo wiedzy Draupadi i Ganesii, by je rozproszyc. Podchodzily coraz blizej i nie znikaly nawet w poludnie. Nawet najsilniejszy sposrod nich nie mogli odpoczac, gdy słońce bylo najwyzej na niebie, bo wokol otaczaly ich cienie, jakby zakladaly wlasny oboz i obserwowaly, oddalaly sie dopiero poznym popoludniem. Quintusa nekaly senny koszmar, ze pewnego dnia, kiedy dojadą do największej wydmy, natkna sie na armie pozbawionych twarzy, widmowych zolnierzy, stojacych miedzy nimi a ich celem.

Piatego dnia po smierci pierwszego z oblakanych zolnierzy nagle ocknal sie z letargu jeden z Rzymian. Rozpoznal uradowanych towarzyszy, oswiadczył, ze jest wystarczajaco silny, by maszerowac, a potem zniknal po poludniu. Czlowiek znajdujacy sie najblizej ozdrowienca uslyszal jego krzyk i ujrzal go biegnacego w glab pustyni z rekami rozpostartymi jakby w powitaniu. Ruszył za nim, lecz dwaj jego towarzysze zdolali go powstrzymac.

-Jest nas coraz mniej - zauwazyl Ganesia.

W miare jak zapasow wody bylo coraz mniej, snili zawsze o morzach, rzekach, jeziorach... Gdy wydawalo sie, ze nie zejda juz nizej, nie tracac z oczu nocnego nieba, Lucilius przebudzil sie, krzyczac cos o studni. Gdyby nie obezwladniajace go pragnienie, ucieklby rowniez. Bedzie musial jechac, nawet kiedy inni beda musieli maszerowac, dopoki nie otrzasnie sie z szoku. Jezeli sie otrzasnie.

-Zadna strata - mruknal Rufus, pomimo spojrzecia Quintusa. Kazdy niezdolny do ruchu, ktorego trzeba bylo wiezc, oslabial i spowalnial ich bardziej, niz gdyby umarl. Nie mogli jednak porzucic towarzysza broni - nawet gdy ten byl zdrajca.

Odkad gardla wyschly im na wior, Quintus przestal snic o morzu, co wydawalo mu sie dziwne. Sen mial plytki. Budzil sie czesto, zlany potem, marnotraviac wilgoc organizmu, ktorej nie mogl juz uzupelnic. Marzyl o zeslizgiwaniu sie ze zboczy gigantycznych wydmi. Budzil sie roztrzesiony. Wtedy dopiero myslal o wodzie.

Tak daleko zaszedli, tak daleko. A jeśli ta pogonia za wrogiem była daremna, będa musieli wycofać się po własnych śladach z fałszywej drogi. Ale może jest na to za późno. Może wszyscy zostali oszukani, zdradzeni. Może prawdziwi Czarni Naacalowie maszerują razem z nimi: gruby starzec i szczupła kobieta, gibka i zatroskana, owinięta obszarpanymi welonami.

Ta myśl była gorsza od każdego snu, który mógłby go nawiedzić.

Piąty kon padł w południe. Po prostu przewrócił się i nie chciał wstać. Lucilius dobił go, podcinając mu gardło; zaskoczył ich widok lez, wysychających na jego policzkach. Miedziany smród krwi palił dotkliwiej niż gorące słońce.

Jeden z legionistów zaczął odpinac konskie juki.

-Zostaw to - rozkazał Quintus. Człowiek posłuchał go. "Naprawdę myślisz, chłopcze, że będziemy potrzebowali teraz tego, co dzwigało to biedne zwierze?" Żołnierz był pewnie w wieku Quintusa, może nawet trochę starszy, ale teraz wszyscy byli dla niego "chłopcami". Szczęśliwcami, którzy mieli kogoś, kto nioś ciężar ich rozpaczy i tęsknoty.

Rozkazałby, żeby zostawić ładunek, nawet gdyby worki wypełnione były złotem i klejnotami. Tylko jedzenie, woda i bron miały teraz wartość, i koce, chroniące przed nocnym chłodem.

Ciskany wiatrem żwir ranił ich twarze. Owijali się materiałem, przeznaczonym do ochrony przed burzą. Przypominali teraz włokacza się kolumnie mumii, powiewających bandażami, zataczających się i chwiejących na nogach.

-Spójrz jak wyglądamy - mruknął Rufus. - Może przestraszymy te cienie.

Słowa starego centuriona wywołały wybuch śmiechu. Quintus poczuł wilgoć w oczach, ale nie mógł pozwolić sobie na łzy - zbyt duża strata bezcennego płynu.

Tego dnia, późnym popołudniem, podniósł wzrok. Na zboczu niedalekiej wydmy zaczynało się ogromne obsuniecie. Serce mu zamarło: snił o ataku, i sen zazwyczaj przynosił wizję cieni Czarnych Naacalów, ustawionych w potrójnym szyku bojowym.

"Niemniej jednak - powiedział sobie - będziemy walczyć."

Mocniej ścisnął Orla.

-Pozwólcie mi pójść na czele.

Wyprzedzał go cień. Orzeł nie zapłonął ostrzegawczym płomieniem, a tancerzy Kriszna z brazy wciąż spoczywał w bezruchu na jego sercu.

Cos przesuwalo się obok jego cienia. Zachichotał chrapliwie. Cień, który obserwował z taką obawą, należał do niego i znaku. Dotarli do dna i zaczęli się wspinać.

Chruszczacy pod stopami zwir stopniowo zastąpiły odłamki skalne, a potem gładkie skaliste podłoże, pokryte wzorami, wyłobionymi kiedyś dawno temu przez wodę. Wyglądało na to, że maszerowali przez podnoże gór, sięgających poniżej powierzchni świata.

-Ruszać dalej - po raz piętnasty tego dnia Rufus musiał ponaglić Ganesie. Starzec znowu osunął się na kolana, wpatrując się jak urzeczony w odcisniety w skałę szkielet ryby. Przynajmniej Quintus sądził, że to ryba, choć nigdy dotąd takiej nie widział.

-Nie wolałbyś raczej zjeść prawdziwej? - zapytał.

-Wolałbym trochę spokoju - odparł Ganesia. - Jestem bardzo stary i zmęczony. Lecz opowieść nie jest jeszcze zakończona, a poki trwa, muszę być jej częścią. By naprawić to, co zrobiłem. I co moi bracia i siostry - przebaczyć im Plomieniu - robią nadal.

Rufus pokręcił głową. Przyglądali się sobie: dwóch starych ludzi, przygniecionych do ziemi trudami pustyni i trudami przeżytych lat. Zbyt starych by zrobić coś więcej niż uprawiać ziemię i dzielić się z innymi swoją mądrością. Quintusa coś ścisnęło w gardle. Ganesia powinien wygrzewać się na dziedzińcu jakiejś świątyni poświęconej Junonie i dzielić się z młodymi swoją wiedzą i doświadczeniem. A Rufus, ten powinien teraz uczyć wnuki jak najlepiej podwiązać winorośl lub po raz setny pokazać im swój miecz, a nawet pozwolić go dotknąć...

Z kącików oczu Rufusa, przymrużonych w blasku pustyni, biegły długie zmarszczki. Wyglądał starszej niż Ganesia i o wiele bardziej groźnie w swojej zbroi, która wciąż uparcie nosił.

Mimo to Ganesia był o wiele bardziej doświadczony i posiadał potężne moce Białych Naacalów. Quintus zadrzał. Moc Naacalów opierała się na potędze Słońca, źle użyta przez Czarnych spowodowała pęknięcie krainy, która przemierzali i wyschnięcie wielkiego morza.

Lepiej nie myśleć o takiej ilości wody. Kropla potu spłynęła Quintusowi po plecach. Chwilowa ulga. Niepowtarzalna chwila, jak kiedyś, gdy utrudzony po zniwach zanurzał się w błogosławionej rzece. Mogłoby zanurkować najgłębiej jak można i wynurzyć się z prychnieniem i śmiechem po drugiej stronie Luku.

Luku? Jakiego Luku?

Odpyw i przypływ, fala bijąca o brzeg - to wszystko było takie realne. Luk? Każdy głupiec zna Luk Pamięci. On także. Śnił o nim już dawno: brama, gościnnie zapraszająca tych, którzy służyli Słońcu na wyspie, będąca jedną z ich szkół i twierdz. Luk ozdabiali posągi starożytnych herosów, mądrych mężczyzn i kobiet, przedstawionych wraz z ich legendarnymi zwierzętami i wielogłowy wąż, oznaczający mądrość i moc - Oświecenie Słońca.

Nie musiał nawet zamykać oczu, by zobaczyć ten Luk. Poczul zawrót głowy. Czas i miejsce zamigotały. Raz jeszcze usłyszał morskie ptaki i plusk wiosel, krzyki strażników na brzegu. Znal cenę tego przejścia dla nieostrożnych. Tylko wytrawni żeglarze nie rozbijali się o skalisty brzeg.

Quintus walczył z tym obrazem, tak natarczywie wciskającym mu się do świadomości. Draupadi powiedziałaby, że to iluzja taka jak te, które pozbawiają człowieka zmysłów i stracają go z najbliższego urwiska - lub zostawiają Czarnym Naacalom. Drzewce Orla rozgrzały się w dłoniach; ciepło popłynęło do ramienia i wzdłuż kręgosłupa. Jak na szalencę, czuł się zdumiewająco dobrze.

Znowu przydarzyło mu się to dziwne przeniesienie w czasie - "kiedys" a "teraz". Jeden z oblakanych przywiązanych do wielbładow jeknął i zachichotał, po czym umilkł. Teraz Quintus ujrzał Luk, tak realistycznie, jakby nie dzieliły go od niego czas i przestrzeń. Wyglądał jak czaszka, której większość zębów sprochniała, a jedna ze skroni została wgnieciona.

Większość ozdabiających budowlę błyszczących kamieni zniknęła, zniknęły także upiększające ją rzeźbione ornamenty. Twarze bohaterów wytarły się, wbite w nijaką niczym grobowiec zhanbionego władcy. Kilka posągów wciąż wznosiło bron przeciwko starożytnym wrogom. A wielki wąż ciągle okupował przestrzeń pod wienczącym Luk sklepieniem. Ale jakże się zmienił. Nie był już symbolem światła, lecz zmarnowanej iluminacji, mocy zwróconej przeciwko sobie samej, podsycanej wciąż rosnącym głodem, gdyż nigdy nie będzie dosyć ofiar by go zaspokoić.

Draupadi westchnęła z cichym jękiem.

-I pomyślc, jaki piękny był kiedys.

Zwykła sztuczka światła sprawiła, że zrujnowany Luk wydawał się być znacznie bliżej niż był w rzeczywistości. Podejście do niego zabrało im wiele godzin ciężkiej wspinaczki na ogromne wzgórze, będące kiedys wyspą. Tamta skala przed nimi - to urwisko czy forteca? Albo, bogowie pomóżcie, byłaby to świątynia, uswiecająca ongiś te szczyty?

Quintus pomyślał, że powinni teraz odpocząć, by podejść do bramy w pełnym świetle.

Był obolały. Wiedział, że skoro on cierpi, to ludzie za jego plecami cierpią jeszcze bardziej, nie mówiąc już o zwierzętach. I Draupadi - nie powinien o niej myśleć jako o delikatniejszej i słabszej od niego odkąd ujrzał jej twarz tamtej nocy.

Drgnięcie pamięci rozjaśniło mu umysł: wtedy, gdy jego brat przegrał królestwo, koronę, wolność i żonę, Draupadi krzyknęła tylko raz - gdy próbowali ją posiadać. Poprzysięgła wtedy, że umyje włosy we krwi mężczyzny, który się na to odważył, i dotrzymała tej obietnicy.

Było szalenstwem bac się o nią.

Za jego plecami zarżał koni i kamienie sturlały się ze zbocza. Rozległy się przekleństwa, uciszane chrapliwym krzykiem Rufusa. Miedziana won krwi przepelniała nozdrza. Jeden z oblakanych rozesmiał się, po czym zalkał, skrywając twarz w dłoniach. "Szybciej, głupcze - powiedział sobie - albo pozostaną tylko szalenci i trupy". Ganesia i Draupadi, Rufus, poki jego wielkie serce nie peknie, i Lucilius, który jak zwykle będzie miał szczęście.

Padło tylko kolejne zwierze. Najlepiej by było zostawić je tutaj i pójść dalej pieszo, ale co się z nim stanie, jeśli nikt nie powróci... Bogowie, był żołnierzem - człowiekiem i zwierzęciem w jednym, każda strata bolała dotkliwie, nawet teraz, po tym jak tak wielu umarło. Drzewce Orla, które trzymał w dłoniach uspokajały. Poza tym były doskonała łaska ułatwiająca wspinaczkę.

Ssu-ma Chao spojrział mu w oczy i Quintus wyteżył uwagę. Nigdy nie zapomni jego prawości i szlachetności. Wskazał Quintusowi, by szedł dalej. Rufus oparł się o skałę, czekając na przejście najsłabszych ludzi i zwierząt. Tylko bogom zawdzięczali, że przetrwali, by dotrzeć do tego, co rozciągało się poza Lukiem. Jedno potknięcie... Boże, bron.

Co potem? Ta podróż składała się z samych „jeżeli”. Jeżeli przetrwają. Jeżeli w tym miejscu, w środku pustyni straszliwszej od Tartaru, znajdą te opisywane przez podróżników źródła słodkiej wody. Jeżeli spotkają Czarnych Naacalów i nie zostaną zamienieni w polyskliwe, czarne kamyki, zasmiecające zbocza góry, plujące skały i ogniem. I, w końcu, jeżeli nareszcie odnajdą drogę.

"Trzymaj głowę pochyloną - powtarzał sobie. - Patrz pod nogi. Obserwuj skały, uważaj na weze i lawiny." Wbił Orla w piach i żwir, po czym ruszył w górę zbocza.

Kiedy się wspinał, nawet gdy usiłował zająć myśli teraźniejszością, jego umysł wciąż wędrował. Mylili się: jego ojciec, dziadek, westalki i całe kolegium kapłanskie z Pontifexem Maximusem włącznie. To nie Losy kierowały życiem człowieka i tkwały jego nic. To tylko „jeżeli” decydowały w każdej epoce, czy człowiek będzie żył czy nie, albo czy osiągnie to, co ktoś gdzieś dla niego zapisał.

"Czemu więc próbować?" - to pytanie uderzyło z siłą błyskawicy, oslepiając mocz, po której nastąpiła ciemność. Zamrugał oczami i spojrział w górę. Żadnej burzy wokół. Żadnego grzmotu. Żadnej błyskawicy. Potrząsnął głową, chcąc rozjaśnić myśli. Ktoś go ostrzegł, że nadejdzie atak.

"Nie" - powiedział.

Jeden z szalenców zalkał. Wiozacy go wielbłąd szarpnął się, po czym ruszył dalej kulejąc. Powinni sprawdzić wszystkim wielbłądom racice. A kiedy to wszystko się skończy, najlepsza rzecz, jaką prawdopodobnie będą mogli zrobić dla biednych stworzeń - wielbłądów i ludzi - będzie poderznięcie im gardel. I później rzucić się na własne miecze.

"Nie! - pomyślał z determinacją. - Jeśli umrę, niech to stanie się w walce. Lub podczas

marszu na Wschod pod Orlem."

To wrażenie wszechogarniającej duszającej czerni. Niebo było czyste, lecz zapach soli wypełnił mu nozdrza. Sól, nie potu. Nagle - "Nie! Znowu!" - jęknął bezgłośnie - niebo i ziemia zdrzwały. Wyrosł przed nim cień. Wejście w niego dało chwilę błogosławionego chłodu. Luk wyjaśniał, a zdobiące go posagi znowu były nienaruszone i wspaniałe.

"Czyżby Chronos zamrugał ponownie? Czyżbysmy dryfowali?" Lkanie szalency umocniło jego podejrzenia. Po dłuższym czasie nawet cud stawał się czymś zwykłym, a ten był w dodatku nieprzyjemny.

-Trzeba uderzyć go w głowę - mruknął Rufus.

-Nie! Nie tak mocno! Czy go zabilis? Jeśli nie, to i tak nie twoja w tym zasługa.

Luk falował. Quintus mocno przymrużył oczy, nie chcąc oslepnąć po wyjściu z cienia. Jego dłoń spoczęła na ostrzu miecza. Chroncie nas, bogowie, jeśli będziemy musieli teraz walczyć, gdy czas i przestrzeń falują niczym nieokiełznane morze.

-Quintusie... - Draupadi podjechała ku niemu. Cofnęła się, gdyż szczególnie silny wstrząs sprawił, że Luk zdrzwał, a nawet na chwilę zniknął.

-Powiedz mi, proszę - cień pretensji pojawił się w jego głosie - dlaczego tak blisko bramy jest coraz gorzej?

Jej dłoń spoczęła na jego ramieniu. Ten dotyk uspokoił go, lek mijał z wolna, ustąpiły zawroty głowy.

-Miałam nadzieję, że nie odczujesz tego aż tak dotkliwie.

Quintus strząsnął jej rękę. Nie chciał czerpać pociechy z jej kojącego dotyku, podczas gdy jego ludzie walczyli ze strachem i przerażeniem.

Skinęła głową, odgadując jego myśli.

-Quintusie oni wiedzą, że przybyliśmy. Inaczej nie czułbys się znowu atakowany. - Podniosła rękę niczym żeglarz, sprawdzający kierunek wiatru.

-Z pewnością przygotowali jeszcze potężniejszą magię. Ganesia i ja doświadczymy jej pierwsi.

Starzec i kobieta prowadzący Rzymian do bitwy? Niemożliwe! - chciał wykrzyknąć.

-Jesteśmy bronią w twoich rękach - uciela jego wątpliwości. - Ktoż lepiej od nas wie, do czego są zdolni i jak z nimi walczyć? Zniszczyli nasz dom! Zniszczyli nasz świat! Mamy do tego prawo, Quintusie!

Oczy Draupadi rozszerzyły się i pociemniały. "Ilu głupców zdążyła już omamić? I jego też... Przejdą przez te bramy, pozostawiając ich tutaj na pewną śmierć."

"Nigdy mnie nie oszukala i nigdy tego nie zrobi!" - odrzekł perfidnym podszeptem.

Ona i Ganesia służyli Plomieniowi. Byli Naacalami, Białymi Naacalami. Walczyli przeciwko Czarnym. Mieli takie samo prawo do występowania przeciwko nim, jak on do odzyskania Orla.

- Nawet teraz próbują cię omamić - rzekła Draupadi, patrząc mu w twarz. - Nawet teraz, prawda?

Jego wątpliwości były bardziej bolesne niż wszystkie sztuczki Luciliusa. Kochał ją. Musi jej ufać. Pokreślił głową. Walczyć jest wystarczająco ciężko. A co dopiero dodać jej otuchy.

Podniosła dłoń, na której zajaśniał pierścien.

- Jest w tym zawarta moc, moc twojej obietnicy. Nie mogłabym go nosić, gdybym chciała cię zdradzić.

Jej oczy... widział w nich miniaturowe odbicie siebie samego, obserwującego szczupłą, zmęczoną kobietę, jakby były potężnym, atakującym go wrogiem. Rozesmiał się na te myśli.

- Rzucił kością - powiedział. - Zaufać ci, czy wszystko stracić.

Bogowie pozwólcie, by nie znaczyło: "zaufać ci i wszystko stracić".

Draupadi skinęła głową.

- Niech twój znak, ta brona, spali mnie, jeśli kłamie. - Wyciągnęła dłoń i oparła ją na drzewcach, podtrzymujących Orla.

Zagrzmiało. Quintus wstrzymał oddech. Jeśli ją poraziło, nie przeżyje jej zbyt długo, poprzysiągł sobie. Fala ciepła przepłynęła mu przez ramię.

- Widzisz? - wyszeptala triumfalnie Draupadi. - Widzisz, że nie jestem fałszywa?

Snop słonecznego światła wystrzelił spod Luku i padł na Orla. Ptak rozbłysnął cudownym blaskiem! Quintus prawie uwierzył, że Orzeł się przebudzi, rozwinie skrzydła i wyda okrzyk triumfu.

- Dzięki ci - powiedział. Ty i Ganesia będziecie nas prowadzić.

Szalency umilkli, zapadłszy w niespokojny sen. Naacalowie stanęli na czele kolumny i poprowadzili ją pod Lukiem Pamięci do miejsca, które tak dawno temu było ich schronieniem.

Rozdział dwudziesty siódmy

Wstrzasy, które roztrzaskaly basen starożytnego morza, z ładem obeszyły się o wiele łaskawiej - być może zakorzeniona tu obecność Białych Naacalów uchroniła go przed większymi zniszczeniami. Przywołał wspomnienia. Woda była tu płytka, zdradliwa dla żeglarzy. Prawie czuł zapach soli, słyszał okrzyki marynarzy i śpiew lin, kiedy statek zbliżał się do portu, przesliznawszy się pod Lukiem. Woda... poczuł pragnienie. Draupadi i Ganesia maszerowali na czele. Wydobyli z juków długo przechowywane białe szaty, przywdziali je, i oto para kapłanów prowadziła ostatnich wojowników na rozstrzygającą bitwę.

Kiedy wyszli spod olbrzymiego Luku i słońce zaczęło odbijać się oslepiająco od ich strojów, Rzymianie, na komendę Rufusa, zatrzymali ich. Blask nasilał się, szybko przywracając kapłanom i Lukowi ich dawny splendor. Przez chwilę nawet zbezczeszczone posagi otoczyła świetlna aureola. Orzeł jasniał wspaniałym blaskiem, jakby składając hold.

Światło zachodzącego słońca sprawiło, że sylwetki Ganesii i Draupadi zdawały się rosnąć. Ich białe szaty emanowały czystym światłem. Dwie blade postaci sunęły, prowadząc ich przez spowitą mrokiem okolice.

-Zostawia nas. - Syk Luciliusa przedrzeźniał dawne obawy Quintusa. - Musiałeś im zaufać...

Zaległa martwa, niepokojąca cisza. I nagle przez czyste niebo i zrujnowane ziemie przetoczył się grzmot. Naacalowie przystanęli, zatrzymując kolumny i wznosząc ramiona w holdzie zachodzącemu słońcu, które rozpalilo horyzont, niczym pochodnia.

Część tego światła docierała nawet pod ogromny Luk. Ten zdawał się dygotać. Odlamki skały i zaprawy - dodanej później, zapewne przez Czarnych Naacalów - odpadały od starożytnych głazów. Następny grom.

Orzeł rozgrzał się w dłoniach Quintusa. "Użyj go, użyj broni - szeptał kusiciel. - Oto Pasupata, której szukales. Jesteś spragniony? Uderz w skałę i wywołaj wodę. Czy zdobyłeś moc tylko po to, aby ją dźwigać na swoich barkach?"

"Aby używać jej mądrze - odparł. - Obiecałem i dotrzymam słowa."

Grunt drżał pod stopami i wydawało się, że ziemia za chwilę pęknie. Ssu-ma Chao odchrząknął. Jak długo to już trwało? I czym było owo "to"?

"Jesteś Rzymianinem, wojownikiem, żołnierzem, a nie sługa magów - syknął głos. - Czy będziesz się im kłaniał, jak senatorom? Będziesz czymś gorszym od niewolnika - i to na zawsze."

-Zachowajcie spokój - ozwał się Rufus. - Dla Orla.

Światło pod Lukiem zniknęło wraz ze słońcem. Po chwili zaś zapłonęło na nowo, jasniej niż

przedtem, jakby wskrzesiły je dwa płomienie, którymi byli Biali Naacalowie. Blask bijący od ich szat porażał wzrok patrzącego. Potem ból oczu mijał i wracała jasność widzenia.

-Czy zamieniliśmy się w orły - spytał sam siebie Quintus - że możemy wpatrywać się w słońce i nie ślepnąć?"

Orzeł rozciągał blask nad ich głowami. Teraz trybun mógł rozróżnić twarze Draupadi i Ganesii. Byli zmęczeni i mieli podkrążone oczy. Policzki Ganesii zapadły się, a dumnie wyprostowana Draupadi chwiała się na nogach.

-Chodźcie już - w martwej ciszy nocy usłyszał jej ciche słowa.

Podniósł Orla. Rufus wydał rozkaz marszu. Rzymski chód, rzymski lud. Lewa, prawa; lewa, prawa. Maszerujesz pod Lukiem. To twój triumf. Teraz idź dalej.

"Pamiętaj, żeś śmiertelny. Ty głupcze i niewolniku!"

Quintus stanął obok Draupadi.

-Powiedz im, żeby się pośpieszyli - wyszeptwała. - Słabniemy...

Wtedy zaszło słońce. Wkroczyli pod Luk za dnia, a wyszli nocą. Wiatr wyl i pohukiwał wśród szczytów, niczym niewidoczna sowa.

Ziemia zadrżała. Och, bogowie, tym razem polknij wszystkich i pogrzeb żywcem. Ogień Draupadi wypalił się, a on ujrzał ją łapczywie chwytając powietrze, zanim umrze. Quintus zeszywniał z przerażenia. Usłyszał jakiś loskot i trzaski. Ziemia na której stoją pęknie niby banka mydlana, spryskując ich wrzającą skalą. Bada widzieli, jak płonie. Rzeczywistość zawirowała, wzbogacona strzępami zapomnianych koszmarów i nowych strachów.

Światło Orla przygasło, jakby pochłonęło je coś, co się nim żywiło.

Quintus przypominał sobie. Stali wtedy na polu bitwy, a on walczył Pasupatą. Cena została zapłaconą i zdobył sobie prawo do miecza. Stali, zatopieni w milczeniu, podczas gdy śmiertelne zagrożenie przemknęło obok nich, by uderzyć we wrogów. Miał prawo. Myślał, że nie ma nikogo, kto mógłby lepiej użyć tej najpotężniejszej broni. Istniał jednakże inny orzeł, którym można było walczyć.

-Weź Orla - rozkazał teraz Draupadi.

Uczyniła to i znak rozjarzył się z tą samą niepojętą radością, którą isniły jej oczy. Reka Quintusa powędrowała do piersi, jakby w salucie, lecz zamiast tego odnalazła brązową figurkę.

-Zatancz dla nas - powiedział. - Poprowadz nas.

I Kriszna zatancy. Swiatlo wykwitlo z dloni Quintusa i mala figurka zaczela swoj taniec radosci i smutku. Potem zeskoczyla z jego dloni, urosla i ruszyla w kierunku ruin na wzgorzach podskakujac i obracajac sie.

-Chodźcie, chłopcy - powiedział miękko Quintus - trzymając się za ręce, jakbysmy znów byli na farmie.

Rufus zacisnął dłoń na ręce trybuna. "Ten chwyt mogłoby zmiąć" - pomyślał Quintus, kiedy spotkał centuriona po raz pierwszy. Był wówczas chłopcem, choć miał prawo do tytułowania się "trybunem". Teraz odpowiedział uściskiem równie mocnym.

-Nie patrzcie - wyszeptał. - Nie czujcie. Wszystko wokół to kłamstwo. Patrzcie na światło. Tylko na światło.

-Światło - szepnął chrapliwie Rufus, po czym krzyknął donośnie. - Widzę płomień.

Złapał rękę stojącego z drugiej strony towarzysza i pociągnął ją.

-Popatrz na światło, patrz na nie! czego się boisz? Dam ci coś, czego można się bać! - krzyknął.

Ktoś się zaśmiał, czym powinien zasłużyć sobie na szybka kara - lecz teraz Quintus i centurion byli szczęśliwi, słysząc to. Śmiech, tak jak światło, oddalał strach i ciemność.

Draupadi roześmiała się i połączyła dłonie żołnierza Ch'in i legionisty. Rzymianin i Ch'in szli teraz ręką w rękę, przechodząc pod Lukiem w górę stoku. Nawet jeśli poszarpanej linii marszu brakowało dostojności parady, to przynajmniej szli o własnych siłach, nie poddając się rozpaczce. Podawali za sylwetka Kriszny, uwolnionego z pułapki krepującego go gorsetu z brązu.

-Ty też, chłopcze! - Rufus sięgnął po dłoń Luciliusa, ale ten odtracił ją ze wstydem.

Mimo to nie mogli pozwolić, by zginał. Quintus skrzywił się.

Lucilius zachwiał się, a na jego twarzy malowało się nieledwie szaleństwo wywołane tym co jego umysł mówił mu, że widzi. O czym myślał, stawiając kolejny krok? Quintus wzdrygnął się - wygrali bitwę ze śmiertelną iluzją, lecz Lucilius dokonał tego sam.

-Przeprowadzić zwierzęta! - krzyknął Ssu-ma Chao. Wielbłądy i konie, mrużąc oczy, przechodziły pod Lukiem.

Ktoś krzyknął nagle i wyrwał się z uścisku sąsiada. Nie mając siły Luciliusa albo jego uporczywości - zaczął przeraźliwie krzyczeć. Usłyszeli uderzenie bezwładnego ciała o ziemię.

-Zabił go własny strach - powiedziała Draupadi. - Chodźmy. Trzeba się pośpieszyć.

-Idz pierwsza - wycharczal Ganesia i oparl sie o sciane. - Dogonie cie. No, idz juz! Obiecalem.

-Slyszalas go - odezwal sie Quintus. Draupadi spojrzala na niego ze smutkiem w oczach. - Idz!

Odwrocil sie do starego maga. Twarz Ganesii poszarzala.

-Chodz, starcze. Wez mnie pod ramie. Nie musisz tanczyc, wystarczy, ze bedziesz powoli szedl. Zrobisz to!

Ganesia osunal sie na ziemie, lecz Quintus podniosl go i pchnal w gore zbocza. Halucynacje rozwialy sie, a oni stali w czystym, nocnym powietrzu. Czekali.

Draupadi padla na kolana, siegajac po jakis przedmiot lezacy na ziemi.

-Spojrz - powiedziala z zalem, podnoszac cos, co tak wiernie im sluzyl. Kriszna byl znowu brazowa statuetka. Lecz teraz jej ramiona bezwladnie opadly jakby znuzone zbyt dlugim tancem. Jedno bylo zlamane. Figurka zaczela kurczyc sie w dloni Draupadi, wreszcie zamienila sie w garstke popiolu.

-Twoj talizman zatanczyl po raz ostatni - dodala. Troskliwie wysypala te szczypte popiolu na ziemie i przykryla plaskim kamieniem.

Quintus uniosl dlon w pozdrowieniu i dotknal nia miejsca nad sercem, gdzie talizman spoczywal praktycznie od chwili, gdy pozegnal dzieciinstwo wchodzac w wiek mlodziencyz. Odszedl, tak jak chlopiec, ktory go znalazl. Ale mezczyzna, na ktorego wyrosl, ciagle pamietal o wszystkich przestrogach, tak czesto ratujacych mu zycie.

To prawda, mial Orla, ale tanczaca figurka z brazu byla jego tylko straznikiem i skarbem. Bedzie mu jej brakowalo.

Draupadi, stojaca u jego boku, byla prawdziwa. Pomyslal, ze jesli oboje przezyja, moze nie bedzie tak bardzo tesknil za talizmanem. Jej dlon wsunela sie w jego dlon. Ten dotyk sprawil, ze poczul sie jak w chwilach, gdy ozywal Orzel. Znak rozsiewal w ciemnoscach uspokajajacy blask, niczym ognisko, wskazujace droge bladzacym podroznikom. Rzymianie i Ch'in skupili sie wokol ptaka, jakby ogrzewajac sie w jego swietle.

Draupadi zadrzala. Quintus przesunal Orla w jej strone, lecz ona pokrecila glowa.

-Sa tam. Czujesz ich?

-Kto? - zapytal. - Czarni Naacalowie? Zaatakowaliby juz dawno, probujac zniszczyc to, co jeszcze zostalo z naszych oddzialow.

-Nie oni. Cicho! Zaczekajmy.

Quintus posлуchal jej. Po chwili miedzy skalami rozblysy punkciki drzacego swiatla, ktore przybieraly na sile, przekszalcajac sie w plomienie i podskakiwaly, jakby niosacy je ludzie schodzili powoli i niechetnie do oczekujacych zolnierzy.

Potem zatrzymaly sie. Czekaly.

Rozdzial dwudziesty osmy

Metal zachrzescil za plecami Quintusa i zolnierze ustawili sie w polkole, gotowi do obrony.-
Lucznicy - zakomenderowal Ssu-ma Chao. Nawet wystrzelona w mroku nocy chmura strzal moze przetrzebic... to, co obralo sobie za siedzibe ukryte w ciemnosci skalne rumowisko.
Komenda oficera Ch'in nie byla wiec pozbawiona sensu.

"Strzaly swiszczaly i bzykaly, niczym ul dzikich pszczol, tracony wlocznia. Ktos krzyknal i upadl, chlustajac krwia. Tak poległ Drona, nauczyciel wojownikow i ksiazat" przemknelo Quintusowi przez glowe - albo to Arjuna przywolal wspomnienia.

Problem poległ na tym, ze grad strzal mogl zabic czesc przeciwnikow, lecz pozostalych zagrzac do boju. Najlepsza taktyka byloby zatem ruszyc za nimi miedzy skaly - ale nie noca.

Quintus potrzasnł glowa.

-"Testudo" - zarzadzil. - Badzcie gotowi. I upewnijcie sie, ze ochraniacie ludzi z Ch'in.

Nie wyszkolono ich do walki w tak scislym szyku, lecz byli sojusznikami; poza tym mial nadzieje, ze ten nowy wrog nie zna rzymskiej taktyki.

Orzel lsnil nad nimi, podobny do jasniecego, mniejszego ksiezycy - jak na niebie, tak i na ziemi. Quintusowi wydawalo sie, ze widzi schodzace z gory postacie, wpatrujace sie w nich rozszerzonymi oczami, z otwartymi ustami i sztywnymi plecami, jakby zmuszali sie do ruchu. Czyzby, tak jak Rzymianie, nauczyli sie nie ufac obcym?

-Idz na tyly, Draupadi - Quintus popchnal ja delikatnie.

-Bedziesz potrzebowal... - zaczela.

Ganesia znalazl sie na przodzie wsrod legionistow.

-Nie atakujcie - rozkazal. - Nie robcie gwałtownych ruchow.

Jego autorytet byl tak absolutny, a on sam, okryty udrapowana szata Naacala, wywieral tak silne wrazenie, ze Quintus zdjal reke z miecza. Wzniosl dlon, powstrzymujac ludzi, nim ci zdazyli podniesc tarcze, by uformowac "zolwia", chroniacego przed pociskami.

Starzec wygładził szate, nieskalana trudami i kurzem pustyni. Jej złoty haft błyszczał w świetle księżycy i Orla.

-Chodź ze mną, Draupadi - poprosił. - Musimy ich powitać.

-Zwariowałeś? - krzyknął Quintus. Jeszcze przed chwilą Ganesia zdawał się omdlewać z wyczerpania, a teraz chciał ryzykować życie.

-Doprawdy? Wytropiliśmy siedzibę Czarnych Naacalów. Ci zaś - wskazał na punkciki ognia wśród skal - nie zaatakowali nas, co tamci uczyniliby z pewnością. Dlatego też, prawdopodobnie nie są naszymi wrogami...

-Moga być szpiegami - zasugerował Ssu-ma Chao.

-Lub duszami, pogrążonymi w udreće! - rzuciła Draupadi. - Wiesz, co widziałeś pod Kamienną Wieżą. Zobaczyłeś, do czego są zdolni Czarni Naacalowie. Terror i cierpienie to ich słudzy, lecz mają także ludzkich niewolników.

-Co ich powstrzyma przed zabiciem nas, by zadowolic swych władców? - parsknął Lucilius.

Ganesia potrząsnął głową:

-Co powstrzymuje każdego niewolnika przed zwroceniem się przeciwko swojemu panu? Strach. A co daje człowiekowi siłę do oporu i buntu? Większy strach - być może lub przykład odwagi, przekraczającej wszystko, o czym taki człowiek osmieliłby się kiedykolwiek marzyć.

Quintus przypominał sobie drogę, wzdłuż której stały krzyże; każdy z nich dźwigał umęczone ciało człowieka. Gladiatorzy. Kim był dla nich Spartakus? Czy budził w nich lek, czy podziw?

"Poparcie dla gladiatorów i zbuntowanych niewolników? I ty nazywasz siebie Rzymianinem?" To było nierzymskie. Wywrotowe. Ale także ludzkie. Wyobraź sobie człowieka z Tracji lub innego barbarzyńskiego miejsca, wziętego do niewoli, sprzedanego, by potem co wieczór na oczach tłumu gapiów walczyć krwawo o swoje życie. Nawet w porównaniu z tym, co widział pod Kamienną Wieżą, tamto było wizją Tartaru.

Quintus obserwował zbliżające się pochodnie. Być może to niewolnicy. Przerazeni niewolnicy. Niech Jupiter Optimus Maximus sprawi, by choć część z nich miała odwagę gladiatorów, którzy poszli za Spartakusem i doszli do samego Rzymu. Jakimż byłiby teraz wsparciem!

Zdawało się, że Ganesia odczytał jego myśli. Quintus usłyszał jego gorączkowy szept.

-Jesteś wojownikiem i, jeśli się nie mylę, dowodzisz tutaj, muszą Ci więc zaufać. Pojść i porozmawiam z nimi.

-I ja - deklaracja Draupadi była oczywista.

-Jeśli to, co mówicie, okaże się prawda, to właśnie kapłani ich zniewolili. Moga więc się was obawiać - powiedział Quintus. - Może lepiej, żebym poszedł ja.

-Nie sam - zamruczał Rufus. - Nie sam. Gest Quintusa uciszył go.

Draupadi pokręciła głową. Jej długie, czarne włosy rozsypały się na połyskującej szacie.

-Zło, wyrządzone przez jednych kapłanów musi naprawić inni. - Postąpiła krok ku niemu i spojrzała mu w oczy. - Ale jeśli chcesz, idź kilka kroków za nami, i oświetlaj nam drogę.

Ramię przy ramieniu, tak jak maszerowali wcześniej gdy przekraczali Luk, szli ku skalom i ukrytym wśród nich ludziom. Za nimi szedł Quintus, trzymając Orla wysoko w górę, jak chorąży podążający za dowódcą.

Światło Orla pojasniało i okryło ich, jakby rozwinał teraz swoje mocarne chroniące ich skrzydła. Białe szaty Naacalów błyszczwały, dodając Draupadi i Ganesii majestatu bogów: pierwotnych, surowych, odzianych w biel. Nie można było wyobrazić ich sobie płaczących, przestraszonych, czy choćby podróżujących krainą taką jak ta.

To prawda, że było ich tylko dwoje. Lecz gdy tak dumnie kroczyli naprzód, Quintus zrozumiał, jaką siłę musieli stanowić Naacalowie, gdy były ich tysiące zdecydowanych służyć nie tyle prawu, ile prawdzie i dobru. Draupadi i Ganesia mogli być tylko dwiema cielesnymi istotami, lecz duchem stanowili część całego narodu. Unieśli teraz ręce i zaśpiewali w języku, którego dotąd nie używali.

Czas i miejsce znowu uległy zmianie. Zapach i sol morza spowily Quintusa, gdy kroczył za kapłanami w stronę ołtarza, poświęconego samemu Plomieniowi.

Światło Orla rozlewało się po spustoszonej okolicy niczym błogosławieństwo. Widział teraz, że wkraczają na jakiś zabudowany obszar. Część wzgórz - chyba największa - stanowiły ruiny gigantycznej Świątyni.

Pieśń Naacalów przyzywała... kogoś... coś... Oczy Quintusa zaszkliły się łzami. Przypomniał sobie wieczory nad Tybrem, kiedy mgły unosiły się w górę, nadając powietrzu delikatny, błękitny odcień. Kiedy ginęło echo - to była pora, by chłopcy tacy jak on wracali do domów, myli się szybko i stawiali za plecami ojców i dziadków, składających ofiary bóstwom domowym, zanim można było przystąpić do wieczerzy przygotowanej z darów pol. Takie proste, bezpieczne życie. Nic dziwnego, że Naacalowie sadzili, iż zwabi ono tamtych - bez wątplenia sterroryzowanych, pozbawionych ludzkich pragnień - do podejścia bliżej.

Błogosławił Ganesie i Draupadi za przypomnienie mu, nawet w obliczu największego z dotychczasowych niebezpieczeństw, o wszystkim, co było mu dane. Odzyskał to, co stracił i pojął wartość tego, co kiedykolwiek posiadał. Nie był sam. Kamienie z loskotem toczyły

sie w dol zbocza. Pochodnie zafalowały, po czym zbliżyły się śmieiej...

...człowiek, idący na czele kolumny, odrzucił lucywo i przypadł do stop Ganesii i Draupadi. Jego ramionami wstrząsnął szloch. Piosenka urwała się i kapłani jakby nagle zmaleli: stary mężczyzna i piękna kobieta, próbujący podźwignąć ciężar upokorzenia człowieka, który wiele wycierpiał, który bał się i strach wciąż go nie opuszczał, lecz który ujrzał coś, co mogło go ocalić.

Za nim pojawiło się wiele więcej ludzi, czujnych, lecz świadomie podejmujących najbardziej ryzykowną decyzję: zaufać kapłanom w białych szatach, którzy ich tu przyzwali.

Gdy się zbliżyli, dostrzegli za Ganesia i Draupadi uzbrojonych żołnierzy, i zamarli.

Draupadi ruszyła naprzód, Ganesia za nią. Quintus zrobił krok w ich kierunku, chcąc im towarzyszyć, lecz ona powstrzymała go, nakazując by został w miejscu, z którego mogłoby dowodzić legionistami.

Mężczyźni - wszyscy byli mężczyznami - wyglądali na zamieszkujących opuszczone ruiny rozbojników, polujących na starych, chorych i nieostrożnych. Tyle że... byli między nimi także starcy, wpatrzeni w Naacalów z rozpaczliwą nadzieją.

Zdawało się, że białe szaty rozbłysły jasnieszym blaskiem. Jeden z tajemniczych wrogów wystąpił z cizby i ruszył kustykając naprzód. Miał zapadnięte policzki, przygarbione plecy i ciężko wspierał się na kuli.

-Jak możemy pomóc ci, synu? - spytał go Ganesia.

Quintus zamrugał oczami. Jakim językiem on mówi? To nie było w Ch'in, nie był to również partyjski. Na pewno nie był to jeden z języków Hind. Mimo to rozumiał go, jakby Ganesia przemawiał łaciną, której trybun rzymski uczył się od dziecka.

-Jestes głodny, spragniony? Przestraszony? Nasi przyjaciele ochronia cie - obiecał Ganesia.

"Zapytaj, czy mają wodę!"

Starzec o plecach przygiętych do ziemi nie opuszczającym go strachem i parszywym życiem zaczął trząść się gwałtownie. Kula wypadła mu z bezsilnej nagle ręki i omal się nie przewrócił. Obecność Draupadi uratowała go przed ponizieniem. Podtrzymała go, dopóki inny mężczyzna, młodszy, choć równie wynędzniały, nie podał mu kuli.

Pomimo jego protestów, Draupadi pomogła mu poprawić szatę. Kosmyk jej włosów opadł na jego twarz, błyszczący jakby zmoczyły go łzy. Kiedy starzec stanął pewnie na nogach, odsunęła się. W świetle Orła widac było na twarzy staruszka radość i łzy, wypełniające bruzdy wyłobione przez strach i wiek. Wyglądał na znuzonego i długo ponizanego. Lecz

teraz rozjasnił się.

-Dwoje Dzieci Słońca - szepnął. Zaczął szlochac z pełnej niedowierzania radości.

-Po tak długim oczekiwaniu, wbrew wszelkim niebezpieczeństwom przybyli tutaj, by nas ochronić przed mrokiem.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Żołnierze i niewolnicy stoczyli się w pomieszczeniu, które kiedyś musiało być częścią pałacu lub świątyni. Pod stopami nie chrzęścił zwykły żwir, lecz kamyczki i potrzaskane szklane płytki, popękane pod wpływem ciepła z troskliwie podtrzymywanego ognia. Zachowały się fragmenty dwóch ścian szczytowych budowli. Jedną z nich ozdabiał fragment wspaniałego niegdysz fresku, przedstawiającego weza, który był symbolem boga Naacalów, na drugiej zaś widniała grupa kapłanów, zbliżających się do ołtarza. Teraz, kiedy niewolnicy przekonali się, że obcy nie są Czarnymi Naacalami, zadającymi nowych ofiar, pojawiły się wśród nich kobiety. Zwodnicze światło sprawiło, że wszyscy oni wyglądali jak żywi - wysocy, jasnowłosi synowie i córki Ojczyzny, niżsi Ujgurowie o wąskich oczach, ubrani w szaty ozdobione radosnym wzorem i Poludniowcy, bliźniaczo podobni do Ganesii i Draupadi. Pod nimi stali nieszczęśliwi przedstawiciele młodszych ras, schwytani w sieci Czarnych Naacalów - ludzie z Ch'in, Hind, nawet jeden czy dwóch Hsiung-nu, czy też ich odlegli kuzyni, okutani w grube materiały i futra. Żołnierze Ch'in patrzyli na nich podejrzliwie, lecz najwyraźniej uznali, że są gośćmi w ich domu, o ile te ruiny można było nazwać domem.

Ganesia wystąpił naprzód i rzucił w ogień kosmyk włosów. Plomien rozjarzył się, a dym buchnął w nocne niebo.

-Czy nie dowiedza się, że tu jesteśmy? - spytał Quintus.

-Oni? Jak mogliby o czymś nie wiedzieć? - odpowiedział pytaniem człowiek, ubrany w stroje koloru szaty Ganesii. - Jakże to? Część z nas - lub naszych przodków - została przez nich poczęta. Inni... Myślałem, że umrę na pustyni, wpatrzony prosto w słońce, gdy padł z pragnienia nasz ostatni wielki. Zabrali mnie i moich towarzyszy, ratując nas z opresji. Na początku myśleliśmy, że trafiliśmy na dobrodusznych wybawców. Potem...

-Jak długo tu jesteś? - spytał Ganesia. - Valmiki, masz za sobą wiele wiosen. Przypominasz sobie? Spójrz w gwiazdy i odpowiedz mi uczciwie.

Najstarszy z mieszkańców ruin podzwignął się z mozołem. Ganesia podsunął mu ramię.

-Panie, nie osmieliłbym się.

-Valmiki.

Starzec ustąpił. Ganesia wyprowadził go przedświątynie, by przyjrzał się gwiazdozbiorom.

-Pamiętasz Zniszczenie Ojczyzny? - Draupadi spytała kobietę o czystych rysach.

-Pamiętam - wyszeptala z płaczem. Jej oczy plonely, lecz po chwili zgasly z przerazenia. - Och, nie pros mnie, bym o tym opowiadala. Ziemia drzala. Slonce zniknelo i nie widzielismy nic poza wzgorzem. Kinte powila wtedy syna i sama umarla. Kiedy spojrzelismy znowu, woda wyschla, a ziemia, ktora byla morskim dnem - pekla.

-Syn Kinte? - spytała Draupadi. - Jest tutaj?

-Blagam, nie przypominaj mi o tym! - krzyknela kobieta. - Zabrali go.

Lucilius odsunal sie od ogniska. Nawet teraz byl wybredny - nienawidzil zapachu palacego sie nawozu - choc cieszyła go mozliwosc ogrzania sie. Quintus uslyszal, jak pozdrawia Ganesie. Do Valmiki sie nie odezwal.

-Nie jest glodny? Zaraz bedzie jedzenie... - zapytala jedna z kobiet.

Draupadi wzruszyła ramionami, pochlonieta uspokajaniem szlochajacej kobiety.

-Jestescie szczodrzy - powiedziala. - Dzielicie sie z nami. Dajecie nam wode.

-Sledzic go? - zapytal ktorys z rzymskich legionistow. Rufus uciszyl go warknieciem. Zdrajca czy nie, wciaz byl trybunem. Zreszta, nie tylko to martwilo centuriona. Ojciec rodu mogl decydowac, ktore z dzieci beda zyc, a ktore trzeba porzucic, bo sa za slabe. Mogl. Ilu tak zrobilo? Rufus pomyslal, ze z pewnoscia zbyt wielu. A Czarni Naacalowie przywlaszczyli sobie to prawo... Quintusowi przyszlo na mysl, ze stary centurion ma juz tylko jedno pragnienie - zemste.

-Jak streczyciele z Kartaginy - mruknal do zolnierzy. Jeden z nich odburknal cos oburzony: nie ma nic gorszego, nic bardziej skandalicznego niz tajemny kult, ktory ulegl wypaczeniu. A Tofet z Kartaginy laczył nienawisc do wrogow z przerazajaca fascynacja siedliskiem zgorzenia i zla.

Kobieta, blagajaca by nie zadawac jej pytan, zawisla na ramieniu Draupadi. Szeptaly cos do siebie, najwyrazniej nie chcac, by ich rozmowa dotarla do uszu mezczyzn.

-Pochodzi z Polnocy - powiedziala Draupadi. - Jest tu od dawna, jak Valmiki, odkad swiat ulegl przemianie. Jest prawie moja rowiesniczka - dodal wahaniem.

-A inni... - zaczal Quintus. Rozejrzal sie wokol. Byli tu ludzie z calej Azji: niektorzy uratowani z ginacych karawan, jeden czy dwoch zagubionych na pustyni, kilku kupionych na bazarze - odrzucona konkubina, ranny jezdziec czy podroznik, zbyt slaby lub zbyt stary, by wytrzymac trudy przeprawy przez pustynie. Zebrani i tutaj zostawieni.

Oczy błyszczaly w ciemnosciach. Mezczyzni i kobiety wchodzili i wychodzili, by dopatrzyc swoich obowiazkow. Czarni Naacalowie obserwowali ich, czy biesiadowali? Rzymianie bali sie zapytac. Ilu z nich przezylo? Ilu z nich sluzyl ze strachu, a ilu z lojalnosci? Quintus oddalby rok zycia za odpowiedz na te pytania, choc zdawal sobie sprawe, ze jego ofiara nie ma juz zbyt duzej wartosci.

-Ucieklibysmy. Ale dokad?! - krzyknela kobieta. - Mielismy swiete pisma. Czesc z nas miala zlote szaty. Tych kilkoro, ktorzy przezyli i wiedzieli, gdzie sa nasze swiete skarby, celowo zacmilo swoje umysly, by tamci nie wydarli nam naszych tajemnic.

Uniosla dumnie glowe.

Quintus zacisnal dlonie. Tajemnice Naacalow - zwoje, tablice, bogowie wiedza, co jeszcze - byly zdobycza, dla ktorej Czarni Naacalowie nie zawahaliby sie zabic. Mordowaliby nawet wtedy, gdyby byly dla nich bezuzyteczne, po prostu zeby powstrzymac innych przed wejciem w ich posiadanie.

Tajemnice. Wiedzial, ze ci ludzie je maja. Ale dlaczego, wladajac mocami straszliwymi niz mogli sobie wyobrazic - pozwolili zalozyc sobie jarzmo niewoli, strachu i nienawisci?

Po chwili skrzywil usta. A coz lepszego o n osiagnal? Znalazl sie w takim samym polozeniu, zmuszony sluzyc tym, dla ktorych czul pogarde. Ale tamta sluzba, w porownaniu z panowaniem Czarnych Naacalow, przypominala najcudowniejsza opieke.

-Wiem o czym myslisz, mlodziencze. - Glos kobiety byl gorzki. Draupadi szepnela cos kojaco, lecz tamta potrzasnela glowa. - Patrzysz na nas. Jeste wojownikiem i przygladasz sie nam, i myslisz: "Czemu sie poddali? Dlaczego nie uciekli? Niektorzy probowali. Hulagu uciekl. Mowil o sobie, ze jest dzieckiem pustyni: jesli jedna gwiazda przywiodla go tutaj, to inna poprowadzi do domu. Wrocil z wojownikami swojego klanu. Miel nadzieje zwyciezyc Czarnych. Lecz nawet oni, ktorzy pija z czaszek wrogow, stali sie tym, czym jestesmy my: niewolnikami Czarnych Naacalow. Kiedy zabrali syna Kinte i jej biedne ciało do swoich oltarzy, zabrali Rehu i Cho. Miel cala nasza... wode - kobieta podniosla reke do ust. Jej palce byly krzywe i powyginane. - Przyszli noca... zabrali ich i przywiazali do Luku. A gdy niebo i ziemia wrocily na swoje miejsce, ujrzelismy ich. Czy raczej ich kosci. Pozniej czas znowu zawirowal i kiedy mogliśmy cos ujrzec, juz nic po nich nie zostalo.

-Wierzycie w to, co wam mowia o swiecie na zewnatrz? - odezwal sie Rufus.

-Zniszczyli nasz swiat! - wykrzyknela kobieta. - Sama widzialam ludzi, odpadajacych od wiosel, czepiajacych sie ich kurczowo, gdy ostatnie statki wyplywaly z zatoki. Jak moglibysmy im nie wierzyc - lub osmielili sie nie byc posluszni?

-Pani - rzekl Rufus - mogliście jeszcze umrzec.

-To prawda. Ale mamy dzieci i zawsze, zawsze pozostaje chocby cien nadziei. Taki, jaki wy

tez musicie miec - odparla - inaczej dawno byscie umarli.

Jej oczy rozblysy na widok Draupadi, ogarnelo ja straszliwe podejrzenie.

-Ale ty... ty jestes mloda. Jasnoskora. Moze ty...

-Czesto ich widujecie? - wmieszal sie Quintus. Widzial niewielu Czarnych, ale nie pragnal widziec ich wiecej. Jak tak niewielu oprawcow moglo terroryzowac tych ludzi od tylu pokolen, i tak bardzo, ze zyli w poddanstwie, z pokora czekajac na powrot swych panow? Trudno uwierzyc, ze istnieja gdzieś mistrzowie zniewolenia strachem lepsi od Legionow Rzymu. Tamta podwojna linia ukrzyzowanych, gnijacych cial - takie ostrzezenie sluzilo dopoty, dopoki zyli niewolnicy, ktorzy je widzieli. Ale to byl strach fizyczny, a nie owo unicestwienie ducha, ktore dotknelo tych rozbitkow.

Czas i przestrzen zlaczyly ich tutaj na wieki. Znali sie tak dobrze, ze wydawali sie nie potrzebowac slow do porozumiewania sie - albo posiadli ten talent od tych, ktorym sluzyli. A jesli tak, to czy mogli im w pelni zaufac?

"Ilu z nich - zastanawial sie - dysponuje moca rowna Draupadi i Ganesii?" Pomyslal o kobiecie, tej, ktorej dlonie byly tak okrutnie powykrepane, zapewne przez tortury. Sluzyla, ale nie poddala sie.

Czemu jednak nie wykorzystala swej mocy? Byly tu, jak mowila, dzieci. Lecz bylo cos jeszcze, co moglo ich powstrzymywac. Ukryli swoje male klejnociki wiedzy, swoje magiczne talizmany. Mowili, ze nie pamietaja jakie. A takie sekrety... latwo zapomniec... tu zmarly mezczyzna, tam dziecinniala staruszka... I gdzie sa ich tajemnice? Pozbawione znaczenia slowa i wskazowki. Byc moze to wszystko, co im teraz pozostalo.

A nawet jesli przechowali nauki Bialych Naacalow i potrafia je wykorzystac, to czy wciaz tego pragna?

Czy z tej samej przyczyny Draupadi i Ganesia, po tylu latach ucieczek i odkrywania tajemnic Czarnych, mieli jeszcze wole walki?

Quintus pomyslal, ze byli mistrzami czekania. Ale czekania na co?

Odpowiedz, ktora znalazl, sprawila ze chcial krzyzec. Oczywiscie. Przeciez czekali na niego! Czemu nie walczyli, kiedy byl Arjuna, ksieciem, polbogiem?

Arjuna byl ksieciem, ale nie byl Rzymianinem. Pandavasem, byc moze. Mistrzem swoich sztuk. Lecz Rzym byl potega. Tak jak Ojczyzna.

Najlepiej bedzie sie dowiedziec - pomyslal.

-Wiec siedzicie tutaj - spytal - jak kroliki tuczone na stol?

Mezczyzna imieniem Manetho, ten który pierwszy podszedł do Naacalów, spojrzal na niego spode lba.

-Bronimy sie jak mozemy - powiedzial. - Bez watpienia uznasz nasz opor za nedzny. Pozwol, ze pokazemy ci nasze srodki obronne - nasze sciany i pulapki...

Manetho mial i dume, i rozum. Quintus podejrzewal, ze nie pokaze Rzymianom wszystkich zabezpieczen.

-Jesli chca czegos od nas, musza przyjsc i tego zazadac - powiedziala kobieta. - Ukrywamy sie i przeczekujemy. Kiedy sa daleko, mamy nadzieje... Dlatego kiedy wracaja, coraz trudniej to zniesc, bo wtedy tracimy nasze marzenia. A potem pojawiaja sie znowu i ich powrot jest jeszcze gorszy niz poprzednio.

-Ale teraz wy tu jestescie - nie wytrzymal jeden z mlodszych mezczyzn. - Daliscie sobie rade z gniewem Czarnych Naacalów i jestescie wojownikami. Mozecie nas poprowadzic!

"Bylem rolnikiem - pomyslal Quintus - który chcial tylko osiedlic sie na swojej ziemi, miec mula i tyle ciemnoskorych dzieciaków, ile zeslalaby laska Junony - mnie i Draupadi." Obraz Draupadi, przemienionej w zone chlopa, wywolal usmiech na jego twarzy.

-Pozwolicie, ze pokazemy wam co zdolalismy zrobic, by sie bronic.

-Prowadz.

-Niech pokaza - powiedziala Draupadi. - Podniesie ich to na duchu. Kto wie?...

Quintus wstal, skinal reka na kilku legionistow, by mu towarzyszyli i przywolal Rufusa.

-Obejmij dowodztwo do mojego powrotu. Rufus spojrzal na niego:

-Znowu klopoty?

Trybun wzruszyl ramionami. Lucilius prawdopodobnie oddalil sie na dluzej. Quintus, uznajac ze sa sobie rowni, zakazal go sledzic, poza tym czujac sie bezpiecznie i bezkarnie moze sam zdradzi sie ze swymi matactwami.

-Jesli wktotce powroci trybun, niech myśli, ze dowodzi, ale...

Rufus kiwnal glowa. Quintus siegnal po znak.

-Panie - powiedzial Manetho - to przedmiot obdarzony moca. Tutaj oslaniaja go sciany swiatyni. W bezruchu nocy zaswieci niczym plomien i przywola naszych oprawcow.

Zostawic Orla, który kosztowal ich tyle krwi, zycia i ducha? To byl orez, ktorego tak dlugo szukali - on i Biali Naacalowie. Obserwowali go; wokol ogniska rozleglo sie szemranie.

Pomruki przerodziły się w plataninę wszystkich języków, którymi tutaj mówiono - tak szybko, że nie mogli nic zrozumieć.

Gdyby zostali tu uwięzieni, musiałby jeszcze pożywić tych ludzi, pić ich wodę i ufać im tak, jak oni musieliby ufać jemu. Skoro chciał poznać tajemnice ich mocy, musiał oddać im swoje.

Podał drzewce Rufusowi, pewny że znak przyjmie nowego chorazego. Nie mylił się.

-Na prochy twych przodków - powiedział mu - i na twoją przysięgę.

Rufus zasalutował.

-Na moją duszę - przysięgał.

Wyszli przed świątynię, przeslizgując się koło Ganesii i Valmiki, wciąż wpatrzonych w gwiazdy i potraszających głowami. Zauważył, że od obserwacji całych konstelacji przeszli do poszczególnych ciał niebieskich - rozmowa dla adeptów magii lub kapłanów, nie dla wojowników.

Quintus i Manetho okrzykli występ skalny, który niegdyś mógł być częścią zewnętrznych murów. Niebezpieczna ścieżka prowadziła przez skalne rumowisko wprost ku pochylonej wieży. To wtedy poprowadzono Quintusa.

-Idź po moich śladach - przykazał mu Manetho.

Quintus ruszył za nim zamaskowana wśród gruzów ścian ścieżka, która wyglądała jednak na dosyć często uczęszczaną.

-Stad - szepnął Manetho - nasi najmłodszy chłopcy i dziewczęta wypatrują śladów karawan... albo... - nie dokończył.

-A kiedy je zobaczymy, zastanawiamy się, czy starczy nam odwagi, by wyjść im naprzeciw. By ostrzec ich przed tym, co stało się z nami.

Quintus pochylił głowę.

-Nas nie ostrzeżliście.

Mężczyzna potknął się o sterczącą płytkę. Błysnęła na chwilę, po czym zniknęła przesłonięta przez większy głaz.

-Widzieliśmy, co niesiesz i wyczuwaliśmy moc. Szedłeś prosto do Luku, jakbyś wiedział, czego oczekiwać i jak z tym walczyć. Światło, broni nas, zobaczyliśmy Naacalów i osmieliliśmy się nabrać nadziei. A teraz jeśli się nam nie uda i przegramy, będziecie mieli całe wieki na to, by nas znienawidzić.

-Ci Naacalowie nie zywia nienawisci - powiedzial Quintus.

Sciezka, ktora wiodl go Manetho, prowadzila do gruzow ogromnego warownego muru. Jakze wygladal kiedyś ten palac czy swiatynia, kiedy wznosil sie dumnie na wzgorzu wienieczym wyspe? Pomyslal, ze gdyby zamknal oczy, odkrylby go odcisniety na wewnetrznej stronie powiek i w swych najglebszych wspomnieniach, tak starych, ze nawet lata, ktore spedzil zyjac jako Arjuna, wydawaloby sie tak niedawne. Forteca rozblysla we wspomnieniu - masywne, strome mury pomiedzy pylonami, otaczajace zespol wiez, gorujacych nad zatoka i odbijajacych sie w blekitnej wodzie.

Zerwal sie nocny wiatr. Przyniosl zapach slonego potu i morskiej wody - zamierzchle wspomnienie utraconego morza.

Noc byla ciemna, spowijajaca wszystko czern wynikala zarowno z godziny, jak i z nastroju tego miejsca. Swiatlo, zycie i moc, ktore emanowaly z grzbietu wzgorza, odeszly, by mogly je zastapic groza, glod i cierpienie.

Zesztywnial. Wydawalo mu sie, ze powrocilo przerazajace syczenie. Manetho odgadl, o czym myslal.

-Tu nie ma wezy - zapewnil go. - Czarni Naacalowie nie pozwoliliby, by zagrazaly nam te pustynne stworzenia. Trzymaja swoje bydlo dla siebie.

Spojrzel bystro na Quintusa.

-Swiatlo wie, ze nie jest to los, ktory sobie wybralismy, ani tez miejsce dobre na bitwe. Ale my zamienilismy te ruiny w nasza fortece, w nasza redute...

"Teraz takze w wasza" - odgadl mysl, ktorej Manetho nie ubral w slowa.

-Wygladasz na czlowieka - dodal - ktory stracil swoj dom. Przykro mi.

-Te sciany sa mocne. - Quintus odpowiedzial na czesc slow przewodnika. Uwazal, ze legionowi inzynierowie zrobiliby z nich cudo. Ale nie myslal tylko o fortyfikacjach.

Czy czegos zalowal? Czy zalowal upokorzen, poklonow i plaszczenia sie przed glupcami pokroju Luciliusa? Ten czlowiek i jego ludzie przecierpieli znacznie, znacznie wiecej. Przezyli niewolnictwo straszniejsze niz to, ktore krzyzami zwieczilo rzymskie drogi.

Oczy zaszly mu lzami. Mocno zacisnal powieki. Przeszli tak wiele, a teraz Manetho przepaszal go? Czy - tak naprawde - zalowal samego siebie?

Lamentowal nad smiercia Legionow pod Carrhae i oplakiwal kazdego, kogo zabrala smierc podczas ich morderczej wedrowki. Mogl jednak sam wykuc swoj wlasny los, sprobowac odzyskac fortune rodziny lub honor Legionu. Zbuntowani gladiatorzy nie mieli takiego

wyboru. Cwiczo no ich, niczym dzikie zwierzeta, by zabijali na piasku areny inne zwierzeta. Miesiac wytchnienia od zbroi lub sieci i trojzeba byl ich najwiekszym marzeniem. Ale przypomnieli sobie, ze sa ludzmi. Zbuntowali sie i zgineli.

Tutaj, ci rozbitkowie w czasie i przestrzeni, oddzieleni od swiata pustynia tak straszna, ze Trachonitis jawilo sie przy niej drugim Elizjum, znosili niewolnictwo, nie tylko ciala, ale duszy.

Na pewno mysleli o buncie niejedyn raz podczas okrutnych lat niewoli. Jakie to latwe - klaniac sie oltarzom, a potem zebrac sily i uciec. Sprytni niewolnicy godzili sie na upokorzenia, by zyskac przywileje, a moze nawet wolnosc. Mimo to Spartakus, ktory moglby dozyc wolnosc jako gladiator, postapil inaczej.

-Dlaczego? - zapytal.

-Dlaczego wciaz probujemy? Panie, widziales do czego sa zdolni Czarni Naacalowie - my z nimi zyjemy. Kiedy przychodza, by zazadac jednego z nas do swoich... rytualow, ich slowa sa - jakby to powiedziec - wyglodzone. Jakby nie zadowalalo ich samo zabijanie; musza wyszac z nas caly strach i przerazenie. Nie tylko w takiej chwili, lecz przez cala noc. Powietrze... powietrze gestnieje i rozlega sie przerazajacy grzmot. Tesknimy za furia burzy, ktora wypelnilaby te niecke. Tesknimy nawet za kolejna nawalnica, taka, jaka zmiotla nasza Ojczyzna. Pragniemy by nadeszla fala, ktora zakryje dno, oczysci i umyje to miejsce, az skaly ponownie zablyсна czystoscia. Ale to sie nigdy nie zdarza. Powietrze jest parne i cuchnie zgnilizna; oddychajac nim czujesz, ze pluca wypelnia ci krew. Widzialem starca, ktory umarl w takiej wlasnie chwili. Mysle, ze po raz pierwszy musialem poczuc ten strach i te ohyde jeszcze w lonie matki, tej nocy, gdy Naacalowie rozerwali na strzepy mojego ojca.

Quintus spojrzal w bok.

-Ja tez stracilem ojca. Rowniez w bitwie...

-Smierc twojego ojca byla czysta - powiedzial Manetho. - Mojego zas... Powtarzam sobie, ze smierc stawia czlowieka ponad bolem, ponad swiatem... Nie mysl jednak o nas jako o nieskazitelnych slugach Swiatla, nie wszyscy tacy jestesmy, sa wsrod nas szpiedzy i zdrajcy, a my nie osmielamy sie ich zabic. Zawsze jest to czyjs syn, czyjas matka, ktos, z kim zyliśmy, plakalismy, ktos kogo kochalismy. A poza tym, gdybysmy ich zabili, to kto wie, czy nie stracilibysmy wiecej? Odwracamy sie wiec od nich i oni wkrótce umieraja. - Manetho westchnal. - Mielismy zwyczaj, by lapac ostatnie tchnienie najblizszych nam umierajacych w ich wlasne usta. Oddech tych szpiegow jest plugawy - przez nich porzucilismy nasz obrzed.

Quintus pokrecil glowa. Juz nie wystarczy bezpiecznie stad odejsc. Musi uratowac tych ludzi.

-Wy mozece przynajmniej umrzec - kontynuowal Manetho. - Upasc na ostrze albo obrocic twarz do sciany i glodowac. My... nie potrafimy. Jak dlugo mamy jakas szanse, jakas

nadzieje.

"Pomysl, czlowieku - wrocily wspomnienia Arjuny. - Jezeli wierzysz, ze odrodzisz sie wedle tego jak zyles, pomysl: czego boja sie ci ludzie?"

"To tak, jak z Orlem" - przyszlo Quintusowi na mysl. Nawet kiedy byl tylko znakiem Legionu, nie mogl zostac porzucony i oddany barbarzyncom, poki byl choc jeden Rzymianin. A kiedy zrozumial, ze Orzel jest nie tylko symbolem, ale boskim przewodnikiem i obronca, podobnie jak jego talizman nie jest tylko figurka z brazu, znaleziona w starym grobowcu - inne wartosci okazaly sie wazniejsze od honorowej smierci. Na przyklad przechowanie tych bezcennych przedmiotow lub, w najgorszym przypadku, upewnienie sie, ze nie wpadna w rece wroga, ktory moglby wykorzystac je do unicestwienia cial i dusz swoich ofiar.

-Gdybysmy zgineli - powiedzial Manetho - Czarni znalezliby po prostu inna twierdze i innych ludzi do zniewolenia. Nie moglemy na to pozwolic. - Zapatrzyll sie na pustynie. - Gdy umre, bede modlil sie o odrodzenie w cieles najgrubszego i najbogatszego kupca w jakimś nadmorskim miescie. Zasluzylem sobie na to.

Quintus chcial zaszutowac mu, jakby byl konsulem. Gest przeszedlby niezauwazony: Manetho wpatrywail sie w otaczajace ich piaski. Ksiezyc byl wysoko na niebie; tuman piasku zawirowail w jego bladym swietle, potem opadl. Na horyzoncie zamigotalo slabe swiatlo blyskawicy. Nasluchiwal grzmotu.

Grzmot! Przed czym, zwiazanym z gromem, ostrzegal go Manetho? Rozlegl sie gluchy pomruk. Zerwal sie nocny wiatr, po czym ucichl. Znow zagrzmiailo, teraz blizej. Powietrze zgestnialo. Quintus zapragnal rzucic ciezska zbroje, rozedrzec tunike i wziac gleboki oddech. Trzasl sie, dopoki nie wciagnal do pluc wystarczajacej ilosci powietrza.

Huk grzmotu rozlegl sie po raz trzeci.

-Bedzie ulewa? - zapytal, by ukryc gniew lub strach.

-Chyba krwi - odrzekl Manetho. - Tu nigdy nie pada czysty deszcz. Musimy szybko wracac. Znam ten ciezar na piersiach. Oznacza, ze Czarni Naacalowie sa wsrod nas.

Rozdzial trzydziesty

Zbiegali z wiezy. Quintusowi wyrywailo sie przeklenstwo, gdy stopy, nie znajac dobrze drogi, potykaly sie o luzna plytke lub o kawal gruzu. Manetho poruszail sie szybko i o wiele ciszej, jak zwiadowca obeznany ze swoim terenem, swiadomy kazdego ukrytego miejsca. Quintus zastanawial sie, ilu Naacalow wyruszylo w te ruiny, by nigdy nie powrocic do swego czarnego sanktuarium.

Powietrze robilo sie ciezske i lepke. Nocne niebo przybrailo barwe onyksu, zdawailo sie spadac na jego ramiona, jakby torturujac go swoja waga. Mial poczucie zagrozenia,

zdawało mu się, że coś jest nie w porządku, że ktoś obserwuje go jak weza, któremu chce zmiąć głowę.

"Przyznaj się, a kara będzie mniejsza niż wtedy, gdy twoje przewinienie zostanie wykryte" - tak mu zawsze mówiono. Klamali, och, jakże oni klamali. Udręka jego ducha pogłębiała pokusę, by pójść ku światłu i błagać o jakieś niedzne strzępy życia.

-Szybko - syknął Manetho.

"Ty nic nie ryzykujesz, przynajmniej ze mną" - pomyślał Quintus i zaraz odrzucił tę myśl jako niegodziwą. Możliwe, że ludzie Manetho potrzebują go, by dodał im ducha, jak każdy dobry przywódca. Być może i sam nie chce pomniejszać liczby potencjalnych ofiar, jeśli Czarni Naacalowie zechcą kogoś wybrać.

Och, bogowie! Byli tam przecież i jego towarzysze! Legionisci, Rufus, Lucilius. A gdyby... Ganesia i Draupadi - zgubieni kapłani, wzięci na ofiarę po tylu latach walki i przetrwania. To było "nefas", bluźnierstwo tak ohydne, że Quintus aż nie mógł sobie tego wyobrazić.

-Moi przyjaciele... - jeknął.

-Przywiodłes do nas Naacalów Światła - powiedział Manetho, spiesząc ku ruinom. - Dzieci Słońca. Jeśli Czarni Naacalowie ich zabiorą, zdobędą również ich moc. Rozumiesz? Nie zmarnują jej, lecz ją wchłoną.

Wstrząs poruszył ziemię. Manetho coś szeptał gorączkowo, co brzmiało jak połączenie modlitwy z przekleństwem.

-Muszę się do nich dostać! - wysapał Quintus. Był tam przecież Orzeł, bezpieczny - o ile cokolwiek mogło być tam bezpieczne - pod opieką Rufusa. Ale Draupadi - była tak piękna i młoda, jakby nie dotyczyły jej te straszne przeżycia... Kogoż innego mogliby wybrać Czarni, jeśli nie ją?

-To jest czyn ofiarny, nie pozadanie. Czy też nie tylko pozadanie - wyjaśnił Manetho. - Czy z miłości do słońca będziesz próbował je zdobyć? Poswiecasz życie nie dla honoru, lecz dla zdobyci, pragniesz zmusić duchy do użyczenia ich mocy, którą wykorzystasz tak, jak zechcesz.

"Wierzysz w to?" - Quintus wdrapywał się po skałach.

Oczywiście, że Manetho w to wierzył. To było czymś innym niż karmienie domowego weza czy delfickiego pytona, czymś innym niż pokłony przed "lares" i "penates". To było złożenie ofiary przynoszącej taką moc, że dla niej wieki temu Czarni Naacalowie rozłupali oblicze samej Ziemi i pozwolili wyschnąć morzu.

Co zrobiliby, gdyby wreszcie znaleźli moc, ukrytą w osobach Białych Naacalów?

Czego by n i e zrobili? T o bylo wlasciwe pytanie.

Skret, obrot, kolejny krok. Znalezi sie w obrebie samej Swiatyni. Quintus rozpoznawal zwienczenia kolumn, podtrzymujacych kopule. Za ta przewrocona sciana znajduje sie wejscie do holu, w ktorym zostawil towarzyszy. Ruszyl tam z reka na mieczu.

Ilu Czarnych Naacalow moglo tam byc? Walczyl juz z nimi - mogl ich zabic - a kiedy tylko polozy reke na Orle... poczuje sile, ktora przekazywal mu znak za kazdym razem, gdy grozilo im niebezpieczenstwo. Z pewnoscia bedzie mu sluzyl - lub on bedzie sluzyl jemu - teraz.

Manetho zlapal go za ramie.

-Nie tam. Nie teraz. Zabiore cie w miejsce, z ktorego bedziemy mogli bezpiecznie obserwowac.

Wdrapali sie na galerie, gorujaca nad skapym ogniskiem i holem, gdzie zebrali sie jego ludzie. Kilku z nich otaczalo Draupadi.

-Zadajesz duzo pytan, pani. Ty i starzec. Nosisz szaty, wypowiadasz slowa, za ktorymi tesknilismy, ale...

Jeden rzut oka wystarczyl Quintusowi, by mogl sie domyslic co sie tu stalo. Manetho mowil mu, ze byli wsrod nich szpiedzy.

Jak mogli pomyslec, ze sa nimi Draupadi i Ganesia?

"Sa przerazeni; kiedy uderzyl grom i zatrzesa sie ziemia, mogli wyobrazic sobie doslownie wszystko."

Kaplanka pokrecila glowa:

-Ganesia i ja... nie kradniemy mocy, lecz uczymy sie jej... rok po roku, zycie po zyciu...

Z pewnoscia nie powinna byla tego powiedziec.

Ludzie cofneli sie. Draupadi wyciagnela dlon.

-Spojrzcie na mnie! - krzyknela.

Nakazali jej sciszyc glos.

-Popatrzcie - ciagnela goraczkowym szeptem. - Poddajcie mnie kazdej probie. Przekonajcie sie kim jestem. Lecz powiadam wam, widzialam, co robia Czarni i przysiegam na Plomien, ze udam sie do ich oltarzy tylko jako ofiara!

Ziemia zatrzesła się. Miałki pył obruszył się ze skal nad nimi i zasnuł powietrze, przesłaniając ludzi, na których patrzyli.

Wówczas, spoza zrujnowanego holu, dobiegł pełen sarkazmu głos:

-Wspaniale, kaplanko. Gornolotna przemowa. Możemy więc razem odejść?

-Ona kaplanka? - Ganesia zerwał się na równe nogi szybciej, niż pozwalał jego wiek. - Ona jest tylko... - głos mu się zmienił, gdy wypowiedział jakąś nazwę w dawno zapomnianym języku Ojczyzny.

-Zdradza się - szepnął Manetho. - Dlaczego?

Quintus rzucił mu krótkie, smutne spojrzenie, po czym wrócił wzrokiem do holu.

-Tym lepiej - odrzekł Czarny Naacal. Jego oczy jarzyły się pod kapturem. Cisnienie zgestniałego powietrza wciąż rosło. Quintus wzdrygnął się na widok głodu, który pojawił się na twarzy wroga, gdy ten wpatrywał się w Draupadi. Postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę w jej kierunku. Ganesia opuścił dłoń i warknął parę słów. Czarny zatrzymał się i rozesmiał:

-Chcesz ochronić swoją uczennicę? Czy to wszystko, czym ona dla ciebie jest? Ciągłe tylko uczennica, po tych wszystkich latach? A co z innymi? Ze wszystkimi innymi, Oj c z e? Wierze, że twa przysięga... - on również przeszedł na starożytną, miódopłynną mowę używaną przez Ganesie.

Jeszcze trzech Czarnych Naacalów wkroczyło na salę, unosząc w górę palki. Powoli, jakby rozkoszując się strachem, który wywoływali, wskazywali nimi na niewolników. Jeden z mężczyzn cofnął się. Spowity w czern zachichotał złowieszczo i stuknął go palka w ramię. Mężczyzna krzyknął i przewrócił się.

Pozostali spuścili głowy.

Manetho jeknął cicho.

-Przestaniecie! - rozkazał Ganesia. - Ten człowiek nic wam nie zrobił. Dajcie mu spokój.

-To mięso dla naszych ołtarzy - odezwał się Czarny Naacal.

-Jak oni wszyscy.

Ku oburzeniu Quintusa, Ganesia rozesmiał się.

-Do czego potrzebujecie takiego - wybaczcie mi, przyjaciele - bydła? - zapytał, po czym wziął głęboki oddech i wyprostował się. - Sa wam niepotrzebni, skoro macie Medrcow. A do czego potrzebna wam młoda iluzjonistka - skoro macie mnie?

Pod Manetho ugiely sie kolana. Quintus podniosl go, choc myslal tylko o tym, by puscic sie pedem na dol i stanac miedzy Czarnymi a Bialymi Naacalami.

-Coraz lepiej - wymamrotal Czarny. - Dobrowolna ofiara? Dawno nie trafil sie nam ktos o takiej mocy. A moze... moze nie musisz stac sie ofiara, lecz celebrantem? Jak ci juz mowilem, mamy duzo miesa.

Ganesia uniosl dumnie glowe:

-Nie.

-Glupiec, mimo tylu lat nauki. Brac go! - skinal swoim towarzyszom. - Kobiete tez!

-Nie splamie ust klamstwem i nie powiem, ze bede z wami wspolpracowal - powiedzial Ganesia. - Wiem, kim jestescie. Wiem, do czego dazycie. Pozwalam wam odebrac mi wszystko, cokolwiek zechcecie. Tylko zostawcie pozostalych.

Czarni Naacalowie poruszyli sie. Ich oczy swiecily pod kapturami, a w glosach brzmiala zachlannosc. Dwoch zblizylo sie do Ganesii i wymierzylo w niego palki.

-Niech ci bedzie, starcze - zgodzil sie przywodca. - Niewolnicy moga zyc. Ona rowniez.

"Na razie". Wszyscy zrozumieli niewypowiedziana grozbe.

Odbiora Ganesii moc i zycie, a wtedy wroca po innych. Jego poswiecenie na nic sie nie zda.

-Nie! - Draupadi pojawila sie u boku starca, kladac mu dlon na ramieniu. - Nie pojdiesz.

Ganesia ostroznie, acz z zaskakujaca sila stracil jej reke.

-Dziecko - powiedzial. - Przez wszystkie lata naszego wygnania bylas mi corka, uczennica, badz mi wiec teraz posluszna. Na nasza przysiege... - pochyлил glowe i zaczal szeptac.

Skinela glowa.

Ganesia uscisnal jej dlonie. Wskazal broda na Rufusa, ktory wstal. Centurion byl w tej chwili prawdopodobnie jedynym czlowiekiem, ktory byl w stanie sie poruszac. Ganesia wlozyl w jego dlonie rece Draupadi.

-Strzez jej dobrze - szepnal.

Potem wyprostowal sie. Jego biala szata jasniala, gdy ruszyl do wyjścia. Otoczony przez Czarnych Naacalow, opuscil spokojnie pomieszczenie, jakby szedl odprawic jakis rytual.

Na sali zawrzalo. Mezczyzni biegli, kobiety zebraly dzieci, a dziewczeta i chlopcy odsuneli

sie od Rzymian, ktorzy stali kompletnie oszolomieni.

Quintus porzucil swoj punkt obserwacyjny. Widzial, jak Naacalowie rozgladali sie po pomieszczeniu. Szukali nie tylko Draupadi i Ganesii, szukali takze jego.

-Dokad idziesz? - syknal Manetho.

-Musimy ich powstrzymac!

-Poczekaj!

Draupadi wisiala na ramieniu Rufusa, zalamana strata kogos, kto przez wieki tulaczki byl dla niej ojcem. Ten widok ranil Quintusowe serce, nawet jesli podejrzewal, ze jej slabosc byla zludzeniem, kolejna iluzja. Gdy tylko ostatnia czarna szata zniknela, uwolnila sie z uscisku centuriona.

-Orzel - rzucila. - Daj mi go.

Rufusa zmrozilo.

-On jest starym czlowiekiem - argumentowala - a ja potrafie uzyc znaku.

-Pani, mam swoje rozkazy.

-Rowniez dla niego! - krzyknela Draupadi. - Musimy walczyć teraz. Myslisz, ze nie wroca? Myslisz, ze nie wezma najsilniejszych, najlepszych? Widziales jak szybko zabrali Ganesie!

Sprobowala rzucic sie blyskawicznie do przodu i pochwycic znak.

"Zle posuniecie, Draupadi."

-Mam swoje rozkazy.

-Majac taka moc - powiedzial Manetho - osiagna wszystko. Nie mozemy czekac. Musze poderwac ludzi do walki. A co, jesli po nia wroca? Co, jesli zdobeda waszego Orla? Nie mozna...

-Rufusie - blagala Draupadi - posluchaj mnie. Nie mozesz sobie wyobrazic, jak wielka jest moc Ganesii. Co bys czul, gdybys dal swoim wrogom bron, ktora moglaby zniweczyc ten swiat tak szybko, ze nawet nie zdazylbys tego zobaczyc.

Rufus uparcie krecil glowa.

-A co z nim? Nie wrocil jeszcze - odpowiedziala Draupadi. - A jesli jego tez juz zdolali ujac?

-Jego? Ona mowila o Quintusie!

-Chodźże - ponaglił go Manetho. - Teraz, kiedy mamy szansę...

Rufus wciąż krecił głową: n i e.

-Co to znaczy: "Nie"? Jesteś samym Rzymem - powiedziała centurionowi. - Muszę odnaleźć mojego przyjaciela i rodaka. Czy nie uczyniłbyś tego dla swojego oficera?

Manetho odwrócił się, chcąc odejść.

Quintus zatrzymał go gestem. Jeszcze chwile. Rufus podszedł do Orla, błyszczącego nawet w cieniu. Zasalutował mu i wyciągnął rękę, by go wziąć. Lecz nagle Draupadi skoczyła i pochwyciła go pierwsza. Brązowy Orzeł nie rozbłysnął, jakby wyczuwając zagrożenie i konieczność pozostania w cieniu. Lecz jego blask zdawał się subtelnie nasilać, przybierając barwę zbliżoną do barwy szafranu, spowijającego postać Draupadi.

Spojrzała na ptaka i jej wargi poruszyły się, jakby przemawiała don szepem lub modliła się. Później skinęła głową. Czy to sztuczka światła sprawiła, że Quintusowi wydało się, że Orzeł pochylił głowę, zgadzając się z jej słowami?

-Człowieku, rusz się! Chcesz, żeby twoi ludzie walczyli sami, bez ciebie?! - głos Manetho zalamal się.

Szarpnął Quintusa za ramię. Tym razem trybun pozwolił pociągnąć się przez ruiny z predkoscia, na którą sam nigdy by się nie odważył. Poruszali się zbyt szybko przez nieznaną tereny: bał się upadku, przesładowała go wizja bólu, kości przebijającej udo, czyniącej go kaleką na resztę życia - zakładając, że była jeszcze jakaś "reszta".

-Szybciej - sapnął Manetho. Przecisnął się przez wylom w murze i skinął na niego. - Tedy.

-Dokąd mnie prowadzisz?

Quintus ostrożnie stawiał stopy; po raz pierwszy od wielu dni zagrzewał go do czynu stary, dobrze znany rzymski upor. Wystarczy tużin legionistów z ich rzymską dyscypliną i obnazonymi mieczami, by przestraszyć Czarnych Naacalów - a on, stojąc wśród swoich żołnierzy, spłaci wreszcie Rzymowi śmiertelny dług.

Porazający ból przeszył mu ramię - zaszokowany, rozejrział się dookoła.

Manetho miał w dłoni sztylet. "Głupcze, dałeś się wystrychnąć na dudka przez własny strach i śmieszna historyjka tego zdrajcy!"

-Życie twych ludzi stracone? Twoja pani uprowadzona? I ty myślisz, że to już wszystko?

Quintus zacisnął dłoń wokół rany, zadanej przez Manetho. Nic groźnego.

-Powiedz mi, dlaczego nie miałbym cię zabić?

-Nigdy nie odnajdziesz drogi powrotnej. - Zeby Manetho zaswiecily w ciemnosciach. - A twoja krew bedzie dla Czarnych Naacalow wystarczajacym tropem.

Ramie Quintusa zaczelo dretwiec, jakby Manetho posmarowal male ostrze trucizna. "Moze tak wlasnie zrobil. Moze jego gesty byly sygnalem dla wspolnikow, by uderzyli na ciebie i twoich towarzyszy. Kto wie? Moze sprzedal cie Czarnym Naacalom?"

Pokusa byla coraz silniejsza: "Zabij tego zdrajce. Odnajdz swoich ludzi. Wez Orla i wywalcz sobie droge do Ganesii i Draupadi. A potem wydostan sie z tej pulapki, zostawiajac tych glupcow i niewolnikow".

Manetho skrzyzowal rece na piersi.

-Oni sa w twoim umysle - powiedzial. - Bol pomaga. Mozesz mnie teraz zabic. Kto wie, moze nawet zdolasz znalezc powrotna droge. Wszak dostales sie tutaj, nieprawdaz? Mozesz tez pojsc ze mna i dac nam wszystkim szanse walki.

Wial pustynny wiatr, lecz Quintus czul pot splywajacy po twarzy... "Carrhae... potem przerazeni, okryci hanba i zdradzeni ukryli sie na ciemnych mokradlach. Czesc jego ludzi napila sie obrzydliwej, zastalej wody i umierali od goraczki i biegunki - do krzyza z tym szalencem i smiercia w takim miejscu."

-No, dalej - szydzil Manetho. - Zdecyduj sie. Zabij lub pomoz. Lecz zrob to szybko. Nie mamy czasu. Oni rusza do ataku i podbija caly swiat. Co zatem postanowisz?

Manetho wyciagnal spod strzepow tuniki sztylet o koscianej, dziwnie blyszczacej rekojesci. Czubek ostrza polyskiwal w ciemnosciach. "Jezeli okaze sie wystarczajaco glupi, by dac ci ten noz, zaspokoi nasze pragnienie krwi. Chetnie witamy nowych. Powitamy i ciebie. Chodz do nas..."

-Wkrotce bedzie gorzej - powiedzial Manetho. Jego glos byl prawie uprzejmy. - Choc dziwnie to zabrzmia, wybacze ci, jesli mnie zabijesz. Takie zycie nie jest blogoslawienstwem. Wielu moich braci widzialem martwych - wiec zrob to. Zrob to szybko. Moze ci nawet podziekuje. W ten sposob umre jak wojownik z reki wojownika - dasz mi szanse na odrodzenie sie w nowym zyciu, bez hanby i strachu.

Quintus przypatrywal sie z niedowierzaniem sztyletowi.

-Opuscisz swoich ludzi?

-Co im zaferowales?! Przybyles z Bialymi Naacalami i bronia, z ktorej bija promienie mocy, wyrazne niczym kometa na pustynnym niebie. Myslisz, ze Czarni jej nie chca? Ze nie zamieniliby na nia nas wszystkich? Szybka smierc, zanim opanuja caly swiat, to najlepsze, na co mozemy miec nadzieje.

Manetho uniosl glowe, by ulatwic Quintusowi cios, przecinajacy tetnice szyjna.

"Jest taki chudy!" - Quintus pomyslal, ze nigdy nie widzial kogos tak wynedznialego i nazywajacego siebie wojownikiem. Jednak wciaz stal, drzac nieznacznie. Czekal, choc teraz czekanie bylo najbardziej ryzykowna rzecz na swiecie. Coz dawalo mu taka odwage?

Tylko nadzieja. To wlasnie ona podtrzymywala go podczas ich strasznej wedrowki, dzieki niej odzyskal Orla. A teraz? Porwanie sie na Czarnych Naacalow bedzie jak szarza pojedynczej kohorty na sily Sureny, ktorym nie daly rady Legiony Rzymu...

...z drugiej strony: mial Orla, najpotezniejszy orez, bron ktora zmieniala ukklad sil.

"Zabij lotra i przydz do nas" - kolejna pokusa, tym razem silniejsza.

Zachwial sie, jakby dostal nastepny cios. Ornamenty na zrujnowanej scianie zdawaly sie falowac. Ujrzal procesje Bialych Naacalow, sunaca ku oharzowi, zwieczonemu wieloglowym wezem, ktory oznaczal... "sploty, miazdzace i duszace, wyciskajace z ofiary zycie, wysysajace ja, zanim otworzy sie olbrzymia paszcza, by polknac to, co zostalo z ciala..."

Waz w jego umysle zaczal sie wic, w gadzich oczach zastygla perfidia i okrucienstwo. Rozwidlony jezyk migotal, wysuwajac sie i wsuwajac.

"Uzyj ostrza, glupcze!"

Czaszke Quintusa rozdarla blyskawica. "Taka szpilka na gigantycznego weza?!" - zasmial sie grubiansko, jak Rufus szkolacy najbardziej niezdarnych legionistow.

Nie bylo weza. Kolejna iluzja. Rozchwiane sciany przybraly swoj poprzedni solidny ksztalt. Biali Naacalowie raz jeszcze szli po szorstkim kamieniu ku oltarzowi, roztaczajac moc, splywajaca na niego niczym ciepla woda kojaca obolaly grzbiet.

"To wszystko bylo klamstwem, nieprawdaz?"

Sztylet wypadl mu z dloni. Manetho zachwial sie i osunal. Quintus wyciagnal reke, by go podtrzymac i stali tak, w nieledwie braterskim uscisku.

-Zmarnowalem czas, ktorego nie mamy wiele - odezwal sie Quintus. - Prowadz.

Ruszyl biegiem za Manetho przez labirynt ruin. Nie zawracal sobie glowy oznaczaniem przebytej drogi, a j e g o Ariadna - ktorej chcial dochowac wiernosci - byla w rekach wrogow.

Upewnial sie, ze Draupadi jest mistrzynia iluzji, ktora potrafi rozproszyc halucynacje grozne

dla niego i dla legionistów. Tak jak musiał ufać Manetho, musiał też wierzyć w siłę swoich ludzi i w to, że wytrzymają, dopóki nie odzyska Orla i nie poprowadzi ich do boju.

Biegli wąskim przejściem. Z obu stron tunelu dobiegał ich szemrzący dźwięk. Czyżby woda, cyrkulująca ukrytymi kanałami jak akweduktem? Lub powietrze, śpiewające w korytarzach przecinających grube ściany sklepienia? Rzymianie to naród inżynierów. Jednakże w porównaniu z tymi murami, wszystko, co zbudował Rzym, przypominało prymitywne kamienne budynki.

Przyspieszyli. Quintusowi wydawało się, że zobaczył ścieżkę. Może jakieś złudzenie optyczne? Miał wrażenie, że gdziekolwiek postawił stopę Manetho, z podłoża tryskał blask.

-Nadchodzi - powiedział.

Czyżby więc było to wielkie powstanie niewolników? Quintus poczuł skurcz w dolku. Czy tak właśnie czuli się gladiatorzy, gdy wystąpili przeciwko swoim panom, znacznie liczniejszym i potężniejszym od nich? A mimo to rzucili na Rzym niezapomniany strach. Mając Orla i jego moc, o ileż więcej mogłoby...

-W tym miejscu ubierali się kiedyś akolici - obwiesił Manetho.

Kiedy to było? Nie pytaj Quintusie. Nawet o tym nie myśl.

Jego stopa dotknęła czegoś i potknął się. Co to było?

Jakiś kształt leżący pod ścianą. Quintus zboczył, lecz nie udało mu się ominąć przeszkody. Przewrócił się, uderzając mocno o mur. Jego ramię opadło na coś, co wystawało z muru. Usłyszał jęk.

To był głos Rufusa.

"Na Jupitera Optimusa Maximusa i pomniejszych bogów!" - wykrzyknął w duchu Quintus, klekając obok centuriona i obmacując jego twarde czaszki w poszukiwaniu ran. Rufus znów zajęczał. Bijące z podłoża światło ukazało jego szkliste oczy, źrenice miał rozszerzone, jedna większa od drugiej.

-Chłopcze... chciałem powiedzieć: panie... na wszystkich bogów, nie wiedziałem, że masz brata-bliźniaka. Będziesz musiał być jednocześnie Kastorem i Polluksem, by podjąć wyzwanie... do licha z tym małym lajdakiem! Ojciec powinien porzucić go zaraz po narodzinach lub zrzucić z Tarpejskiej Skály, jak ja bym uczynił, gdybym miał go w domu... Moja głowa, moja głowa...

Rufus umilkł, zgwał się w pole i z wymiotował. Quintus podtrzymywał go za ramiona.

-Chodźcie - ponaglał Manetho.

Brakowało im czasu, ale przecież pamiętał: "Rufus niosł moje nosze. Sprzeciwił się porzuceniu mnie na pustyni lub bezbolesnemu pozbawieniu mnie życia, gdy myśleli, że oslepię. Uczyl mnie". Manetho również nie był człowiekiem, który opuściłby towarzysza.

-Kto? - zapytał Quintus z zamierającym sercem.

-Podszedł do nas od tyłu... do pani i do mnie... "Edepol", panie, ciesze się, że tu jesteś, by przejąć dowodzenie...

-Draupadi? - spytał Quintus. - Co się z nią stało?

-Biedna dziewczyna nie mogła się obronić. Ten niedźny zdrajca, Lucilius... Kazałbym odpruć purpurę z jego togi i przybić go do krzyża...

Lucilius siedział początkowo wraz z legionistami i niewolnikami w zrujnowanym holu, lecz później wyszedł na zewnątrz, tłumacząc się zdenerwowaniem i potrzebą odetchnięcia świeżym powietrzem.

Quintus trzymał ręce na ramionach Rufusa, próbując go uspokoić, lecz ani jeden, ani drugi nie znalazł pocieszenia.

Czy to zdradzieckie głosy zwabiły Luciliusa? Odkąd Quintus go znalazł, zawsze miał w pogardzie lojalność. Nie po raz pierwszy spróbował pojąć na układ z wrogiem.

Nawet Quintusowi, z jego staroswieckim dziadkiem i - jak uważał Lucilius - niedorzecznym pojęciem honoru, trudno było oprzeć się głosom, którymi Czarni Naacalowie kusili swoich wrogów.

Co mu obiecali? Złoto, to jasne, i być może Draupadi, uległa lub nie.

-Najpierw uderzył mnie, panie - opowiadał Rufus. - Przewrocilem się. Wtedy sięgnął po Orla - naszego Orla! Pani wyrwała mu go, zanim położył na nim swoje brudne łapy. Próbowałem, tak mi dopomóżcie Minosie i Radamantysie - przysięgam, że próbowałem przyjąć jej z pomocą. Ale on złapał ją za ramię i powiedział, że daruje mi życie, jeśli ona pójdzie z nim, nie używając przeciwko niemu swojej magii. Kopnął mnie i uderzyłem o ścianę, sztuczka prawdziwego nowicjusza... Bogowie, jestem głupcem, sfuszerowałem wszystko. Och, Dis, do krzyża z tą moją głową...

-Spokojnie - mruknął, jakby nieobecny Quintus. - Wszystko w porządku.

Wszystkich ich czeka krzyż lub coś jeszcze gorszego. Czarni Naacalowie mieli Ganesie, z jego wielką siłą i mocą. W ciągu tych drugich lat starzec przeżył wiele. Należało mu się dotrzeć do ostatecznej śmierci, której umknął, opuszczając pochłanianą przez morze Ojczyznę. Czy zniesie widok ukochanej przyjaciółki poddawanej torturom? Była przecież nie tylko jego uczennica, lecz również córka?

-Ona ma Orla, panie - dodał Rufus. Zdusił ryk rozpaczony - znak, że znowu jest sobą, jeśli zdoła zapomnieć o bólu. - Trzeba by mnie wychłostać, polamać kołem... nie potrafiłem obronić nawet jednej kobiety...

-Chodźcie wreszcie - ponaglił Manetho. - Zdradza nas! Teraz musimy się pośpieszyć.

Nie! Nie myśl o Ganesii i Draupadi wydanych na meki. Nie myśl o obrzędach Czarnych Naacalów. Kapłanka Słonca ma wystarczającą moc, by użyć Orla. Miał tylko nadzieję, że to zrobi.

-Im dłużej tu zostajemy, tym mniejsze mamy szanse... Wiecie, co ci kapłani robią swoim ofiarom?

Nie myśl o bursztynowej skorze Draupadi splamionej krwią. Nie myśl o brutalnie stłamszonym niebotycznym duchu Ganesii. Nie myśl o nich... Położa swoje ręce na Draupadi. Może nawet Lucilius - odrzucony zalotnik.

-Najpierw nastąpi złożenie ofiary. Potem zaczną - przemówił Manetho głosem głuchym z przerażenia.

Quintus nie śmiał marzyć, że wróci do Rzymu, a tym bardziej, że wróci z Orlem. Zaczynał jednak mieć niejasną nadzieję na odrobinę życia. Mimo to musiał teraz wziąć Orla i dźwignąć go. Cały świat został rzucony na szalę.

-Jeśli umrą, to umrą jak żołnierze - usłyszał swój głos, tak zmieniony, że trudno było zrozumieć poszczególne słowa. - Ty, Rufusie, wrócisz. Manetho i ja pojedziemy naprzód. Weźmiemy ich w kleszcze. Żaden nie ujdzie z życiem.

"Sami mamy na to małą szansę."

Jednakże wizja Rzymian o oczach płonących gniewem i determinacją, nacierających nieustępliwie ze swoimi krótkimi mieczami na Czarnych Naacalów i zamieniających ich w proch miała moc uzdrawiającą. Rufus dźwignął się na nogi. Odwrócił się i ruszył przed siebie, początkowo chwiejnie, później pewnym, marszowym krokiem.

Quintus obrócił się do Manetho.

-Wiem, że wolałbyś być teraz ze swoimi ludźmi - powiedział - ale z twoją pomocą...

-Musisz uważać. Oni chcą ciebie! - wykrzyknął Manetho. Wiedza, kto sprowadził obcych. Jesteś młody i silny... Mogą chcieć ujrzyć ciebie w swoich szeregach... Zdarza się to czasami, kiedy któryś z naszych synów wyrosnie na zbyt mocnego, a wśród nich kogoś zabraknie.

Porywanie synów zasługiwało na takie samo potępienie, jak zabijanie ich. Pozwól, by chłopiec był silny, a niewolnicy nigdy nie będą wiedzieć, czy mogą być go pewni. Może się

zdarzyc, ze kiedys, pewnego dnia, skladajac ofiare spojrze w gore, na wznoszonego noz Czarnego Naacala i ujrza czlowieka, ktory kiedys byl synem, bratem lub przyjacielem.

-Beda musieli zadowolic sie strachem, ktory udalo im sie dotad wywolac - warknal Quintus. Chcialby wlasnorecznie stracic Luciliusa - patrycjusz zdradzil nie tylko swoje miasto i stan, zdradzil caly swiat.

Jednakze najwazniejszym zadaniem, stojacym przed trybunem, bylo odbicie Orla. Aby pokonac nim Naacalow, a jesli nie zdola - zapewnic Draupadi i Ganesii lekka smierc, zanim tamci wyzwola swoja moc. Byc moze nawet wystarczy mu czasu, zeby rzucic sie na wlasny miecz.

A Orzel? Jesli nie bedzie mogl wykorzystac jego mocy, bedzie musial go zniszczyc.

Pojal, ze konczy sie tkana przez Losy przedza jego zywota. Razem z ta mysla umarla tez nadzieja - i strach. Miecz blyszczal w jego dloni, lecz nie drzal.

Nieoczekiwanie wybuchnal smiechem.

-"Morituri te salutamus!" - zawolal, pozdrawiajac ciemnosc.

Manetho spojrzal na niego spode lba. Prawdopodobnie bal sie go niemal tak samo jak Czarnych Naacalow. Mimo to bedzie musial poprowadzic swoich ludzi i walczyc razem z Quintusem, ktorego najwidoczniej uznal za szalenca, skoro ten bez leku mogl patrzec smierci w oczy.

Ale Manetho byl dzielny. On prowadzil. Quintus zas podazal za nim, czujny i ostroznym, jak zwykle przed bitwa.

Rozlegly sie dzwieki gongow i koscianych fletow, wydajacych tony wyzsze i bardziej przenikliwe niz kaplanskie piszczalki. Manetho wzdrygnal sie. Tak dlugo byl niewolnikiem, a teraz musial zmierzyc sie z czymś gorszym od smierci. Quintus otworzil usta, by powiedziec kilka slow pociechy, ktore sam uslyszal kiedys przed pierwsza bitwa. Poczul sie teraz silniejszy i szlachetniejszy. Strach minal. Chcial podzielic sie tym cudownym uczuciem z Manetho, ale ten byl juz tylko ciemna plama majaczaca gdzies daleko z przodu.

Pomimo oslaniajacych ich murow Quintus uslyszal grzmot. Blyskawica zajasniala przez szczeliny i zatanczyla nad pustynia, wybielajac solne polacie i kamienne plyty. Zerwal sie wiatr. Pamietal burze, ktore przezyli w swojej wedrowce i traby powietrzne, ktore zdolali przetrwac. Teraz nie czul wiec leku.

Znowu blysnelo. Tym razem same sciany zdawaly sie jasnec. Plomienie dotykaly rak postaci na poobtlukiwanych fryzach. Tak tanczyl Kriszna. Lecz talizman Quintusa spoczywal pogrzebany gdzies na pustyni. I teraz to przypomnienie Kriszny uznal za dobry znak, nawet jesli troche przerazajacy. "Naprzod" - tak poradzil mu tanczacy bog bardzo dawno temu.

Mowil do Arjuny, który stał przed swoimi żołnierzami. Nie do mężczyzny, w którego żyłach płynęła księżycowa krew, choć miał duszę zbrodniarza. Nie byli to także Czarni Kapłani. "Twoja bitwa jest cięższa od mojej" - usłyszał głos. Tym razem to był głos Arjuny.

Pojdzie więc naprzód, tak jak go tego nauczono. To przynosiło ulgę. Było odrodzeniem. I śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Manetho obrócił się do Quintusa. - Zaczeli - powiedział bezbarwnym głosem. - Zabrali Naacalów, teraz mają również twoją broń. Wystarczyłoby któryś z nich krzyknął, a byłiby zgubieni. Wrogowie z pewnością wystawili strażę wzdłuż wszystkich ścian świątyni. Czy Rzymianie doświadczą tego wieczoru kolejnej zdrady?

Ta myśl zmroziła go na chwilę. Czarni Naacalowie mają rzymskiego Orła, ale czy będą mogli posiadać cudowną moc znaku? Mimo to myśl, że utracił go ponownie, sprawiała ból.

Jeszcze bardziej bolesna była utrata Draupadi. Przez całe życie ktoś odbierał mu wszystko to, co zdążył pokochać, cierpiał nie tylko nad skradzioną miłością - straszna groźba zawisła nad całym światem.

"Nie, jeśli tylko będę mógł temu zaradzić" - poprzysięgał.

Błyskawica oświetliła bladą twarz Manetho, ukazując smugi oleistego potu na jego skórze i oszalałe oczy przerazonego zwierzęcia. Kiedy zaczął się diabelski rytuał, Manetho zareagował lekkiem niewolnika: uciec i ukryć się, a może uda się ocaleć, aż do następnego ataku. Nawet jeśli Quintus czuł to samo, wiedział, że nie ocaleje, że nie będzie żadnego następnego razu, chyba że teraz rusza do walki.

"Co radzisz?" Okrucieństwem byłoby zapytać. Lecz było to pytanie, na które Rzymianin musi mieć odpowiedź. Manetho znalazł te ruiny, on nie.

Jego ludzie nie mieli już wyboru. Mogliby wprawdzie zgromadzić zapasy wody i prowiantu i przedrzeć się na pustynię. - A tam czekać aż nadejdzie szaleństwo i śmierć. Mogliby też ukryć się wśród tych ruin - zakładając, że nie zdradzi ich Lucilius. Lecz nawet gdyby im się to udało, niechybnie nadszedłby dzień, w którym wrogowie ich znajdą i zaatakują.

Czarni Naacalowie chcieli dostać jego, Quintusa. Jako ofiarę lub ucznia - kto to wie?

Nie odpowiadało mu jednak żadne rozwiązanie. Co innego mógł więc wybrać? Przyłączyć się do swoich ludzi, by razem rzucić się na miecze i przyjąć honorową śmierć. Bądź też postąpić według własnego, surowego kodeksu: wyciągnąć broń, utworzyć szyk i atakować do ostatniej kropli krwi.

-Zwrócisz się teraz przeciwko nam? - zapytał Manetho. Milczenie Quintusa wzbudziło jego

podejrzliwosc.

-Mozna powiedziec - mruknal Rufus, zbliżając się do nich i wskazując starożytne ostrze w dłoni niewolnika - że człowiek umrze otruty tym plugastwem, zanim wykrwawi się na śmierć od ran, które mu zadasz.

Quintus mógłby iść o zakład, że choć strach wyostrzył słuch Manetho, nie usłyszał nadejścia centuriona. Mimo ciemności zauważył, że Rufus zawiesił sobie buty na szyi i miał własną broń.

Centurion rzucił Quintusowi dziwne spojrzenie. Trybun widział już taki wzrok, gdy kiedyś utrudzony legionista przyszedł do jego rodziny z wiadomością o śmierci ojca. Takie spojrzenie zwiastowało smutne wieści, które trzeba znieść jak przystało mężczyźnie.

-Panie - zaczął Rufus - poczułem się lepiej i poszedłem obejrzeć to, co Czarni Naacalowie...
- usta mu drgnęły, jakby chciał splunąć - ...nazywają świątynią. Są tam wszyscy i ich ofiary. Pomyślałem, że gdybym mógł, ofiarowałbym im przynajmniej godziwą śmierć, ale nie miałem szczęścia.

Czy gdyby Rufusowi udało się dotrzeć do Ganesii i Draupadi, powitaliby oni z radością jego ofertę, jego "godziwą śmierć"? Czy po tak długim czasie oni w ogóle mogą umrzeć?

Manetho przestąpił z nogi na nogę. Quintus rozumiał jego ostrożność: niewolnik widział i słyszał tylko dwóch Naacalów i to wystarczyło, by nie opuszczało go śmiertelne przerażenie. Ze swoją wiedzą, doświadczeniem i studiami - jakże łatwo mogli przejść nową formę mocy. Czarni Kapłani byli niczym węże - są takie, których trucizna zabija po zrobieniu jednego kroku i takie, których trucizna zabija po przejściu dwóch kroków - ale śmierć jest zawsze taka sama.

-Myślisz, że... - Wyobraził sobie mądrość Ganesii i smukłą grację Draupadi utopione w wyniku poświęcenia, czy też miłosierdzia Rufusa, w kałuży krzepnącej krwi.

-Nie zdradziliby nas. Nie oni - powiedział Rufus. - Nawet, jeśli nie są Rzymianami...

-Bał się wzruszenia i rozpacz, nie teraz...

-Nie udało ci się.

-Nie, panie - Rufus wyprostował się. - To kolejne Carrhae. Przegralismy.

Mury zadrzały od potężnego gongu. Tak samo brzmiały gongi, bębny i dzwonki posiłków Sureny, kiedy wojownicy szykowali się do drogiego sprzedania życia pod jasnym słońcem wiele mil stąd.

-No, coż - powiedział Quintus - wiedzieliśmy, że żyjemy cudzym czasem. Przyszła pora by

go oddac.

Spodziewał się ponurego śmiechu Rufusa.

-Jest gorzej, niż myślisz, panie. Wystawili straż bardziej niebezpieczną niż moglibyśmy oczekiwać. Sama Draupadi.

Quintus odwrócił się błyskawicznie, chcąc pochwycić ramię centuriona i rzucić starego żołnierza na ścianę. Jeżeli Draupadi zwróciła się przeciwko nim, nadeszła godzina chaosu. Tak głęboko wierzył, że to nigdy się nie stanie.

-To nie tak! - wyszeptał z trudem Rufus. - Wiesz, panie, jaka była wyczerpana. Postępek Luciliusa przepelnił czarę. Kiedy ją wyprowadził, coś do niej mówili, a ona kreciła głową. Pochwycili ją. Chciałem ją uratować, ale trzech nasi legionisci powstrzymali mnie... darowałem im życie... Kazali jej wypić jakiś narkotyk...

Quintus zdał sobie sprawę, że jeczy.

-...wygląda teraz jakby zapadła się w siebie... nie jak szalona, raczej jak wroźbitka przewidująca przyszłość. A jej wizje oni mogą wykorzystać. Mogą jej używać.

-Skąd wiesz?

-Widzieliśmy ją w ich świątyni. Zdziwiło mnie, że nie jest strzeżona. Jeden z naszych pomyślał więc, że zakradnie się do środka i uratuje ją. Wiedział, że to się spodoba...

-Nieważne - powiedział Quintus, próbując zachować resztki spokoju. Jego dziadek, gdy usłyszał o śmierci syna, podziękował posłancowi i nazwał go "gościem", choć w głębi duszy umierał.

-Co się stało?

-Przywiązali ją jak jagniatko przeznaczone dla lwa! Wskazała na niego i coś zaspiewała. Panie, on się nie spodziewał kłopotów. Ufał jej! A kiedy zaspiewała, po prostu podszedł do niej i zasałutował. "Popatrz na to" powiedział jeden z Czarnych i poderzwał mu gardło na oczach tego wroniego wyrzutka, tego zdrajcy...

-Lucilius tak tam sobie stał?

-Przed samym ołtarzem. Pozwolili mu zachować miecz i rynsztunek; nie ubrali go jeszcze tylko w czarny strój. Ale nie pozwalają mu zbliżyć się do Orla i nie traktują go z szacunkiem, jakiego on pragnie.

Lucilius może nigdy nie był naprawdę rzymskim trybunem, ale kara krzyża dla niego za to, że stał beczynnym, podczas gdy podcinano gardło legioniscie, będzie za lekka kara.

Rufus zamilkl i czekał na rozkazy.

"Stary psie wojny - chciał powiedzieć Quintus - powiedz mi, co zrobić. Uciec na pustynie? Ukryć się i atakować z ruin? Wybrać śmierć?" Ale nawet wieloletnie doświadczenie nie przygotowało centuriona na ten dzień. Poza tym, jego obowiązkiem było wykonywanie rozkazów, nie ich wydawanie... Ale Quintus patrząc na niego, gdy tak stał dumny, wyprzedzony jak struna, znalazł radę, której szukał. "Rob to, co przystoi Rzymianinowi."

Rzymski trybun obnażył miecz.

-Nie schowam go, chyba że zginie w ciele wroga - rzekł przez zacisnięte zęby. Manetho zadrzał.

-Spokojnie - Rufus poklepał go po ramieniu. - Trybun mówi, że idziemy walczyć, więc idziemy walczyć. Podoba ci się to? Czy wolisz umrzeć na ołtarzu lub skończyć z podejrzanym gardłem? Przynajmniej zginiesz śmiercią żołnierza.

W ruinach były kobiety i dzieci. Prawdopodobnie umra również. I tak to było im przeznaczone: albo zabija je Czarni Naacalowie, albo niezrozumiałe moce, które mieli nadzieję wyzwolic. Quintus pamiętał, że w powstaniu Spartakusa ginęły całe rodziny. Spotkał to również Draupadi i Ganesie. Biedna Draupadi, w końcu dała się złapać w pułapkę iluzji, która tak mistrzowsko władała. Może narkotyk przestanie działać i jej umysł rozjasni się na tyle, by mogła przypomnieć sobie, że on ją kocha.

Manetho wyprostował się.

-Chcecie walczyć, nawet jeśli nie macie nadziei. My nie mieliśmy jej nigdy. Staniemy więc u waszego boku. Być może wasi bogowie spojrzą na nas łaskawszym okiem, niż nasi.

-Dobry z ciebie człowiek - stwierdził Rufus dziwnie łagodnym głosem. - Trybunie?...

-Idziemy - zarządził Quintus.

Wszedł za centurionem do ciemnego pomieszczenia, w którym czekali na rozkazy uzbrojeni legionisci. Na widok oficerów stanęli w szeregu, gotowi do wymarszu.

Na znak Manetho z każdej szczeliny i każdego kata ruin wysypali się niewolnicy. Księżyc rzucał na okolice słabe światło, które zgasło, gdy chmury zasnuły srebrny dysk. Kiedy odegnał je wiatr, księżyc ściemniał, jakby byli świadkami zaciemnienia. Niewolnicy cofnęli się przed krwawym światłem. Dobrze byłoby znowu ujrzeć słońce. Quintus nawet o tym nie marzył.

Manetho poprowadził ich w głąb świątynnego kompleksu, gdzie wysokie mury otoczyły ich niczym polamane zęby martwego tytana, usiecizonego w bitwie. Niewolnicy, których prowadził, wydawali się Quintusowi za młodzi i zbyt wstydliwi, by mogli stawić czoło wrogom.

-Powiedz żołnierzom - rzucił w stronę Rufusa - że każdy ma osłaniać jednego z naszych przyjaciół.

"Nie pozwolmy im umierać w ciemnościach i hanbie. Musimy dać im przykład" - chciał powiedzieć, lecz jakas obroż sciskała mu wysuszone gardło.

Człowiek, który służył dawno temu jako chorąży, podszedł do niego z pustymi rekoma. Szkoda, że nie mieli Orła. W najgorszym razie wykorzystaliby go do spopielenia tego miejsca. Teraz już mogli liczyć tylko na to, że uda im się zniszczyć także i znak Rzymu.

Nie było tu nikogo, kto mógłby zobaczyć ostatnie zwycięstwo lub klęskę legionistów Krassusa - z wyjątkiem bogów i, być może, cieni tych, którzy o nie dbali. U ich boku maszerowali sojusznicy: ludzie z Ch'in, dowodzeni przez Ssu-ma Chao. Skinal Quintusowi, gdy ten podszedł. On także wolał być ze swoimi ludźmi.

Uprowadzili Draupadi i była teraz ich strażniczka. Wiedział, że zaalarmowałaby wrogów, lecz wiedział również, że nie mógłby jej zabić.

Kiedy gong ozwał się ponownie, niewolnicy zbili się w gromadkę. Chmura znowu przemknęła przed pobrużdżoną twarzą księżycy i zniknęła, jakby polknięta. Ludzie Manetho wmieszali się w kolumny Rzymian. Szyk zafalował, przyjmując ich, przez chwilę Quintus czuł zadowolenie widząc, że razem tworzą większą siłę.

Gongi i bebny huczały, grunt drżał pod ich stopami. Czarni wiedza na pewno, że nadchodzi. Lucilius ostrzegłby ich. Jeśli bogowie będą łaskawi, być może Quintus przynajmniej zabije jego.

Powietrze gestniało. Miał przez chwilę wrażenie, że opuszcza go świadomość. Zdarzył się już przyzwyczaić do zawirowań czasu i przestrzeni. To było tak jak wtedy, gdy maszerowali przez tunel z piasku i wiatru do oazy, gdzie znaleźli wodę i Draupadi, siedząca nad sadzawką.

Wejście do świątyni stało przed nimi otworem. Kiedyś olbrzymie drzwi wysokie na dwie, trzy wlocznie musiały otwierać się budząc grozę i strach wiernych. Teraz rozbite leżały porzucone z boku. Niewolnicy potrzebowali metalu, z którego były odlane.

Żołnierze ustawieni w bojowym szyku sunęli miarowo, pomimo przerażenia, wiszącego w powietrzu. Rzymski chód, rzymski lud. Chorąży był nieporuszony, jakby wciąż dzierzył Orła. Zobaczą go raz jeszcze, zanim umrze. Quintus czerpał z tego słabą pociechę.

Wewnętrzna świątynia wienczyła ogromną kopułę. Przez ostrolukowe, wąskie okienka wlewała się księżycowa poświata. Pomiedzy oknami stały podesty z brązu, rzeźbione na podobieństwo wielkich węży; z ich uzebionych paszcz wystawały pochodnie. Smugi światła i ciemności unosiły się w powietrzu. Zagrzmiął gong i cała przestrzeń zadrgała. Ciemność zalała światło.

Wokół ołtarza, na którym jasniało blade czyjeś ciało, pulsował czerwony blask. Ku swemu przerażeniu, Quintus rozpoznał odartego z szat Ganesie.

Trybun dostrzegł także Luciliusa, stojącego w błyszczącym rynsztunku obok Czarnych Naacalów, niczym w orszaku prokonsula. Jego strach zastąpiła furia. Nieco dalej, pilnowany równie uważnie jak Lucilius, Isnil Orzel.

Ponownie rozległy się gongi, olbrzymie bebniki i rogi, wycięte z kości długości ludzkiego uda. Przestrzeń zasnęły iluzoryczne chmury, a unoszące się nad nimi smugi cienia i światła zawirowały. Kiedy się przejasniło, Quintus ujrzał Draupadi.

Rozdział trzydziesty drugi

Czas i przestrzeń przesunęły się ponownie. Widział bursztynowe światło, plomyki migoczące w mosiężnych czarkach, pływających po sadzawce, krople spadającej wody, zamieniające ich światło w roztańczone iskielki i Draupadi, jasniejąca wśród poduszek, tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Była ubrana w nową suknię z przylegającego, szafranowego perkalu, który tak lubiła. Miała wyszczołkowane włosy, a twarz obmyta ze zniechęcenia i strachu. Między ciemnymi brwiami widział namazany czyjś reka krwawy ornament. A jej oczy podkreślone czarna obwódka były puste.

Quintus, by dostać się do Orła, musiał przejść obok niej.

Blask ognia zamigotał i utworzył na kamiennej podłodze złudzenie sadzawki. Pomyślał, że to wszystko było iluzją, rzuconą przez kobietę, zagubioną we własnym akcie tworzenia.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy, była bardzo czujna. Ganesia wyzwał go wtedy na złośliwą grę. Jak mógł kiedykolwiek odważyć się zagrać? Była to ostatnia runda.

Na znak Quintusa część ludzi rozsypała się w wachlarz. On będzie tym, który do niej podejdzie, a pozostali powinni go osłaniać. Zmusił się do spojrzenia ponad Draupadi: nie dostrzegł łuczników, lecz nie znaczyło to, że ich nie ma. Będzie musiał zaryzykować - nie miał innej drogi.

-Ochroniajcie mnie - szepnął i ruszył naprzód.

Pierwszym odruchem Quintusa było okrzyk wody. "Jaka woda?" - upomniał się, by nie ulegać złudzeniom. Draupadi jest odurzona. Miał nadzieję, że nie zgodziła się pochopnie służyć jako strażniczka, by ochronić Ganesie, jeśli tak, to ją oszukano, gdy starzec leżał skrepowany na ofiarnym ołtarzu.

"Pamiętaj o iluzjach" - powiedział sobie. Nakazując gestem pozostałym, by zostali z tyłu, dał krok do przodu, stawiając stopę na migoczącej powierzchni, tak ludzako przypominającej wodę, ale buty zaszurały po skale. Dotarł do kilimów, na których spoczywała Draupadi.

Wyciągnęła do niego dłoń. Kiedyś też tak zrobiła, próbując go oszukać, lecz to nie była Draupadi, to był jej sobowtór.

Quintus, tak jak poprzednio, ujął tę wiotką rękę. Jej skóra była gładka i delikatna, pachniała drzewem sandalowym. Błyszczące paznokcie obcięto i zabarwiono henną. Wszystko było inaczej. Draupadi miała kształtną dłoń, lecz zgrubiała od pracy przy zwierzętach, szorstka od wody z piaskiem i ogorzała od dymu ogniska. Na palcu brakowało pierścienia.

Mimo to uchwycił tę piękną, fałszywą dłoń i delikatnie unosił Draupadi, by mogła przy nim stanąć.

-Przyszedłem, by cię stąd zabrać - powiedział.

-Istnieje tylko "tutaj" - odezwała się. Potrząsnęła głową i jej ciemne włosy rozsypały się bezładnie na szczupłych ramionach. Jego ręce wciąż pamiętały ich puszyste ciepło. -
Rozejrzyj się - dodała z uśmiechem.

Światło. Woda. Kiedy patrzył, światło zamrugalo i stał teraz na cyplu, który tak dobrze pamiętał. Będąc dzieckiem często tam właśnie uciekał w samotność. Mogł z niego widzieć całą dolinę. Teraz Draupadi odnalazła to miejsce, by dzielić je z nim na zawsze.

Utkwiła spojrzenie w jego twarzy, a jej oczy zdawały się wciągać go gdzieś w głąb, wchłaniać w obcą mu przestrzeń. Kobięce dłonie powędrowały ku jego piersi i ramionom, próbując popchnąć go na dywany. Od zapachu jej włosów i ciała zakreciło mu się w głowie. "Tylko usiąść i porozmawiać" - pomyślał. Co w tym złego? Nigdy nie leżeli obok siebie, to może być ich ostatnia szansa. Mogłaby utkać wokół nich zasłone ciemności i sniłoby swój sen: że są tylko we dwoje, że są razem.

Ale to wszystko byłoby iluzją. Czarni Naacalowie przerwałiby ich sen, odsłaniając legionistom jego zdradę, zdradę oficera, który opuścił żołnierzy, by spocząć w ramionach kobiety, rzucającej na nich czary.

-Nadszedł czas, żeby pojsc, Draupadi - powiedział delikatnie. Pokreciła głową.

-Zabierzemy Ganesie i pojedziemy.

Czarne oczy błysnęły. W ich głębinach zaczął migotać strach. O swojego nauczyciela? Część jej umysłu przebudziła się, walczyć z odurzeniem.

-Daleko zawędrowałaś, Draupadi. - Uczyniłby z jej imienia piosenkę, byleby tylko ją odzyskać. Wracaj! - krzyknął, mając nadzieję, że ją obudzi.

-Dlaczego musimy odejść? - zapytała sennie. - Tu jest cicho, spokojnie. Tu jest wszystko, czego nam trzeba.

-Tu jest smierc - powiedzial Quintus. - Zapomnialas? Jesteś w mocy Czarnych Naacalow, tak jak Orzel. Jesli zdolaja wykorzystac jego sile, zaleja morzami pol swiata, a druga polowa beda rzadzie. Pamietasz czasy przed tym, kiedy to sie stalo? Pamietasz?

Pokrecila glowa.

-Pamietasz, Draupadi. Wiem, ze tak. Uniosl jej twarz, by spojrzala mu w oczy. - Chcesz, zeby to sie znowu stalo?

-Nie... och, nie... - Lzy splynely jej po policzkach.

-W takim razie musisz pojsc ze mna.

Slaniala sie, wyczerpana, Pociagnal ja w kierunku "wody", otaczajacej jej dywany.

Zabrzmialy gongi i rogi. Prawie zagluszyly przedsmiertny krzyk. "Nie Ganesia, na wszystkich bogow! Rufusie, niech zachowaja szyk."

Jakby smierc ofiary podsycila iluzje, ktore Draupadi rzucala na zyczenie Czarnych Naacalow, widziadla staly sie bardziej rzeczywiste, tworzac chaos swiatla, dzwieku i kolorow. Trudno bylo oddychac, a co dopiero isc. Draupadi laczyniwe chwykala powietrze, prawie upadla. Jak bedzie walczył, jesli bedzie musial ja niesc? Pomyslal o swoim sztylcie. Czy zyła wsrod Rzymian wystarczajaco dlugo, by zrozumiec ich walke o przetrwanie?

-Nie jestem twoim wrogiem, Draupadi - powiedzial. - Oni tak. Walcz z nimi.

Pociagnal ja ze soba, oczekujac w kazdej chwili ciosu, krzykow wscieklosci lub ataku na jego umysl i swiadomosc. Zamiast tego zalala sie lzami.

-Nie moze - lkala. - Jestem stara. Jestem obrzydliwa. Jezeli opuszcze to miejsce, umre i obroce sie w proch.

Widyl juz placzace kobiety. Lzy musza znaczc, ze slabnie. Wyszarpnal ja z wiezow, nalozonych przez iluzje i obawy. Przywarla do niego, przysuwajac swoja twarz do jego twarzy.

-Czy tego wlasnie chcesz, Quintusie, "mea anima"? - wypowiedziala z sarkazmem stary lacinski zwrot milosny. - Wlasnie tego, na wieki wiekow? Pocaluj mnie!

Jej twarz zmienila sie: gladkie, opalone ciało pokryly glebokie bruzdy i zmarszczki. Ciemne oczy zaplonely gniewem w prawie nagich oczodolach, a wargi obnazyly pozolkle zeby. Jej oddech pachnial nie kardamonem, lecz zgnilizna.

-Cialo, ktorego pozadasz, gnije i umiera. Chcesz mojej smierci? Chcesz tego? - Rozdarla ubranie. Jej piersi przypominaly skorzane, puste worki.

-Okryj sie - nakazal. Zacisnal reke mocniej wokol jej nadgarstka, nienawidzac dotyku delikatnych kosci pod palcami. Krzyknela wysokim glosem, w udrece, niczym dar dla bogow zlozony na stosie ofiarnym. Jesli oszalala, lepiej zeby zginela. A jeszcze lepiej, by z jasnym umyslem wyszla spotkac swe przeznaczenie.

Co powiedza jego zolnierze, kiedy zobacza go, jak ciagnie kosciotrupa i nazywa go jej imieniem? Pomysla, ze oszalal i zabija go.

Jest mistrzynia zludzenia - powiedzial sobie. - A teraz jej iluzje sa kalekie."

Tylko bogowie mogliby zeslac na nia przebudzenie. Pchnal ja przez smuge swiatla, ktora zbyt wyraznie ukazala jej zmieniona twarz. Jego stopy przez chwile "rozchlapywaly" iluzje. Potem szedl znowu po "suchym ladzie", z dala od miejsca, gdzie umieszczono ja, by zlapala go w pulapke.

Przewrocila sie, szlochajac bez lez suchym i rozdzierajacym krzykiem rozpacz, ktory scichl powoli do lamentu uwolnionego od szalenstwa.

Czy kiedy na nia spojrzy, zobaczy piekna kobiete, czy trupa?

-Trybunie...

Chyba tylko glos Rufusa mogl zmusic go do wypelnienia tego obowiazku, najstraszliwszego w calej jego sluzbie. Pochylil sie nad nia ze sztyletem w dloni. Lezala na boku, kurczowo zaciskajac powieki. Choc byla teraz mniej piekna od swojej iluzji, nadal byla cudowna.

-"Mea anima, mea vita" - wyszeptal. - Moje serce, moje zycie, zbudz sie. Spojrz na mnie.

Jej oczy byly wciaz zamkniete.

"Kto wie, jakie slyszy glosy w ogarnietym chaosem umysle" - pomyslal Quintus. Sam doswiadczal omamow, podszeptow, pogrozek... Potrzasnal nia brutalnie, lecz znowu odwrocila glowe. "Wybacz mi" - pomyslal i spoliczkowal ja. Otworzyla gniewnie oczy - i ujrzala swoja twarz, odbita w jego zrenicach, i ostrze, ktore jej pokazywal.

-Obejrzyj sie - rozkazal. - Znasz roznicke pomiedzy prawda a zludzeniem. Nie jestes wiedzma. I sam cie zabije, jesli zdradzilas. Jesteś Draupadi i potrzebujemy cie. Czy teraz rozumiesz?

-Sama - jeknela - ...woda przybiera, ziemia dygocze... calkiem sama, a wokol smierc... - jej twarz zaczela migotac i rozpadac sie; spojrzala tesknie na podwyzszenie, ustawione dla podtrzymania jej iluzji.

Quintus pochylil sie i pocalowal ja, mocno i szybko.

-Nigdy nie bedziesz sama. Rozumiesz?

Przywarla do niego na jedna, szczesliwa chwile, po czym odepchnela go.

-Ganesia - rzucila. - Lucilius mnie oszukal.

-Jestesmy gotowi do walki - oswiadczył. - Twoja rola juz sie skonczyla. Schron sie na tytach, tam bedziesz bezpieczna.

-Moja rola? - Dotrzymywala mu kroku, kiedy pospiesznie wracali do oczekujacych ich zolnierzy. - Tutaj nigdzie nie jest bezpiecznie.

Dotarli do zbrojnych. Zajela miejsce u jego boku; chorazy stanal po drugiej stronie.

Rufus zachrypial komende: "Naprzod".

Rozdzial trzydziesty trzeci

Zaczekajcie! - Quintus uniosl reke. Po raz pierwszy odwolal rozkaz starszego centuriona. Pomimo grozacego im niebezpieczenstwa, wyraz twarzy Rufusa zmusil go do usmiechu.- Panie, zabili juz jednego czlowieka. Sa coraz silniejsi, nie czujesz tego? - I podobnie jak on, starszy centurion po raz pierwszy zakwestionowal rozkaz. Mial ku temu powody.

Swiatla pod gigantyczna kopula przygasly, ciemnosci rozswietlal ponury blask dopalajacych sie lamp oliwnych. W powietrzu unosil sie duszny, trupi odor. Ciemnosc zbijala sie w klaki mgly, czarna przerazajaca wilgoc. Oczy legionistow swiecily w mroku. Czesc niewolnikow zaczela dygotac. Jeden czy dwoch chcialo upasc na kolana, lecz Rzymianie podtrzymali ich. Byli przyzwyczajeni do dyscypliny. Quintus mial nadzieje, ze nie sprobuja ucieczki, byloby zbyt okrutne oskarzac ich i zabijac za tchorzostwo, skoro nigdy nie uczono ich odwagi.

Klangor gongow zdawal sie powolywac do bytu ciemne fale. Zbieraly sie i unosily, jakby chcialy dotknac Orla. Braz, tak niegdys jasno swiecacy, teraz zmatowial, jak ptak, ktory gubi piora i rozpaczliwie laknie wolnosci.

-Moge to zniszczyc - Draupadi poruszyla rekami, choc jej dlonie drzaly, a glos ochrypl.

Quintus wiedzial, ze jest wyczerpana. Ale wiedzial tez, ze nie spocznie, dopoki nie naprawi zla, ktore wyrzadzila. Pod tym wzgledem przypominala wojownika.

Jeden z Czarnych Naacalow ruszyl w strone Ganesii. Minal poprzednia zdobycz nie patrzac na blade, puste cialo. Ciemnosc okryla je brudnym calunem. Szata Czarnego Naacala, mokra od krwi, przylepila sie do nogi ofiary.

Gdy Quintus po raz pierwszy zobaczyl Ganesie, walczyli ze soba i Rzymianin pozbawil glowy starego maga - a przynajmniej tak mu sie wydawalo. Medrzec przezyl i Quintus

zastanawiał się potem, czy przypadkiem nie potykał się z iluzją. Teraz nie miał takich wątpliwości. Są rzeczy, których nie mogliby znieść nawet polbogowie. Czyż Bachus nie został rozerwany na części? A to dziwne, egipskie wyznanie, o którym szeptały kobiety? Był winien Ganesii życie lub lekka śmierć. Rufus miał rację. Najwyższa pora na starcie.

-Stój!

Na wszystkich bogów Hadesu, Lucilius? Co on chce zrobić?

Zamierające światło rzuciło cień na twarz patrycjusza, gdy ten stanął pomiędzy Czarnym Naacalem a Ganesią.

-Nie wiedziałem, że jesteś taki czuły - powiedział Naacal. Jego chichot był niczym cios. Lucilius poczerwieniał, potem zbladł, lecz zachował spokój, co zdarzało mu się tak rzadko.

-Czemu pozbywać się czegoś, co mogłoby być waszą bronią?

-Pozbywać się? Sprzedawczyku, wykorzystuje to, co mam pod ręką. Widzisz, ten zgrzybiały ludzki bukłak jest wypełniony mocą. Chce go odkorkować, by napić się i wziąć tę moc dla siebie. A wtedy...

Grunt zakolysał się pod stopami. Być może Czarny Naacal był tak pewny swojej siły, która sprawi, że ziemia otworzy się i połknie to miejsce... Dla reszty świata byłoby to ocalenie.

-Nadchodzi.

-Szpiegów, niewolników i banicji.

To tyle, co zostało z wielkiego Legionu Rzymu i armii Ch'in.

-Potrzebujesz jej, potrzebujesz tej kobiety, jeśli chcesz wykorzystać starca. On ją uwielbia.

Ganesia trwał w bezruchu. Miał zamknięte oczy. Jakimi dziwnymi bezdrozami pamięci i mocy teraz wędrował?

-Oto przemawia człowiek zauroczony. Nie możesz doczekać się swego smakoliku? Nie złamał się, gdy podaliśmy jej nasz cudowny napój. Jakież szalenstwo kaze ci przypuszczać, że będzie nad nią czuwał teraz... czy choćby, że możemy ją odzyskać? Równie dobrze możemy wziąć jego moc i nagiąć ją do naszej woli. Masz swoje złoto i obietnice czegoś więcej, kiedy już wytłoczymy na twarzy Ziemi wizerunek naszej siły. Nie próbuj zyskać więcej.

-Przysięgasz, że to ja ja dostanę.

-Będziesz miał inne kobiety. Teraz się cofnij, zdrajco, żebyśmy nie uznali, że jesteś niewiele dla nas wart.

Czarny Naacal uderzył Luciliusa w twarz. Cios wyglądał na słaby, ale na policzku mężczyzny wykwitł krwawy ślad, a on sam zatoczył się na bazaltową ścianę w pobliżu Orla.

Światło i ciemność migotały wokół ptaka, sprawiając wrażenie, że Orzeł poruszył się. Lucilius był zdrajcą. Ale był także Rzymianinem, podał za znakiem i na swój sposób był mu wierny.

-Naprzód - pokazał Quintus. Za jego plecami Ssu-ma Chao powtórzył komendę.

W porównaniu z gongami i śpiewami Czarnych Naacalów, skrzyp butów legionistów, tupot bosych sto niewolników i sandałów Ch'in nie zakłócały ciszy. Byli jak duchy, zbliżające się niezauważalnie, choć widocznie.

Lucilius ich obserwował. Otworzył szeroko oczy. Jeśli krzyknie, zaatakują ich przedwcześnie. Ale on milczał. Oczy mu pojaśniały, jakby zaszyły łzami wstydu. Widząc swój dawny Legion, zbliżający się do Orla i wrogów, wyprostował się i zaszalutował.

Rufus spojrzał mu w oczy i splunął.

Mrok zgestniał wokół zdrajcy, dotykając jego oczu, ust i uszu, jakby próbując go wchłonąć.

Z pewnością był zdrajcą. Zbliżył się do Draupadi. Po wielekroć zasłużył na śmierć.

Quintusa przeszło wspomnienie Krassusa, otoczonego przez Fartów i walczącego do upadłego. Walczył w jego obronie, póki nie powalił go cios w głowę. Stary prokonsul był przekupnym głupcem, lecz umarł z honorem.

-Luciliusie! - krzyknął trybun. Echo odbiło się od ścian olbrzymiej świątyni. - Przyłącz się do nas! Pamiętaj - jesteś Rzymianinem!

Lucilius poruszył ustami. Pokrasniał na twarzy, prawie jak od ciosu Czarnego Naacala.

-Chodź, człowieku! - Rufus wykrzykujący słowa zachęty. Podjęli je inni żołnierze. Jeden krzyknął nawet pozdrowienie gladiatorów, jakby był barbarzyńcą z lasów nad Renem.

-Zrób to, co przystoi Rzymianinowi! - wolał Quintus. - Wróć do "patria". Pojdz za znakiem Legionu!

Nad głową Luciliusa zamajaczył Orzeł. Był teraz znacznie jasnniejszy i najwyraźniej balansował na drzewcach, jakby oczekując wezwania. Quintus patrzył na Orla. Może to tylko sztuczka niepewnego światła, ale ptak wpatrywał się w niego żywymi oczami.

Rozkazał wzniesć okrzyk pozdrowienia. Po chwili powtórzyli je niewolnicy i wojownicy Ch'in. Pieśń Czarnych Naacalów brzmiała szalenstwem.

-Luciliusie! - krzyknął Quintus. - Orzeł! Przynies nam Orla!

Nawykly do wydawania komend glos Rufusa powtorzyl rozkaz znacznie glosniej.

Czarny Naacal wzniosl nad Ganesia sztylet. Uslyszeli syk, powtarzajacy sie uparcie podczas ich wedrowki - sygnal, ze objawia sie zlo.

-Teraz, czlowieku! Nie ma czasu!

-Dla Rzymu!!! - ryknal Rufus.

-"Roma!" - zaczeli skandowac zolnierze. Nawet niewolnicy podchwycili to slowo. - "Roma! Roma! Roma!"

Wzrok Luciliusa obiegl swiatynie i spoczal na Orle. Znowu przeliczal szanse na wygrana?

Wahal sie...

...a resztki jego Legionu zblizaly sie.

Quintus widzial malujaca sie na jego twarzy rozterke. Nigdy wiecej nie byc nazywanym zdrajca, przez nikogo. Odzyskac honor, nawet tracac zycie.

"Zrob to, co przystoi Rzymianinowi" - ponaglal go w duchu Quintus. Nawet jesli nikt nie przezyje, dusza Luciliusa bedzie mogla stanac bez wstydu przed Minosem i Radamantyse. Musza byc jakies slowa, ktore pchna patrycjusza do czynu. Po chwili znalazl je.

-Dalej, chlopcze! Ostatni rzut koscmi! - krzyknal.

Ku jego zdumieniu Lucilius rozesmial sie. Swiatlo zablysko na jego jasnych wlosach. Rzucil sie do Orla i chwycil drzewce.

Wielki ptak rozpostarl lsniace skrzydla jak zywa istota, az fundamenty swiatyni zadrzaly od ich lopotu.

Lucilius uniosl znak...

...a Czarny Naacal uniosl sztylet roziskrzonym lukiem prosto ku gardlu Ganesii, chcac zeslac smierc, z ktorej nie byloby juz przebudzenia.

-"Roma!" - krzyknal Lucilius i roztrzaskal znakiem czaszke Czarnego.

Obrocil sie, zmierzajac ku ludziom, ktorymi kiedys dowodzil. Teraz wiwatowali, wznosili chrapliwe okrzyki na jego czesc.

Bylo to kolejne zludzenie, czy tez swiatynia pojasniala? Nie, to nie bylo zludzenie. Ciemne mgly gorzaly od blasku Orla. Przez okna kopuly zaczelo saczyc sie blade swiatlo

wczesnego switu. Wizja ujrzenia kolejnego dnia zalala serce Quintusa fala nadziei. Swiatlo bylo coraz silniejsze. Dlugi, jasny promien przedarl sie przez wazkie okienko do wnetrza swiatyni, kladac sie blaskiem na sponiewieranym ciele Naacala i Rzymianach, biegnacych do Luciliusa i Orla.

Ptak z brazu ponownie rozlozyl skrzydla. Tym razem z jego gardla wydobyl sie skrzek zlosci i uragania. Drzewce, tak dlugo go podtrzymujace, rozjarzylo sie ogniem, ktory objal Luciliusa.

Nie mial czasu na krzyk, czy chocby grymas agonii. W jednej chwili zdawal sie jasnec swiatlem. W nastepnej juz plonal. Jego rynsztunek opadl i ujrzeli, jak gorejace ciało obnaza kosci: zebra, czaszke i uparty staw reki, trzymajacej w gorze plonace drewno, dopoki plomien nie strawil rowniez szkieletu, pozostawiajac kupke popiolu.

Orzel krzyknal raz jeszcze, gdy dotknely go promienie swiatla, padajace przez okienka. Swiatlo trysnelo z ptasich oczu, jakby Plomien skupil sie w nich jak w soczewce, i uderzylo w innych Czarnych, przemieniajac ich w popiol. Kaplani, sludzy, nawet trup pierwszej ofiary... wszyscy sploneli.

Orzel wciaz emanowal niespozyta moca. Quintus przypomnial sobie... "Pasupata zostala wyzwolona. Spustoszyła pole bitwy, choc tego, ktory jej uzyl i jego armie pozostawila nietknieta."

Pochwyciwszy sztylet Quintusa Draupadi podbiegla do Ganesii. Starzec, wyzwolony z wiezow, spojrzal na Orla, po czym ukleknal przed nim, jakby chcial ucalowac ziemie przed wyzszym Istnieniem. Za jego plecami niewolnicy padli plackiem na kamienna posadzke.

Rzymianie wyprostowali sie i pozdrowili z czcia swoj odzyskany znak. "Czesc tego salutu jest dla ciebie, Luciliusie - pomyslal Quintus. - Wierze, ze o tym wiesz."

Z pozegnalnym okrzykiem Orzel wzbil sie w powietrze i trzykrotnie okrazil swiatynie. Switalo. Oznaczalo to swiatlo, zycie i oczyszczenie. Brazowy blysk przemknal przez najblizsze okienko i Orzel poszybował w dal.

Rzymianie, zolnierze Ch'in, dwoje Bialych Naacalow i dawni niewolnicy stali wolni pod gigantycznym sklepieniem starej swiatyni. Nawet kopec zniknal ze scian, starty oslepiajacym blaskiem orlego lotu. Biala skala kopuly jasniala i zdawala sie drzec. Sploty wielkiego weza prezyly sie nad oltarzem, a oczy jego licznych glow lsnily niczym klejnoty.

Lzy splynely po ogorzalych policzkach Rufusa.

-Nasz Orzel - zdolal wyszeptac. - Ledwie go odzyskalismy, a juz zniknal.

-Nigdy nie byl nasz - odparl Quintus - lecz Rzymu.

-A teraz tam wraca - dodał Ganesia. Draupadi owinęła starca jednym ze swych welonów niczym toga, ale nawet w tym dziwacznym stroju wyglądał godnie i budził szacunek.

-Nadszedł wasz czas, Rzymianie - powiedział Ganesia. - Oto wasz świat. Co z nim zrobicie?

Quintus miał ochotę wzruszyć ramionami. Czuli, jak rosną dzielące ich bariery. Jeśli nie zdołają ich usunąć, co robią, nie mogą wrócić do domu?

Ganesia roześmiał się.

-Byliście już kiedyś na wygnaniu? Mówię wam: co jeden mag zepsuła, drugi potrafi ostrożnie naprawić. Nawet jeśli ja nie zdołam tego zrobić - powiadam ci, Quintusie - zrobi to Rzym. Bo teraz nastał czas Rzymu, tak jak kiedyś był czas Ojczyzny. Jeśli chodzi o nas, my też możemy się odrodzić. Kto wie? Może pewnego dnia Rzym bardzo się zdziwi, gdy przybędą tu rzymskie oddziały i nie spotkają obcych, ale braci, gotowych ich uscisnąć!

Quintus spojrzał na kupkę popiołu, która była kiedyś rzymskim trybunem. Później zbierze ją i wyprawi Luciliusowi godny pogrzeb, by jego niespokojna dusza mogła znaleźć spokój.

Draupadi odgadła o czym myśli i podała mu swój zawoj, by przykrył nim prochy. Być może ona i Ganesia mogłyby pomóc im stąd odejść. Ale nawet jeśli nie, to przecież mieli tu ziemię i wodę, mieli kamień, by wznosić domy i świątynie. I towarzyszy obdarowanych wielką tajemną mocą, która teraz będzie mogła wykorzystać, by stworzyć nowy świat.

Ganesia i Draupadi sklonili się przed ołtarzem. Quintus teraz już wiedział, że oczy weza naprawdę rozbłysły w odpowiedzi.

Potem opuścili świątynie. Wiatr, hulający pod kamiennym sklepieniem, gonil ich korytarzem. Był niczym świeży oddech. Niebo błyszczało jasniej niż podczas tyłu dni ich podróży.

Orzeł wciąż wzbijał się w przestworza, rywalizując ze słońcem. Ujrawszy ich, wydał okrzyk powitania.

-"I ty bądź powitany - odkrzyknął Quintus - szczęśliwej podróży."

Ptaka zatoczyło koło i skierował się na zachód, był niczym posłaniec powracający do domu z wiadomościami o wielkim zwycięstwie...

Obserwowali go, aż zamienił się w polyskującą na niebie cętkę, która wkrótce również zniknęła.

Później stanęli we wspólnym kregu - wszyscy, którzy przeżyli. Valmiki kończył zaczął wcześniej dyskusję z Ganesia. Rufus obrócił się do swojego trybuna:

-Wiec to tu jest nasza ziemia?

-Obawiam sie, ze bedziesz musial poczekac na mula - odpowiedzial Quintus i rozesmial sie, od tak dawna chcial uslyszec swoj smiech.

-Mysle wiec, ze mam duzo czasu, aby sie urzadzic.

Quintus przytaknal i wyciagnal reke po dlon Draupadi. Przewidywania Ganesii - jak tyle razy wczesniej - teraz tez moga sie sprawdzic. Moze naprawde moglby ich uwolnic? I moze kiedyś Rzym wysle w glab pustyni oddzialy zwiadowcow, ktorzy spotkaja tu braci? Lecz Quintus mial na razie inne zadania - ziemia, ktora lezala odlogiem, kamien, ktory czekal by zbudowal dom... Coz moze lepiej dowiesc, ze to miejsce wraca do zycia niz rodzina? Draupadi odwrocila sie ku niemu, by spojrzec mu w oczy. Jak zwykle wiedziala o czym mysli i usmiechnela sie. Nie potrzeba teraz nic wiecej, nie sa przeciez sami, lecz pozniej... ach, pozniej... wspolne zycie... dzieci... Moze silni synowie lub ciemnookie corki... To bylo wiecej, niz mogl kiedykolwiek marzyc. Wiecej, niz mial Arjuna. "Z calych sil - na zawsze" - obiecal Draupadi w najskrytszych myslach, a ona usmiechnela sie do niego.

Przygladal sie ruinom swiatyni. Te mury da sie odbudowac, a z kamienia, ktory zostanie, wzniosa domy i akwedukty.

Potem spojrzal na niebo. Choc bylo to niebo pustyni, wydalo mu sie, ze widzi zapowiedz deszczu.

Rzym bedzie rozkwital na Zachodzie, niezaleznie od tego, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy jego siedem wzgorz. Tu, na Wschodzie, byla praca i - jak by powiedzial Rufus - Rzymianie, by ja wykonac. Na honor Orla, wywiazal sie dobrze z tego zadania.

Koniec

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/